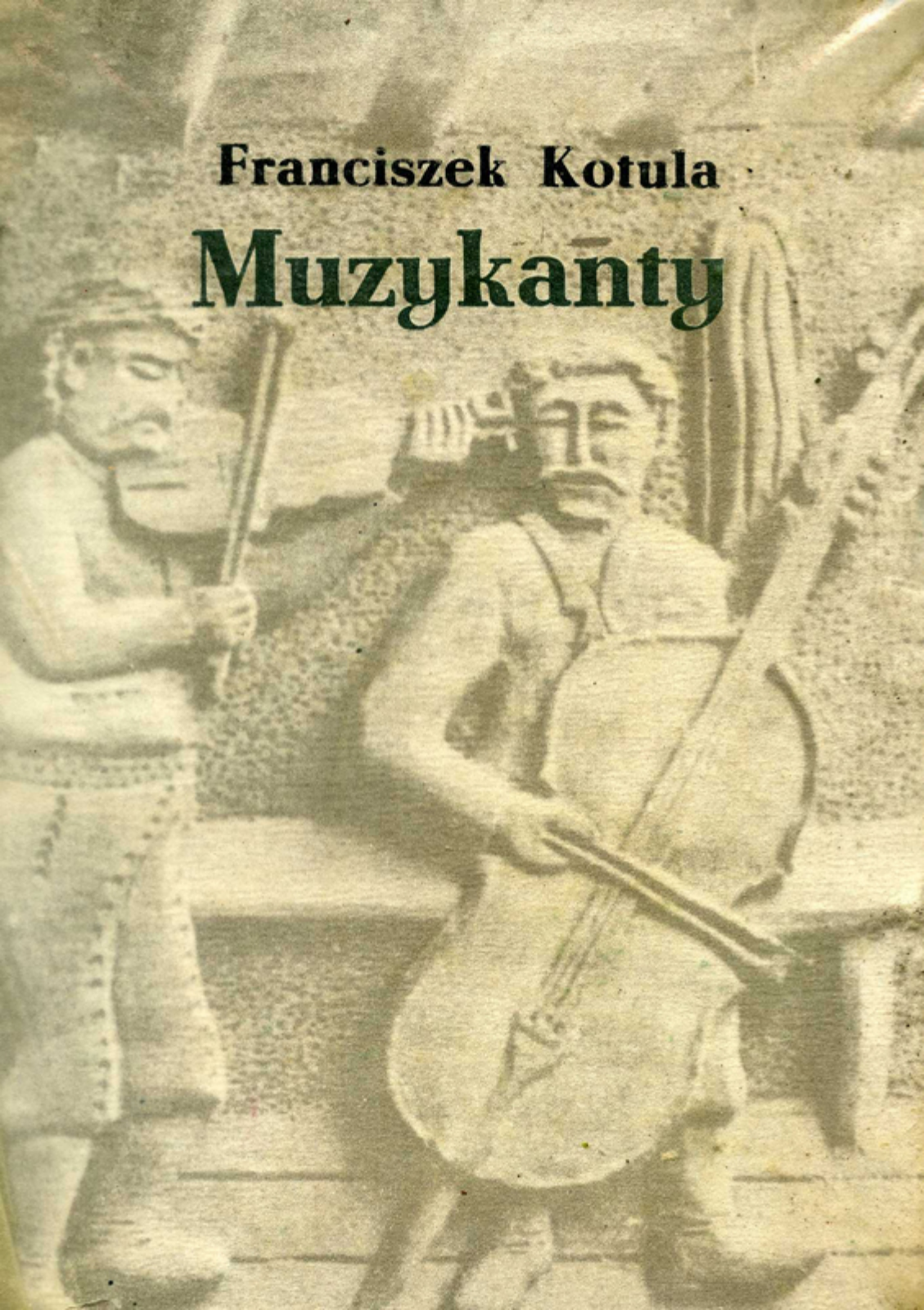
Franciszek Kotula

Muzykanty



FRANCISZEK KOTULA

Muzykanty

wstęp JÓZEF BURSZTA

posłowie JADWIGA SOBIESKA

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1979

Muzykanci w tradycyjnej społeczności wiejskiej

Franciszek Kotula i jego pasja badawcza

Na drodze niezwykłej pasji badawczej i niestrudzonej a niezmiernie efektywnej i bogatej działalności publikacyjnej Franciszka Kotuli pojawia się nowe, pasjonujące dzieło. Dotyczy ono — jak większość ostatnio publikowanych jego prac — zarówno dokumentacji jak też interpretacji zanikającej tradycyjnej kultury społecznej i umysłowej wsi rzeszowskiej, zwłaszcza zjawisk należących do szeroko pojmowanego folkloru. Na tej linii pasji badawczej Kotuli kilkunastu ostatnich lat czołowe miejsca zajmują takie dzieła, jak: *Folklor słowny osobliwy* (Lublin 1969), *Hej leluja, czyli o wygasającej tradycji starodawnych pieśni kolędniczych w Rzeszowskiem* (Warszawa 1970) oraz *Znaki przeszłości. Odchodzące ślady zatrzymać w pamięci* (Warszawa 1976).

Pasję badawczą Kotuli obserwuję od dawna i jestem jakby świadkiem kolejnych jej przejawów. I nie tylko przejawów, także swoistych etapów rozwojowych. Kotula wystartował jako typowy amator-regionalista i kolekcjoner. Początkowo interesowało go wszystko to, co było materialnym „znakiem przeszłości". „Moje zbiory — wyznał sam — stanowiły coś, co fachowcy nazywają popularnie «śmieciarnią», a złośliwie «muzeum narodowym»"[1]. Ta właśnie pasja nałożyła na niego „czarną robotę tworzenia w Rzeszowie muzeum od gruntu, od zera". Drogą zbieractwa szedł Kotula także w latach powojennych jako już kustosz muzeum regionalnego, było to jednak zbieractwo bardziej uporządkowane i celowo zorientowane, o charakterze historyczno-etnograficznym. Zebrane materiały, zarówno pisane i publikowane w postaci różnych druczków, jak też zabytki materialne, zarówno te

przeniesione do zbiorów muzealnych, jak i pozostałe w terenie — zaczyna Kotula systematycznie opracowywać i kolejno publikować. Powstaje tą drogą seria prac o charakterze historyczno-etnograficznym. Dotyczą one głównie wytworów kultury materialnej. Ukazują się więc prace o ludowej kostiumologii, miejskiej i chłopskiej wytwórczości płócienniczej i sukienniczej, ośrodkach meblarskich, złotnictwie, ludowym budownictwie itd. — prace ukazujące po raz pierwszy charakter kulturowego dorobku tak mało dotąd znanego regionu, Rzeszowskiego. Równoległym nurtem płyną zainteresowania interpretacją historycznych śladów dawnych epok w krajobrazie osadniczym regionu: kościółkami, kapliczkami, wałami ziemnymi, kopcami, śladami dawnych przemysłów leśnych, ośrodków ceramicznych itp. Z niezwykłą pasją i dociekliwością, a zarazem z twórczą wyobraźnią historyczną, Kotula usiłuje z owych szczątkowych śladów przeszłości odczytać społeczno-kulturowe wydarzenia i procesy ubiegłych wieków: szlaki handlowe, wędrówki osadnicze, ośrodki obronne, miejsca kultowe, centra wytwórcze itd. Na czoło wybijają się takie książki i opracowania, jak: *Warownie chłopskie XVII wieku w Ziemi Przemyskiej i Sanockiej* (1962), *Chotowskie „zagłębie" przemysłowe* (1962), *Rozmowy ze skorupami czyli rzecz o plastyce garncarskiej i jej wymowie historyczno-społecznej* (1969) czy wreszcie — najbardziej wymowne i dojrzałe — *Po rzeszowskim Podgórzu błądząc* (1974) oraz *Opowieści ziemi z dorzecza Górnej Wisłoki i Wisłoka zebrane przez zauroczonego łazęgę* (1975).

Były to jednak inne opracowania od wspomnianych wyżej, wynikające z nowej postawy badawczej Kotuli, z czego sam wyraźnie zdawał sobie sprawę. Badania pojedynczych wytworów kulturowych Kotula określił z czasem jako ciasno pojętą specjalizację i porównał z badaniami w prosektorium, gdzie analizuje się ciało człowieka, ale już nieżywego, bez — jak się wyraził —

duszy [2]. Zrozumiał, że wytworów kulturowych nie powinno się odrywać od żyjącego i działającego człowieka, że kultura — także kultura regionalna — jest jakąś powiązaną wewnętrznie całością, że zrozumieć ją i wyjaśnić można tylko poprzez badanie jej nosiciela, tego, który jest wyrazem „ducha" tej kultury.

Właśnie Kotula „odnalazł człowieka" po interpretacji terenowych śladów przeszłości. Badając źródła materialne, owe kapliczki, wały, kopce itd., szukał ich odbicia w pamięci historycznej ludzi w terenie i tę pamięć nazwał „archiwum ludowym". „Ale lud [...] — pisał — który żył i działał, tworzył sobie swoje archiwum przekazując pokoleniom tradycję, doświadczenia i spostrzeżenia, nazewnictwo miejscowe, podania i legendy... bezcenne źródła..." [3]. Archiwa te — powiada na innym miejscu — „narastały wiekami jak mech na starych drzewach czy kamieniach, jak pokłady torfu. Archiwa ludowe na naszym terenie to różnego rodzaju podania, legendy, terminy topograficzne i toponomastyczne, wierzenia, przesądy... fascynujące archiwa" [4].

Fascynacja owym nie zbadanym dotąd należycie „archiwum ludowym" stała się niezwykłą siłą motoryczną w jego wieloletnich badaniach folkloru regionalnego. Stąd powstała wspomniana seria książek zawierających wydobyte z pamięci informatorów nieoczekiwane bogactwo legend, mitów, wierzeń, zaklęć magicznych, średniowiecznego jeszcze pochodzenia gospodarskich kolęd życzeniowych itd. — wszystkiego tego, co — jak sam powiedział — stało się najnowszą, ale już trwałą jego miłością. Zniechęcony zarówno nazbyt szybkim zanikiem wytworów materialnych kultury ludowej, jak i ich „bezdusznym" opisem w sposób atomistyczny, bogactwo treściowe znalazł w folklorze. „Na podstawie długoletnich doświadczeń twierdzę — wyznawał — że z tradycyjnej kultury ludowej pozostało bardzo wiele. Pozostał «duch», tj. część ważniejsza, chociaż ciało pozornie może jest martwe i przekazane do prosektorium.

Pozostał folklor — dusza ludowej kultury", wymagająca już badań kompleksowych [5]. W sumie warsztat naukowy Kotuli, jako p'on całej dotychczasowej drogi badawczej, liczy kilkanaście metrów bieżących materiałów terenowych, których tylko część zdołał dotąd opracować. A i tak ogólny dorobek publikacyjny Kotuli liczy około 600 pozycji. Dorobek rzeczywiście imponujący i wręcz niezwykły.

Temat — muzykanci

Droga Kotuli do *Muzykantów* prowadziłá poprzez szeroko prowadzone badania folklorystyczne. Zainteresowania obrzędowością wiodą bezpośrednio do szczytowego jej przejawu — wesela, a ono nie mogło się odbyć bez ludowej kapeli. Wszystko to znał Kotula od dzieciństwa z autopsji. A'e na drodze „odkrycia" muzykantów wiejskich jako specjalnej kategorii, jako „elity kulturalnej wsi" znajdujemy znamienne wydarzenia, które stały się jakby olśnieniem, a stąd zaczynem nowego tematycznie ukierunkowania badawczego. Pozwólmy sobie na odtworzenie jednego ciągu „wydarzeń-natchnień". W swoich „włóczęgach" czy — jak to sam nazywa — badawczych „błądzeniach" dosiadał się do wypoczywającej gromadki ludzi, w której prym wiedli znakomici gawędziarze, w indywidualnych zaś kontaktach z informatorami napotykał na różne typy ludzkich osobowości, na wyjątkowe talenty. W jednym z opracowań pisze, „że na polskiej wsi spotyka się wspaniałe umysły, chciałoby się rzec: psychologów, socjologów, filozofów, a także historyków kultury ludowej. Spotyka się talenty same w sobie nie uświadomione i najczęściej w ogóle nie ujawnione" [6].

Jedną z najciekawszych i najbogatszych osobowości twórczych na wsi, z którą Kotula w swym myszkowaniu po terenie się zetknął, był Józef Ryś z Łąki pod Rzeszowem (ur. 1898). To iście samorodna postać renesansowa: w jednej osobie ludowy malarz, znakomity gawędziarz, ludowy

filozof, poeta i świetny muzykant na czele utworzonej przez siebie i prowadzonej przez 40 lat ludowej kapeli. Postać ta zafascynowała Kotulę do głębi i bez reszty. Punktem wyjścia do zajęcia się muzykantami stał się właśnie kontakt z Józefem Rysiem. „W roku 1963 — pisze Kotula — «naparłem» na Rysia ile tylko starczyło mi sił, aby opisał swoje muzykanckie życie od najwcześniejszych lat, swoje przygody i spostrzeżenia, a także skreślił wspomnienia o innych, starszych jeszcze «muzykach», którzy przecież stanowili kiedyś elitę kulturalną wsi polskiej. Radość moja nie miała granic, kiedy pan Józef niewiele ociągając się wyraził zgodę. Po pewnym czasie do mojej teki z napisem «Muzykanty wiejskie» przybył jeszcze jeden pamiętnik. Po przeczytaniu go jednym tchem zrozumiałem, że oto dostałem rzecz bardzo cenną, która pozwoli lepiej poznać i zrozumieć ducha polskiej kultury ludowej" [7].

Z inspiracji Kotuli i przez niego zredagowany i poprzedzony przedmową powstał też tekst znakomitego *Wesela łąckiego* napisany i bogato ilustrowany przez Józefa Rysia. Ukazanie się tej książki nazwałem wówczas wybitnym osiągnięciem wydawniczym. Istotnym jest tu dla nas fakt, że w intensywnych i częstych kontaktach z Rysiem zebrał Kotula wszechstronny zasób materiałów, dotąd tylko w części wykorzystany, i że właśnie te kontakty i materiały stały się dla niego olśnieniem i nowym kierunkiem jego dociekliwej pasji badawczej.

Materiały źródłowe stanowiące podstawę omawianej tu „nieco staroświeckiej gawędy" o muzykantach — jak Kotula nazywa swoje opracowanie — są trojakiego rodzaju. Głównym zasobem — prócz wspomnianych zasobów uzyskanych od Rysia — są autobiografie samych muzykantów, nazywanych we wsi także „wesołuchami" czy „muzykami" (l. poj. — „muzyka"). Tych Kotula specjalnie poszukiwał i wynajdywał bezpośrednio w terenie, namawiał do opracowania swych życiorysów, dostarczając często materiałów piśmiennych, niejednokrotnie

nagrywając ich relacje na taśmie magnetofonowej. W ten sposób uzyskał kilkanaście autobiografii, różnej — jak to widać z zamieszczonych przykładów — wartości. Ważne jest to, że autobiografie umożliwiły zastosowanie formy, w której muzykanci „będą mówili sami o sobie". Drugim rodzajem materiałów stały się wywiady zarówno z samymi muzykantami, jak i innymi informatorami znającymi losy życiowe lokalnych „wesołuchów" i reprezentującymi typowe „archiwum ludowe". Trzecim wreszcie zasobem źródłowym jest autopsyjna dobra znajomość terenu oraz życia wiejskiego i małomiasteczkowego, w którym Kotula żył od dzieciństwa. To właśnie pozwoliło mu na umieszczanie wydarzeń w kontekście sytuacyjnym, odtwarzania atmosfery i kolorytu życia rodzinnego, sąsiedzkiego, gromadnego, na trafną rekonstrukcję różnorodnych niuansów życia w tradycyjnych społecznościach lokalnych z uwydatnieniem galerii typów społeczno-kulturowych ludzi.

W takim właśnie kontekście, w pełnej tęczy barw życia „dawnych lat" umieścił Kotula kategorię ludowych muzykantów w ich zróżnicowanej gamie typów, losów życiowych, stosunku do sztuki ludowego muzykowania, a zwłaszcza w ich pozycji społecznej w społeczności lokalnej i w oddziaływaniu swej sztuki na otoczenie. Wszystko zaś zostało ujęte w formie gawęd umożliwiających barwność opisów i analiz, a stąd zapewniających łatwą odbiorczość u czytelnika.

Już ze względu na wspomniane wyżej cechy lektura *Muzykantów* Franciszka Kotuli pasjonuje. Zainteresowanie wzmacnia fakt, że — na dobrą sprawę — jest to pierwsze w literaturze polskiej opracowanie dotyczące tej bardzo ciekawej kategorii ludzi i to uchwyconej głównie przez pryzmat doświadczeń osobistych samych jej przedstawicieli pochodzących z jednego wyraźnie określonego regionu. Etnomuzykologia zajęła się innymi problemami. Oskar Kolberg w swoich *Dziełach* nie daje żadnego zbliżenia do ludowego wykonawcy muzyki instrumentalnej ani nawet

wokalnej. Najlepsze dotąd opracowanie muzyki ludowej na porównawczym tle ogólnosłowiańskim K. Moszyńskiego, dotyczące szerokich zagadnień etnohistorycznych (geneza muzyki ludowej) i etnogeograficznych (zróżnicowanie przestrzenne skal, melodii, dyfuzja, typologia etniczna) oraz typologii słowiańskich instrumentów muzycznych, nie zajmuje się również osobą samego muzykanta [8]. Niewiele też dowiadujemy się o nim z nowszych etnomuzykologicznych opracowań [9]. Wszędzie głównym problemem jest analiza melodii jako wytworu oderwanego już od wykonawcy i nosiciela. Nieco informacji można znaleźć w opracowaniach traktujących specjalnie o ludowych muzykantach, jak to mamy np. w odniesieniu do Łużyc [10]. Książka Kotuli ma inny charakter. Nie zajmuje się w ogóle stroną melodyczną, a jedynie — zgodnie z tytułem — muzykującym człowiekiem, ma więc charakter swoistej „opowieści" typu antropologicznego. Idzie więc po linii takich opracowań opartych o źródła autobiograficzne, jak: L. W. Simmons *Wódz słońca* (1964), O. Lewis, *Nagie życie* (1976) czy R. Pozas *Juan Pérez Jolote* (1977).

Z pastucha na muzykanta

Zajęcie się muzykującym człowiekiem, względnie muzykującym zespołem (kapelą), a więc ludźmi uprawiającymi swoistą sztukę nie dla siebie, ale głównie dla użytku społecznego, zawiera dość złożone zjawisko i problem. Spośród wielu wchodzących tu w grę aspektów można wymienić najważniejsze:

1) proces wyłonienia się kandydata do muzykowania i jego dojście do pozycji muzyka, a z tym drogi kształtowania się zespołu (kapeli);

2) funkcja społeczna muzykowania, a więc sytuacje, w których muzykant lub kapela bierze udział, oraz odbiór muzykowania przez uczestników ze szczególnym

uwzględnieniem wywieranego przez granie wpływu na nich;
3) pozycja społeczna muzykantów w społeczności wiejskiej na tle i w związku z ich losami życiowymi.
Dla wszystkich tych aspektów znaleźć można w książce liczne materiały, jednak ich systematyka i adekwatna analiza nie jest łatwa. Są to bowiem zjawiska i problemy wchodzące w obręb kilku na raz nauk, a zwłaszcza: psychologii indywidualnej, psychologii społecznej, socjologii i etnografii (względnie etnologii). Są to zagadnienia do specjalnego studium analitycznego, zrozumiałe stąd, że na tym miejscu możemy podać tylko ich szkicowe ujęcie.
Niezmiernie interesujące dane znajdujemy odnośnie psycho-społecznej strony „narodzenia się" muzykanta. Są one zawarte w każdej niemal z 14 gawęd Kotuli (część I pracy); jak też w każdym z 9 przytoczonych w skrócie pamiętników (część II książki). Jest widoczne, że to zagadnienie frapowało mocno Kotulę, jak też było istotnym i głęboko przeżywanym odcinkiem życia każdego z muzykantów.
Wrażliwość na muzykę jest właściwa wszystkim ludziom, choć w różnym stopniu. I nie tylko ludziom. Znany jest wpływ muzyki na zwierzęta. Pozwolę tu sobie przytoczyć wspomnienie z lat chłopięcych. Mieliśmy w naszym gospodarstwie konia, nazywaliśmy go „Łysym".
Obserwowałem nieraz, jak pasąc się na pastwisku, reagował na grę kapeli przejeżdżającego gościńcem wesela: podnosił wysoko głowę i ogon, dziwnie rżał i kręcił się w kółko w rytmie niemal tanecznym. Uspokajał się dopiero wtedy, gdy muzyka ucichła. Cóż dopiero dzieci! Każda kapela weselna, każda orkiestra festiwalowa, każdy zespół obrzędowy z muzykantami otoczony bywał czeredą dzieci ciekawych wydarzeń i przejętych graniem.
Jak wynika z dziecięcych wspomnień wszystkich niemal pamiętnikarzy (to samo we wspomnieniach Kotuli),

pierwsze zetknięcie się z kapelą czy z grą wybitnego „muzyka" było głębokim przeżyciem psychicznym, często wręcz wstrząsem. Był to zazwyczaj moment wstępny do drogi muzykanta wyrażający się w nieprzepartym pragnieniu, urastającym często wręcz do obsesji, zdobycia instrumentu, skrzypiec lub klarnetu (te dwa instrumenty muzyczne odgrywały czołową rolę) oraz nauczenia się gry na nim. Każde dziecko wiejskie zresztą próbuje grania już w okresie pasienia gęsi — na skręconej z wierzby fujarce, gwizdku, trąbce czy na kupionej na kiermaszu piszczałce. Ale tu chodzi o „prawdziwe" granie, takie, przy którym "same nogi skaczą do tańca".

Nieprzeparte dążenie do grania utrzymuje się u tych z dzieci czy młodzieży, którzy mają dobry słuch i muzyczny talent. I tylko tacy zostają grajkami. Ale droga do pozycji „uważanego" grajka była dla takiego adepta w dawnej wsi najczęściej ciernista: trudności w uzyskaniu instrumentu, niezrozumienie u rodziców, brak nauczyciela gry na wybranym instrumencie, niechęć czy kpiny ze strony otoczenia itd. Stąd częste uczenie się samemu po cichu, na polu przy krowach, w stajni itp. Tak powstają samorodni grajkowie grający ze słuchu, typowi „Jankowie Muzykanci". W tekście czytelnik znajdzie wiele takich interesujących przykładów.

Takimi czy innymi drogami dochodzi z czasem do bliższego kontaktu z muzykantem, który wywiera na uczącego się wyraźne piętno, zazwyczaj na całe życie. Znacznie łatwiejszą drogę mieli ci, których wysyłali do nauki gry rodzice, odkrywając u dziecka wyraźny talent muzyczny. Były to jednak rzadkie wypadki. Tak było np. z Józefem Zielińskim z Cmolasu.

Realizacja antycypowanego wzoru muzykanta — boć muzykanci stali się dla takich wręcz herosami i idolami — wydaje się wynikać nie tylko ze szlachetnej dążności poznania i ukochania muzyki, z zaspokojenia wewnętrznych potrzeb doznań estetycznych wynikających

z rozwoju talentu. Dołączają się tu zazwyczaj względy społeczne. Chodzi o zaspokojenie dążności do znaczenia, do wyróżnienia się wśród rówieśników, do wyrośnięcia ponad przeciętność, do zyskania szacunku, uznania w społeczności lokalnej, w końcu do zdobycia ponadlokalnej sławy. Nieobojętny jest tu również czynnik ekonomiczny — możliwości zarobku uzyskiwanego z grania na zabawach i weselach. Na biednej dawnej wsi małopolskiej miało to duże znaczenie. Czynnik społeczny i ekonomiczny był czasem główną inspiracją do stania się grajkiem. Gdy jednak nie towarzyszył temu talent, droga kariery została załamana. W książce mamy i takie przykłady.

W atmosferze zabawy

Pojedynczy muzykant wiejski nie ma możliwości ani muzycznego wyrażenia się, ani szans sukcesu społecznego. Te uzyskuje dopiero w kapeli, złożonej choćby z dwóch grajków: prymisty i sekundu, choćby tym był tylko bębenek wybijający rytm. Typowa tradycyjna kapela regionu rzeszowskiego składała się co najmniej ze skrzypka-prymisty, klarnetu i basów (kontrabasu). Dochodził też zazwyczaj skrzypek-sekund. We wschodniej części regionu rzeszowskiego dochodziły jeszcze cymbały, o których w materiałach Kotuli nie ma danych. Mamy natomiast sporo informacji o drogach powstawania kapel ludowych. Jak się dowiadujemy, o osobowym składzie kapeli decyduje zazwyczaj skrzypek-prymista, ten dobiera sobie grajków odpowiednich kategorii i on przyjmuje zamówienia na muzykanckie usługi. Sprawy wewnętrzne kapeli, obowiązki i uprawnienia każdego z jej członków, regulowało prawo zwyczajowe, o którym mamy tak wiele informacji.

O funkcji społecznej ludowego muzykowania można mówić w pełni dopiero wtedy, gdy w grę wchodzi kapela.

Ona z racji wzmocnienia siły głosów, zharmonizowania dźwięków składających się na kapelę instrumentów oraz wyraźnego zaznaczenia tempa i rytmu, miała pełną siłę oddziaływania na słuchaczy. Ale muzyka była zazwyczaj elementem złożonych sytuacji. W życiu wiejskim bowiem rzadko mieliśmy do czynienia z rozdzieleniem na wykonawców muzykantów z jednej, a biernych słuchaczy z drugiej strony, jak to ma miejsce np. na koncertach. Środowiskiem „życia" kapeli były głównie sytuacje ludyczne — specjalnie zorganizowana zabawa taneczna młodzieży (zwana również „muzyką"), praktykowanie zwyczajów czy obrzędów dorocznych itp., czy zwłaszcza wesela. Wszystkie te i inne formy ludyczne mają charakter zabawy, zaś „zabawa jest — jak mówi J. Huizinga — wielkością daną kulturze [...] towarzyszącą jej i przenikającą ją od samego początku". Stąd też „wielkie pierwotne formy ludzkiego współżycia są wszystkie już przeniknięte zabawą" [11]. Zabawa niezbędna jest zarówno dla życia jednostki, jak i grupy ludzkiej. Jako intermezzo codziennego życia występuje w określonych granicach czasu i miejsca, łączy się z momentami wypoczynku, daje przyjemność, upiększa i uzupełnia życie, daje odprężenie od codzienności, a zarazem przynosi napięcia innego rodzaju, zazwyczaj przyjemne i długo pamiętane.

Takim głębokim przeżyciem dla uczestników była każda zabawa wiejska, zwłaszcza wesele. Było tak dlatego, że zabawa, jako swoista gra towarzyska o określonych obowiązujących regułach nie była tylko czystą zabawą, ale wiązała się ściśle z dwoma jej istotnymi elementami: muzyką i tańcem. Muzyki nie można ograniczyć tylko do gry kapeli. Była ona dwojakiego rodzaju: wokalna i instrumentalna. W wokalnej mogli wyrażać się — i wyrażali — wszyscy uczestnicy, czy to w postaci chóralnych śpiewów o treści obrzędowej (np. w czasie wesela podczas błogosławieństwa pary młodych przez

rodziców), czy w formie śpiewnych przekomarzań grupy druhen i swatów, czy zwłaszcza w przyśpiewkach tanecznych odgrywanych każdorazowo przez kapelę. W każdej z tych sytuacji muzyka miała swoją wymowę, swój „język". W śpiewie wyrażano głęboką powagę obrzędu, jego cechę sakralną, w przekomarzaniach i w przyśpiewkach znajomość lokalnego repertuaru, indywidualną twórczość poetyczną, rywalizację w sztuce śpiewania, żarty i humor — zawsze uwidaczniała się szlachetna społeczna funkcja ludyczna muzyki wokalnej, zarówno w jej stronie czysto artystycznej, jak też jako element lokalnej i regionalnej kultury grupowej. „Język" muzyki instrumentalnej był nieco inny. Jest to język ogólnoludzki, w którym następuje oddzielenie „mówiącego" od „słuchającego". Każdy z nich odbiera i przeżywa tę muzykę nieco inaczej. „Mówiący" — grajkowie — choć czynią to zazwyczaj na zamówienie i za wynagrodzeniem, i najczęściej aż do całkowitego zmęczenia — „żyją" swoim zespołowym graniem, przeżywają każdorazowo wykonywanie swojej sztuki, odczuwają satysfakcję z zaspokojenia swych głębokich potrzeb muzycznego wyrażania się i z efektów swego oddziaływania na uczestników zabawy. „Odbiorcy" zaś zostają poddani ogólnoludzkiemu językowi muzyki: oddziaływaniu poprzez percepcję słuchową i wzrokową na cały system nerwowy, poddani kinetycznemu podnieceniu i ruchowej ekspresji, uczuciom radości, uniesieniom, uczuciowemu zjednoczeniu się z grupą (psychologia tłumu) itd.

Ale owo oddzielenie „mówiących" od „słuchających" jest względne. Poprzez taniec — parami, w tańcu figurowym, solowym czy w korowodzie tanecznym — przy towarzyszących mu przyśpiewkach, „hukaniach", wykrzykiwaniach itp. — następuje zjednoczenie się obu tych stron we wspólnej atmosferze zabawy. Ogólna atmosfera zjednoczenia jest wzmacniana lokalnym

i regionalnym zabarwieniem ogólnego języka muzyki, jakby wspólną wszystkim gwarą. Tą drogą dochodziło do zatracenia się uczestników w ogólnej atmosferze zabawy, o której tyle mamy w tekście wzmianek i o której pisał w swoim *Weselu łąckim* Józef Ryś, najgłębszy spośród znanych muzykantów: „Wszystko rozochocone i rozpalone hulało na zabój, aż do utraty zmysłów, na mijanego. Były to słynne galoppolki, tzw. razówki. Tańczono je 24 razy dookoła ścian z taką zawziętością, że dziewczęta tylko furały powietrzem. Nie wszyscy wytrzymywali. Przewracali się — jedna para za drugą, obijali sobie boki, nieraz i piec rozwalili, jeśli był za słaby...". A po północy, „kiedy już ławy zaczęły się opróżniać, robiło się przestronno i świeże powietrze orzeźwiło tonecników, a muzyki zagrały z pazura dodając jadu — tańczono i po ławach" [12]. Właśnie owo zatracenie się w ogólnej atmosferze zabawy-muzyki po części wyjaśnia niezrozumiały na pozór stosunek niektórych uczestników do muzykantów, ukazany m.in. w rozdziale *W piekielnych czeluściach*. Opisana tam sytuacja była bynajmniej nie wyjątkowa, a raczej dość typowa dla dawnej wsi, kiedy to dochodziło nawet do pobicia muzykantów i rozbicia im instrumentów. Tłumaczy się ona z jednej strony ową właśnie psychologią zatracenia się w muzycznej zabawie, z drugiej zaś specyficznym stylem życia „kawalerki" — jak nazywano młodzież wiejską. Do tego stylu (i wzoru) życia należały: swoisty sposób ubierania się, słownictwo (z dominacją wulgarnego), specyficzny honor (odwaga, pokazywanie „co to ja" itp.) oraz wyzywająca zadzierzystość aż do wywołania „bitki". To powodowało, że „bitki" należały do typowych zjawisk dawnych zabaw (nie tylko weselnych), były „wpisane" w ich program, stały się niejako obowiązkowym elementem zasad zabawy jako swoistej gry. Stąd też takie jak wyżej traktowanie muzykantów występowało tylko podczas zabawy — i to w szczytowym jej momencie

Muzykanci w atmosferze umysłowej tradycyjnej społeczności wiejskiej

Fakt, że uczestnicy zabawy mogli przepędzić muzykantów, zniszczyć im instrumenty, że ci musieli się często salwować ucieczką przed pobiciem — świadczy nie tylko o atmosferze dawnej zabawy wiejskiej i o swoistym stylu zachowania się wiejskiej „kawalerki", ale jest także w pewnej mierze miarą pozycji społecznej muzykantów w tradycyjnej społeczności wiejskiej. Pozycja ta nie była bynajmniej jednoznaczna. Nie była wyznaczona, oczywiście, ani majątkiem, ani urodzeniem w ramach szanowanej warstwy gospodarskiej, ani pełnieniem oficjalnej funkcji w życiu wsi. Muzykanci byli w życiu wsi bardzo przydatni, nawet niezbędni, ale tylko w sytuacji powstałej potrzeby obsłużenia zabawy czy wesela. Pod tym względem byli niejako podobni do dawnych domokrążnych handlarzy, Żydów, którym można było „nagadać", których można było poszczuć psem, ale którzy byli w zaistniałych okolicznościach bardzo przydatni. Czy też jak rzemieślnicy, tacy jak szewc, krawiec czy tkacz, niezbędni tylko w pewnych sytuacjach.

Właśnie w sytuacji niezbędnej potrzeby muzykanci „byli uważani jak ksiądz, jak ślachta" — jak się wyraził sławny kiedyś muzykant z Grębowa k. Tarnobrzega, Franciszek Stadnik. Ten wysoki szacunek uzyskiwali muzykanci tylko dzięki swym niezwykłym umiejętnościom gry na instrumentach, tak niezbędnej w sytuacji zabawy. Z tej też racji traktowani byli jako elita artystyczna w wiejskiej społeczności lokalnej.

Muzykanci nie należeli jednak do elity majątkowej. Byli zazwyczaj biedni, wywodzili się z reguły z najbiedniejszej czy średniej warstwy mieszkańców i jako tacy nie mogli wzbudzać społecznego uznania. Tworzyli jednak elitę kulturalną wsi. I tu nasuwają się ogólne spostrzeżenia. Oto kulturę artystyczną dawnej wsi tworzyli właśnie

biedni, owi bez- czy małorolni, wyrobnicy itp. Chłopi majętni nazbyt byli zaharowani w swym gospodarstwie, nie zostawało im czasu na nic więcej poza pracą w polu i zagrodzie. Natomiast biedni czy biedniejsi uprawiali wszelkiego rodzaju wytwórczość rzemieślniczą, w tym i artystyczną — kowalstwo, tkactwo, wyroby z drewna, gliny, papieru, słomy, trzciny, sitowia, korzeni itd. Oni rzeźbili świątki, byli roznosicielami religijnych obrazów, olejków, uczestniczyli w wędrówkach flisackich, bandoskich i „na Saksy". Oni znali się na leczeniu ziołami, zamawianiu, odżegnywaniu chorób, składaniu złamanych kości itp. — byli znachorami, „mądrymi". Oni też byli muzykantami. Ich pozycja w społeczności lokalnej zależała więc wyłącznie od tego, co potrafią, od ich ogólnej przydatności. Także od ich wyjątkowości. Muzykanci byli właśnie taką wyjątkową kategorią mieszkańców dawnej, tradycyjnej wsi. Swoją sztuką grania wzbudzali szczególne do siebie postawy otoczenia: z jednej strony podziwu i uznania, z drugiej jakiejś dziwnej inności, wyjątkowości i obawy. Czytelnik łatwo zauważy, jak wiele uwagi poświęca Kotula zarówno w swych opisach jak i w zgromadzonych materiałach charakterystycznej atmosferze otaczającej zwłaszcza tych muzykantów, którzy wyróżniali się szczególnym mistrzostwem swej sztuki muzykowania, jak wielce sztuka ta związana była z praktykami magicznymi i z wierzeniami demonologicznymi. Dotyczyły one zarówno doskonałości samego instrumentu, sposobu gry na nim i oddziaływania gry na słuchaczy, jak też i osoby grajka. Odnośne materiały zawierają zwłaszcza rozdziały: *O tych, co z diabłem grali* oraz *Czarodziejski skrzypek;* znajdują się one także w wielu innych partiach książki. Na owe magiczno-demonologiczne strony ludowego muzykowania zwracają wielokrotnie uwagę opowiadania wspomnianego już kilka razy znakomitego muzykanta, Józefa Rysia, oraz Franciszka Frączka, również muzykanta, a zarazem

uzdolnionego amatora-malarza oraz regionalisty dokumentującego folklor rodzinnych okolic Łańcuta. Sprawy te wymagają bliższej interpretacji.

Jak już wspomnieliśmy, Kotula stara się przedrzeć przez zewnętrzne postacie ludowej tradycji kulturowej, usiłuje zdobyć materiały odnoszące się do jej wewnętrznych pokładów, do nie istniejącego już dziś, dawnego, ludowego widzenia świata i człowieka, materiały pozwalające na interpretację tego tradycyjnego świata. Takimi są też materiały ilustrujące wspomniany magiczno-religijny aspekt muzykowania. Przypomnijmy kilka znamiennych faktów.

Znakomity skrzypek, Wieńcuś Rymanek, wtajemniczając Józka Rysia w tajemnice gry, mówił: „Czy ty, Józek, doszedłeś do tego, zrozumiałeś to, że skrzypce to prawie jak żywe stworzenie? [...]Jak będziesz kiedyś na weselu, na którym będą grali sami dobrzy muzykanci — prym, sekond, basista — to wsłuchaj się dobrze. Jak to zrobisz, posłyszysz, jak skrzypce śpiewają..." i dał zaraz przykład „śpiewania" tego „żywego stworzenia" Ale skrzypce mogły być dobre i złe. Dobre skrzypce to takie, co mają „rzaz" — wyrażenie oryginalne, kompleksowe, nie przekładalne, oddające najlepsze walory tonu skrzypiec i siły oddziaływania. O ten rzaz troszczył się każdy skrzypek nabywając nowy instrument. Były stosowane techniczne sposoby nadania skrzypcom rzazu, nie zawsze skuteczne. Były też sposoby magiczne. Niewytłumaczalność tej cechy instrumentu w umysłach ludzi opanowanych jeszcze przyczynowością magiczną utrzymywała przekonanie o możliwości uzyskania upragnionej jego cechy przez odpowiednie zabiegi czy wręcz przez ingerencję „siły nieczystej". Przekonanie takie zresztą odbiło się w muzycznej tradycji kultury europejskiej jako właśnie „Diabelskie skrzypce" czy „Zaczarowany flet". Aby więc skrzypce „dobrze grały" — niejako bez ingerencji w tę „dobroć" samego skrzypka — trzeba było zyskać pomoc

obrzędowych. Inaczej było w tradycyjnej, ludowej wizji świata, wykształconej od wieków. Są to nader obszerne zagadnienia, które można tu przedstawić w największym skrócie i uproszczeniu.

Notowane przez informatorów Kotuli fakty o charakterze magiczno-wierzeniowym są żywymi jeszcze wówczas pozostałościami obszernego ludowego systemu, poglądu na świat pochodzenia zarówno pierwotnego, słowiańskiego, jak i późniejszego, chrześcijańskiego. Pierwotne zawarte są w mitach, z których współczesna semiotyka usiłuje odczytać zawarty w nich system kosmogoniczny i kosmologiczny [13]. W słowiańskich — i nie tylko słowiańskich — mitach kosmogonicznych świat został stworzony przez siły dobre — Boga — przy rywalizacji z siłami złymi — diabła. Stąd w pierwotnej kosmologii świat ma charakter dwoisty: niebo — siedziba Boga, ziemia (podziemie, woda) — siedziba diabła. Świat ludzki (upraszczając zagadnienie) znajduje się pośrodku. Strefa ziemska łączy oba światy, ten u góry, i ten u dołu, ale jest ona zarazem zależna od obu tych sił. Był to zwarty model świata i jako taki „może być rozpatrywany jako program zachowania się jednostki lub społeczności" [14]. Dzięki swoistemu mechanizmowi kultury model ów przetrwał w społecznościach wiejskich niemal do ostatnich czasów, czego ślady mamy w omawianym opracowaniu. Bo „każda kultura wytwarza własny model trwałości, ciągłości swej pamięci. Odpowiada on pojęciu maksymalnej rozciągłości w czasie i praktycznie stanowi «wieczność» danej kultury" [15].

Kosmologiczny model świata umiejscawiający sprawy ludzkie pośrodku rywalizujących sił nie był jedyny. W wielowiekowym procesie chrystianizacji nałożyły się na niego elementy chrześcijańskie. Ale te, choć zniszczyły sporo treści pogańskich i na ich miejsce wprowadziły nowe, to spory zasób treści pierwotnych powiązał się — jak to jest jasno widoczne z analizy kultury ludowej — z treściami

chrześcijańskimi w synkretyczną całość o charakterze katolicyzmu ludowego. Doszło do tego tym bardziej, że oba systemy nie były w swojej istocie ze sobą sprzeczne. Także chrześcijaństwo wprowadziło dwa światy: niebiański z Bogiem i hierarchią aniołów oraz podziemnych mocy piekielnych z całą plejadą hierarchiczną diabłów, między których wepchnięto także pogańskie istoty i bóstwa chtoniczne. Utrwaliło się przekonanie, że każdy człowiek od urodzenia ma swego anioła stróża i swego diabła. Anioł siedzi na jego prawym ramieniu i skłania do pełnienia dobrych uczynków, diabeł zaś na lewym i namawia do złego. Wierzenia demonologiczne krzewiono w naukach kościelnych według średniowiecznej jeszcze zasady: *Qui non credit diabolum, non credit Deum* — kto nie wierzy w diabła, nie wierzy w Boga. Wierzenia te rozszerzała też popularna literatura od XVI wieku po czasy najnowsze [16]. Zalew takiej literatury istniał szczególnie w XVII i XVIII w., w okresie z jednej strony kontrreformacji i ciągłych misji, z drugiej głośnych procesów czarownic, z powszechnie znaną i wielokrotnie wydawaną książką *Młot na czarownice* (pierwsze wydanie 1614 r.) czy równie głośnym podręcznikiem z połowy XVIII w., a to Benedykta Chmielowskiego *Nowe Ateny*. W ciągu XIX wieku duży wpływ na utrwalenie wierzeń w diabły i w czarownice miała literatura jarmarczno-odpustowa. Jeszcze w okresie międzywojennym wychodzą tego rodzaju publikacje, jak np. L. Pellowskiego, *Świat aniołów i demonów* (1930). Nic też dziwnego, że diabeł w jego różnych postaciach i wcieleniach był dla ludzi postacią realną, mogącą ludziom szkodzić czy pomagać, w zależności od sposobu postępowania człowieka. Podobnie było z wierzeniami w szkodliwe oddziaływanie czarownic czy nawet zwykłych ludzi, ale mających „uroczne oczy". W systemie tradycyjnego poglądu na świat człowiek nie był wobec tych nieokreślonych sił bezbronny. Mógł wchodzić z tymi siłami w układy, korzystać z ich usług

poprzez odpowiednie sposoby zachowań magicznych, podobnymi zabiegami mógł się też przed nimi bronić. Materiały etnograficzne mówią, że takie wierzenia i praktyki występowały we wszystkich grupach zawodowych i u wszystkich kategorii ludności wiejskiej. W atmosferze utrzymujących się przekonań o przyczynowości magicznej, w sytuacji braku obiektywnego wyjaśnienia techniki gry i jej przedziwnego oddziaływania na ludzi, grajkowie budzili u współczesnych złożone postawy: podziwu i chęci naśladowania, bojaźliwego zainteresowania, nieokreślonych obaw, aż do zabobonnego lęku. Działały tu także czynniki charakteru społecznego. Muzykanci stanowili oto nieprzeciętny typ mieszkańców wsi. Jako „oblatani w świecie" wiedzieli więcej od innych. „Wielu muzykantów było niedowiarkami — relacjonuje Frączek. — Byli światowcami, dużo widzieli, z niejednego pieca chleb jedli i z niejednego sobie pokpiwali." Poza tym, że rekrutowali się przeważnie z biedoty — co już samo sprzyjało różnym skojarzeniom — byli to często ludzie nieżonaci, żyjący samotnie, niekiedy na odludziu, co zbliżało ich do typowej sytuacji czarownic. Ich dziwność wzmacniał fakt nietypowych często reakcji na zachowania innych, niezwykła niekiedy postura i wygląd, jak „wielgachnego" Józusia Ciska, a także np. trzymanie czarnego psa przez skrzypka Siłkę, który był zarazem zielarzem i znachorem; dziwność potęgował również fakt urodzenia w szczególnej sytuacji, jak Jontka Maziarza w czasie pożaru, czy fakt nieprzestrzegania obowiązującego wzoru, choćby przez Jaśka Kowalskiego, prymistę, i jego żonę, Kundzię, basistkę, którzy chodzili grać, pozostawiając w domu bez opieki gromadkę małych dzieci. I tym podobne.

Zarysowana wyżej atmosfera umysłowa tradycyjnej wsi należy już do przeszłości. Nie należy też mniemać, że wszyscy ówcześni muzykanci reprezentowali taką tradycyjną umysłowość. Zarówno system ludowej wizji

świata, jak związane z nim postawy i praktyki magiczno-demonologiczne znajdowały się w okresie zanikania i miały charakter szczątkowy. Właśnie dlatego Franciszek Kotula w swoich badaniach terenowych położył taki nacisk na ich uchwycenie i zadokumentowanie. Dla celów ogólnopoznawczych, dla rekonstrukcji zrębów dawnej kultury wsi, dla odtworzenia i zrozumienia ludowego systemu ówczesnego widzenia świata i miejsca w nim człowieka — są to rozeznania nader cenne.
Książka Franciszka Kotuli *Muzykanty* jest swoistym traktatem o „ginącym świecie". Jest traktatem o zaginionej już kategorii muzykantów ludowych nie tylko jako specyficznej kategorii dawnych wiejskich specjalistów reprezentujących kulturę muzyczną ówczesnej wsi, ale także jako ekspozycji kultury swego środowiska w ogóle. Pod każdym z tych względów sytuacja na współczesnej wsi jest już zupełnie inna. Odmienna jest też współczesna droga chłopca wiejskiego do muzykowania, inna świadomość mieszkańców, inna też pozycja społeczna współczesnych, nielicznych już muzykantów ludowych, ujawniających się tylko w ramach festiwali folklorystycznych.
Dobrze się stało, że dzięki niesłychanej pasji badawczej Franciszka Kotuli ta wartościowa książka mogła zostać napisana i opublikowana.

Józef Burszta

Poznań, w styczniu 1978 r.

Przypisy

[1] F. Kotula, *Z doświadczeń, prac i przemyśleń regionalisty*, „Lud" t. 57, 1973, s. 264.
[2] Tamże, s. 290 i n.
[3] F. Kotula, *Opowieści ziemi*, Rzeszów 1975, s. 14.
[4] F. Kotula, *Po rzeszowskim Podgórzu błądząc*, Kraków 1974, s. 22.
[5] F. Kotula, *Z doświadczeń, prac i przemyśleń...*, op. cit. s. 291.
[6] *Wesele łąckie*, opisał i zilustrował Józef Ryś, wstępem

„siły nieczystej" poprzez odpowiednie praktyki magiczne. To takie same praktyki, jakie czynili kłusownicy („ropsiki") ze strzelbą, „aby celnie biła", o czym mamy tyle interesujących informacji w książce Kotuli *Z Sandomierskiej Puszczy* (1962). Wspomniany Wieńcuś pouczał Rysia: „Mówili mi starzy prymiści, że aby skrzypce grały jak sto diabłów, trzeba było zrobić coś, na co się mało który ważył. Trzeba było duszę diabłu oddać na wieczne potępienie. Tego się okropnie bali, ale słychać było — opowiadali — że i tacy byli, co granie przedkładali nad niebo [...]. Może by takich i więcej było, tylko nie znali sposobu".

Takim magicznym praktykom przypisywano grę najlepszych muzykantów — skrzypków, klarnecistów i basistów. Techniczna umiejętność gry, wydobywanie z instrumentu niezwykłych wręcz tonów i dźwięków, a zwłaszcza psychiczne oddziaływanie muzyki na tańczących aż do utraty przytomności — wszystko to było dla prostych umysłów wręcz niewytłumaczalne bez ingerencji sił niezwykłych. Byli o tym przekonani — jak widać z tekstu — nawet sami początkujący grajkowie. Stąd pochodziła ich dociekliwość w odkrywaniu owej tajemnicy. Stąd też powstał prosty podział na skrzypków dobrych, tj. mających na usługach owe siły, i na złych, obchodzących się bez ich pomocy.

Ale nawet grajek mający „spółkę ze złym" nie był wolny od oddziaływania magicznego ludzi na jego grę. Można więc było sprawić, że skrzypkowi pękły naraz wszystkie struny, że zerwał mu się smyk, że z poruszania smykiem po strunach nie wychodziły pożądane dźwięki itp. Mógł to sprawić taki, który również miał podobną spółkę lub był tylko wyposażony w „uroczne oczy". Swoista rywalizacja sił!

Właśnie — rywalizacja sił. Dla współczesnego człowieka są to już sprawy niezrozumiałe, zaliczane do zabobonów, tak jak niezrozumiała jest już na ogół symbolika zachowań

i objaśnieniami opatrzył Franciszek Kotula, Rzeszów 1972, s. 16.
[7] *Wesele łąckie*, op. cit., s. 24.
[8] K. Moszyński, *Kultura ludowa Słowian*, wyd. 2, t. II, cz. 2, Warszawa 1968, s. 395—641.
[9] Np.: A. Czekanowska, *Pieśni biłgorajskie*, Wrocław 1961; J. i M. Sobiescy, *Polska muzyka ludowa i jej problemy*, red. L. Bielawski, Warszawa 1973; *Polska pieśń i muzyka ludowa. Źródła i materiały*, pod red. L. Bielawskiego. T. 1. B. Krzyżaniak, A. Pawlak, J. Lisakowski, *Kujawy, cz. I. Teksty*, Warszawa 1974.
[10] J. Raupp, *Sorbische Volksmusikanten und Musikinstrumente*, Bautzen 1963. Rzecz oparta jest na źródłach historycznych i zawiera historię ludowego muzykowania na Łużycach od wczesnego feudalizmu do XIX wieku włącznie.
[11] J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1967, s. 15—16.
[12] J. Ryś, *Wesele łąckie*, op. cit., s. 105.
[13] Zob. np.: *Semiotyka kultury*. Wybór i opracowanie Elżbieta Janus i Maria R. Mayenowa, przedmowa Stefan Żółkiewski, Warszawa 1977. Dobrą analizę polskiej kultury ludowej z tego punktu widzenia zawiera książka: Joanna i Ryszard Tomiccy, *Drzewo życia. Ludowa wizja świata i człowieka*, Warszawa 1975.
[14] W. Iwanow, *Rola semiotyki w cybernetycznym badaniu człowieka i społeczności*, [w:] *Semiotyka kultury*, op. cit., s. 97.
[15] J. Łotman, B. Uspieński, *O semiotycznym mechanizmie kultury* [w:] *Semiotyka kultury*, op. cit., s. 152.
[16] Zob. znakomite w tej materii opracowanie: B. Baranowski, *Pożegnanie z diabłem i czarownicą*, Łódź 1965.

Tę opowieść z dawnych lat
ofiaruję starym muzykantom,
którzy rozweselali polską wieś
i ludzi ciężkiej pracy.

Autor

CZĘŚĆ PIERWSZA

Gawędy o muzykantach

Czytelniku! Pragnę w swojej opowieści ukazać ludzi rzeczywistych, prawdziwych, którzy będą mówili sami o sobie, ja zaś spełnię jedynie rolę przekaźnika. Od siebie też niejedno powiem, bowiem z ludźmi, których chcę przedstawić, rozmawiałem, dowcipkowałem, piłem wódkę, a nawet kłóciłem się. Nie chcę zaprzeć się ani swojej indywidualności, ani tym bardziej zacierać cudzej. Opowieść swoją zacząłem — jak to niewątpliwie zauważyłeś, Czytelniku — w stylu nieco staroświeckiej gawędy, bo też chcę, aby była ona podobna do mozaiki, złożona z barwnych opowiastek ludzi, których znałem. Większe kamyki tej mozaiki będą uzupełniane drobnymi kamykami gadek, wspomnień, marzeń, dźwięków i poszumów... bo moi bohaterowie są — lub byli — dziwnymi, a nawet bardzo dziwnymi ludźmi.
Innymi słowy, będzie to opowieść o przedziwnym ludzie muzykantów wiejskich, o których czasami mówiono „wesołuchy", a często lapidarnie „muzyki". Takich muzykantów-wesołuchów, jakich ci, drogi Czytelniku, przedstawię, już nie ma i nie będzie! Bo też takie wesela i zabawy, jakie bywały, należą już do przeszłości.

*

Muzykanci, tak jak i inni twórcy, posiadali, rzec by można, własną, zawodową wiedzę; kiedyś ogromną. Strzegli jej usilnie, troskliwie — jak skarbu. Przekazywali ją jedynie dzieciom lub wnukom, w trosce, by na starość, kiedy siły zaczną ich opuszczać, wiedza nie poszła z nimi do grobu i nie przepadła — nie mając dziedzica-muzykanta.
Ludowych muzykantów, a zwłaszcza skrzypków, można by podzielić na dobrych i zwykłych rzemieślników,

szukających w graniu przede wszystkim źródła zarobku, i tych „z Bożej łaski" — oni stanowią przedmiot naszego zainteresowania. Muzykantów tych, o najgorętszym sercu, romantycznych gęślarzy można porównać do legendarnych już lirników. Określenia można by mnożyć i mnożyć... Jeśli rwali się do muzyki — to z serca; dopiero później przychodziła chęć zarobkowania.

I takich właśnie ludzi znałem całą galerię. Wielu już zmarło, niektórzy „pałęczą" się jeszcze po świecie. Kapłanami by ich nazywać?... wieszczami? Jeśliby zaś przyszło mi zestawić listę muzykantów według wartości ich sztuki, bez najmniejszego wahania na samym początku postawiłbym Józefa Rysia z Łąki koło Rzeszowa. Był jeszcze dzieckiem, kiedy pod oknem chałupy — gdzie odbywało się wesele czy granie, niezależnie od pory roku i pogody, nie bacząc na szturchańce „weselnych" odpędzających „hołotę", potrafił „wyrzeć" godzinami, zapominając, że w domu czeka lanie i to nie byle jakie. Jedynym jego pragnieniem było słuchać jak najdłużej, upajać się muzyką niczym najprzedniejszym trunkiem. Kiedy Józek umiał już grać, a zdarzyło mu się zarobić parę „szóstek" (te szóstki czy grajcary wielką wówczas miały cenę), żadna moneta, nawet „półtrzeciak", nie była aż tak cenna, żeby nie kupić za nią czy to flaszeczki rumu, czy skrętka do fajki, które to otwierały serce starego skrzypka, cieszącego się szeroką sławą, i pozwalały zdobyć od niego chociaż odrobinę muzykanckiej wiedzy. Dziadkowie-muzykanci zaś dla takich właśnie jak Józek mieli najczęściej iście ojcowskie uczucia, swoim zapalonym spodkobiercom stopniowo przekazywali całe swoje doświadczenie. Chociaż folklorem chłopskim w różnych postaciach interesuję się od dawna, piosenki i pieśni śpiewałem już jako mały chłopak, później tańczyłem na wiejskich weselach i „muzykach", lecz wówczas bezpośredniej styczności z muzykantami miałem niewiele. Kiedy pod

koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych systematycznie badałem kulturę ludową na terenie Rzeszowskiego, zetknąłem się bliżej z muzykantami dawnego typu. Z miejsca mnie oczarowali. Książka ta poświęcona jest właśnie muzykantom Rzeszowszczyzny. Pozostając pod urokiem muzykowania, sądziłem, że takie fascynujące zjawisko jak ludowa muzyka i jej kapłani, będą żyć wiecznie. A już szczególnie w takim regionie jak Puszcza Sandomierska i wśród Lasowiaków, wprawdzie wtórnej, ale przeciekawej grupie etnograficznej. Na grupę tę złożył się — na fundamencie autentycznych Mazurów — różnoraki element etniczny, przede wszystkim jeniecki, osadzany w królewszczyznach, tedy: Tatarzy, Turcy, Moskale, Wołosi i wreszcie jeńcy szwedzcy, wśród których byli najemnicy różnych narodowości. Kiedyś byli to ludzie wolni, wojenni. Czyżby rzeczywiście tu leżało źródło zjawiska masowego włóczęgostwa, rozpowszechnionego wśród Lasowiaków? Kto wie, czy wrodzona żyłka do włóczęgi nie była jednym z elementów — obok oczywiście muzykalności — decydujących o poświęceniu się muzykanctwu. Wiązało się bowiem ono z chodzeniem po odpustach i jarmarkach oraz po kolędzie. Muzykanci, niezależnie od tego, że na rozmaite „grajki" musieli wędrować często bardzo daleko, lubili włóczęgę jako wolni ludzie. Włóczęgostwo leżało w ich naturze, gospodarka, jak jednogłośnie mówiły ich żony — „śmierdziała im". Pozostawiali ją innym, a najczęściej żonom. Jeśli brali się do niej, to jedynie z konieczności. Wędrując spotykali się z wieloma ludźmi — przede wszystkim z innymi muzykantami, gawędziarzami i niejednokrotnie różnymi plotkarzami — stąd wiele widzieli i słyszeli, obijając się po świecie. Z tego względu mieli znacznie szersze horyzonty od innych mieszkańców wsi, umieli opowiadać, znali różne historyjki, byli biegli w fantazjowaniu. Czyniło to z nich niejako czołową pod względem kulturalnym warstwę na wsi, w przeciwieństwie

do bogaczy, kmieci, którzy tak byli zajęci gospodarką, że poza nią wielekroć nie widzieli bożego świata. W porównaniu z muzykantami, kmiecie byli warstwą zacofaną, wsteczną. Nie dziw tedy, że do muzykantów odnosili się — jako do „światowców" — niechętnie, a nawet wrogo, lekceważąco i z pogardą, przypisując im wszystko co najgorsze.

Tymczasem rozmowa z prawdziwymi muzykantami to — bez przesady „sam miód", prawdziwa uczta duchowa. Pomijając wiadomości o ich zawodzie, ciekawe spostrzeżenia i fascynujące przygody — czarował i czaruje nadal ich język, sposób wyrażania się: jędrny, obrazowy, surowy i często rubaszny. Ale przede wszystkim jest on dziwnie archaiczny; w pewnym stopniu jest nawet zawodowym żargonem, swoistą gwarą, w której zachowały się słowa i terminy gdzie indziej już nie spotykane. Jestem przekonany, że mnóstwo wyrażeń, nie używanych już w języku ogólnym tkwi nadal, i to od wieków, w gwarze muzykanckiej.

Urzeczony tym swoistym światem, skrzętnie notowałem tak opowiadania muzykantów, jak i przekazaną mi tradycję o nich. Bardzo wiele z tych wypowiedzi nagrałem na taśmie magnetofonowej. Opowieść, która powstała jako rezultat moich wędrówek, została napisana stylem gawędziarskim, bo taki styl wręcz despotycznie narzucili mi tej miary mistrzowie gawędy co muzykanci. Przejąłem się tak gwarą, zwłaszcza lasowiacką, że w książce mojej roi się się od gwarowych wyrażeń, które nadają jej swoisty charakter.

*

Chociaż muzykanci w swobodnych rozmowach kpią z siebie i z drugich, wygrzebują ze wspomnień w pierwszym rzędzie momenty humorystyczne a nawet groteskowe, to przecież muzykanctwo traktują jako coś żywego a nawet świętego, treść ich życia, coś jak sacrum.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy można było dostrzec coraz szybciej postępujący zmierzch ludowego muzykanctwa — tego żywego, nie konserwowanego — postanowiłem badania swoje możliwie przyspieszyć i udokumentować, a następnie opracować to, co się jeszcze zachowało. Najsilniejszym bodźcem była dla mnie rozmowa z żyjącym wówczas i jeszcze pełnym wigoru prawdziwym muzykanckim mistrzem, wspomnianym już Józefem Rysiem z Łąki, starym znajomym wprawdzie, ale wówczas jakby na nowo odkrytym. Opowiedział mi „dużeńko". Po przetrawieniu i przemyśleniu tego problemu, napisałem do Rysia, zwierzając mu się z planu napisania książki o muzykantach, która byłaby czymś w rodzaju podzwonnego dla nich. Bowiem on, mistrz muzykancki żałośnie stwierdzał, że sztuka muzykowania ginie. W liście poprosiłem go, aby zrobił dobry początek i napisał mi swój muzykancki życiorys. Z kolei zamierzałem zwrócić się po to samo do znajomych mi muzykantów. Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź z datą: „Łąka 29 I 1963 rok". Przeczytałem, co następuje: „Wspomina Pan o napisaniu książki o wiejskich muzykantach weselnych; będzie to rzecz bardzo ciekawa. Tym bardziej że w literaturze bardzo mało czyta się na ten temat. A po prawdzie to prawie nic. Ja znam dużo muzykanckich przygód, smutnych i wesołych, ich (muzykantów — F.K.) życie, o którym chętnie mi opowiadali. A i sam sporo przeżyłem. Prawdę mówi Pan — pisząc «nie ma ich i nie będzie; wymarli! Kto o nich wspomni, kto powie, jak bywało?»
Prawdę Pan mówi, że zawód grajka weselnego był bardzo ważny, że mieli poważanie, szacunek, jedzenie i picie, życie upływało im wśród muzyki, śpiewu i tańca... jednym słowem — jak w niebie. Ale to tylko jedna strona medalu; a druga? Obok tamtego — obżarstwo i opilstwo, przekleństwa, wulgarne słowa pod ich adresem, ubliżanie, przezwiska; bywało, że i bicie, rozbijanie instrumentów,

mus ucieczki. A ile było i takich wypadków, że muzykant idąc z wesela przepity, bo chcieli go do gruntu uraczyć, przeleżał kilka godzin w śniegu i na mrozie! Chociaż go odnaleźli — po kilku dniach był gotowy. Pomaszerował grać na niebiańskie wesela.
Pisze Pan — ci dawni muzykanci wymarli — słusznie. Przeważnie przedwcześnie. Czy mogli inaczej? Poniewierka po nocach, niespanie tygodniami, ciężka praca w okropnych warunkach, raz w nadmiernym gorącu, drugi raz mrozem przesiąknięci, nie mając należytej okrywki, przebywanie godzinami, dniami, tygodniami w niskich, śmierdzących chatach przy kopcących, naftowych kagankach lub w paszku dymiących szczyp, tonący w dymie z fajek i papierosów, truci alkoholem... dusząc się — żywcem dogorywali. Rzadko kiedy dożywali dłuższych lat.
Zastrzegam się! Może wyolbrzymiam sprawę lub ją przesadnie przejaskrawiam... może to starość i pogarszające się zdrowie wpływają na taki obraz. Ale ja jeszcze wciąż mam w uszach całą litanię najbardziej wulgarnych wyrażeń, jakimi pijani weselnicy darzyli muzykantów (tu Ryś przytacza te wyrażenia, ale ja nie mam odwagi ich powtórzyć — F.K.), jeszcze migają mi w oczach noże, bijaki, siekiery, flaszki, żelazne pałki i tym podobne przedmioty, od których niejeden w czasie wesela pożegnał się z tym światem. Niech się Pan nie obrazi, że tak piszę, ale jeśli Pan prosi o materiały, z których chce czerpać wiadomości do napisania zamierzonej książki — to musiałem to wszystko napisać".
Wielokrotnie czytałem wynurzenia i wspomnienia Rysia. Poszczególne sformułowania rozważałem spokojnie, porównując je z licznymi wiadomościami i relacjami, zebranymi w terenie; bezpośrednio od starych muzykantów lub ludzi znających problem doskonale. Ostatecznie doszedłem do przekonania, że kolory położone przez Rysia, nieznacznie, ale zostały przejaskrawione.

Jednak dożył do siedemdziesięciu dwóch lat, a zmarł na chorobę współczesnej cywilizacji — na raka. Nie musiało być to muzykowanie aż tak czarne, kiedy autor listu i wspomnień, jako prymista — chociaż grał na wielu instrumentach — dochodząc do siedemdziesiątki stworzył jeszcze jeden i już ostatni zespół muzyczny w swoim życiu, złożony z niego i dwóch synów.

„Dumitując" nad wynurzeniami licznych muzykantów, a zwłaszcza Rysia, doszedłem do przekonania, że z ich specjalnymi uzdolnieniami muzycznymi, pasją czy nawet instynktem, integralnie związany jest pewnego rodzaju fatalizm. Ludzie ci po prostu musieli grać, choćby to granie groziło im nawet niebezpieczeństwem. Liczne tragiczne skutki tego fatalistycznego musu nie odstręczały następców; odwrotnie, przyciągały z jakąś magiczną siłą. Bo przecież i Ryś, człowiek wyjątkowo i wszechstronnie uzdolniony, bez trudu mógł sobie znaleźć inny zawód. A jednak został głównie przy muzykanctwie. List Rysia zaraził mnie jakby fatalizmem. Z pasją, wręcz nieopanowaną, począłem przemierzać szerokie obszary Rzeszowskiego w poszukiwaniu muzykanckich mistrzów, których znajdowałem jeszcze sporo. Namawiałem ich do pisania pamiętników. Trwałem w postanowieniu i ostatecznie moje trudy zostały wynagrodzone. „Za górami, za lasami" — ostatecznie znalazłem takich, którzy przyrzekli napisać swoje pamiętniki — i napisali. Niektórzy nie dotrzymali słowa. Ci ostatni, odmawiający pisania, używali przeróżnych argumentów, ale prawie nigdy nie podawali istotnej przyczyny: że ręka, świetnie władająca smykiem a palce klarnecistów względnie cymbalistów... równie biegle nie władały piórem. Wielu z nich chociaż kiedyś i umiało dobrze pisać, zapomniało. A jednak...

W dwóch przypadkach otrzymałem pamiętniki nie pisane ręką pamiętnikarzy; że nie umieją pisać, względnie bardzo słabo, nawet się nie przyznali, w XX wieku było

im wstyd. Jednemu pod dyktando napisała córka, drugiemu syn sąsiada — ktoś jak dawny skryba. Większość posiadanych przeze mnie pamiętników muzykantów została jednak napisana przez nich samych.
Przede wszystkim dotrzymał słowa Ryś. Ten, jak się to okazało, był nie tylko sprawnym muzykantem, ale również prawdziwym pisarzem ludowym. Wyjątkowo wzruszający jest pamiętnik Piotra Oleniacza, który pisał go mając około osiemdziesięciu lat.
Niestety, nie udało mi się nakłonić do napisania pamiętnika słynnego muzykanta-prymisty z Grębowa, Franciszka Stadnika, szczególnie w tym kierunku predestynowanego. Był bowiem odważnym działaczem ludowym, pisał do gazet, należał do prawdziwych mistrzów muzykanckich. W rozmowach ze mną podkreślał: „— Panie! My, muzykanci, byliśmy arystokracją wsiową, moją muzykę to nie wiedzieli, gdzie posadzić, czym ugościć!" — Ale po takim wybuchu euforii machał ręką i kończył rozmowę.
Podobnie zgorzkniałych starych muzykantów spotykałem więcej. „Nowe czasy" — jak nazywali agresję na wieś muzyki jazzowej razem z „dzikimi" tańcami — zdegradowały ich jako czołową warstwę kulturalną, strąciły z piedestału. Czy można więc dziwić się ich zgorzknieniu?
Trzeba tu jednak z uznaniem podkreślić, że niektórzy muzykanci, nie tylko z młodszego, ale nawet starszego pokolenia, potrafili przestawić się ze starego na nowe granie. Opanowali nowe melodie, nowe rytmy, a przede wszystkim nowe instrumenty. Mówią o tym niektóre pamiętniki.
Wiele bardzo cennych wiadomości, głównie bezpośrednich obserwacji, nadesłali mi znajomi poznani w czasie badań z różnych stron Rzeszowskiego. Przekazali i tradycję przejętą od babek i dziadków, krewnych i przyjaciół. Obserwacje te są tak barwne, przesycone obrazami,

wierzeniami i magią, że trudno określić, z jakich czasów i skąd pochodzą. Te wszystkie przekazy najlepiej świadczą, jaką rolę w kulturze ludowej, w codziennym życiu polskiej wsi odgrywali wiejscy muzykanci.
Jak najserdeczniej pragnę podziękować za wyjątkowo cenne obserwacje zarówno wszystkim pamiętnikarzom, jak i: Marii z Wiącków Kozłowej z Machowa, Józefowi Szurze z Bieśnika, Władysławowi Chajcowi z Kamienicy Górnej, Józefowi Markielowi z Czarnej i wielu, wielu innym.

*

Powszechnie znane jest takie zjawisko, że ludzie opanowani jakąś pasją, a zwłaszcza artyści, ludzie sztuki, mają skłonności do przesady, do wyolbrzymiania różnych zjawisk. Dlaczego mieliby być inni artyści ludowi, w tym i muzykanci? Ci ostatni, jako bardzo przy tym przesądni i głęboko wierzący w moc magii, właśnie w tej dziedzinie niewątpliwie zwykłe urojenia przedstawiali jako rzeczywiste fakty. W wielu wypadkach fantazjowali. Ale też dlatego byli prawdziwymi poetami; ich opowiadania są przesycone autentyczną poezją.
Pod tym względem istnymi czarodziejami byli muzykanci lasowiaccy. Nie należy się temu dziwić; życie w puszczy było przesycone demonologią i magią. Niewątpliwie dlatego, że ten mroczny, głuchy, bagnisty i niebezpieczny kraj budził grozę i straszył mieszkańców tajemniczymi zjawiskami. Świat demonów i magii tak głęboko wrył się w umysły Lasowiaków, że przetrwał aż po lata obecne, kiedy w innych regionach samo zjawisko magii i demonologii jest już mało znane. A jak to wyglądało dawniej? Zabiegi magiczne w muzykanctwie były przede wszystkim bronią — zaczepną i odporną — w walce konkurencyjnej tak pomiędzy zespołami, jak i indywidualnymi muzykami, i to nie tylko na terenie tej samej wsi, ale i różnych miejscowości. Magię zaczepną,

którą naukowo nazywa się czarną, stosowali muzykanci słabsi, mniej wzięci. Dobrzy muzykanci, atakowani czarną magią, uciekali się do białej, odpornej, czyli do kontrzabiegów.

Zespołów muzykanckich, od dwu- do wieloosobowych, żyjących tak w pamięci ludzkiej jak i w tradycji, było dużo. To rzeczywiście była cała warstwa społeczna. Muzykalni chłopcy, przyszli konkurenci starszych, znajdywali się jak w przysłowiowym korcu maku. To specjalny temat na sporą pracę. Dziś jeszcze uchwytny, ale za kilkanaście lat przestanie być i problemem, i tematem. Z tej prostej przyczyny, że dzisiejsi muzykanci — te „żywe kroniki" odchodzą nie zostawiając źródeł pisanych. Tym też tłumaczę moją gorączkę w podejściu do tego „ginącego świata".

Wieś polska wprawdzie nadal lubi bawić się, tańczyć, dlatego też i dziś działają różne zespoły muzyczne; ale nie są to już prawdziwe zespoły ludowe. Są zbyt podobne do miejskich. Tym bardziej żałować należy tego, co było tak bardzo swojskie, regionalne. A najboleśniejszy jest fakt, że przy nowej muzyce i nowych tańcach nie ma miejsca dla śpiewu; polska wieś, kiedyś tak rozśpiewana, dziś staje się niema. Zaś stary zespół muzykancki to dziś już tylko tradycja i historia. A jednak zespoły regionalne, już nie te żywe, ale odświętne, na pokaz, budzą silny oddźwięk; można to zobaczyć w czasie ich występów.

„Moich" muzykantów, serdecznych i rzewnych ludzi będę wspominał — aż do kresu mego życia. Przecież przeżyłem z nimi tyle znamiennych i niezapomnianych chwil — wesołych a nawet psotnych, pełnych westchnień i serdecznych wzruszeń. Tym, którzy odeszli, poświęcam rzewne westchnienie i zapewnienie o pamięci. Wszystkim muzykantom przesyłam serdeczny uścisk pracowitych, muzykanckich dłoni i ofiaruję tę opowieść.

Franciszek Kotula

Z muzyką — a ściślej z grą muzykantów — zetknąłem się już we wczesnym dzieciństwie. Do kościoła w moim rodzinnym miasteczku często przyjeżdżały śluby z okolicznych wiosek. W orszaku weselnym na pierwszym wozie siedzieli muzykanci, zazwyczaj dwóch — skrzypek i basista. Krótko ich granie trwało, bo wesele jechało szybko. Ot, mignęło i koniec. Również z muzyką jeździły wozy z wieńcami na Matkę Boską Zielną. Żniwiarze, a przeważnie żniwiarki, niczym drużki na weselu, siedziały na słomie na drabiniastych wozach, zaś kosiarze na „litrach", czyli na drabinach wozów. Muzyka grała, dziewczęta i chłopcy śpiewali.

Dłużej można się było przyglądać muzykantom i posłuchać ich sztuki, kiedy na świętego Szczepana chodzili turonie po kolędzie. Do mojego miasteczka przychodzili turonie z dwóch wiosek, rozpoznać ich można było po tym, że byli inaczej ubrani. Zresztą bardzo fantazyjnie. Z obiema grupami chodzili musowo muzykanci. Grali w czasie śpiewu kolęd — stojąc tuż koło drzwi, kiedy turonie stali na środku izby, a następnie grali do tańca, jeśli w domu były dziewczęta, a także i chłopcy. Ci zawsze wywęszyli, gdzie się kroi tańcowanie. Jeśli razem z turoniami obleciało się kilka, a nawet kilkanaście domów, to się i nasłuchało muzyki dosłownie po uszy. Inna rzecz, że kolędując, to znaczy towarzysząc prawdziwym kolędnikom, można było oberwać, i to porządnie, od dziada, który miał w dłoni kacałę — kawał powroza na trzonku. Walił nią hołotę, czyli nas, najwierniejszych kibiców, gdzie którego dopadł. Wślizgiwaliśmy się więc do izby, używając najróżniejszych sposobów, a to że jest to nasz dom, że idziemy do dziadka lub ciotki... nic go to nie wzruszało. Bo jak się napchało do izby kilkunastu z tej hołoty, to nie było miejsca na taniec z dziewczętami, a one za tańcowanie płaciły. Raz się

udało wcisnąć, innym razem nie tylko że się nie udało, ale oberwało się słynną kacałą. Mogło boleć i kilka dni, zwłaszcza jeśli dziad na końcu przyczepił kawał skóry z jeża; wiadomo, z kolcami. Piekło... ale coś i muzyki się posłyszało, i tańców zobaczyło.

*

Muzyka weselna czy kolędnicza była od święta, a więc rzadko przeżywana. Ale była też muzyka na co dzień — tak można by o niej powiedzieć. A z tą było tak.
Na końcu jednej z ulic miasteczka, która łączyła je z kilkoma dużymi wsiami, miał swoją karczmę Auster. Po prawdzie, nikt nie wiedział, jak się Żyd-szynkarz nazywał. Auster urobiono od terminu „austeria", czyli karczma wydzierżawiona, a należąca do dworu. Ile się w niej ludzie nabawili, nakłócili, a nawet pobili! Spłonęła później biedaczka w 1915 roku.
Ale najważniejsze było to, że karczma mieściła się tuż obok targowicy, gdzie co poniedziałek odbywały się prawdziwie wielkie jarmarki, na których handlowano końmi, bydłem i świniami. Tłok wtedy był ogromny, litkup[1] szedł jeden za drugim, do izby szynkowej trudno było się wepchnąć. Ci, którzy coś dobrze sprzedali, po zakończeniu jarmarku wcale nie spieszyli do chałup; trzeba się było przecież zabawić. A że mężczyźni za nic nie ruszyliby się na jarmark bez bab, było komu tańcować. Wówczas „na scenę" wchodzili Szwarcowie. Jak wówczas szumiała i huczała karczma Austra!
A ze Szwarcami to było tak.
Blisko nas, zaledwie w trzecim domu — zresztą mojego dziadka — w wynajętej izbie mieszkała Szwarcowa; zwyczajna Szwarcowa, którą wszyscy dookoła znali i tak powszechnie nazywali. Czasem ktoś wspomniał o jej mężu, Szwarcu. Wszyscy Szwarcową bardzo lubili. Była Żydówką — śmiesznie maleńką, prawie karliczką. Ale córki miała wcale wysokie, podobne do ojca. Zawsze pogodna, uczynna,

dowcipna, ale co najważniejsze — była sławna. Była chyba jedyną kobietą w szerokiej okolicy i na długiej przestrzeni czasu — czegoś podobnego nikt nie pamiętał — grającą na skrzypcach. I to jak grała! Nogi same szły do tańca. Ludzie dziwili się, uważali to prawie za cud boży; ile w tym maleństwie było siły, mogła grać całą noc i to prawie bez przerwy. A żeby grać polki, trzeba rzeczywiście mieć siłę i to nie byle jakiego chłopa. Pomagał jej w graniu mąż, stary Szwarc, na basach. A skrzypka — tak urabiano rodzaj żeński od „skrzypek" — była niewiele wyższa od basów. Grała tak na pamięć, jak pieją koguty, zawsze miała przymrużone oczy. Nie otwierała oczu nawet wtedy, kiedy ten, co zakładał taniec, śpiewał żądaną melodię. Szwarcowie byli zawodowymi muzykantami, z tego żyli i wychowywali dzieci. Byli zawsze biedakami, nigdy niczego się nie dorobili, nawet własnej, najmarniejszej chałupiny; siedzieli na komorze. Dawno, bardzo dawno, kiedy Szwarc był zdrowy i silny, podobnoć grywali na weselach, ale kiedy stary począł słabować na nogi i nie mógł daleko chodzić, ograniczali się tylko do miasteczka. Na każde zawołanie szli do tego szynku, gdzie ich zaproszono, gdzie była okazja do hulanki. Grali na własny rachunek; zarobili tyle, ile zebrali od tanecznikόw. Faktycznie obsługiwali tylko chłopskie zabawy, na mieszczańską nikt by ich nie zaprosił; byłby wstyd. Mieszczanie zapraszali na wesela czy inne okazje muzykę mieszczańską, bardzo stateczną, którą proszono i do dworów, na bale urzędnicze, na różne obchody. Szwarcowie co poniedziałek przychodzili ze swoimi instrumentami do Austra. Nikt nawet nie pomyślał, że mogłoby ich tam nie być.

Nie tylko litkupy odbywały się u Austra. Tu zbierali się rekruci, a właściwie kandydaci na rekrutów — młodzi chłopcy, którzy mieli stawać do asenterunku, czyli do poboru. Naturalnie, do szeregów Franciszka Józefa. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu około czterdziestu

chłopa, czasem więcej, schodziło się do Austra. Już zastawali Szwarców. Kiedy kwaterki okowity poczynały rozbudzać wojownicze nastroje, kiedy poborowi widzieli się przynajmniej kapralami, na czyjś znak wysypywali się na pole. Ktoś samorzutnie zabierał się do ustawiania przyszłych wojaków w czwórki, wreszcie rozlegał się krzyk jak komenda: — Szwarcowa!... Szwarcowaaaa! — i niemal w tej samej chwili na czele drużyny stawali Szwarcowie. Pierwsze takty marsza — w miasteczku stał szwadron kawalerii, więc czasem przyjeżdżała orkiestra wojskowa, Szwarcowie mogli nauczyć się marszów — stawały się komendą. Podpici rekruci darli się, jakby ich ze skóry obdzierano, Szwarcowie grali, ile sił w strunach, gromada gawiedzi, w postaci chmary chłopaków, dla których takie wydarzenie było nadzwyczajnym przeżyciem — wszystko to maszerowało ulicami miasteczka i przez rynek. Po obejściu wszystkich ulic i uliczek gromada wracała do Austra, by pić dalej. Gdy wreszcie rekruci, według dawnego zwyczaju, szli na miasto robić mieszkańcom różne psoty, zmachani Szwarcowie z zarobionymi groszami powoli wracali do swej izby. Kiedy stary Szwarc nie mógł już chodzić, a sama skrzypka grać nie chciała, skończyło się muzykowanie. Ale sława żyła. Czasem jednak miniaturowa muzykantka siadała pod ścianą domu na bardzo niskim stołeczku, zwykle wieczorami, i grała najskoczniejsze polki i marsze. Pod dom zlatywała się chmara chłopaków. Cicho było, nikt nie ważył się despetować, wszyscy słuchali z przejęciem tej muzyki.

Wiele lat później, kiedy miałem przystąpić do nauki gry na skrzypcach, ktoś poddał mi myśl, żeby pójść do Szwarcowej i próbować kupić jej instrument. Już nie mieszkała w domu mojego dziadka. Stary Szwarc-basista zmarł, a wdowa przeniosła się do maleńkiej izdebki w miasteczku. Poszedłem do niej, poznała mnie, ucieszyła się moim widokiem. Nawet łzy zabłysły w jej oczach.

Bardzo się postarzała, zmalała do wymiarów dziecka. Podała mi skrzypce do rąk, czego kiedyś nigdy nie robiła. Mogłem bliżej im się przyjrzeć. Czy były dobre?... Nie znałem się na tym. Ale zaintrygowała mnie jedna rzecz: cała listewka, dokąd sięgały palce dotykające i naciskające struny, pokryta była dołeczkami. Wytarły je w czarnym drzewie palce kobieciny-skrzypaczki. W ciągu wielu lat koniuszki drobnych paznokci potrafiły przeżłobić listewkę niemal na wylot.

Wreszcie wykrztusiłem z siebie, że chętnie kupiłbym skrzypce. Kobiecina niewątpliwie dawno ich nie używała, brakowało kilku strun, smyk był prawie całkiem wyleniały. Chyba zrozumiała moje pytanie, bo zamilkła. A po chwili rzekła cichutko:

— Nie, Franuś, nie sprzedam. Ja już nie gram, ale jak bym ja mogła bez nich żyć?... Co by było, jak bym ja nie widziała ich na ścianie? Nie gniewaj się, ale nie sprzedam. Może po mojej śmierci?...

W jakiś czas potem Szwarcowa zmarła. Kiedy — nie wiedziałem. Co się stało z tamtymi skrzypkami, nie dowiedziałem się nigdy. Ale Szwarcową i jej męża pamiętam i wspominam ich rzewnie.

*

Z wielkim trudem i wysiłkiem nauczyłem się grać na skrzypcach. Miałem już w tym czasie własne skrzypce, nowe, kupione w Czechach. Zabrałem je ze sobą — jedyną cenniejszą rzecz — udając się na wieś, gdzie miałem rozpocząć swoją życiową karierę. Umiałem grać z nut i z pamięci takie utwory, które niejako wbiły mi się w pamięć i w palce. Kiedy zamieszkałem w alkierzu, wynajętym w wiejskiej chałupie, do którego trzeba było przechodzić przez wielką izbę mieszkalną gospodarzy, wkrótce poznałem całą rodzinę. Gospodarzowi było na imię Szymon, trzem córkom dano imiona: Maryna, Zośka i Anielcia. Najmłodsza Anielcia właśnie skończyła szkołę



Ludowy trębista (2)

powszechną, Maryna była już w pełni dojrzałą dziewką. Nawet trochę przejrzałą, jak na wiejskie stosunki. Ona też wydała mi się najciekawszą osobą w rodzinie. Wkrótce dowiedziałem się o niej wiele. Powiedziała ojcu, że za mąż nie wyjdzie, właśnie jemu na złość, dlatego że nie chciał jej dać dalej na naukę. On tłumaczył:
— A kto będzie robił w polu i w gospodarstwie? —
Gospodarka rzeczywiście była spora, wymagała wielu rąk do pracy. Szymon miał chore nogi, nie mógł już chodzić, więc Maryna orała i woziła. Rodziców, a zwłaszcza ojca, wręcz terroryzowała, co stary znosił bez buntu; zdawał sobie sprawę, że bez Maryny gospodarkę wzięliby diabli.
W szkole Maryna była nadzwyczajnie zdolną uczennicą. Między innymi opanowała sztukę haftu. Mimo ogromu

pracy w gospodarstwie, znajdowała czas na wspaniałe hafty dla kościoła; robiła je bezinteresownie. Stąd też cieszyła się w rozległej parafii wielkim autorytetem.
Wkrótce przekonałem się, że Maryna miała jedną słabostkę — wyrób noży. Robiła je dla domu i dla sąsiadów. Robiła noże rzeźnickie, noże do cięcia kapusty, do krajania chleba, do obierania ziemniaków... Zrobiła nawet brzytwę, którą w niedzielę rano goliła ojca. Stary syczał, marszczył twarz, ale nic nie mówił, bał się. Kto by go tak gładziutko ogolił?
Pewnego jesiennego wieczoru, kiedy cała rodzina, z wyjątkiem Anielci, przędła, cichutko śpiewając pieśni nabożne, zrobiło mi się dziwnie ckliwie i smętnie. Za oknami panowała paskudna szaruga. Po raz pierwszy wyjąłem z futerału skrzypce, nastroiłem i począłem grać jakiegoś poloneza. Wszyscy zamilkli... Słuchali? To mnie ośmieliło, nacisnąłem smykiem, zagrałem głośniej. Nagle drzwi do mojego alkierza otworzyły się i stanęła w nich Maryna.
— A wiejskie kawałki potrafi pan zagrać? — zapytała śmiało.
— Nie potrafię — odpowiedziałem.
— To ja pana nauczę, tylko później — odrzekła i poszła do swojej roboty.
W najbliższą niedzielę po południu Maryna weszła do mojego pokoju... z harmonią w rękach.
— No, niech pan wyciągnie skrzypce — rzekła takim tonem, jakim zwracała się do ojca.
Posłusznie wydobyłem instrument — poczuwszy się w roli Szymona — i począłem stroić struny. Jakoś mi nie szło.
— O, niech pan nastroi według tego! — znowu rzekła rozkazująco i podała mi ton „a" ze swego instrumentu.
Po chwili oba instrumenty grały.
Chodziłem w życiu do różnych szkół, przeżyłem i liczne szkolenia, miałem wielu nauczycieli, profesorów

i egzaminatorów, ale ilekroć wspomnę Marynę, jako mojego nauczyciela muzyki ludowej, mimo że od tego czasu minęło przeszło pół wieku, ciarki mnie przechodzą. Maryna była nieco starsza ode mnie, nawet znacznie starsza, dlatego też mogła czuć się poniekąd uprawniona do surowości w stosunku do niezbyt pojętnego ucznia. Po prawdzie, nazbyt muzykalny nigdy nie byłem, ale jakiś tam słuch muzyczny pałętał się we mnie. Natomiast cechowała mnie dobra wola, a nawet upór. Maryna jednak miała w sobie wiele władczej siły. Ile się ona na mnie nakrzyczała, ile mi nawymyślała, nawet naurągała!... Chociaż zawsze byłem i czupurny, i wojowniczy, wobec Maryny zachowywałem się jak trusia. Pod wiosnę ciąłem już polki, tak prawe, jak i lewe, nawet razówki, sztajerki i tramle, wolne i walczyki... prawie jak początkujący, ale prawdziwy wiejski muzykant[2]. W marcu, kiedy było wcale ciepło, w niedzielne popołudnia siadywaliśmy na ławce przed chałupą i dawaliśmy koncerty. Słuchał nas stary Szymon, słuchała Zośka... Chwalili. Miałem pełną zapłatę.

Aha! W chmarze wspominek na śmierć zapomniałem opisać, gdzie znajdowała się chałupa moich gospodarzy. Otóż niemal pod szczytem wyniosłego pagórka, a ściślej mówiąc, długiego pasma wzgórza. Rozległy sad i ogród warzywny znajdowały się nieco powyżej chałupy. Na południowym stoku, schodzącym dość stromo do doliny i rzeczki z jazem i młynem, rósł istny gaj śliwkowy. Ze śliwek Maryna robiła znakomite powidła. W młynie, naturalnie wodnym, siedział jeden szwagier Szymona, zaś po drugiej stronie drogi, biegnącej wzdłuż rzeczki, stała karczma, należąca do drugiego szwagra Szymona. Była to bowiem stara kmieca rodzina, ongiś bardzo bogata, wówczas zubożała, choć wciąż jeszcze najbogatsza we wsi. Do młyna nie zachodziłem, bo i po co. Ale do karczmy dość często, bowiem szynkarz prowadził również mały sklepik, a trzeba było to i owo kupić. Kiedy w sklepiku

nie było klientów, przesiadywałem tam dłużej, bowiem szynkarz był znakomitym gadułą. A wiedział, co się działo w tej wsi i we wsiach okolicznych nie tylko dziś, wczoraj, ale dziesiątki, a może i setki lat temu.
A dowcipniś był z niego! Ludzie lubili go, ale również bali się. Jak kogoś wziął na język — to „lepiej, żeby się był nie urodził..."
— Czy Maryna przypadkiem pana nie oczarowała? — zapytał mnie raz z przymrużonym okiem. — Potrafi ona, potrafi! Józka, który chciał się z nią koniecznie żenić, jak odpaliła, zresztą nie jego jednego, to długo chodził jak głupi baran. Mówili, że mu uczyniła, żeby się go pozbyć. A chłopak był walny, zamożny. Na końcu fiknął gdzieś w Poznańskie i nic o nim nie słychać. A może się ona na „pana" uwzięła, jako że koniecznie chciała iść do szkół. Panie! — tu łypnął na mnie swoim prawie diablim okiem — niech się pan nie da! — niby to życzliwie radził.
— Pan wie, co może muzyka zrobić z człowieka? He, jak bym panu chciał o tym opowiedzieć... tatuś nieraz mówili, dobrze pamiętali cholerę w siedemdziesiątym trzecim. Wtedy, żeby ludzi ratować, rząd radził pić dużo okowity, i to jak najsilniejszej. No i przychodzili ludzie, kupowali i pili: od staruchów do dzieci. Ale samo picie jakoś im nie smakowało, sprowadzili muzykę. Muzykanty grały, dopokąd nie zwaliły się z ław na ziemię; spadały między tych, którzy przed śmiercią nie tylko pili, ale i tańcowali na zabój. I tak wszystko spało, jeden na drugim, w izbie, w sieni, na podwórzu. Nad ranem dźwigali się i szli do chałup, przecież trza było bydło oporządzić, wydoić... Mówili tatuś, że po takim piciu i hulaniu to prawie zawsze kilkoro było już zimnych. No to wójt kazał ich zabierać i wywozić na cholerny cmentarz. Ale ludzie chwalili sobie taką śmierć: że to lepiej jak na łóżku i w boleściach.
Pewnego razu siostra Maryny, Zośka, weszła do alkierza i powiedziała mi, że ktoś do mnie przyszedł, ale wstydzi się wejść. Poprosiłem. Wszedł młody, przystojny chłopak,

chyba w moim wieku. Powiedział, że jest z sąsiedniej wioski, że gra na skrzypcach i na klarnecie, ale ze słuchu. Chciałby się nauczyć grać z nut i czy bym go nie zechciał uczyć? On mi wynagrodzi, czym będę chciał. Mówił dziwnie prosząco, prawie błagająco. Mówiąc, raz po raz zerkał na ławeczkę, na której leżał futerał ze skrzypcami.
Przypomniała mi się Szwarcowa i jej skrzypki.
Zrobiło mi się trochę głupio. Powiedzieć mu, że tego nauczyć go nie potrafię? Znać nuty, grać według nich — to jeszcze nie znaczy umieć uczyć. Odezwała się jednak we mnie ambicja. Udając fachowca, wyjąłem z futerału skrzypce i podałem je gościowi z prośbą, aby coś zagrał. Teraz on znalazł się w kropce i chyba myślał: jak tu zagrać przed takim, co to gra z nut? Ośmielony zachętami nastroił skrzypce, pociągnął po strunach raz i drugi, przerwał na moment i... spod smyka wypłynęła melodia znanego mi walca. Ale teraz był on jakiś inny. Wiejski skrzypek grał wiedeńskiego walca z jakimiś trelami, zaciąganiami. Nie powiem, żeby to było nieładne, po prostu inne.
Mój gość rozegrał się na dobre. Wydobywał ze skrzypiec „miejskie" melodie, wyłącznie do tańca, ale jak! To było rzeczywiście granie. Faktycznie były to ludowe wariacje na temat klasycznych, tanecznych melodii. Byłem wprost oszołomiony. Co znaczyły moje nuty wobec prawdziwego grania? Czułem, że mam przed sobą wybitny talent, którego sam określić nie umiałem i nie mogłem.
Entuzjaście czy czcicielowi nut przede wszystkim podarowałem podręcznik, z którego się uczyłem. Postępy robił szybkie. Potem nagle gdzieś wyjechał, podobno do miasta. Już nigdy więcej go nie spotkałem.

*

Gdzieś pod koniec maja czy na początku czerwca zdarzyło mi się małe nieszczęście. Skrzypce wypadły mi z ręki i doznały drobnych uszkodzeń. O graniu nie było mowy.

Maryna przykazała mi, bym się udał do następnej wioski, a właściwie do przysiółka — miał śliczną nazwę, niestety, zapomniałem — jest tam młody majster, który naprawia wszystkie instrumenty, naprawi zatem i skrzypce.
Wybrałem się już następnego dnia. Trzeba było dojść do końca wsi, gdzie naprzeciw doliny wznosił się długi i wysoki grzbiet porosły lasem. Drzewa szpilkowe przemieszane z liściastymi tworzyły urokliwą, barwną mozaikę. Na szczyt grzbietu, gdzie miał się znajdować przysiółek, prowadziła droga, prawie jak wąwóz między górami. Przeszedłem po wąziutkiej kładce przez rzeczkę i począłem się piąć w górę.
W pewnym miejscu jakby mnie ogarnął wonny obłok, niby z trybularza w kościele. Zerknąwszy w bok zobaczyłem w zagajniku rozkoszną polankę, a na niej — łan storczyków. To one oddychały w słońcu taką odurzającą wonią. Urwawszy kilka pędów żwawo ruszyłem dalej. Wreszcie skończył się uroczy las i znalazłem się na skraju pól. Szczyt wzgórza był prawie płaski i na nim usadził się przysiółek.
Bez namysłu poszedłem dróżką, aż stanąłem przed chałupą. Chociaż... czy chałupą? Raczej przed podmiejską willą. Dom był drewniany, ale kryty dachówką, miał duże okna, a u wejścia duży, oszklony ganek. Dom tonął w kwiatach, różnorodnych i przebarwnych, wśród których zdecydowanie przeważały róże, o niezliczonych kształtach i kolorach. Wprost zaszokowany stałem nieruchomo dłuższą chwilę.
Zbliżyłem się do ganku. Z wnętrza domu przez otwarte drzwi dobiegał rytmiczny i miarowy stukot, jakiego jeszcze nie słyszałem. Musiał ktoś być w domu. Na moje pukanie nikt nie odpowiedział, nacisnąłem więc klamkę i wszedłem powoli do środka. Widocznie ktoś mnie zauważył, bo stukot nagle umilkł. Najpierw oko moje uchwyciło dziwaczny przedmiot w kącie dużej izby. Dzięki widzianej kiedyś rycinie poznałem, że to warsztat tkacki; przy nim siedział

mężczyzna. Pozdrowiłem dom i zbliżyłem się do tego mężczyzny. I wówczas jakoś bezwiednie spojrzałem w inny kąt izby. Tam sterczał piec, a obok niego stała kilkunastoletnia dziewczyna, coś widocznie gotując, bo w dłoni trzymała sporą, drewnianą łyżkę.
— Musi pan poczekać, to nie ja, to syn naprawia skrzypce. Poszedł do miasteczka, ale co tylko go nie widać.
— Proszę, niech pan siada — zwróciła się do mnie dziewczyna, podsuwając zmyślnie wyrobione krzesło. Postawiwszy je, z powrotem stanęła obok pieca, w którym się paliło i coś gotowało się na kuchni w dużym, żelaznym baniaku. Zdziwiło mnie to, że jak na obiad to za późno, na wieczerzę za wcześnie. Później zrozumiałem, że w tym domu jadano gotowane tylko raz dziennie.
Mężczyzna wrócił do swojej pracy. Tkał rytmicznie lniane płótno. Dziewczyna też nie była skora do rozmowy, odpowiadała tylko na moje pytania. Trzymając futerał ze skrzypcami na kolanach, rozglądałem się po izbie. Wszędzie widać było ubóstwo. Mężczyzna i dziewczyna, niewątpliwie córka tkacza, byli bardzo ubogo ubrani. W chałupie znajdowało się niewiele sprzętów, na łóżkach nie było żadnej pościeli; nawet zwyczajnej słomy, jedynie gałązki młodej jedliny.
Wreszcie wzrok mój zawędrował poza drzwi, prowadzące do alkierza, podobnego do tego, w jakim i ja mieszkałem. Przez wąski otwór widać było jakieś koła, trąby, żelastwo o nieznanym przeznaczeniu. Poczęło mnie to intrygować, a nawet ciągnąć.
— Czy można tam zaglądnąć? — zapytałem tkacza.
— A można, można... To warsztat syna. Same rupiecie, ot, co mu ludzie znoszą do naprawy. Może pan zobaczyć — zachęcał.
Wszedłem powoli; rzeczywiście, rupieciarnia była niesamowita. Ale zaraz stanąłem jak wryty na widok jednego przedmiotu; pod oknem stała pięknie ozdobiona

rzeźbami i rytami fisharmonia. Instrument nie był mi obcy, ale tu?...
— Skąd pan to ma? Kto na tym gra? Syn? — zapytałem.
Jak się rychło okazało, trąciłem najczulszą strunę ubogiego tkacza. Wyszedł zza warsztatu, otrzepał się z paździerzy, wyprostował się i rzekł nie bez dumy:
— To moje, panie, moje, i sam to sobie zrobiłem. I tylko ja gram na tym, a syn się śmieje — zakończył łagodnie.
— A może pan coś zagra — niby zaproponowałem, a niby poprosiłem.
— A zagram — odpowiedział lakonicznie i zasiadł do instrumentu. Dziwny to był widok; starszy, pochylony mężczyzna w bieliźnianym, zgrzebnym stroju za fisharmonią, miniaturą organów. Nagle jakby się wyprostował, wyrósł. Jakiś czas masował palce, krzywe i zgrubiałe od ciężkiej pracy... Trwało to rzeczywiście tylko chwilę. Podniósł przykrywę. Zajaśniały białe klawisze, a właściwie to żółte, zrobione z długich, zwierzęcych kości. I oto krzywe palce poczęły nagle latać po klawiaturze jak ważki z łodyżki na łodyżkę trzciny wodnej. Wydobywały się spod nich łagodne tony jakiejś rzewnej pieśni religijnej, potem drugiej, trzeciej. Wszystkie były mi znane, ale miały jakiś inny wydźwięk. Tu przypomniał mi się ów chłopak, co to nut chciał się nauczyć.
— Gdzież się pan nauczył tak pięknie grać? — zapytałem.
— Oj, panie, to długa historia... ale jak pan ciekawy... — I powoli, dokładnie, z mnóstwem szczegółów począł opowiadać mi historię swojego życia.
Wzięto go do austriackiego wojska w lecie 1915 roku. Do służby liniowej nie nadawał się; pochylony, z rozklepanymi stopami, z krótkim wzrokiem — po prostu został ordynansem, i to do najpodlejszych robót. Pułkownik, prowadzacy jakieś wojskowe prace na tyłach talijańskiego frontu [3], miał dwóch ordynansów: Niemca znającego czeski i naszego tkacza. Należało do niego czyszczenie butów i mundurów, noszenie wody, nieraz z bardzo daleka, grzanie

jej na kąpiel dla pułkownika, sprzątanie namiotu czy kwatery. Niemiec tylko wydawał mu rozkazy.
Któregoś dnia na jakiejś nowej kwaterze znalazł się akordeon, pozostawiony przez mieszkańców. Nowiuteńki, najwyższej klasy.
— Panie! — nagle uniósł się mój rozmówca. — Taka rzecz to tylko mi się śniła, i to jedynie w wigilię Bożego Narodzenia. Miałem w domu harmonię, grałem na niej, ale co to było wobec tego cudu! Wieczorem, jak wszyscy spoczywali po kolacji, to ja zabierałem się do grania. Najpierw wygrywałem pieśni religijne, te nasze, a potem to i poleczki, i tramelki, i walczyki. Raz, tak grając, poczułem, że ktoś mi kładzie ręce na ramionach. A takem się wtedy zagrał, że nie wiedziałem o Bożym świecie. Przypomniały mi się te kąty, żona i dzieci. Poderwałem się, prawie podskoczyłem. A potem upadłem z powrotem na krzesło; to był sam pułkownik. Nie rozumiałem, co do mnie mówił, ale czułem, że chwalił moje granie, że mu się moja polska gra podobała. To mnie bardzo ucieszyło!
W kilka dni po owym wypadku, wieczorem, pułkownik — faktycznie oberlejtnant — zawołał go do siebie za pośrednictwem owego Niemca, głównego ordynansa. Ten wytłumaczył przerażonemu tkaczowi z Podgórza, że pojedzie do pułkownika do domu, do Austrii i tam będzie pracował w ogrodzie, bo ten ogród to umiłowanie pułkownika, który jest wielkim panem, hrabią. No, i pojechał do tego dworu. W ten sposób został ogrodnikiem: pielęgnował róże i inne kwiaty.
— Panie! — znów jakby wpadł w ekstazę — jakie tam były kwiaty! Jakie róże! Siedziałem w tym ogrodzie od świtu do nocy. Jak mi tam było dobrze! Aż mnie wyrzucali. Zaś w nocy... aha!... zapomniałem panu powiedzieć, ten hrabia-pułkownik pozwolił mi zabrać ze sobą akordeon, a nawet polecił grać jego żonie i córkom. Tom grywał. To ta pani dawała mi różne rzeczy i żywność, tom posyłał do domu, bo tu u nas bieda była wielka!

Z kolei dowiedziałem się, że w zimie na dość długo przyjeżdżał do domu, że pomagał żonie i rodzinie. W osiemnastym roku dostał kilka dni urlopu na święta wielkanocne. I wówczas dopuścił się — w jego przekonaniu — ciężkiego grzechu. Mimo zakazu, żeby nikomu nie dawać oczek z róży, jadąc zabrał ich ze sobą duże pudełko. Do dziś nie może przeżałować, że tylko czterdzieści odmian; a było ich tam ponad sto. Myślał, że drugim razem... Tutaj, gdzie tylko mógł, wyszukiwał w polu rosnące dzikie róże i pozaszczepiał je tymi oczkami. W tej materii nabrał już takiej wprawy, że przyjęły mu się prawie wszystkie. I co jeszcze... Z wielkim strachem, ale zabrał też kiedyś ze sobą akordeon. Potem mu to pani pułkownikowa często wymawiała, ale zła nie była. Nie poskarżyła też mężowi. Przed odjazdem pokazał synowi wszystkie zaszczepy



Muzykancka para małżeńska z Bieśnika (3)

i mocno go zobowiązał, żeby pilnował, żeby doglądał. A w jesieni te, które się przyjmą, wykopał i zasadził w ogrodzie.
— I wie pan? — znów począł się entuzjazmować. — Przyjęły się prawie że wszystkie. Syn pamiętał, pilnował, zakładał nad szczepionkami kabłączki, żeby ptaszyska nie połamały. W jesieni rzeczywiście wojna się skończyła, a pani pomogła mi, że szybko do domu wróciłem. I już sam przeniosłem róże do naszego ogródka. I widzi pan, jak pięknie rosną? — powiedział to z iście ojcowską miłością. Poszliśmy do ogrodu, utrzymanego tak jak koło jakiegoś pałacu. Tkacz przywiózł też nasiona różnych innych roślin. W głowie nie mogło mi się pomieścić, że coś podobnego można spotkać na takim odludziu.
— O, już i syn jest! — zawołał nagle, pokazując mi młodego człowieka, wjeżdżającego przed dom na bardzo starym rowerze. Wróciliśmy do domu. Majster szybko zbadał chorobę mego instrumentu, znalazł jeszcze inne usterki, przyobiecał przynieść za kilka dni; moich gospodarzy znał doskonale. Rzeczywiście słowa dotrzymał. Trzeba było wracać, już się ściemniło, do domu miałem kawał drogi. Jeszcze zwróciłem się do tkacza — sam nie wiedziałem, skąd mi przyszedł do głowy taki niemądry pomysł — czyby nie sprzedał fisharmonii.
— O, co to, to nie! — zaakcentował podniesionym głosem.
— A czy pan wie, skąd się ona u mnie wzięła? — zadał mi jawnie podstępne pytanie. Kiedy jednak wzruszyłem ramionami, rzekł z triumfalną miną: — Ja sam ją zrobiłem z tej włoskiej harmonii. I jak gra! — delektował się. — Ja bym jej za skarby nie sprzedał, przecież to wielka pamiątka! — dodał z przekonaniem.
— To ja pana kawałek odprowadzę — nagle zaproponował mi majster. — Ruszyliśmy. — Niech pan, broń Boże, drugi raz nie wspomni ojcu o sprzedaży fisharmonii. Będzie czuł do pana wielką urazę. Ten instrument to jego słabość, podobnie jak i róże. W lecie, zresztą już od wiosny,

w niedzielne popołudnia ojciec wynosi swój skarb do ogrodu, między kwiaty i gra do późnego wieczoru; czasem to już razem ze słowikami... A potem cały tydzień znowu bez przerwy stuka na tym swoim warsztacie. Teraz tkaczy mało, roboty ma dużo, ale za to kiepsko płacą. Musi robić, gruntu prawie że nie mamy, chowa się jedną krowinę i to z wielką biedą. Ale... — młody człowiek jakby się nagle w język ugryzł.

— Niech mi pan wytłumaczy jedną rzecz — z kolei ja zabrałem głos. — Ja widziałem, u was się nie przelewa, jest może nawet gorzej, tedy dziwne się wydaje, że taki duży i tak znakomicie uprawny ogród przeznaczył ojciec pod kwiaty, a nie pod jarzyny, ziemniaki...

— Proszę pana, na to nic nie poradzimy. Jest nas w domu tylko troje, matka niedawno zmarła, gospodarzy najmłodsza siostra, dziecko jeszcze, brat gdzieś pojechał szukać pracy, ja niedawno wróciłem z wojska. Też poszedłbym, ale jak to wszystko zostawić? Ojciec nie ma zdrowia, ciężko pracuje, co mu poza tymi kwiatami i fisharmonią pozostało? A wie pan o czym on marzy? Mówią o budowie kościoła w naszej wsi, tam na dole. Ojciec bardzo chciałby być w nim organistą. Ale — doczeka on tego? Kiedy gra w ogrodzie, w kwiatach i kiedy ptaki śpiewają, wydaje mu się, że jest organistą i że gra w kościele na sumie. Niech już tak będzie. Wydaje się, że ja coś potrafię zarobić, tylko się otrząsnę po tej paskudnej wojnie. Już ja sobie dam radę! — dodał z przekonaniem i podawszy mi rękę na pożegnanie wartko ruszył z powrotem.

Dopiero po wielu latach przypadkowo znalazłem się we wsi, w której organistą miał być romantyczny tkacz. Zastałem w niej mały, nowiutki kościółek, ale o organiście-tkaczu nikt tu nie słyszał. Jedynie książka „mortuorum" powiedziała mi, że niedoszły organista zmarł wiele lat temu, nie doczekawszy się spełnienia swych marzeń.

*

Kiedy po roku mieszkania u Szymona musiałem opuścić jego ciekawy dom, poszedłem pod komendę następnego nauczyciela muzyki. Był nim kolega, rzeczywiście muzykalny. Ten z kolei oduczał mnie manier wiejskiej muzyki, a tłukł ze mną muzykę „salonową". Stałem się prymistą, on sekundował mi na gitarze. Oj, opłaciły się te moje trudy i mnie, i jemu. Jakiś czas żyliśmy jak pączki w maśle. Ale i to się skończyło — znowu na krótko. Potem grywałem w „orkiestrach" — tak szumnie nazywanych zespołach bardzo amatorskich. Ale począwszy już od „Marynowej epoki" dużo tańczyłem i to gdzie popadło. „Szalałem" jednak za wszelkiego rodzaju muzykami wiejskimi.

Któregoś dnia umówiłem się z moim przyjacielem Tadeuszem, sędzią sądu grodzkiego, że pojedziemy na ryby. Usiedliśmy w bryczuszce, która w takt drobnego truchcika Tadziowego kasztana, toczyła się wolno i rytmicznie. Dookoła było pełne lato, trochę usypiające. Dłuższy czas milczeliśmy, a może każdy z nas rozmawiał ze swymi myślami. Tadeusz jako sędzia miał ustaloną opinię, że w ferowaniu wyroków mniej trzymał się paragrafów, więcej zaś życia, a kierował się znakomitą znajomością ludzi i ich natury.

— Słuchaj, Tadek! — przerwałem milczenie. — Opowiedz mi jakiś ciekawy przypadek z twojej praktyki.

Dopiero po dłuższej chwili Tadeusz począł mówić — mówił spokojnie i rytmicznie, pozornie beznamiętnie, ale wiedziałem, że opowiadania swoje zawsze przeżywa.

Na praktyce — czy stażu, jak się dziś mówi — był w mieście powiatowym, żyjącym od wieków w cieniu zamku i potężnej magnackiej rodziny. Miasto korzystało z zamku i żywiło istny kult dla niego i jego rezydentów. Każdy nowy sędzia składał w zarządzie majątku kurtuazyjną wizytę, we fraku, a jakże, ale nie było

wypadku, aby ktoś sędziego rewizytował. Tadeusz, znany z demokratycznych przekonań, dowiedziawszy się o tym, wizyty nie złożył. Wkrótce doszły go słuchy, że zamek jest z niego niezadowolony. A to znaczyło, że może dojść do przeniesienia na gorsze stanowisko.
Pewnego razu, kiedy Tadeusz zastępował sędziego, woźny zameldował, że policja przyprowadziła wielkiego przestępcę. I oto w gabinecie zjawiła się dziwna grupa. Dwóch policjantów w pełni uzbrojonych, a między nimi może szesnastoletni podrostek, zapłakany i zasmarkany, a w dodatku skuty policyjnymi kajdankami. Elegancko ubrany mężczyzna, który przedstawił się jako pełnomocnik, wręczył sędziemu akt oskarżenia.
Sędzia — wówczas sędziowie mieli wielką władzę i niezależność — zbesztawszy policjantów za nadużycie władzy, polecił im małoletniego natychmiast rozkuć i opuścić gabinet. Z oskarżenia wynikało, że przestępca poczynił szkodę na kwotę 40 000 złotych, która to suma w latach dwudziestych była majątkiem. Równała się kwocie 5000 dolarów.
— Na czym polegało to przestępstwo? — zapytałem niecierpliwie.
— Całości oskarżenia nie pamiętam, ale podam ci treść — powoli ciągnął Tadeusz. — Po prostu chłopak, jako pomocnik murarski w zamkowych stajniach, zauważył konia ze wspaniałym, białym ogonem. Sięgał niemal ziemi. Chłopak, pochodzący z którejś z okolicznych wsi, patrzył na koński ogon wręcz zafascynowany. Grał na skrzypcach, miał kiepski smyk, a tu tyle wspaniałego włosia! Nie wytrzymał, urżnął kozikiem pęczek włosienia i schował za pazuchę. Jakoś się wydało, powstał ogromny krzyk. Najpierw majster chłopca sprał, potem puszczony został w ruch ogromny aparat ochrony dóbr magnata. Bowiem owego konia podarował hrabiemu arabski szejk, a koń miał wartość właśnie 40 000 złotych. Przez ucięcie kosmyka włosienia, zdaniem zarządu, koń stracił swoją wartość

i dlatego pomocnik murarski został oskarżony o przestępstwo. A przecież chłopak nie zdawał sobie sprawy z tych zawiłości. Tedy była to okoliczność nie tylko łagodząca, ale uniewinniająca.

Sprawa przybrała szeroki rozgłos. Chłopca uniewinniono, ale sędzia został przeniesiony z miasta powiatowego do małego miasteczka.

Ilekroć zdarzy się, że ktoś w mojej obecności napomknie o Janku Muzykancie, niemal zawsze przychodzi mi na myśl opowiadanie przyjaciela.

O TYCH, CO Z DIABŁEM GRALI

Spośród wielu muzykantów, z jakimi zetknąłem się w czasie moich wędrówek folklorystycznych po Rzeszowszczyźnie, dużo cennych informacji zawdzięczam Franciszkowi Frączkowi z Żołyni (dawny powiat Łańcut), artyście malarzowi, który w okresie międzywojennym zarabiał na studia jako muzykant wiejski. Opowiedział mi wiele zajmujących historii, głównie o muzykantach-czarodziejach, czyli o takich, o których mówiło się na wsi, że z diabłem grali.

— Cóż tedy mówili o muzykantach?

— A, o muzykantach? Różnie. Dobrze i źle, bywało, że nawet bardzo źle — rozpoczął opowieść Franciszek Frączek. — Ale już najgorzej to księża. Niektórzy uważali ich wręcz za nosicieli zła. W mięsopoście, nie mówiąc już o zapustach, gdy tylko z kazalnicy odczytali ewangelię i to tak prędko, że trudno było zrozumieć, zaraz na muzykantów! I już sznurkiem aż do końca. A jak krzyczeli! I nie tylko na samych muzykantów; także i na tych, którzy ich słuchali lub tańcowali przy ich graniu. Wiele zła przypisywali muzykantom, nawet że z diabłami trzymają, że im zapisują swoje dusze, które się przede wszystkim Panu Bogu należą. A zapisywali swoje dusze na wieczne potępienie po to tylko, żeby przy pomocy szatanów grać jak najlepiej, żeby tylko ich, a nie innych muzykantów, ludzie na granie prosili, na wesela, aby jak najwięcej mogli zarobić.

Jeden ksiądz proboszcz, nawet dziekan — sam to słyszałem... ho-ho! kiedy to było! Może miałem osiem lat, może dziesięć. Rumiński się nazywał, pamiętam, jak krzyczał i bił pięściami w ambonę, aż się haftowany obrus kołysał:

— Ani jeden muzykant nie dorobi się majątku, ani jeden

nie dostanie się do nieba! Dlatego bo im diabeł pomaga grać do tańca i muzyką najłatwiej mu skusić ludzi nawet do najgorszego grzechu! Wy o tym najlepiej wiecie! — wciąż krzyczał wielkim głosem, aż nieraz całkiem ochrypł. A i czerwienił się przy tym okropnie.
— No, powiedzcie mi — zwracał się do ludzi — przecież wy sami o tym najlepiej wiecie. Czego — jak grają — nie bierze do tańca chłop chłopa albo baba babę? Dlaczego chłop babę łapie i patrzy, żeby młoda była i jak najtłuściejsza, no? — pytał i wciąż walił w ambonę [4]. A potem jak zaczął opisywać piekło i ogień, w jakim smażą się ludzkie dusze, muzykantów i tych, co przy ich graniu rozum tracą, jak ich tam pali pragnienie, że błagają, ale nadaremnie o kroplę wody... Wtedy — chłopy to mniej, ale baby jak nie zaczną płakać, a walić głowami o podłogę kościelną, drzeć włosy z głów, jakby cała wieś się paliła, a w chałupach ich dzieci. Wymachiwały baby rękami, znowu się kłoniły — bo wiecie, dawniej to kobiety siadały w kościele na podłodze — i zawodziły. Chłopy kiwały głowami...
— Po takim kazaniu to chyba dłuższy czas nikt nie poszedł na muzykę, na tańce, prawda?
— Co? Nieraz jak tylko baby wyszły z kościoła, a w karczmie grali — bo to dawniej blisko kościołów po kilka karczem stało — albo jak gdzie indziej, chociażby zarzępolili, zaraz biegły w dyrczki, ino się piętami po pośladkach prały; jeszcze prędzej aniżeli chłopi.
— Jak to? Mimo że muzykanci trzymali z diabłami, ludzie nie bali się iść na tańcowanie przy ich graniu?
— Co? Młode baby i dziewki, żeby sami diabli grali, toby pociekły. Widzicie, muzyk — to było sporo. Ho, ho! A jak przyszło prosić muzyków na wesele, to zawsze jakoś tak wypadło, że prosili tych z diabłami. Bo jak zaprosili innych, to zawsze coś się stało. Bo ci z diabłami potrafili co bądź uczynić. To prymiście struny popękały, to smyk się złamał. Taki bez diabła idąc na wesele zawsze się



Zdobiony instrument muzyczny z Ostrów Baranowskich (4)

czegoś spodziewał. Brał też ze sobą dużo strun na zapas, często i drugie skrzypce. A jak grał taki, co go posądzali o spółkę z diabłem, choćby wesele i trzy dni trwało — nic złego się nie przytrafiło. Zdarzało się, że i takiemu pękła struna. No to szybko zakładał nową i po chwili znowu mogli szaleć w tańcu. Bo wiecie, inny był taniec przy zwyczajnych muzykantach, a inny przy takich, co to z diabłem grali. Mówili z jednej wsi tacy, którzy to widzieli i słyszeli... Był u nich taki jeden. Kiedy grał na weselu, w chałupie czy karczmie, to kole północka ludzi jakby co opętało. Tak, jak to niektórzy księża na kazaniach mówili o opętanych przez szatana. Tonecznicy darli się i kręcili tak, jak to czasem wichura na polach czy drogach robi wysokie młyny — porywa piach, trawę, liście i kręci wyżej i wyżej. Na takie wiry to mówili: —

O, diabeł tańcuje! — Ludzie przy takiej muzyce nic nie słyszeli, nic nie rozumieli, tylko tę diabelską muzykę. Nagle, w pewnej chwili wszystko urywało się i tonecznicy walili się na ziemię jak snopki. Wtedy ten, co to na piecu siedział i łuczywo palił, czyli świecił — przede wszystkim palącym się dartkom nosy obrywał — i gasił płomyk [5]. Nastawała ciemność. Co się tam wtedy na tej ziemi nie działo, strach pomyśleć. Chłopcy jak te rozjurzone koguty rzucały się na baby, swoje czy nie swoje. Niektóre dziewki darły się, jakby je kto ze skóry żywcem obdzierał; inny stękał; ktoś jęknął; znowu przeraźliwy krzyk... Wreszcie tamten na piecu znowu zapalał dartkę. Rozjaśniało się i uciszało. Tonecznice i tonecznicy podnosili się i stali chwilę, jakby się pobudzili ze śmiertelnego snu. Naraz muzykanci znowu zagrali i zabawa szła dalej, jakby nigdy nic. Na takie muzyki to matki za skarby nie chciały puszczać swoich córek. Ale — czy upilnowały jedną albo drugą?

— I co się działo z takim muzykantem?

— Na końcu to jak każdy człowiek postarzał się i wreszcie chorował. Może wiedział, może czuł, że umrze, dość, że się strasznie męczył i nie mógł w żaden sposób skonać. A to przez to, że musiał komuś te diabelskie skrzypce oddać, jakiemuś muzykantowi, choćby takiemu, co dopiero zaczynał. Ale z tym diabłem. Ludzie jednak o tym wiedzieli, do takiego starego nikt z muzykantów ani zaglądał. Ten męczył się coraz bardziej, kilka razy przywozili księdza — nic nie pomagało. Jeden z takich muzykantów, kiedy oprzytomniał, zawołał do siebie najukochańszą wnuczkę. Wnuków też miał, ale żadnego z nich nie zawołał, tylko dziewczynę. Chyba wiedział, że dziewczyny nie grają i diabeł się ich nie czepia. Prawie ostatnim tchem powiedział jej, żeby wzięła skrzypce i zakopała pod „trupim krzyżem". A takie krzyże to były w każdej wsi, na samym jej końcu. Jak trumnę z nieboszczykiem wieźli, tam stawali i wszyscy żegnali

się z tym zmarłym i prosili go o przebaczenie.
Dziewczyna bała się, bo mówili, że tam straszy. Ale matka tak ją zachęcała, tak prosiła, że dziewczę zdjęło skrzypce ze ściany — zawsze wisiały nad łóżkiem dziadka — owinęła w tę samą szmatę, w jaką dziadek owijał, kiedy szedł na granie, i poszła. Tam wykopała dołek — lekko jej szło, bo krzyż stał na piaszczystym pagórku — włożyła skrzypce i prędko zakopała. Potem wyrachowali: właśnie w tym momencie, kiedy wnuczka skrzypce zasypywała, dziadek-prymista skonał.
— A co się stało z tym diabłem, który w skrzypcach siedział?
— Hm! Bóg to raczy wiedzieć! Pewnie wyleciał i poszedł szukać innego opiekuna. Ale mówili ci, co słyszeli, że skrzypce zakopane pod krzyżem trzy dni same grały. I takie najbardziej wściekłe kawałki! Powiadali, że to pewnie ten diabeł. Ludzie z daleka obchodzili to miejsce, choć im to było z drogi. Żegnali się i modlili. Ale jak starego pochowali — skrzypce, jak uciął, przestały grać. Jakby kto struny przeciął. Od tego czasu ustała też ta wścieklizna na muzykach. Jedni się cieszyli, że się to wreszcie skończyło, ale byli i tacy, którzy żałowali starego. I mówili: — Tak jak stary grał, już nikt więcej nie zagra.
— I prawdę powiedzieli, hoj, hoj!

*

— W Gliniku był muzykant. Opowiadali mi o nim tatuś, bo go dobrze znali. Chciał tatusia koniecznie nauczyć czarodziejstwa, a szczególnie do grania, ale mu powiedział, że musi się wyrzec Pana Boga. Wtedy tatuś tak się przelękli, że uciekli od niego i od tego czasu skrzypiec do rąk nie wzięli. Jak tego muzykanta nie zaprosili grać na jakie wesele — może dlatego, że kazał sobie dużo płacić — to on koło weselnej chałupy robił drugie, swoje wesele. Nikt się tam wprawdzie nie żenił, nikt nie wydawał, ale jechały wozy pełne ludzi — pewnie za przyczyną tego

diabła — muzyka grała, potem stawali, a muzyka grała bez przerwy. Ludzie śpiewali, tańczyli... aż huczało.
A prawdziwe wesele stało, nie mogło ruszyć z miejsca, żeby pojechać do ślubu. Muzykanci nie mogli nic zagrać, drużki śpiewać, ale najgorsze było to, że nikt nie mógł zejść z wozu. No i musieli patrzeć na to udawane wesele. Wszystkich prawdziwych weselnych mało nie potargało ze złości, ale byli bezsilni. A tamten tylko stał i śmiał się.
Jednego razu wydawał córkę bogaty młynarz. Pobożny był, więc tego muzykanta z diabłem na wesele nie zaprosił. To jak młynarzowe wesele jechało do kościoła, wszystkie młyńskie kamienie powyskakiwały ze swoich łożysk i toczyły się za wozami aż do kościoła. Tak mi opowiadali tatuś, którzy tego czarownika dobrze znali.
— A jaki był jego koniec?
— No, a jaki mógł być? Czując, że śmierć nadchodzi, okropnie się zląkł. Kazał sobie przywieźć księdza. Było to w zimie, droga od kościoła do tej wioski prowadziła przez las, kawał jej było. Kiedy ksiądz wjechał już w las, jak się nie zrobi kurzawa!... Sypało, dęło, mietło, w dodatku konie tak się szarpały, że chłopi nie mogli ich utrzymać. I ksiądz nie dojechał. A przez ten cały czas, kiedy ksiądz jechał, to ten muzykant rżał jak koń. Kiedy po wielkiej męce wreszcie umarł, to diabeł porwał jego duszę jako swoją i wyleciał z nią kominem. Tylko zaszumiało.
— Mnie bardzo by ciekawiło, w jaki to sposób sprzedawało się duszę i jak pozyskiwało się takiego sługę, który potem pozwalał dobrze grać.
— Ano, mówią we wsi, jak się to odbywało, ale ci, którzy o tym opowiadali, dawno nie żyją. Dobrze pamiętam nawet, jak się nazywali ci, co mieli takie sługi. Nie powiem, bo ich krewni żyją. Nawet ani wspomnieć przy nich o tym! Mało, żeby się pogniewali, mogliby nawet uderzyć za to, że się przypomina, że ich przodkowie trzymali sitwę z diabłami. Czasem w kłótni to im ciukną, ale z daleka, z bliska boją się.

Frączek mówił dalej:
— Jeden chłop z naszej wsi — światowiec był, nawet czytać i pisać umiał — gdzieś ze świata przywiózł taką książkę z gusłami. Przeczytał ją, ale sam bał się zrobić, to co tam było napisane. A ludzie, jak to ludzie; zwiedzieli się o tej książce i raz w nocy dwóch muzykantów przyszło do niego po poradę. To on im powiedział tak: — Jak chcecie grać ponad wszystkich i jak chcecie umieć drugim muzykantom struny u skrzypiec porwać tak, że nie nadolą nowych zakładać, to trzeba zrobić... ale wam mówię, że to będzie bardzo ciężko. No co? chcecie? — A kiedy tamci powiedzieli mu, że się na wszystko godzą, to im wyczytał z tej książki: „Masz wziąć kurze jajo, owinąć chusteczką, wsadzić pod pazuchę i nosić. Ale w tym czasie nie wolno przewdziewać koszuli, z ludźmi nie rozmawiać, nie modlić się i nie chodzić do kościoła, w mieszkaniu być tyle tylko, co się pożywić. W dziewiątym dniu pójść w puste pole, gdzie nie ma żadnych zabudowań. Tam przedstawi się wam bardzo urodny pan. Pokłoni się, wyjmie z kieszeni nożyk i każe naciąć serdeczny palec. Kiedy krew się pokaże, ten pan wyjmie notesik, następnie pióro, umoczy je w waszej krwi i każe podpisać się w notesiku. Dopiero po podpisaniu należy wyjąć spod pazuchy zaklęte jajo — już będzie zaśmierdziane — i przy tym panu wyrzucić..."
Jeden z muzykantów zrobił z tym jajem wszystko to, co było napisane. Kiedy przyszedł dziewiąty dzień, strach go obleciał pójść w puste pole. I oto ukazał mu się okropny byk. Ze strachu chciał się gdzieś skryć; raczkował pod stołem, pod łóżkiem, wskakiwał na suśnie, na piec [6]. Domowi bardzo się dziwili, co on wyrabia. Bo oni tego byka nie widzieli i nie wiedzieli, czego on się tak lęka. Pytali go: — Czego ty tak waryjujesz? — A on wprost nieludzkim głosem, w strasznej rozpaczy wołał: — Byk mnie goni, chce mnie przebóść, ratujcie mnie! — Wtedy i oni się przerazili. Nagle muzykant z okropnym krzykiem

wypadł z chałupy i co sił popędził w pole, w kierunku Garbatego Działu, gdzie nie było nic, pole tylko i pole. Domownicy wypadli za nim, zaczęła się gonitwa. Wreszcie go złapali, bowiem był już zmordowany. We trzech chłopów, całkiem na siłę, omal mu nie złamali ręki, zgięli ją do przeżegnania się. Żegnając go własną jego ręką mówili: — W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. — On sam nie mógł, tak mu zacisnęło szczęki. Dopiero wtedy opuścił go lęk i przywróciło mu mowę. Wydusił z siebie, że byk koniecznie chciał go wypędzić na pole, gdzie miał pójść sam, ale się bał. Przy tym szamotaniu jajo wypadło i szatan już nie miał siły. Opowiadali to ci, którzy muzykanta ścigali aż na dział. Zaklinali się, że to sumienna prawda.

— A wy w to wierzycie?

— E e! Nasz organista jaja za pazuchą nie nosił, na dział nie chodził, organów nie czaruje, a jak gra? Aż się kościół trzęsie, mury drgają.

— Był przecież i drugi muzykant. Co zrobił?

— Ten drugi?... Dziś to już bardzo stary chłop, żyje i żyją jego bracia. Też posłuchał czarnoksiężnika i począł nosić jajo. Nie mył się, nie golił, nie mówił do nikogo, nawet do matki — jak niemowa. Wychodził z chałupy i całymi godzinami wysiadywał pod ścianą, ale tylko od północnej strony. Jednej niedzieli ułożył się do snu na klepisku w stodole i zasnął. Jego bracia podeszli do niego po cichutku i przycisnąwszy go do ziemi poczęli szukać, co on nosi koło siebie, bo obok domowników przechodził bardzo ostrożnie. Ale kiedy poczęli go obszukiwać, obudził się. Naraz — jak się nie szarpnie z taką siłą, że jednego brata pchnął aż pod jedną ścianę, a drugiego tak silnie uderzył łokciem w bok, że ten uderzył w drugą ścianę. Odeszli od niego i poszli do chałupy. Tylko się nadziwić nie mogli, skąd ten ich brat nabrał nagle takiej siły.

Za dwa dni była Wielka Sobota, święcenie potraw na święta. Matka poszła do kościoła, bracia rozeszli się

każdy do swojej roboty. A on został w chałupie. I krajał bakon na święta. Tak był tym zajęty, że nie słyszał, jak matka weszła do izby. Stanęła za nim ulała na dłoń trochę święconej wody i pierwsze pokropienie zrobiła na synu. W tej samej chwili coś tak okropnie strzeliło jak moździerz przy kościele na rezurekcji. A to pękło to jajo, które syn jej miał pod pazuchą. Jak huknęło, to chłopakiem rzuciło na ziemię tak silnie, że stracił przytomność. Mamusia natarli go zimną wodą, chłopak ocknął się i od tej chwili był zwyczajnym człowiekiem. I to jest prawda, sam mi mówił. Do dziś, chociaż jest bardzo stary, modli się za matkę, że go uratowała od piekła.

Teraz nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Od doliny, którą w ciągu wieków wymyła woda w miękkim piachu, obrosłej posępnymi olchami, wiało lekkim chłodem. Daleko jakiś pastuszek śpiewał zawodząco, wysoko błękitne niebo pruły klucze dzikich gęsi, gęgając żałośnie na pożegnanie. Dookoła panował spokój.

— Czy to wszystko, coście wiedzieli o muzykantach-czarownikach?

— Zapomniałem dużo — lata, kłopoty, ale jeszcze jedno nawet pamiętam dobrze. Jechało wesele. Na pierwszym wozie, jak zawsze, muzykanty. O prymiście to ludzie różnie mówili. Koło drogi, którą to wesele jechało, chłop kiczkami poszywał dach na chałupie. Naraz — naprzeciwko tej chałupy — konie podskoczyły w górę, zakwiczały, cofnęły się gwałtownie i stanęły. Potem poczęły rzucać się niespokojnie, targać w uprzęży i po prostu gdzieś chciały uciekać. A ten na dachu przestał poszywać i śmiejąc się powiedział: Dalej was nie puszczę. — A wtedy ten muzykant, skrzypek, spokojnie do niego: — Puść, bo pożałujesz! — Pewnie myślał, że tamten coś mu uczynił. Ale on dalej się śmieje i odwracając się do niego tyłem mówi do tego muzykanta — a od dawna miał złość na niego: — Wiesz co? Pocałuj mnie tam, gdzie mi na ciele brakuje skóry! — I dalej zabrał się do poszywania.

Muzykant więcej już nic nie powiedział. Zlazł z wozu, wziął bat od furmana, złożył go kilka razy na przegiętkę i przerżnął to nożem na pół. Tamten w tym momencie spadł z dachu na ziemię. Muzykant czarami przeciął mu jelita — jakby to były struny. I wtedy już wszyscy ludzie zrozumieli, że on trzyma z diabłem, który mu dał te sposoby. Ale potem pokazało się, że ten chłop, co poszywał dach, nie był żadnym czarownikiem, chciał tylko zrobić skrzypkowi na złość. A co zrobił? Na poprzek drogi koło swojej chałupy przeciągnął wilcze sadło. A konie, jak tylko poczują wilka, dalej nie pójdą. W ten sposób zginął człowiek od diabelskich czarów.

— Ludzie tyle opowiadają. A czy nie mówią, skąd muzykanci brali takie zaczarowane skrzypce? Czy wszystkie można było zaczarować?

— Hm! Jak by to powiedzieć? Dużo skrzypiec to muzykanci sami sobie robili ze świerkowego drzewa. Czy każde można było zaczarować?... Nie wiem. Jedno to wiem na pewno. Z wielu wsi chłopi jeździli na flis. Wtedy lasy były ogromne, w zimie cięli je, bale zwozili na saniach nad rzekę, a na wiosnę, jak tylko lody zeszły, długaśne drzewa wiązali wiciami w ogromne tratwy i spławiali je do Gdańska. Na flisaków godzili się biedniejsi chłopi, co to gruntu mieli niedużo, że same baby obrobiły. Jak pojechali na wiosnę, wracali dopiero jesienią. Trafiali się i muzykanci, którzy w lecie nie mieli co robić. I oni z Gdańska przywozili sobie skrzypce. Jak kupił skrzypce od Niemca, już były zaczarowane. Często jechali na flis młodzi chłopcy, którzy już próbowali grać albo chcieli, a nie mieli skąd wziąć skrzypiec. I oni głównie takie skrzypce przywozili. Mówili o jednym chłopaku, że chociaż przedtem prawie nie umiał grać, to jak tylko wziął do ręki takie skrzypce, prawie same grały. Ale oni się do tego nie przyznawali, mówili, że się sami nauczyli grać.

Taki jeden, co mu same skrzypce grały, nazywał się Mroczek. Ale ten nie krył się z tym, że miał diabła. Jak

sobie podpił, to nawet żandarmom [7] wydawał rozkazy i oni musieli go słuchać. I inni też. Pewnego razu zaprosili go grać na wesele do wsi, gdzie go prawie nie znali. Właśnie odgrywali „dobrą nockę", kiedy na wesele przyszedł, naturalnie proszony, bogaty kmieć spod Pilzna. Był już trochę podpity. A ten kmieć, kiedy sobie trochę podpił, lubił figlować. I na tym weselu upatrzył sobie Mroczka i — dalejże do figlów. Muzykant jakiś czas nie zwracał na to uwagi, ale kiedy ludzie poczęli się z niego śmiać, zwrócił się do kmiecia i rzekł spokojnie: — Siadaj na kominie! — I tenże kmieć, jakby nigdy nic, wziął drabinę, przystawił do dachu, wylazł na kalenicę, siadł na kominie i siedzi. Ludzie całkiem ogłupieli, nikt nie mógł wyrzec słowa. A był wtedy siarczysty mróz. Ludzie patrzą, a kmiecia poczyna dobrze trząść. Kiedy już dobrze zmarzł, Mroczek zawołał: — A tyś tam po co wlazł? Złaź! — rozkazał. Kmieć potulnie począł złazić po drabinie. Jeszcze trochę, a byłby zamarzł na śmierć. O, ten Mroczek dużo filgów, a i też krzywdy ludziom narobił! I nic nigdy mu się nie stało.

Frączek ciągnął opowieść dalej:

— Był jeszcze drugi muzykant, nazywał się Smoleń, który też miał diabła. Raz grał na weselu nie w swojej, ale w obcej wsi. A ta wieś od niepamiętnych czasów żyła w złości i w kłótni z sąsiednią wioską. Dochodziło między nimi do swarów, bójek, potem procesów. Był już wieczór, a muzyka odbywała się w karczmie. I naraz do wielkiej, szynkowej izby weszła hurmem hołota — tak nazywali takich, co przychodzili na wesele nie proszeni, żeby sobie potańczyć — weselni zaraz poznali parobków z wrogiej wsi. Zachowywali się grzecznie, przyglądali się im spokojnie. Naraz jeden z przybyłych przystąpił do starszego swata, który zarządzał zabawą i poprosił, aby im pozwolił założyć do basów; znaczyło to, że chcą przetańczyć trzy kawałki. Ten swat pomyślał sobie: — Jeśli nie pozwolę, pójdą tańczyć na siłę i wtedy na pewno

dojdzie do bitki, a z tymi to nie ma żartów. A jak sobie potańczą, może pójdą spokojnie i wesele potoczy się dalej.
— No i pozwolił. Wtedy oni do dziewcząt, a szczególnie do drużek, bo były i ładne, i pięknie ubrane. Temu nie należało się dziwić, taki był zwyczaj. A drużki jakby się namówiły, żadna nie chciała pójść w taniec z tymi obcymi chłopakami, chociaż tamci prosili grzecznie. Co gorsza, poczęły się kryć za ludźmi, którzy stali pod ścianami.
I wtedy...

Aha! Byłbym zapomniał. Wtedy to jeszcze tak kobiety, jak i dziewczęta ze wsi na co dzień chodziły przeważnie w koszulach lnianych własnego wyrobu, ale na święta czy na wesela ubierały koszule z płócien fabrycznych, cieniutkie. Dla oszczędności te kupne koszule były krótkie, nawet nie sięgały pępka. Natomiast spódnic ubierały nawet do pięciu, żeby u dołu były bardzo szerokie. Taka to już była moda. I co się stało? Wszystkim tym drużkom, co nie chciały pójść tańczyć z chłopakami z obcej wsi, jakby troczki od wszystkich spódnic brzytwą przeciął; spódnice spadły na ziemię, a dziewki zostały tylko w tych swoich świętalnych koszulach po pępki. Jaki się nagle zrobił wrzask i popłoch! Dziewki jakby na komendę chciały podnieść spódnice do góry — a tu w żaden sposób się nie dało, jakby spódnice były z ołowiu. Jak się schyliły, żeby zakryć to, co mają na przodzie, to pokazały wszystko z tyłu. Jaki był śmiech! Chłopaki rzucili się oglądać te cuda; przygadywali, wyciągali dziewczęta na środek izby, te znowu wrzeszczały wniebogłosy. Dziewki pokucały, żeby się pozakrywać. Dopiero kiedy któraś ze starszych kobiet zgasiła światło, dziewki pouciekały na pole i tam się jakoś takoś ubrały. Ale już ani jedna nie wróciła na wesele. Smoleń zrobił podobnie jak Mroczek. Ile to potem było gadania nie tylko we wsi, ale i w okolicy!
— Cóż jeszcze ten sławny Smoleń wyrabiał?
— Gdyby całą noc opowiadał, i tak by czasu brakło. Ten Smoleń nigdy nikomu nie powiedział, jak się to, co on

uczynił, odmawia. Kiedy on sam odmawiał, to coś tam szeptał, czasem całował słup lub szklankę i odchodził. O jego figlach cuda opowiadali!

— Czy na tych czarowników nie było sposobów? Czy zawsze stosowali swoje praktyki bezkarnie?

— Ho, ho! Mieli i oni za swoje. Niejednemu to jego czarodziejskie muzykowanie do cna zbrzydło. Były i na nich siły, i to jeszcze jakie! Jak było jednemu czy drugiemu wspomnieć o czymś takim, co ich tu czy tam spotkało, to prawie trzęsiączki dostawali. Ludzie i o tym dużo opowiadali. Przede wszystkim często ich straszyło. Bo to dawniej — jak mówili starzy — na świecie było dużo strachów. Przyznał się jeden taki muzykant swojej matce, a ta matka opowiedziała mojej babusi. Grał gdzieś w zapusty, we wtorek przed Popielcem. Zmordowany był, jeszcze bardziej śpiący, bo to i napił się nie najgorzej... Już dochodził do lasku, za którym była jego chałupa, patrzy, żeby trafić na ścieżkę, a tu z krzaków wyszła jakaś ciemna, niby ludzka postać. Muzykant stanął, a „to" idzie w jego kierunku. Pomyślał sobie: — Pewnie ktoś idzie do Kolbuszowej, może do jakiejś roboty. — Ale „to" im dochodziło bliżej niego, tym bardziej rosło i rosło. Aż stanęło przed nim takie wysokie i grube jak dąb. Muzykant tak się przeraził, że zaniemówił, a nogi jakby mu podcięło. Stał i czekał — jakby na śmierć. I dopiero wtedy coś mu podszepnęło, żeby się przed śmiercią przeżegnać. No i zrobił to, jakby drewnianą ręką. I w tym momencie jak nie zaszumi! Jakby tysiące kruków wzleciało z drzew do góry. A ta ogromna postać zaczęła się kręcić i wirować, jak to robią południce w letnie południe, w górę i w górę, aż całkiem znikła. Wtedy muzykanta ogarnął taki strach, że kiedy dopadł chałupy, to tak bił we drzwi — opowiadała to jego matka — jakby się chałupa waliła. A potem to długo nie mógł przyjść do siebie. Dopiero rano przyznał się matce, że na zabawie co wskazówka zegara dochodziła do dwunastej, to ją cofali

i tak kilka razy. Przez to dobrze wleźli w Popielec. I chyba za to go tak przestraszyło. Od tego czasu już nigdy nie wracał do chałupy w wieczór. Wolał gdzie bądź i jak bądź przekawęczyć, aby do rana.

— Czy innych też straszyło?

— Ha! Niejednemu to od tych strachów nawet w głowie się pomieszało. Jak takiego nie dopadło w nocy, to gdzie indziej. Czyście słyszeli o takim muzykancie Wieńcusiu... gdzieś od Rzeszowa? Jaki to był sławny muzykant! Kiedy postarzał się i zachorował, był taki słaby, że spodziewali się końca lada chwila. Synowa, żeby na stypę mieć świeży chleb, zaczyniła, zamięsiła i zapaliła w piecu. Siadła sobie, żeby odpocząć. Patrzy, a tu stary, którego już od kilku dni dźwigali, kiedy chciał się przewrócić na drugi bok, sam dźwiga się na łóżku i zdejmuje skrzypce, które całe życie wisiały nad łóżkiem. Pobrzękał trochę na strunach, pociągnął kilka razy smyczkiem — synowa myślała, że dziadek już nie przy swoich zmysłach. Mało tego, stary spuścił nogi z łóżka, potem podparł się rękami, zszedł na ziemię, wziął skrzypce do rąk i z wielką biedą, ale doszedł do pieca, z którego ogień aż buchał. Synowa jakby zdrewniała, ruszyć się nie mogła. Dziadek stanął naprzeciwko czeluści i tyle tylko dosłyszała: — Ano, grzeszyłyście razem ze mną, przeciągałyście granie na piątki i posty, ginę ja, gińcie i wy! — i rzucił skrzypce wprost w ogień. Tylko błysło — i już było po nich. A tylu rachowało, że po jego śmierci te skrzypce kupi za każdą cenę. No, i nie kupił nikt. Dopiero wtedy synowa zrozumiała, co się stało. Krzyknęła, a dziadek Wieńcuś już o własnych siłach nie doszedł do łóżka; musiała go sama zanieść, bo w chałupie nikogo nie było. Nie upłynęło kilka minut, a stary już nie żył.

*

Wielu muzykantów było niedowiarkami. Byli światowcami, dużo widzieli, z niejednego pieca chleb jedli i z niejednego

sobie pokpiwali. Raz była sobie muzyka — grali we trzech. Ten trzeci to był klarnecista, największy z nich kpiarz. Po jakimś tam graniu wracali do domów. Droga prowadziła przez las hadelski, blisko Tarnawki. A ten las nazywał się Strasznik. Przy drodze stał ogromny dąb, na którym powiesił się gajowy. Tak mówili, ale po prawdzie to go pewnie kłusownicy powiesili, bo ich ścigał. I nie tylko: prześladował baby, co do lasu po patyki chodziły, bił dzieci, które złapał na grzybach czy jagodach. Przezwali go „pański pies". Ale najbiedniejsze były ładne kobiety, które złapał na czymś w lesie; żadna mu nie uszła. Ile się na niego przekleństw posypało! Wreszcie dopadły go te przekleństwa. Po śmierci nieraz widzieli go chodzącego po potokach, gdzie ściągał złapane kobiety niedaleko krzyżowych dróg — w białej płótniance, z grubą lagą w ręce, na której siadywał w lesie. Nigdzie indziej, tylko w tej stronie było słychać różne hałasy — dzwonienie łańcuchów, chlapanie, jakby kto stąpał po wodzie... Naszym muzykantom wyszło właśnie tamtędy, koło tego dębu, przechodzić. Było to zimową porą. Cichutko było, księżyc świecił w pełni, jasno jak w dzień. Kiedy akuratnie znaleźli się na krzyżówce, ten największy kpiarz, klarnecista Kubas, co dobrze miał w czubie, przystanął, a zwracając się w kierunku dębu, zawołał:

— Panie gajowy! Gdzieś się schował? Czego się nie pokazujesz? Akuratnie jest północ, twój czas, pokaż się, panie gajowy! — Zaledwie skończył wołać, jeszcze echo odbijało się o drzewa, kiedy dał się słyszeć taki świst, jakby kto trzasnął z ogromnego bata. A potem tak silnie powiało, że wszystkich trzech rzuciło na ziemię w śnieg. A temu, co wołał, czapkę zerwało z głowy. Kiedy ten szum ustał, wstali, a mowę odzyskali dopiero, kiedy wyszli z lasu. Od tej pory Kubas już nigdy z niczego nie kpił. A co muzykanci mieli z błądami! Te dopiero im dawały szkołę, że się tygodniami nie mogli opamiętać!

— Cóż to były te błądy?

— Co to były? O tym wiedziało kiedyś każde dziecko. Mało to się nasłuchały od matek? — Nie chodź tamtędy wieczorem, bo jak cię błąd ułapi, to zobaczysz! — ostrzegały.

— Jak to wyglądało?

— O, tego to nikt nie wiedział, bo też takiego błąda nikt nie widział. Ale były. Siedziało „toto" na polach, w krzakach, na krzyżówkach i czatowało. Tylko w nocy. Może i w dzień, ale o tym było mało słychać. Jak kto szedł, obojętnie — chłop, baba, a jeszcze, nie daj Boże, podpity i taki, co rano pacierza nie zmówił, złapało człowieka i wodziło po lasach, po mokrych łąkach, po największych zaspach, po dziurach, gdzie by człowiek za nic w dzień nie poszedł. Najczęściej to calutką noc, tak że w końcu człowiek upadał zgrzany, zmordowany, prawie ślepy i zasypiał jak kamień. W lecie to jeszcze pół biedy, ale w zimie? Ile to takich wodzonych na śmierć zamarzło! A kiedy „to" człowieka opuszczało, kiedy się obudził, obejrzał dookoła — głupiał; widział, że znajduje się w tym miejscu, gdzie go „wzięło". Wtedy dopiero żegnał się, odmawiał pacierz i gnał do chałupy opowiadając po drodze wszystkim, co go spotkało. No, i ostrzegając drugich, żeby tamtędy nie odważyli się chodzić. A jak w tym miejscu nie tylko jednego wzięło, ale drugiego i trzeciego, stawiano tam kapliczkę albo i krzyż z pasyjką. Wtedy „toto" gdzieś się podziewało i już ludzi nie wodziło. Opowiadał mi raz stary muzykant — mówili o nim, że za młodu był z niego okropny huncwot — jak szedł z grania, nawet nie z wesela, ale z poprawin. Coś tam wypił — bez tego nie obeszło się — ale sumitował się, że był całkiem trzeźwy. Wziął go błąd, jak się schodziło z działu do krzyżówek, a musiało się przejść przez paryję. Niby zdawało mu się, że dobrze idzie, drogę znał przecież od dziecka, i to jak pacierz. Zimno było, śnieg, ale cicho i dość jasno, bo gwiazdy świeciły. Idzie, idzie... już dawno powinien być w chałupie, a on nawet nie wie, gdzie jest.

Brnął po jakichś głębokich zaspach, piął się do góry po ścianach paryj, wpadał w doły... wreszcie tak już był umordowany, że powiedział sobie: — Zaczekam do rana, za dnia na pewno znajdę drogę. — Siadł na pniaku i zadumał się. Wreszcie poczęło świtać i zrobił się dzień. Wtedy chciał zobaczyć, którędy w nocy tak błądził. Patrzy, a jest przy dobrej drodze do swojej chałupy. Nawet było blisko. Stanął na pniaku, aby dojrzeć swoje ślady, a on z tego miejsca nawet kroku nigdzie nie zrobił; śnieg równiutki, czyściutki... Zrozumiał. To błąd wodził go w kółko, jakby w tańcu.

Ale muzykanci to już najbardziej obawiali się boginek. A te nazywali boginami. Było im wspomnieć, zaraz każdy oglądał się, a nawet przeżegnał.

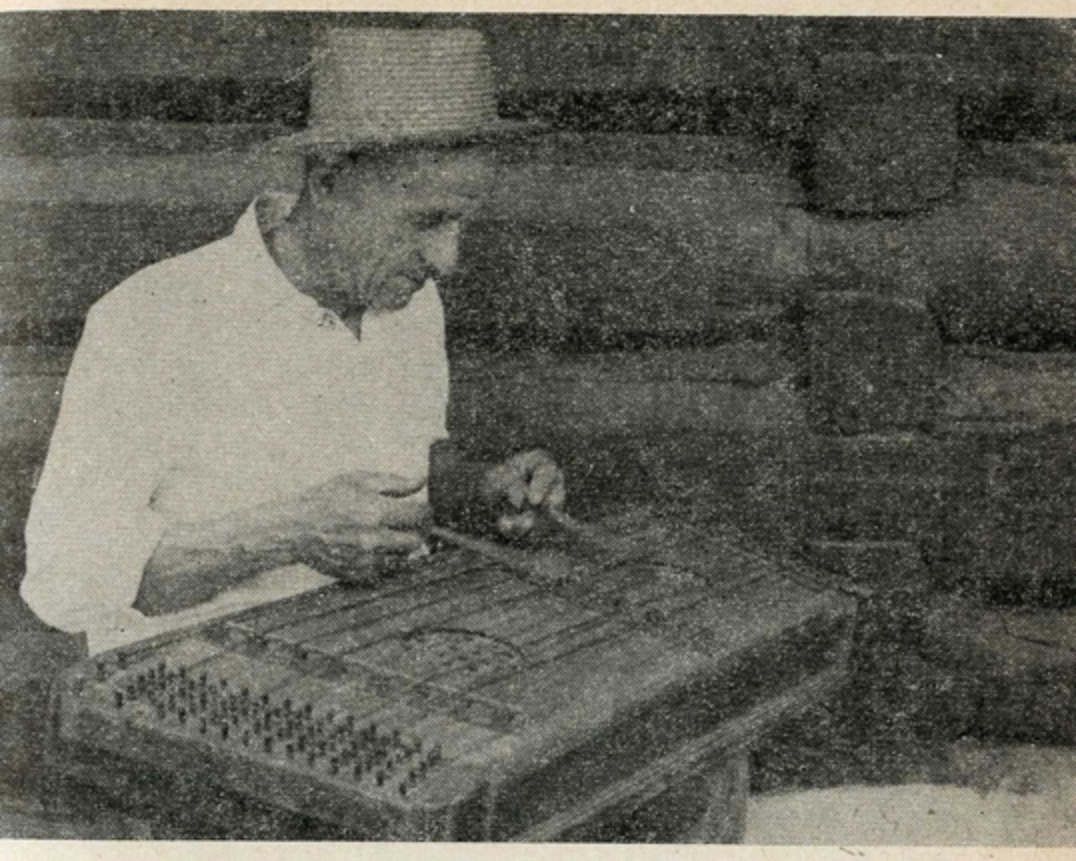
— Co to było?

— Takie jakby młode dziwoszki; nie takie dorosłe, ale wszyściutko miały jak tamte. Zgrabniutkie były, a zawsze chodziły nagusieńko, jak człowieka Pan Bóg stworzył. Milutkie były, wesolutkie, a zawsze siadywały tam, gdzie woda. Takie bardzo szkodliwe nie były, czasem nawet i dobrze komuś zrobiły, ale okropnie lubiły psoty. Bawiły się, tańczyły, ale tylko do miesiączka. I właśnie wtedy bardzo były łase na muzykantów. Niechby który z nich próbował pójść na wodę w czasie pełni! Jednemu właśnie tak iść wypadło. A nie wiedział, że tam lubią przebywać boginy. Dochodził do kładki, żeby przejść na drugą stronę, a tu go otoczyły dookolusieńka i dalej prosić, a przymilać się, żeby im zagrał do tańca, że mu zapłacą. I zaczął im grać. Trochę się bał, ale boginy tak się do niego uśmiechały, że chłop zapomniał o wszystkim i grał, jak tylko umiał najlepiej. A te boginy tańczyły jak modre świtezianki nad strumykiem koło szuwarów. Co chwilę któraś wybiegała z kółeczka, ocierała się jak kotka koło grajka, musnęła go czym mogła, a na końcu rzucała mu pod nogi złotą, błyszczącą monetę. To muzykant grał coraz ostrzej, boginy tańczyły, aż szumiało, a przed

muzykantem leżała cała góra złotych pieniędzy. W końcu grajek tak osłabł z tego iście szatańskiego grania, że upadł i natychmiast zasnął. A jak spał — niczym borsuk w zimie w swojej jamie — to nic, tylko mu się pieniądze śniły i co za nie kupował. Wreszcie obudził się, przetarł oczy, odetchnął głęboko i w tym momencie przypomniało mu się nocne granie dla bogin i ta góra złota. A słoneczko stało już wysoko. Zerwał się przestraszony, że ktoś może zobaczyć i zabrać mu ogromny skarb, chciał zabrać monety, patrzy... owszem, leży przed nim spora kupa, ale same drzazgi z drewna. Omal mu serce nie pękło. Długo nie mógł przyjść do siebie, tak siedział i dumał do samego południa. I chociaż nikomu podobno nie powiedział o swojej przykrej przygodzie, to jednak jakoś rozniosło się po kilku wsiach. Co się z niego naśmiali!...

*

— Jak mówiłem, dużo muzykantów było niedowiarkami. Do grzechów ludzi wiedli, piątki i posty zarywali, do bitek doprowadzali, ludzi od nabożeństw odciągali. Najgorzej, że baby i dziewki do karczem ściągali, a potem... A wiecie wy, co to jest Chełm? Nie? To jest taka wysoka góra, a blisko szczytu, na którym kiedyś stał wielki kościół, jest spory dół, tam stała dawno karczma. Właśnie kiedy w karczmie odbywała się hulanka, a ludzie mało że nie szaleli z uciechy, przejeżdżał ksiądz do chorego. Tańczący słyszeli dzwonek do klękania, ale nikt nie przerwał tańca, nie wyszedł na pole, by uklęknąć. Tylko jeden muzykant, ale i on klęknął jedynie na jedno kolano. Kiedy ksiądz minął karczmę, nagle rozległ się okropny trzask, ziemia się rozstąpiła, a karczma razem z ludźmi wpadła w otchłań. Tylko muzykant się ostał, ale z jedną nogą, którą klęczał nad przepaścią — druga poszła w przepaść. Dziadkowie pamiętali go, jak chodził o kuli, ale bez grania nie mógł wytrzymać. Dalej grał na weselach, ale broń Boże w karczmach; postów już i piątków nigdy



Cymbalista z Haczowa (5)

nie zarywał. I drugich przed tym ostrzegał. A czy wiecie, jaką przygodę miał jeden basista na Liwoczu? Tam też była karczma. Więc słuchajcie.

Przez Liwocz — a jest to wysoka góra i prawie cała lasem porosła — idzie droga. Ludzie nazywają ją dziś starą drogą; a dawniej to był zbójecki trakt. Tym traktem przejeżdżali kupcy — mówią, że na górze było kiedyś miasto — na których często napadali zbóje, zabijali i rabowali. Niedaleko drogi była karczma; zbóje często w niej pili i urządzali muzyki. Przychodziło tam pełno dziewek, piły i hulały z tymi zbójami; straszne zgorszenie

boskie tam się działo. Ludzie już na to patrzeć nie mogli. Wreszcie i Panu Bogu wydało się tego za dużo. Zawołał diabła i kazał porwać jednego muzykanta, ale w biały dzień. Właśnie po nocnej hulance i pijatyce w izbie spało ich trzech. Diabeł — musiał wykonać Boski rozkaz — łap pierwszego z brzegu i wlecze go ze sobą. Był to akurat basista. A bez niego muzyka do tańca na nic. Basista nagle ocknął się, patrzy, diabeł go wlecze. Począł się tedy dopraszać, żeby mu chociaż basy wziąć ze sobą pozwolił. A diabeł mówi:

— Jest tam w piekle tyle muzykantów, ho, ho! A wszyscy dosyć nabroili. Mają ze sobą i basy, będziesz miał na czym grać. Ale niech tam! — i zgodził się. Potem przyprowadził basistę na brzeg przepaści, co ją nazywają piekłem i do niej kazał mu skoczyć. Basista, który już zdążył całkiem oprzytomnieć, począł się wzbraniać, opierać, cofać, ale diabeł rozzłoszczony złapał go i wtrącił w przepaść, w piekło. Do dzisiaj kto tamtędy przechodzi, jak stanie i wytęży słuch, może posłyszeć dudnienie basów.

— No dobrze. To wszystko jest bardzo ciekawe i nadaje się do książek. Ale powiadacie: było... dziadek opowiadali... słyszałem od babki... bardzo dawno... Dlaczego nie słychać, żeby teraz coś podobnego się działo? Wygląda na to, że wszystkie diabły, błądy, boginy, czarowniki po prostu gdzieś się zapodziały, przepadły na nic. Czy tak?

— Co wy też mówicie! Nie wiedziałem, żeście taki niedowiarek. Chyba nic już więcej wam nie opowiem. Mówicie, że pewnie już nie ma błądów, bogin... Moglibyście się spytać naszego proboszcza Wanasia, co się jemu przytrafiło. A wiecie, kiedy? Dopiero w roku 1933. Jak się potem wszystkie pijaki strzegły! Wracał nasz ksiądz proboszcz z Husowa, gdzie był na odpuście. Może coś i łyknął, jakże by inaczej, odpust, ale furman był trzeźwiuteńki, a drogę znał jak własną kieszeń. Było to wprawdzie w zimie, ale droga była utarta, gładka i prosta. Jak wjechali na paryją, to od tego czasu furman

z księżyskiem krążyli po paryji, zanim ich „złe" nie opuściło. Nawet księdzu nie darowało.
Mówicie, że nie ma czarowników. Kiedy to było? Ale, w czterdziestym dziewiątym. Sam to widziałem, przecież grałem na tych weselach w Hucisku. W naszym zespole mieliśmy i klarnecistę, Jaśka. Jak każdy prawdziwy muzykant lubił i popić, i dziewczęta. Jak mu się która zwidziała, to krążył koło niej, nadskakiwał, czulił się. W takich wypadkach gdzieś się nagle zapodziewał, wiedzieli my, co się święci. Ostatecznie kilka kółek można było przetańczyć i bez klarnetu. I właśnie na Hucisku naszemu klarneciście podeszła jedna dziewczyna. Ładna była, cholera, zalotna, strzelała ślepiami jak iskrami. Jasiek też był chłopak do rzeczy. Po weselu my poszliśmy do domu, Jasiek gdzieś się zapodział. Co tam między nimi było?... co nas to mogło obchodzić? Myśmy też nie byli inni; za kołnierz nie wylewaliśmy. Za jakiś tydzień znów wyszło nam wesele na Hucisku. Patrzę z tej naszej zwyżki — jest ta Jaśkowa dziewczyna. Zerkam na Jaśka — udaje, że jej nie widzi. Ona też od czasu do czasu łyska w jego stronę, ale też udaje, że go nie widzi. — Oho! — pomyślałem sobie. — Coś między nimi nie w porządku. — Ale kiedy zaprosili nas na poczęstunek, tamta dziewczyna ni stąd, ni zowąd znalazła się koło Jaśka. Znowu poczęła się do niego przymilać, ocierać — a była jeszcze ładniejsza. W jakiejś chwili podała mu duże, czerwone jabłko. Widziałem, jak miał ochotę zabrać się do jedzenia, ale ktoś go zagadał o coś i Jasiek schował jabłko do kieszeni. Kiedy zostaliśmy sami, nasz basista mówi do Jaśka: — Jasiu! Ja ci mówię, ty to jabłko wyrzuć, bo mi ono pachnie czarami. Za dużo ci się ta dziewka przyglądała z ukosa. — Ja też dołożyłem od siebie, tak żartem: — Nie jedz, Jasiu, jabłka, co tylko piłeś piwko, dostaniesz sraczki, znowu będziemy grać bez ciebie. A mamy jeszcze poprawiny. Więc uważaj! — A kiedy poszliśmy za stodołę, zobaczyliśmy pasącego się i przywiązanego na sznurku dużego capa.

Paskudne to stworzenie zaraz przybiegło do nas, a śmierdziało! — I Jasiek dał temu capowi jabłko. Poszliśmy grać. Dziewczyna wciąż tańcowała, ale jakby się Jaśkiem zupełnie nie interesowała, nawet nie zerkała w jego stronę.

Na drugi dzień były poprawiny. Była śliczna pogoda, tańce odbywały się na polu. Nagle zobaczyliśmy między ludźmi znanego nam już capa. Przyglądam mu się, a on jakby czegoś szukał. Naraz zjawiła się ta niby Jaśkowa dziewczyna, która wczoraj dała mu jabłko. Capa jakby coś podrzuciło. Zaraz ofiarował się do niej; chodził za nią jak pies, nie odstępował ani na krok. Chcieli go wyrzucić, wypychali go, to ten rogami. Coś koło niej węszył, wpychał jej pod sukienkę swój łeb. Nawet bicie nic nie pomagało. Wprawiło to całe wesele — a już sobie popili — w jakąś diabelską radość. Niektórzy przestali tańczyć i patrzyli, co z tego będzie. Zerknąłem na Jaśka: jakby się octu napił, ale było widać, że nic z tego nie rozumie. Tylko basista mrugał do mnie znacząco.

Dziewczyna w żaden sposób nie mogła dać sobie rady z capem. Wreszcie jakoś wykręciła się spomiędzy ludzi i gdzieś uciekła. Po kilku tygodniach spotkałem kogoś z Huciska i zapytałem o capa. Opowiedział mi, że właściciel musiał go mocno wiązać, bo uciekał z pastwiska i pędził do tej dziewczyny, chociaż było do niej ponad kilometr. No i co na to powiecie? Pod sumieniem, sam to widziałem i opowiedziałem, jak było. Wierzycie teraz w czary? Mnie to nikt nie przekona, że ich już nie ma. Tylko że dawnych dokumentów nie ma. A szkoda! To były ładne i ciekawe czasy. Po starych muzykantach tylko opowieści pozostały i śpiewki. Czy na długo?

— A co się ostatecznie stało z muzykanckimi diabłami?

— Hm! Młodzi już w diabły, co muzykantom pomagały, nie wierzą. Księża też nie pomstują na nich. A przecież i na dzisiejszych zabawach dużo ludzi wścieka się nie gorzej od dawnych. Czyja to robota?

SŁAWNY PRYMISTA WIEŃCUS Z POWIETNY

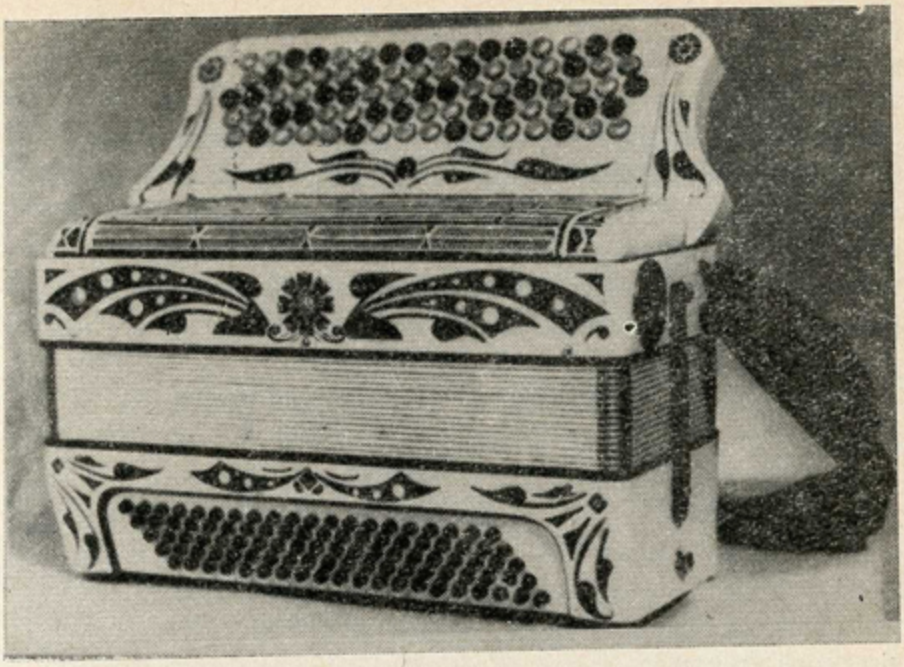
Wieńcuś z Powietny, sławny prymista, gdy był już stary i słaby, że nawet z chałupy nie wychodził i mowy o graniu być nie mogło — to jednak skrzypce zawsze zawieszał nad łóżkiem, tuż pod obrazami. Nie grał już, a przecież jego sława jako najlepszego w okolicy prymisty wciąż żyła, a kto wie, czy i nie rosła. Kto staremu chciał się przypodchlebić, pozyskać jego względy, zdobyć sobie jego uśmiech, musiał go tytułować nie inaczej, jak — panie prymisto! Wówczas twarz starca odmładzała się uroczym uśmiechem, oczy nabierały blasku, dłoń unosiła się do twarzy, by podnieść opadłe wąsy. A były te wąsy sławne jak i ich właściciel.

Józek Ryś z Łąki, kiedy nieźle już poczynał sobie na skrzypcach, dużo słyszał o starym prymiście Wieńcusiu z Powietny. Marzył, żeby tego mistrza muzyki zobaczyć, porozmawiać z nim. Wypytywał, gdzie mieszka, jaki jest dla ludzi, potem przychodził pod chałupę Wieńcusia i przemyśliwał, jak usprawiedliwić swoje odwiedziny. Przychodziło mu na myśl, żeby zapytać, czy nie ma skrzypiec do sprzedania. Wreszcie jednego dnia zdobył się na odwagę i wszedł do chałupy. A znał już jej rozkład: gdzie i jaka sień, gdzie drzwi do izby, a gdzie do komory. Wszedł drżący i niespokojny. W izbie nie było nikogo poza staruchem: na wpół tylko ubrany, siedział na ławie przy oknie, patrząc smętnie na Boży świat. Józek pochwalił Pana Boga i chociaż chłopak z niego był rosły i prawie pod wąsem, przecież podszedł do starca, pochylony jakby w hołdzie i z czcią pocałował jego dłoń. I wtedy zapomniał języka w gębie, chociaż uprzednio na pamięć nauczył się, co ma mówić.

— A tyś co chciał? — łagodnie zapytał starzec.

— Przyszedłem do was, żeby was zobaczyć, poznać,

porozmawiać z wami, panie prymisto — Józek wyrecytował, przyszedłszy do siebie. Aż zdziwił się, kiedy mu to wyszło niby pacierz.
— To bardzo pięknie z twojej strony; nawet dobrze zrobiłeś, bo jestem sam i przykrzy mi się — stary odrzekł z aprobatą i widać było, że jest z odwiedzin i z powitania bardzo rad. Z kolei dłuższy czas trwały wypytywania; skąd jest, jak się nazywa, co robi, jak się o nim dowiedział. Józek nic, tylko odpowiadał na pytania jak w szkole.
A w pewnym momencie padło pytanie:
— A czy ty jesteś może muzykantem?
— Tak, gram trochę na skrzypcach — odpowiedział Józek cały drżąc.
— No, to dobrze! — posłyszał. — A wiesz co? Zdejm skrzypce ze ściany i zagraj co — z uśmiechem na twarzy zachęcał stary.
Józkowi serce podeszło do samego gardła. Ale polecenie należało wykonać. Z nabożeństwem zdjął skrzypce ze ściany. Miały wszystkie struny i smyk był naciągnięty jak nowy. Popatrzył na twarz słynnego prymisty i automatycznie począł stroić. Potem pociągnął smykiem tam i z powrotem po jednych i drugich strunach i znowu spojrzał na starego: co on też powie?
— No, no, nie wstydź się, zagraj, a wiesz co? Jakiegoś walczyka. Ja walce okropnie lubiłem grać, ale jak tańczyło niedużo par. No, no! — zachęcał.
Józek prawie stracił przytomność: grać przy Wieńcusiu!... Palce jakby mu zgrabiały, ale nagle porwał się i począł grać, jak tylko umiał najdelikatniej, najsmętniej. Mogło to granie trwać zaledwie kilka kółeczek — kółeczko to muzykancka miara — i nagle przerwał. Z lękiem popatrzył w oczy starca.
Nastąpiło milczenie. Józkowi zdawało się, że chałupa wiruje, a on razem z nią. Jakby czekał, kiedy się wywróci. I...
— Wiesz, Józek? — posłyszał cichy głos. — Z ciebie



Akordeon konstrukcji Jana Kisały (6)

powinien być dobry prymista, nawet bardzo dobry. Masz czucie do muzyki, a to najważniejsza rzecz! — podniósł nieco głos Wieńcuś. — I smyk ci dobrze chodzi, i palce... będzie z ciebie dobry muzykant! — dodał stary prawie że pieszczotliwie.

W Józku jakby słońce zajaśniało, niby w południe. Skoczył, chwycił rękę mistrza i począł ją gwałtownie całować. Przestał dopiero, kiedy poczuł drugą dłoń Wieńcusia na swojej głowie. I wtedy przypomniała mu się ciotka, ojcowa matka, która zawsze go tak gładziła po włosach, kiedy jej zrobił jakąś drobną przysługę, zwłaszcza kiedy jej przyniósł z karczmy tabakę. A potem znowu rozmowa o tym i owym, przeważnie o muzyce i muzykantach. Nareszcie stary rzekł:

— Wiesz, Józek, ty już dzisiaj idź, ja się muszę położyć, słabo mi. To tak często, ale przejdzie. Ale tu jeszcze

przyjdź! — dodał prawie rozkazująco. — A nie mów nikomu, że tu do mnie przychodzisz, tak będzie lepiej! — zakończył.
Józek wracał do Łąki — raczej leciał — jak napełniony szczęściem. Kilka dni myślał tylko o tym spotkaniu, śniło mu się każdej nocy. Planował pójść za tydzień, a poszedł za kilka dni. Ale w izbie zastał wielu ludzi. Wtedy Wieńcuś zaprosił chłopaka do alkierza. Tam, zamknąwszy drzwi, zaczął mówić, tak prosto z mostu, jakby po krótkiej przerwie.
— Czy ty, Józek, doszedłeś do tego, zrozumiałeś to, że skrzypce to prawie tak jak żywe stworzenie?
I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej, dziwnie pieszczotliwie.
— Jak będziesz kiedyś na weselu, na którym będą grali sami dobrzy muzykanci — prym, sekond, basista, to wsłuchaj się dobrze. Jak to zrobisz, posłyszysz, jak skrzypce śpiewają:

A ci-lici, a ci-lici, a ci-lici ciajciom!
A ci-lici, a ci-lici, a ci-lici ciajciom!

— tak samiusieńko, jakby śpiewał taki maleńki ptaszek, który skacze po konarach. A razem z nimi basy:

Wiara babka — nadzieja, miała dziadka złodzieja —
Po-popioł, po-popioł, diabeł babkę utopioł!

— tak, jakby krowa ryczała. A sekondzista? Tych to my tak przezywali:

Pi-ciom, pi-ciom, pi-ciom, pi-ciom...
Pi-ciom, pi-ciom, pi-ciom, pi-ciom...

— co wyglądało, jakby uderzony kijem piesek uciekał i skomlał. I tak calusieńkie wesele czy inna muzyka. Sekondzista to mógł spać i grać.
Bywało, że wesele było kiepskie, o muzykantach jakby zapomniano, musieli siedzieć i patrzeć, jak inni jedzą, i grać głodni. Wtedy skrzypce mówiły:

Prosili nas na wesele, nie mają nam co dać,
Postawili kapuściny, więcej nic nie widać!

Tak to instrumenty śpiewały czy mówiły, kiedy muzyka składała się już z trzech muzykantów. Ale dawniej, jeszcze za słynnego Siłki, co to umiał różne muzykanckie sztuki, muzyki grały tylko we dwóch: skrzypce i basy. I wtedy skrzypcowe struny nazywały się inaczej aniżeli dziś. Ja nigdy nie mogłem tamtych nazw spamiętać. Wiedziałem: ta najgrubsza nazywała się szych. Za nią, bliżej smyczka była barania, potem rzymka — i ta najostrzej grała i najwięcej. Jak który chłop miał zrywnego i robotnego konia, dobrego do ciągu, to go nazywał rzymka. Najcieniej grającą, drucianą, nazywaliśmy kwintą. Ta, jak się urwała, to mogła paskudnie skaleczyć skrzypkowi gębę.

Wieńcuś zasapał się; często brała go dycha. Ale jak odpoczął, ciągnął dalej:

— Teraz smyki fabryczne, leciutkie, nawet nie czuć. A dawniej smyki tak do skrzypiec jak i basowe samemu się robiło. Był taki kabłąkowaty kij, na to naciągali koński włosień. Kto tam wtedy znał kalafonię!... smarowało się smyki żywicą. Skrzypek takim smykiem nasiadał na wszystkie cztery struny i darł nim tak mocno w tę i wewtę stronę, że biedne skrzypczęta z tego ucisku jak niebożęta tak darły się i wrzeszczały w niebogłosy, jak ze strasznego bólu. A to po to, żeby poszalałym z picia i tańcowania ludziom dogodzić, zaspokoić ich pożądliwości. Przy takim graniu, nie dziwota, że ludzie nie wiedzieli w ogóle, co robią. Basy miały tylko trzy struny: bąka, baranią i trzecią, jedwabną. Tę najczęściej zastępowano stalowym drutem. Żeby basy jak najostrzej brzęczały — bo tylko takie granie podobało się ludziom, a nazywali to „pod psa" albo „pod żabkę" — to podkładali strumik pod struny. Był to kawałek szkła, jakoś go przymocowywali, żeby nie odpadł. Jak po takich basach ze strumikiem pociągnął muzykant smykiem nasmarowanym żywicą, to szkło ni to wyrzcało, ni

brzęczało, ale graniu dodawało rzozu i wesołości. A tańczących setnie rozjurzało. Tylko na basach ze strumikiem basista musiał umieć grać; musiał pociągać smykiem po strunach krótko i ostro. Inaczej nic nie wychodziło. Bo widzisz, ówczesne basięta to były strasznie mizerne: takie trochę większe skrzypce. Jak do nich nie założono szkła, to wydawały głos podobny do rechotania starej świni albo do chrapliwego kwakania starego kaczora.

Bywały basisty-majstry, bywały! Jak za takimi prymiści szukali! Taki majster to nie pociągał smykiem po strunach, ale targał je pazurami, czyli paluchami, a końcem smyka uderzał w struny tuż koło podstawka. Tak na przemian: raz targał, raz uderzał. Trzeba na to było mieć i siłę, i zmysł. A takie granie nazywało się „z pazura". Tak grać potrafił mało który basista; może jeden na dziesięciu. Ja miałem takiego! Co to był za basista! Jak się weselni rozochocili, to co sił darli się: — Z pazura! Z pazura! — O, za takie granie to płacili! Ale też tańczący rozjurzali się niemal do wściekłości. Tylko trzeba było mieć siłę. Kiedy się tanecznicy rozjurzyli, to nic nie widzieli i nie wiedzieli, co robią. Baby piszczały i kwiczały, jakby je żywcem ze skóry obdzierał. Nie ze wstydu, nie, z uciechy. Niejedna wtedy tak swego chłopa, niby tego, z którym tańczyła, ugryzła... i to nieraz. Chodziły takie chłopy jakby po bitce. A chłopy... jedną ręką trzymał babę czy dziewkę, a drugą sięgał za pazuchę... byle prędzej. Ale ja ci, Józek, takich rzeczy nie powinienem opowiadać; dzieciak z ciebie jeszcze. Zresztą, kiedyś sam to zobaczysz.

— Boże! mój słodki Boże!... — Józek szeptał bezwiednie, jakby tym opowiadaniem został całkiem zauroczony. — Żebym to ja tak kiedyś potrafił zagrać! — modlił się w duchu.

— Hoj, hoj! Kiedy to było!... — stary prymista ciągnął po dłuższej chwili i westchnął tak żałośnie, jakby na widok odchodzącej od niego umiłowanej kobiety; a mówili, że

Wieńcuś lubił kobiety, a one jego. — Hoj, hoj!... widzisz, za moich czasów niektórzy muzykanci taki mieli zwyczaj, czyli przywilej, że za skarby nie usiedliby do grania na poprzek tragarzy; niech Bóg broni! Tylko na wzdłuż. Wierzyli, że na poprzek siedząc nic a nic by się im nie darzyło. Wtedy skrzypce nie miałyby żadnego rzozu; nie grałyby, ale jęczały.
I wierzyli, że coś by im się jeszcze gorszego stało, nic by nie zarobili. Pytałem ich nieraz: — Dlaczego tak robicie? — I nigdy mi nie powiedzieli. Albo nie chcieli, albo już sami nie wiedzieli, dlaczego tak robią. Ale chyba nie chcieli powiedzieć, zazdrośni byli.
— Byli znowu tacy muzykanci — Wieńcuś wspominał dalej — kiedy już nie we dwóch, ale we trzech grali, to wszyscy mruczeli tę samą nutę, którą grali. To wzmacniało granie, muzyka stawała się głośniejsza, lepiej szła do ucha tanecznikom. No i — najważniejsze; byłbym ci zapomniał powiedzieć — opowiadający jakby się przestraszył, że popełnił wielką winę. — Granie wszyscy zaczynali z Panem Bogiem. Zdejmowali czapki — muzykanci na wszelki wypadek grali w czapkach na głowie, a jak już któremu było za gorąco, to zdejmował i kładł pod siebie, żeby ją mieć pod ręką — żegnali się nabożnie, najpierw sami, a potem każdy końcem smyka na dnie skrzypiec czy basów kreślił znak krzyża świętego. Tak samo, jak kobieta żegna spód bochenka chleba, kiedy go zaczyna. Przypatrz się dobrze na weselu, placki też żegnają. Wszyscy z Bogiem wesele zaczynali, bo na początku grało się nabożne pieśni, ale kończyli je prawie wszyscy z diabłem. Jak się spili niby Belzebuby, to wywracali się jak kręgle i tak zasypiali: jedno przy drugim albo i jedno na drugim. Chłopy i baby... Inni wpychali takich nieprzytomnych pod ławy, by tam spali.
Zaległa cisza. Z izby nie dochodziły już żadne głosy. Stary oddychał ciężko, jakby co tylko wstał po całonocnym graniu. Józek zrozumiał, że czas odejść.

— No to bądźcie zdrowi, panie prymisto, ostańcie z Panem Bogiem! — Józek żegnał się według wszelkich przepisów. Sięgnął po dłoń starego, żeby ją jak zwykle pocałować, ale Wieńcuś jakby się ocknął. Czyżby żal było mu przerywać wspomnienia, przeszłość bujną i szeroką?
— Czekaj jeszcze, pójdziesz za chwilę, niech ci jeszcze skończę o tamtych starych muzykantach, siadaj jeszcze! — rozkazał. Józek natychmiast siadł posłusznie, chociaż w głowie dobrze mu już wirowało, bowiem opowiadania prymisty w wyobraźni Józka przetwarzały się w żywe i pulsujące obrazy.
— ... Jak prymistę godzili na wesele, to musieli mu dać zadatek. Ale to nie nazywało się zadatek jak przy innej zgodzie, ale „na struny". Wysokość zadatku zależała od czasu trwania wesela: dłuższe — większy zadatek, i odwrotnie. Granie dawniej liczyło się na dni: dwa, trzy... Taki zadatek wynosił od trzech do pięciu reńskich [8]. To był jego, prymisty, dochód, tym się z nikim nie dzielił. Inni muzykanci wiedzieli o tym, żal im było, że to idzie tylko dla jednego, ale nic nie mówili, bo mówić nie mogli — takie było prawo. A to, co wspólnie zarobili, było w basach. Basy to był jakby bank. Na końcu wesela podnosili je w rękach i próbowali; ciężkie? lekkie? Czasem, jak wesele było bogate, były nawet bardzo ciężkie. Bo to widzisz, dawali tylko metalowe pieniądze. Najczęściej niklowe, srebrne trafiały się, ale rzadko. Nawet jak się muzyki po weselu spili na umór, to gospodarze wesela pilnowali tych basów, żeby nikt z nich nic nie podebrał. Tam leżał cały ich zarobek, bo do basów wkładali ci, co taniec zamawiali. Gdyby tak muzykantów okradli, to dla weselnego domu byłby wielki niehonor. Muzykanci szli z tymi basami do prymisty. Dopiero tam miała miejsce wielka uroczystość: trzepanie basów. Takie mieli sposoby, że w basach nie został nigdy ani grajcar. Kiedy już pieniądze leżały na stole, na kupce, rachowali wszyscy, a potem dzielili. Według starego prawa prymista

brał połowę zarobku, dopiero drugą połowę na pół, jedną połówkę brał sekond, drugą basista. Sekondzista był zadowolony, bo i jakie to było jego granie. Ale basiście to widziała się krzywda, bo rzeczywiście napracował się do dziesiątych potów. Ale nic nie mówił, takie było prawo. Józek wreszcie pocałował prymistę w rękę, przyrzekł, że jeszcze przyjdzie, i poszedł. Już się lekko mroczyło, była przecież jesień. Mimo że był odważnym chłopakiem, nie zdobył się, aby pójść na krótsze drogi, na Krzywy Wał. — Lepiej nie kusić złego — pomyślał. Ruszył tedy dalszą, ale pewniejszą drogą, na Rzeszów. W drodze tak żuł to, co usłyszał, że nie spostrzegł, kiedy znalazł się przed chałupą. Spał po forsownej drodze twardo, ale kiedy obudził się, czuł, że całą noc śniło mu się to wszystko, co słyszał od Wieńcusia. Przemęczył kilka dni i znowu poleciał jak na skrzydłach.

— Dobrze, żeś przyszedł! — zawołał Wieńcuś, widocznie uradowany. Czyżby czuł ulgę, przekazując swoją muzykancką wiedzę temu oto zapaleńcowi? — Widzisz, jak człowiek leży i nie może spać, to mu się przypominają czasy od Adama i Ewy. Dziś to muszę opowiedzieć ci o takich jednych muzykantach... ho, ho!... Kiedy to było! Słynęli daleko i szeroko, tak trochę jak i my. Ale nie wchodziliśmy sobie w drogę; oni mieli swój, a my swój rejon. A jak już co zaszło, tośmy się jakoś zawsze pogodzili, i dalej było dobrze.

Józek przemienił się w słuch.

— Tych muzyków było trzech. Szanowali się i żyli w wielkiej zgodzie. Przynajmniej bardzo długo. Prymistą w tej muzyce był Waluś Skóra, sekondzistą Grzegorz Wiśniowski, a basistą Jędrzej; jużem ci o nim mówił. Przezywali go Fidek. Ten był wielkim specjalistą od „z pazura". Jak gdzieś grali pierwszy raz, gdzie ich jeszcze nie znali, to ludzie na ławy włazili, jeden drugiemu na plecy się wspinał, żeby tylko widzieć słynnego basistę. U Szafrańskiego w Stobiernej tyle ludzi wygramoliło się

na długą ławę, że ta się złamała i ciekawscy gruchli na podłogę. Chociaż potłuczeni, krzyczeli nie z bólu, ale z zachwytu: — Ależ oni grają! Ale to muzyki! — A tamci, żeby pokazać, co umieją, tak grali, że wapno sypało się ze ścian i powały.

Ci muzykanci długo żyli jak bracia. Ale — drudzy o tym nie wiedzieli, że basistę gryzła zazdrość jak ten robak; dlaczego prymista bierze aż połowę?... czego sekondzista dostaje tyle samo, co on, basista? A czy jest na świecie lepszy basista od niego? Mimo że powodziło mu się bardzo dobrze, bo zarabiali dużo, jakby zły duch wciąż mu podszeptywał, że dzieje mu się krzywda. Ta nierówność — tak uważał — gryzła go i gryzła. Nie pokazywał tego po sobie, ale w duszy przemyśliwał, jak by się pomścić, dojść sprawiedliwości. Nie pokazywał tego po sobie nawet we własnym domu. A tu granie sypało się jedno po drugim, Jędrzejowi serce się krajało na widok, ile pieniędzy zgarniał ze stołu prymista.

Pewnego razu zaprosili ich do bardzo bogatej wsi i do bogatego gospodarza. Ugodzili się na trzy dni, zarobek zapowiadał się niezwykły. Przyjechali w wieczór przed weselem, umyślnie, chodziło bowiem o majenie okowity; gdzie by tam na takim weselu pili czyściuchę. Mogliby poprzepalać sobie gardła. Wszyscy wiedzieli, że specjalistami od majenia są właśnie muzycy, dlatego często ich do tej czynności zapraszali. Wódkę maiło się w wielkim cebrze. Żeby utrafić, musiało się próbować, czyli raz po razu kosztować, ale nie kieliszkami, tylko półkwaterkami. To robiło swoje. Późno wieczór muzykanci zwykle leżeli jak bele. Rano — przecież mieli wprawę — wstawali jakby nic, jakby wieczór pili maślankę lub kwaśne mleko. Kiedy tylko coś przegryźli, już grali jak szatany. W tej wsi takiej muzyki jak świat światem nigdy nie słyszeli. Toteż i prymista, i sekond dobrze widzieli — serca im się śmiały — jak do basów sypały się nie tylko niklowe, ale i srebrne pieniądze, bo stukało w basach, jakby bił w nie

kamieniami. Gospodarze z radości za taką muzykę nosili muzykantom jedzenie i picie, nie odmawiali. Łykali „pocieszycielkę"; nazywali ją też brąkwią, hyrdygałą i jeszcze inaczej — ale pili ostrożnie. Przecież przyjechali, aby dobrze zarobić.

Rano, pojadłszy sobie dobrze i napiwszy się na drogę, suto obdarzeni plackami i kiełbasą, zagrawszy na pożegnanie *Już to po zachodzie słońca* — zadowoleni jechali do swojej wsi. Raz po razu spozierali na basy, które wcześniej ważyli w rękach; były ciężkie, powinny dobrze sypnąć. Wreszcie dojechali do prymisty.

— Widzisz! Jednego ci nie powiedziałem! — przerażonym głosem zawołał Wieńcuś — o inkluzach. Czyś kiedy słyszał o tym? Jedni mówili, że to nieprawda, ale inni. Bóg raczy wiedzieć! Inkluz to był taki pieniądz. Kto go miał, tego inkluza, mógł pić i jeść, ile chciał, płacił, ile kto od niego żądał, a potem ten pieniądz wracał do niego. Ale takiego inkluza trzeba było sobie wychować; a to był wielki pan. Przez dłuższy czas nie wolno było chodzić do kościoła, niech Bóg broni do spowiedzi i przyjmować inne sakramenty święte, pacierza nie mówić, przez dziewięć dni ani jeść, ani spać, a surowe jajo nosić pod pachą i koniecznie lewą. Po dziewięciu dniach z tego jaja wykluwał się opiekun — inkluz. Ten, który wytrzymał wszystkie te męki, nie miał nigdy zmartwienia z pieniędzmi.

— Czy wyście znali takiego człowieka, który miał inkluza? — z blaskiem w oczach zapytał Józek. Ale prymista jakby tego zapytania nie słyszał i ciągnął dalej.

— Jednego razu — słyszałem o tym wiele razy — chłop sprzedał na jarmarku cielę. Prawda, ładne było, ale chłop zacenił za nie bardzo dużo. Ludzie, słysząc taką cenę i widząc postawę właściciela cielęcia, że nie spuści ani centa, wzruszali ramionami i szli dalej. Aż podszedł jakiś człowiek, a usłyszawszy cenę, nie targując się ani chwili, wyjął pieniądze i zapłacił. Chłop o mało nie krzyczał z radości, dostawszy tyle pieniędzy. Zaraz kupił dzieciom

obwarzanki, babie śledzi, bo je bardzo lubiła, coś tam jeszcze i jakby na stu koniach pobiegł do chałupy. Tu z radości urządzili sobie gościnę, jakby chrzciny. Kiedy wszyscy dobrze sobie podjedli, pogładzili brzuchy, baba mówi do chłopa: — No, stary, dawaj pieniądze. — Wolała je mieć u siebie, widząc, że chłop lubi sobie czasem dobrze łyknąć. Przy duszy to on tam nigdy nie miał ani grosza, ale jak go naszło, babę pogłaskał, to wyciągała węzełek i dawała mu; nie więcej jak na dwa półkwaterki. Szparowna była kobieta. Chłop bez sprzeciwu sięgnął do kieszeni spodni, tych pod spodem, szuka, przewraca... przecież dobrze pamięta, tam włożył. Co to znaczy, że nie ma? Szuka w drugiej kieszeni, w zanadrzu, ściąga buty, przewraca wszystko, nawet czapkę — pieniędzy ani śladu. Wreszcie rozeblekł się do naga, przetrzęśli, co było na chłopie, do góry nogami... Dopiero teraz narobili takiego gwałtu, że niech ręka boska broni. Zbiegli się sąsiedzi, zwłaszcza tacy, co byli na jarmarku, przysięgali, że chłop ani szklanki piwa nie wypił, tylko poleciał prosto do domu. Nikt mu nie mógł wyjąć, nie przepił... Zamarli wszyscy z przerażenia. Poczęli się żegnać, ale nikt nie miał odwagi wypowiedzieć paskudnego słowa. Chociaż już wszyscy wiedzieli, co się stało, I nagle...

— Inkluuuz!... inkluuuz! — chłop zaczął jęczeć i targać włosy. Potem zebrani rozeszli się i roznieśli szeroko, co się stało.

— Czy te pieniądze za cielę wróciły do tego, co je kupił? — zapytał rozdygotany Józek.

— Tak mówią — odparł Wieńcuś. — Ale posłuchaj, co z tamtym było dalej. Muzykanci mieli taką zasadę, od której nigdy nie odstępowali, że trzepanie basów, niech Bóg broni, żeby się miało odbywać gdzie indziej, aniżeli w domu prymisty. A już uchowaj Boże tam, gdzie było wesele. Przy trzepaniu nie mogło być żadnych świadków, nawet małych dzieci. Bo widzisz... — tak mówili — mógł mieć ktoś, nie wiadomo kto, „takie" oczy, to jest

zdradliwe i mógł urzec. A widziałeś ty, żeby rybak pokazał komu to, co ułowił? Przypatrz się! Taki przed świtem poleci z rybami do miasta, żeby go kto nie widział. Tak i muzykanci; trzepali tylko we trzech, potem się dzielili i żeby którego krajali nie powiedział, ile zarobił. A nuż ktoś ze znajomych miał inkluza i pieniądze diabli wezmą? Porozbierali się, zatarli ręce, przeżegnali, odwrócili basy, no i zaczęło się trzepanie. Cieszyli się z góry, przecież widzieli, ile ludzie zakładali. Trzęsą basami jak sitem, chroboczą, przechylają w tę i w drugą stronę, tłuką pięściami. Wyleciało trochę drobiazgu, ze dwa grubsze kawałki... Prymistę poczęły ciarki przechodzić. Co się to stało? Zaglądali do środka, przyświecali siarkami[9], w basach ciemno jak w czeluściach — nic. Kiwali głowami, pojękiwali, a najwięcej sam basista. Wreszcie siedli jak skazańcy, jakby mieli iść na stracenie. Tyle uciechy... Nagle — basista porwał się z miejsca i począł krzyczeć:
— Inkluz!... Inkluz! A żeby jego!... — i jakby się w język ugryzł, nie dopowiedział. Ale tamci zrozumieli; ktoś wrzucił pieniądz, kto miał inkluza. Na to nie ma rady, dopust boski. Zabrali, co do kogo należało, i rozeszli się. Pozostał tylko prymista.
Dopiero teraz do izdebki wpakowała się cała rodzina; ile też zarobili? No i dowiedzieli się o nieszczęściu. Znowu biadanie, prymiścina poczęła płakać, tylko stary Kuba, ojciec prymisty, siedział i nad czymsiś dumał. Kiedy już się nieco uspokoiło, stary zwrócił się do syna:
— Wiesz co, Jędruś? Jakeście trzepali, to drzwi były leciutko uchylone. Ciekawym był, ile też wyleci. Ziorałem przez tę szparę i dobrzem widział. Jak tylko co z basów wyleciało, to basista zaraz łapał w paluchy i tarł tym o ziemię; niby to niechcący, ale mnie się zdaje, że naumyślnie. Pokaż no te grajcary, co się tobie dostały; zobaczymy, czego on tak tarł i rajbował po ziemi.
Zarobek prymisty, zresztą bardzo mizerny, leżał na stole, na kupce. Ale kiedy każdej monecie poczęli się dokładnie

przyglądać, zauważyli, że niektóre były jakby poplamione czymś czarnym. Stary Kuba drapał pazurami, wąchał i wreszcie rzekł jak wyrocznia: smoła. Po krótkiej debacie zrozumieli: basista nalał do basów smoły i pieniądze się do niej przylepiły. Zwłaszcza te większe monety, bo były szersze. Małe, lekkie pieniążki nie przylgnęły i te wypadły. Taki więc był ten inkluz! Teraz basista weźmie haczyka i co się przylepiło, poodrywa i będzie się z obu śmiał. — A to ci złodziej! — wołali.

Prymista teraz najstarszemu chłopakowi kazał gnać co sił po sekondzistę, żeby zaraz przychodził. Może go złapie jeszcze w drodze. I żeby wziął z sobą zarobione pieniądze. Jego też były posmarowane czymś czarnym. Teraz już obaj w te pędy polecieli do basisty. Sekondzista mało się odzywał, ale prymista zrobił takie piekło, że się chałupa trzęsła. Na dowód pokazali mu poplamione monety. Myśleli, że się zawstydzi, że będzie się wypierał, że zgłupieje. A on nic. Kiedy prymista zażądał zwrotu skradzionych pieniędzy, basista tonem pełnym zadowolenia, że mu się udał taki kawał, spokojnie powiedział, że pieniądze z grania już pomieszał ze swoimi dawnymi i teraz nie może wiedzieć, które są czyje; nie dadzą się rozpoznać. To już wyglądało na żywe kpiny. Prymista tak się rozeźlił, że prawie zaniemówił. Stał chwilę czerwony, jakby się chciał rzucić na basistę i zacząć go bić. Ale po chwili, nie wypowiedziawszy ani słowa, splunął w kierunku basisty i tylko wykrztusił: — Psiakrew sobacza! — A było to jego największe przekleństwo. Trzasnął potem drzwiami i wyszedł razem z sekondzistą. Od tego czasu nigdy więcej nie zaprosił basisty do grania. I tak się rozleciała — chociaż nie całkiem — ta długoletnia spółka. A jak się to rozniosło, to i inni prymiści patrzyli na chytrego basistę podejrzliwie, że i ich mógłby wykiwać. I jeśli kiedy jeszcze grał, to w takich najgorszych muzykach. Inkluz mu się nie poszczęścił.

Józek słuchał opowiadania z otwartą gębą, jak niektóre

baby kazania w czasie misji. Opowiadający musiał jednak dobrze obserwować słuchacza, musiał też zauważyć, że chłopak, nawet w największym zasłuchaniu, co jakiś czas zerkał na Wieńcusiowe skrzypce wiszące nad łóżkiem. Może też przypuszczał, że Józek myślał, komu też dostaną się te słynne skrzypce po śmierci prymisty. Przecież staruszek był już bardzo słaby. Może wyczucie starego skrzypka spowodowało, że nagle zmienił temat i począł bardzo czule:

— Pamiętaj, Józek! Każde skrzypce, jak inne żywe stworzenie, mają swoją naturę. I różne usposobienia, nawet grymasy: niczym dzieci lub młode dziewczęta. Z jednych — albo i tych samych, tylko kiedy indziej — popłynie ci ton ciepły i miękki, jakby anieli śpiewali. I wtedy gra się lekko, nawet smyka się nie czuje, jak chodzi po strunach. Kiedy indziej, zdarzy ci się, że skrzypce będą stawiały opór; jakbyś pilnikiem po żelazie jeździł. Wówczas spod smyka będą ci się wydzierały nuty szorstkie, chropawe, jak z cielęcia, co to beczy: „najgorzej mnieee!". To znowu będą ci grały tak zimno, jakby i struny, i smyk z lodu były. Dlatego to muzykanci, a dokładnie prymiści, jak tylko który kupił nowe skrzypce, to dumał, przemyśliwał, co by tu zrobić, żeby skrzypce grały mu jak najlepiej, jak on kiedy chce, a przede wszystkim, żeby miały rzoz do tańca. No, bo i co było muzykantowi z grania, jeśli ono nie podchodziło ludziom do tańca? Wypadało sprzedać i kupić nowe; a czy trafi na lepsze? To było zmartwienie nie lada: tak, tak!

— Mówią niektórzy muzykanci, że mogą zrobić, iż skrzypce tak będą grały, jak oni zechcą, że mają takie sposoby — nieśmiało wtrącił się Józek.

— Prawda, tak mówią — przytaknął stary. — Różne na to były sposoby... Ho, ho! — opowiadający westchnął i zamyślił się, jakby się zapatrzył w swoje długie, muzykanckie życie. — Sam widziałem, jak do nowych skrzypiec, do środka lali spirytus, taki do palenia... ale

jeszcze dawniej to czystą okowitę — no i zapalali. Tłukli wtedy łupami, żeby płomień dostał się do każdej szpareczki. Wtedy to wewnątrz skrzypiec huczało, a płomienie przez dziury w pokrywie buchały jak z pieca, jakby się palił i wył z boleści zły duch. Myśleli, że w ten sposób skrzypce naprawią, ale Bogiem a prawdą powiedziawszy, najczęściej zepsuli. Wtedy mówili: — Ano, zło się sprzeciwiło. — I kupowali nowe, o ile mieli pieniądze. Inni w bokach skrzypiec borowali dziurki, jako dodatkowe otwory na głos. Czasem coś z tego wychodziło, czasem nic. Zeskrobywali też lakier, niby tę fabryczną farbę, i malowali na nowo, po swojemu. Ale najlepszy sposób, trzymany przez starych skrzypków w wielkim sekrecie, miał być taki: kładło się nowe skrzypce do gęściutkiego, koniecznie nowego, z lannego płótna worka, i trzymając silnie za otwór, uderzało się tym o piec lub ścianę. Chrobotało się w ten sposób łupy na kawałeczki. Następnie wyjmowało się te okruchy, ale tak ostrożnie, żeby nawet drzazga nie zginęła. Sklejało się to do kupy w taki sposób, żeby nie było znać, gdzie było rozbicie. Ile taki skrzypek tracił na taką robotę czasu! Ale sumitowali się, że to gwarantowany sposób.

— A wyście co robili, panie prymisto? — zapytał przejęty chłopak.

— Ja? Nic nie robiłem. Dostałem skrzypce po tatusiu. A mają rzoz!... jak mało które. O, te, widzisz, wiszą na ścianie — wskazał oczyma i ruchem głowy. — Czy tatuś co robili z nimi — nie wiem; nigdy mi nic o tym nie mówili. Oj, Boże, Boże! — starzec westchnął głęboko. — Napracowały się one, biedaczki, napracowały! Czasem to aż jęczały ze zmęczenia — żałował ich jak dziecko.

Znowu zapanowała cisza, lekko tylko mącona monotonną modlitwą zegara i głębszymi oddechami prymisty. Po chwili znów zaczął mówić, ale tym razem nie tylko cicho, ale jakby tajemniczo.

— Widzisz... tylko broń Boże!... tego ci jeszcze nie mówiłem,



Diabły pomagające grać muzykantom. Rysunek Władysława Chajca (7)

żebyś na to poszedł. Mówili mi starzy prymiści, że aby skrzypce grały „jak sto diabłów", trzeba było zrobić coś, na co się mało który ważył. Trzeba było duszę diabłu oddać na wieczne potępienie. Tego się okropnie bali, ale słychać było, opowiadali, że i tacy byli, co granie przedkładali nad niebo, sami się do piekła pchali.
— A czy wyście, panie prymisto, znali takiego, co miał złego za sługę? — z drżeniem zapytał Józek.
— Widzisz... — tu stary zniżył głos do szeptu — o posiadanie takiego sługi posądzali basistę Jędrzeja Rymanka, którego przezywali Fidkiem. A jego syna, Wojtka — Kotem. Wojtek niby to grał na skrzypcach, ale diabła on tam umiał grać. Tylko ojciec buczał na tych swoich basach — oni tylko we dwóch grali — a wydawało się, że ich, muzykantów, jest co najmniej pięciu. A grał za niego... no, ten jego sługa. A spotykali się z nim, ojciec i syn — tak mówili — na Krzywym Wale, za skrzyżowaniem dróg. Dlatego tak daleko, że na skrzyżowaniu stał krzyż. Tam mówili mu, temu swojemu słudze, czego chcą od niego. Mówili ludzie — zaklinali się, że to prawda — że te Wojtkowe skrzypce, kiedy wisiały na ścianie, nie zawsze, ale tylko po spotkaniu się ze złym — same grały. Ale to nie było w naszej wsi, w Wólce Pod Lasem — wyszeptał pan prymista.
A jak im się powodziło!... Ich skrzypce i basy — już ci mówiłem — to miały taki rzoz, jakby ich nie dwóch, ale pięciu grało. Ludzi w tańcu, przy tym ich graniu, to tak nosiło, jakby ich kręciek, taki co to po polach wiry wyczynia, porwał i kręcił nimi do utraty przytomności. Toteż ludzie, którzy o tym nie wiedzieli, brali ich na wesela, a potem płacili, ile tamci tylko chcieli.
Ale i tego było im mało; obaj jeszcze chodzili na rabszic. Najczęściej na Krzywy Wał, bo tam zwierzyny było najwięcej. I żadne zwierzęta nie uszły sprzed ich lufy, wszystko padało. Co leśni hrabiego wyrabiali, żeby ich złapać! Nieraz koło nich przechodzili, ukrytych byle jak

w krzakach, i nie widzieli ich. A jak przeszli ich kryjówkę, to za sobą tylko dziwny chichot słyszeli. Wtedy leśnych ogarniał strach, prawie uciekali, a nie wróciliby się za skarby.

Józek westchnął i przyrzekał sobie w duchu, że on i bez tego wszystkiego musi dobrze grać; jak Wieńcuś.

— Jedno tylko przyznawali Rymankom; nigdy o nic się nie kłócili, jak to było między muzykantami, czasem to nawet o byle co. Ale — po co im się było swarzyć, kiedy zarabiali, ile chcieli, i kiedy im się wszystko darzyło. No, a innym muzykantom, u których nieraz była bieda, chodziło o zarobek. Kłócili się często o kilka szóstek. Po trzeźwemu to jeszcze, jeszcze, jakoś się pogodzili i było między nimi jako tako. Ale jak sobie tylko lepiej podpili — nie daj Boże! A tak prawdę powiedziawszy, to w wielu spółkach okradali się wzajemnie, jak się tylko komu udało. Kiedyś któregoś ułapili na jakimś kancie, to zaraz kłótnia. Skakali sobie do ślepiów, i to z pazurami, łapali się za duszaki, a często to i do prawdziwej bitki dochodziło. Jak ktoś był przy tym, to ich porozdzielali, ale jak nikogo nie było... Najgorzej na tym wychodziły gady, znaczy się instrumenty, bo je sobie wzajemnie rozbijali lub łamali, taka u niektórych była zapalczywość.

— Wspomnieliście kiedyś, panie prymisto, o Siłku. Co to był za muzykant? — ciekawie zapytał Józek.

— Ho, ho! Muzykant był to wyborny, ale o nim wolałbym nie mówić. Tyle ci tylko powiem, że mówili o nim, że też miał swojego sługę, który mu pomagał w graniu. Ale ludzie go lubili, nikomu nigdy krzywdy nie zrobił, nawet dobrze czynił. Kiedy umarł, ksiądz nie tylko że nie chciał iść z ciałem na cmentarz, ale nawet pokropienia odmówił. Czy ja ci wiem, jak tam było? Ale wrócę jeszcze do innych muzykantów, których posądzali, że złego mają na służbie. O niektórych — nie tak, jak o Rymankach głośno — mówili po cichu. Tego posądzali, tamtego, ale u żadnego z nich tego złego nie widzieli. A zresztą, co tu mówić,

wszystkich muzykantów posądzali o spółkę ze złym. Ile to księża na kazaniach się nakrzyczeli, że każda muzyka jest z diabłem! I wiesz, co z tego wyszło?
Za moich młodych lat, za tatusia też, opowiadali mi, niech Bóg broni, żeby muzykę na weselu czy innej zabawie posadzili pod oknem! — podniesionym głosem i jakby z oburzeniem ciągnął wspomnienia Wieńcuś. — A wiesz dlaczego? Bo na okiennej ścianie, pod powałą rzędem wisiały święte obrazy, niektóre z odpustami. Za obrazy znowu pozakładane były: gromnica, którą się przy konającym i w czasie wielkiej burzy świeciło, palma do kropienia bydła i kropidło do święconej wody, kiedy bydło pierwszy raz wyganiano na pastwisko. Ponad oknami i między nimi ułożony był tragarz; środkowy, najważniejszy. Na tym właśnie środkowym tragarzu był wyrżnięty krzyż, rok budowy chałupy, a czasem i nazwisko tego, kto chałupę budował. Bywały też wyrżnięte i błogosławieństwa. Właśnie pod wyrżniętym krzyżem, na ziemi, kładło się konającego, w tym samym miejscu ojcowie błogosławili młode pary. I jak można było pod takim tragarzem posadzić muzykantów, których posądzało się o spółkę z diabłem?... pod takimi świętościami! A jak sobie tańczący dobrze podpili, to musowo śpiewali często sprośne piosenki. Klęli okropnie na muzykantów, plugawie mówili... że na weselach rodziły się liczne nieczyste grzechy. To księża nazywali krótko: Sodoma i Gomora. Żeby tedy ani świętości, ani Pana Boga nie obrażać, przy tej ścianie nie wolno było sadowić muzykantów. Sadowili ich — jeszcze i mnie za młodych lat, później to się zmieniło — w kącie naprzeciwko pieca z czarnymi czeluściami, które miały przypominać piekło. I jeszcze dlatego w tym miejscu, bo w pobliżu koło drzwi wisiała obowiązkowo kropielnica ze święconą wodą, której diabli ogromnie się boją. Jak ktoś ze starszych zobaczył, że zanosi się na Sodomę i Gomorę, podchodził do kropielniczki, brał na palce parę kropel święconej wody i kropił nią bijących się lub

przeklinających. To pomagało. Ale w miarę jak zaczęli budować kominy, a nalepy z czeluściami burzyć, kiedy obrazy poczęli wieszać i na innych ścianach, też i muzykę sadowili koło okien. Muzykanci chętnie tam siadywali, bo jak było bardzo gorąco w izbie, to otwierali okna i chłodzili się. To się wreszcie upowszechniło i już nie pamiętam z moich późniejszych lat, żeby nas chcieli posadzić gdzie indziej jak koło okien. A was — zwrócił się do zasłuchanego chłopca — gdzie sadowią na weselach?
— Gdzie chcemy — odpowiedział zapytany.
— To dobrze! — pochwalił. — A czy jeszcze teraźniejszych muzykantów posądzają o spółkę z diabłami? — zapytał ciekawie.
— Może ktoś z bardziej starych, ale więcej dla żartu aniżeli serio. Chociaż... i wierzący w diabłów jeszcze się trafiają. Młodzi to już zupełnie nie — z zapałem wyjaśnił Józek.
— To bardzo dobrze! — rzekł Wieńcuś, widocznie podniecony. — Zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie. Już teraz jest inna muzyka, inni muzykanci. Tak pewnie musi być — dodał.
Józek Ryś odwiedzając starego prymistę zauważył, że Wieńcuś za każdym jego pobytem był słabszy. Często zastawał go już tylko w łóżku, to półsiedzącego, to już leżącego. I sam wyczuwał, i ludzie mówili, że zbliża się kres słynnego prymisty. I wszyscy już — właśnie z wyjątkiem Józka — godzili się z tym, że dziadziu Wieńcuś długo nie pociągną. Bo też i starzy byli.
Józkowi było szczerze żal starucha, że musi umrzeć, kiedy stał mu się tak bliski sercu, prawie jak ojciec. Patrząc, jak życie uchodzi powoli z wyczerpanego ciała, coraz częściej spoglądał na wiszące na ścianie skrzypce, jeszcze po ojcu prymisty. Najpierw jakoś tam nieznacznie, ale z czasem poczęła go dręczyć myśl, co stanie się ze słynnymi skrzypcami? I wreszcie — jakby się w nim coś objawiło. — A gdyby tak one mnie się dostały? — Ta myśl-pożądanie

stawała się w nim coraz silniejsza, coraz bardziej dręcząca. Wreszcie widział się już właścicielem tego skarbu. Raz po raz nachodziła go chęć, żeby powiedzieć Wieńcusiowi o swoim marzeniu. Już, już takie słowa plątały mu się po języku — ale nagle cofały się, jakby się bały, że mogą dobić starucha.

Wreszcie rozeszło się po okolicy: prymista Wieńcuś umarł. Ale skrzypiec po nim nie dostał ani Józek, ani żaden inny muzykant.

Dawniejsi starsi mężczyźni, którzy z takich czy innych powodów przez pewien czas chodzili przystrojeni w mundur wojskowy lub urzędniczy, nosili wąsy. Ich zdaniem, sumiaste wąsiska nie tylko uzupełniały mundur, ale podnosiły jeszcze jego dostojność i urok. Tylko już bardzo zdziadziali infanterzyści, ułani, dragoni czy kanonierzy nosili wąsy i brody niczym flaki. Chłopu — to znaczy mężczyźnie jak pieron — końce wąsów musiały sterczeć do góry, ostre jak dwa szydła, sięgając niemal oczu. Wówczas mówiło się z uznaniem: to chłop!
Wąsy każdemu walnemu chłopu bardzo pomagały przy wyrażaniu względnie podkreślaniu stanu jego uczuć. Mogły razem z jego przeciwnikiem kłócić się, złościć lub dąsać na kogoś, równie dobrze śmiać się, kokietować, podkpiwać, figlować... Chcąc dziś spotkać na wsi prawdziwych weteranów — żołnierzy jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej — dobrze jest pójść tam, gdzie pasą się pojedyncze sztuki bydła, a zwłaszcza koni, na jakąś miedzę czy drogę polną.
— Szczęść Boże! — trzeba koniecznie powiedzieć, a następnie zapytać: — A czemuż to, dziadziu, nie śpiewacie? — Śpiewanie przy pasieniu było specjalnym przywilejem młodych pastuszków, więc takie zapytanie mile brzmi dla starucha. Z pewnością coś tam odpowie i w ten sposób nawiązuje się z nim rozmowę. Jeśli uda się wciągnąć starucha w pogadankę — a zwykle się udaje — ileż można z niego wyciągnąć!... Mimo że z wiekiem pamięć kurczy się, nawet te resztki są zwykle niesłychanie ciekawe, zwłaszcza jeśli natrafi się na tak zwanego „filozofa".
W czasie rozmowy trzeba bacznie patrzeć właśnie na wąsy; jak się zachowują, jakie wykazują skłonności. Jeśli drgają,

jakby tańczyły, znaczy, że ich właściciel najchętniej opowiada wesołe historyjki, czyli kawałki z minionych czasów, jakże przewyborne!
Takiego dziadka spotkałem pewnego sierpniowego popołudnia. Siedział na skarpie polnej dróżki w pełnym blasku słońca, które zdawało się z lubością grzać stare kości wąsatego pastucha. A pastuch ze stoickim spokojem pasł krowy na szczycie wzgórza, wpatrując się w rozległy horyzont. Bliżej rozciągała się dolina z usiadłą w niej wsią, a dalej wzgórze porosłe lasem.
— Dlaczego nie śpiewam? — zwrócił się do mnie z przekornie przechyloną głową, mrużąc oczy w półuśmiechu. Zdawał się przyglądać swym jakby nagle roztańczonym wąsom. — Widzicie, moje krowy nie są muzykalne, szkoda mi dla nich głosu — odpowiedział dowcipnie.
— A wyście, dziadziu, muzykalny? — zapytałem podobnym tonem.
— Nie wiem, ale jak mi mamusia mówili, kiedy mnie rodzili, to okropnie głośno śpiewali. Po to, żeby im tatuś zagrali, jako że byli muzykantem — zareplikował poważnie. — Z tego wychodzi, że powinienem być muzykalny, mając tatusia skrzypka, a mamusię śpiewaczkę, nie? — dodał znów w towarzystwie tańczących wąsów.
— Jak tak, to wasze krowy, mając takiego muzykalnego pastucha, powinny nie ryczeć, ale śpiewać. Jak myślicie? — odpowiedziałem uszczypką za uszczypkę. Ale dalej już potoczyła się przyjacielska rozmowa, jak byśmy obydwaj byli bardzo starymi znajomymi. Szybko przeszła na wynurzenia pana Błażeja, na jego wspomnienia. Sprzyjał temu widocznie rozległy krajobraz. Na lewo od wsi rozciągała się i gdzieś tam ginęła szeroka i płaska równina, niewątpliwie koryto przedhistorycznej rzeki. Daleko, daleko siniały wzniesienia Podgórza. Lekkie chmurki siedziały na nich jak czapki na głowach.
— Ja jestem z Turzegopola, nazywam się Leńczak. Tatuś

też byli z Turzegopola i też Leńczak. Ale mówiąc bez szpasów, muzykowali, byli prymistą i to jakim! Grywali jeszcze przed pierwszą wojną — ho, ho! dużo lat wstecz. Już byli starsi, kiedy wzięli ich na wojnę, tę austriacką. I mimo wieku posłali na front. Tam ich gdzieś przywaliło, byli w szpitalu, potem przyjechali do domu i tu zmarli w szesnastym roku. Ich skrzypce gdzieś tam jeszcze są, ale nikt na nich nie gra. Tatuś chcieli wciągnąć nas, dzieci, do grania, ale żadne nie miało do tego pociągu. Zachęcali, uczyli, nie udało im się. Tyle tylko, żem zapamiętał dużo z tego, co opowiadali.

— Słyszałem, że tutejsi muzykanci ogromnie lubili wyrabiać różne figle. Czy to prawda? — zapytałem.

— Prawdę panu mówili — potwierdził. — Na naszych weselach to więcej ludzie figlowali, dokazywali, ćmoje-boje opowiadali dla śmiechu, dla zabawy, aniżeli tańczyli. Taki jest już tutejszy naród. A temu wyczyniali figle i psoty, kogo lubili. Kogo nie lubili, na tego nawet nie patrzyli i do zabawy nie wciągali. Gdyby dziś to zrobili komuś, co kiedyś wyczyniali, byłyby kłótnie, gniew śmiertelny, a nawet i do sądu trzeba by pójść. A wtedy? Wtedy naśmiali się, nabawili, chociaż temu, komu figla zrobili, raczej płakać się nieraz chciało, aniżeli śmiać. Proste to były czasy, prości ludzie... Jak się śmiali, to do łez — aż się na ziemi pokładali. Słów też nie dobierali; mówili tak, że od ich mowy dzisiejszym ludziom uszy by popuchły i zwiędły. A dawniej — nic.

Tatusiowa muzyka składała się z prymisty, to jest tatusia, drugich skrzypiec, klarnetu, cymbałów i basów; razem — pięciu chłopa. Była to sławna muzyka. Gdzie ich nie zapraszali! Do dziesięciu mil, na dzisiejszą miarę do siedemdziesięciu kilometrów. Piechotą nie zaszedł, zamawiający przysyłał konie, a potem muzykę odwoził; taka była umowa.

Wtedy muzyków strasznie szanowali. To nie to, co dziś! — żachnął się. — Karmili, poili, ale też i figle im

wyrządzali, dlatego że ich bardzo lubili. Najczęstszą ofiarą figlów spośród muzykantów był basista. Dlaczego jego sobie upodobali, tatuś już nie mówili. Raz pojechali grać w zimie, więc byli ubrani w kożuchy, basista też. W izbie, gdzie grali, było gorąco jak w piekle. Basista nie mógł już wytrzymać, zdjął kożuch i położył go na siedzeniu. Siedział na nim, bo tak było najpewniej. Co jakiś czas gospodarz podchodził do muzyki i wszystkich częstował wódką. Siedzący nie wypadało pić, tylko stojący. Kiedy basista podniósł się do picia, w tym momencie ktoś wyjął spod niego ten kożuch. Podchmielony basista siadając nie zauważył braku. A figlarze już mieli gotowy pomysł. Szybko zaszyli basiście koniec prawego rękawa, a potem ktoś po prostu narobił do środka. Przy jakiejś sposobności znowu podłożono basiście jego własny kożuch.

Kiedy muzyka miała gdzieś pojechać, muzykanci zaczęli się ubierać. Podniósł swój kożuch i basista, niczego nie podejrzewając. Według porządku zaczął pchać rękę do prawego rękawa. Jak ją szybko włożył, jeszcze szybciej wyciągnął, ale już dobrze wymalowaną. Uczestnicy, a o figlu wiedziało już całe wesele, szaleli ze śmiechu.

Basista stał jakby ogłupiały, nie wiedząc, co w tej sytuacji zrobić. W lewej ręce wciąż trzymał kożuch, prawą daleko od siebie, bowiem niezbyt przyjemnie woniała.

Ale na tym przecież figle nie mogły się skończyć. Ktoś przyniósł do izby klocek, inny siekierę. Wyjęli kożuch z rąk basisty, położyli na klocku, a ten z siekierą odciął od kożucha cały rękaw. Ludzie szaleli ze śmiechu, rzadko kiedy mieli taką zabawę. Aż się tarzali po podłodze.

A nieszczęsny basista, już ze łzami w oczach, wciąż stał bez ruchu.

Ale jak basista pójdzie gdziekolwiek bez jednego rękawa? Szybko temu zaradzono. Na zabawie był i kuśnierz. Komuś całkiem już pijanemu odpruł prawy rękaw od kożucha i przyszył basiście. Ubawieni wszyscy, w jak najlepszych nastrojach pojechali tam, gdzie mieli jechać.



Grajki weselne (8)

I nikt do nikogo nie czuł urazy.
Innym razem basiście, który nigdy nie odmawiał płynnego poczęstunku, a popiwszy sobie potrafił grać niemal na śpiąco, jakiś dowcipniś wyjął z ręki smyk, w włożył w nią tareń. Była to laska z pędu tarniny, z sękami dla ozdoby, z wielkim upodobaniem noszona przez leciwszych gospodarzy. Mało; figlarz założył taniec do basów i zaśpiewał — umyślnie — bardzo ciętą melodię. Basista Błażej, chociaż półsenny, mechanicznie podjął tempo i tak zamaszyście pociągnął po strunach raz, drugi i trzeci, że

wszystkie zerwał. Znowu szał śmiechu i chociaż Błażej założył szybko nowe struny i zagrali — rozbawionych ludzi długo nie można było uspokoić; woleli śmiać się, aniżeli tańczyć. Ostatecznie zabawa poszła dalej, zaś Błażej ani myślał się gniewać.

— No, dobrze. A czy prymista, komendant zespołu, nigdy nie ujął się za basistą?

— A po co? Nigdy nie zrobiono basiście żadnej krzywdy. A że się ludzie uśmiali aż do boleści, to przecież na to były wesela. To była, panie, propaganda dla ojcowego zespołu. Przez to, że przynosił ze sobą na wesele nie tylko muzykę, ale i wesołość, na siłę ich zapraszali. A jaki mieli zarobek! Ale... poczekaj pan, coś mu jeszcze opowiem.

Dawniej, dawniej, kiedy na wsi były przeważnie dymne chałupy, a razem z ludźmi siedziało w izbie i bydło, to wesele tylko troszkę pobawiło się u młodej — takie było prawo i zwyczaje — trochę u młodego i u swaszki, a potem z radością przenosiło się do karczmy. W karczmie była wielgachna izba, piec z kominem i podłoga z desek. Dopiero w karczmie można było tańczyć do upadłego, i to kilka dni. Ale w karczmie gospodarz wesela nie dawał nic; ani jeść, ani pić. Kto był głodny, a do chałupy miał niedaleko, to leciał, nasycił się i wracał. Jeśli miał daleko, a jeszcze pieniądze, to w karczmie mógł dostać obwarzanka, śledzia, gomółkę. Można było dostać piwa i wódki, ale też samemu zapłacić. Z muzykantami było to samo. Żydzi z karczem chętnie widzieli u siebie wesela, bo mieli niezły zarobek. To, co opowiem, nie zdarzyło się tatusiowi, ale Jaśkowi Kisale z Handzlówki, który też miał zespół i grał po weselach. A ten Kisała miał klarnecistę, który nie tylko lubił pić, ale był pojemny jak beczka. Inni już walili się pod ławy lub chodzili na raczkach, a klarnecista wołał: — Ja bym się dopiero coś napił! — Kisała znał swojego klarnecistę i żeby na klęczkach go prosił, w czasie wesela, w karczmie nie dał mu nigdy ani grosza zadatku; wszystko przepijał. A potem jego baba przylatywała do prymisty

z takim pyskiem, że na początku dawał jej coś ze swojej kieszeni, aby się tylko pozbyć kłopotu. Inaczej musiałby uciekać z chałupy. Dlatego później nie dawał już klarneciście zadatku.
Ano, zabawa w karczmie trwała, klarnecista już zapomniał, jaki smak ma wódka, której dosyć wypił u młodej, już wyciągnął od znajomych, co się dało, smutek go ogarnął. Gra, nie gra, wreszcie położył klarnet i gdzieś wyszedł, niby to za własną potrzebą. A potem opowiadał, że bez wódki słabo mu się zrobiło. Łazi po polu, dookoła karczmy, zagląda tu, poziera tam, nagle słyszy gęganie gęsi. Są to takie ptaki, że jak tyko wyczują kogoś obcego, zaraz się niepokoją. Klarnecista doszedł do małego chlewiku, ukrytego w szopie koło stajni, bez trudu otworzył drzwiczki, ale ze środka buchło gęganie, aż się wstrząsnął. Przyparł drzwiczki, poczekał chwileczkę — a nuż kto przyleci? Ale nikt się nie pokazał. Klarnecista zaświecił siarkę — taką, co się to o portki pocierało — a tu całe stado, kilkanaście sztuk. Szybko zgasił siarkę, wsunął się do chlewika, złapał pierwszego z brzegu ptaka, wsunął pod płaszcz, żeby się nie darł, zamknął chlewik, a zdobycz gdzieś tam ukrył. Idzie do Żyda i mówi mu na ucho, niby to po kryjomu:
— Abram, kupisz gęś?
— Czemu nie? — Abram odpowiedział również tajemniczo, wiedząc dobrze, że w czasie wesel parobcy często kradli w chałupach, co się dało, i sprzedawali za bezcen, aby tylko mieć na wódkę, na „do basów".
— Ile chcesz? — zapytał. — A kiedy posłyszał niską cenę, umówił się z klarnecistą, że wyjdzie za chwilę, a spotkają się koło szopy. Żyd po kupiecku zważył gęś w rękach — nadawała się. Od zwyczaju trochę się potargował, ale kiedy sprzedawca okazał się uparty, zapłacił. Klarnecista szybko pobiegł do karczmy, a Żyd, wielce zadowolony z interesu, wpuścił gada do chlewika. Klarnecista naturalnie zaraz pieniądze przepił. Owszem, poczęstował kolegów, jak kazał

zwyczaj. Oni wypili, tylko wszyscy myśleli: — Skąd ta cholera wydarł naraz tyle pieniędzy?
Za jakiś czas klarneciście znowu zrobiło się „niedobrze", a nawet słabo, nie dziwota, że musiał wyjść. Teraz już z niejakim lękiem poszedł do chlewika. A nuż Żyd nabrał podejrzenia? Ale było cicho, a chlewik znowu nie zamknięty. Teraz już nie świecąc, szybko wyciągnął następną gęś i sprzedał ją tak samo jak poprzednio, tylko że szynkarz teraz utargował jednak parę centów. Znowu wpuścił ptaka do środka chlewka. Klarnecista już siedział na swoim miejscu, kiedy Żyd wrócił do szynkwasu.
I znowu — jak przedtem, muzykant sam nieźle wypił, kolegów poczęstował już nie tylko trunkiem, ale i śledziami. Wypili, zagryźli, popili piwem. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy, pewnie z osiem. Tylko weselni się dziwili, bo kiedy pod koniec muzyka zwykle grywa słabiej i rzadziej — wiadomo, muzykanci bywali zmęczeni — tym razem grali coraz ostrzej, coraz kuraźniej.
Wreszcie poczęło lekko świtać. Najzapalczywsi byliby jeszcze hulali, ale klarnecista stanowczo, i to pierwszy — jak nigdy — wstał, a rozbierając fujarę oświadczył kolegom:

— Idziemy, i to zaraz. Moja, kto wie, czy nie będzie dziś rodzić! — Popatrzyli po sobie... nie słyszeli, żeby baba klarnecisty chodziła z małym. Ale takie postawienie sprawy było im nawet na rękę, bo wypiwszy o wiele więcej jak zwyczajnie, prawie z nóg lecieli. Jakoś załagodzili zawiedzionych taneczników, jeszcze z innego powodu dziwili się. Kiedy zawsze musieli szukać klarnecisty i siłą odrywać go od jakiejś baby, teraz on ich przynaglał i pręgał, wprost popychał na pole. I poszli, dłuższy czas popędzani przez klarnecistę. W końcu prawie ustali, ale uszli od karczmy parę ładnych kilometrów.
— No, chłopaki, była zabawa, co? — zapytał klarnecista, nadymając się jak paw. — A wiecie za co? — i tu począł się śmiać, jakby z kretesem zgłupiał. Kiedy się już wyśmiał,

a zarazem wypłakał do cna, opowiedział dokładnie, jak było. Tylko jednego nie był pewny; siedem gęsi sprzedał karczmarzowi czy osiem. Zaś koledzy patrzyli na niego jak na bohatera i tylko kiwali głowami. O czymś podobnym jeszcze w życiu nie słyszeli. Wypytywali go o najdrobniejsze szczegóły. Byli pełni podziwu; tak wykiwać sprytnego Abrama!

Kiedy wreszcie doszli do domu prymisty, żeby wytrzepać basy i podzielić się zarobkiem, baba klarnecisty, znając swojego, już czekała. Jasiek Kisała, prymista znany ze swego ostrego języka, zapytał klarneciściny:

— Kiedy, Zośka, będziesz się rozsypywać? Twój mówił, że wnet — ale w tym momencie poczuł niezbyt delikatne kopnięcie; widocznie, aby zrozumiał, że muzykanckie tajemnice są święte. Tedy ugryzł się w język. Zośka podejrzliwie przypatrywała się swojemu, ale kiedy dostała w garść cały zarobek „swojego pijaka", ujęła go czule po rękę i razem poszli w stronę chałupy.

Muzykanci to okropnie ciekawy naród na wszelkiego rodzaju plotki i historyjki; koniecznie chcieli się dowiedzieć, co zrobił, co mówił Abram. Doszło to do nich nawet szybko. Już było dobre rano, kiedy szynkarz począł gwałtownie wypraszać śpiących pijaków. Robił to jak nigdy bardzo nerwowo, bowiem nie mógł doczekać się chwili, kiedy pójdzie do chlewika i zobaczy na własne oczy ten wspaniały interes, jaki zrobił jednej tylko nocy. Kiedy już karczma była pusta, a żona zabrała się do sprzątania, Abram jak na skrzydłach pobiegł do chlewika. Popatrzył do środka i... skamieniał. A za chwilę narobił takiego gwałtu, jakby się paliło. Krzyczał z rozpaczą w głosie:

— Ten złodziej! ten paskidnik! ten rabusz! ten szwinia! aj waj, aj waj! Okradł mnie, oszukał, zrabował! Ja lecę po żandarmów, żeby go skuli, żeby go zamkli do kryminału do samej szmierci!...

Wybiegła żona, wrócili się ostatni pijacy, markotnie idący do domów. Szynkarka też poczęła krzyczeć, że Abrama

pobili, pokaleczyli — zresztą była tego pewna. Kiedy wszyscy, którzy się zbiegli, dowiedzieli się, o co chodzi, aż się zataczali ze śmiechu. Wtedy Abram począł krzyczeć:
— Żeby was jasna cholera! żeby was!... Wy tyż rabusze!
— i poszedł złamany do karczmy.
— I co było dalej?
— A nic. Ludzie mieli dłuższy czas zabawę, siedem gęsi rozrosło się pewnie do pół kopy, Abramowi przybyło dużo klientów, każdy był ciekawy zobaczyć karczmarza, posłuchać jego opowiadania i pokpić sobie z niego. Klarnecisty nikt nie złapał za rękę, a ostatecznie czy ukradł karczmarzowi choć jedną gęś? Tyle miał, ile miał. Żyda jeszcze straszyli, że może odpowiadać za to, że kupował gęsi od złodzieja. Co sobie ten Abram ucierpiał! Jak mu kto wspomniał klarnecistę, to aż bladł i tylko spluwał. Ale tamtemu od tego nic się nie stało.
— A o tym tatusiowym basiście nie pamiętacie czegoś więcej?
— Panie! To już pół wieku minęło od czasu, kiedy tatuś opowiadali mi o swoich przygodach. Jak człowiek nie może spać i przewraca się z boku na bok, to mu się przypomina to i owo. Ale tak jak teraz... aha!
Kiedy muzykanci nie grali dłuższy czas, to znaczy na weselu czy zabawie, to byli chorzy. Tatuś, jak nie mieli grajki, chodzili jak gradowa chmura, nie daj Boże wówczas się im narazić! Zaraz było piekło. A kiedy przyszli do chałupy z popuchniętymi palcami i oczyma jak u królika czerwonymi od niewyspania, to było ich do rany przyłożyć. Z takiego muzykanckiego bezrobocia korzystali miejscowi i organizowali w karczmie tańcówki. Wtedy tatuś szli do karczmy tylko z basistą. Nic im za granie nie płacili, tyle tylko, że zarobili na jakiś taki poczęstunek. Ale dla muzykantów dobre było i to. Zresztą takie darmowe granie trwało tylko kilka godzin.
Jednego razu, właśnie w czasie takiego darmowego grania, kiedy już niektórzy byli dobrze podpici, podchodzi do muzyków taki jeden, który lubił popić, potańczyć, ale

przede wszystkim figle. Zresztą przepił cały swój majątek. Miał też pański gest, tylko trzeba go było podłechtać. No i ten figlarz podchodzi do muzyki, staje, podnosi rękę i... wszyscy widzieli: trzymał w niej papierową dziesiątkę — dając znak, że chce ją rzucić do basów. Basista patrzył w nią jak sroka w kość, a kiedy ten coś zaśpiewał, a dziesiątkę wsunął do otworu w basach, zagrali jak sto diabłów. Tatuś też widzieli dziesiątkę i myśleli: — Tyle pieniędzy! Pewnie ten znowu coś sprzedał. A gdy już wszyscy mieli dość, muzykanci przecięli granie. Kiedy jednak chcieli pójść do domu, rozochoceni zebrani nie puścili ich. Wołali:

— Co? tyleście pieniędzy zarobili i nic nie postawicie? O, co to, to nie! Wytrzepać basy! — krzyczeli.

I nie było rady. Basista, jakby mu kazali wypić szklankę octu, zabrał się do roboty. Zresztą wiedzieli, że poza tą dziesiątką nie ma w środku ani centa. Basista, który miał wprawę, szybko wyciągnął papier, ale ręce mu się trzęsły. Nie widział — tatuś też nie — jak się inni trącali łokciami, zakrywali gęby rękami i kryli się jedni za drugich. Błażej drżącymi palcami rozkłada dziesiątkę, a tu jak nie buchnie śmiech!... Ludzie trzymają się za brzuchy, taczają się, rzucają na ławy i spozierają na Błażeja. A ten, jakby zdrewniał, trzyma w palcach papier, jaki naklejano na flaszki z piwem. Tę nowość co tylko wprowadzili na wsi. W kolorach były podobniusieńkie do dziesiątek. Potem podarł etykietę na strzępy, zarzucił basy na plecy, jeszcze się tylko odwrócił i powiedział głośno: — A pocałujcie mnie wszyscy w dupę! — I poszedł. Za nim tatuś, też markotni. Tym, co zostali, żal się zrobiło poczciwego Błażeja. Pierwszy raz w życiu widzieli go w takiej złości. Bo też figiel dla biednego basisty był za gruby.

— Jednego nie bardzo rozumiem. Dlaczego przede wszystkim basiści byli przedmiotem różnych figlów i psot? Żeby coś podobnego robili innym muzykantom, nie słyszałem.

— To rzecz bardzo prosta. Basistami byli prawie zawsze starsi i dobroduszni ludzie. Dużo z nich było kiedyś prymistami, ale kiedy się postarzeli i palce im już nie mogły tak chodzić, jak powinny, brali się za basy. A że na pochyłe drzewo i żaba wlezie — nie dziwota, że na basistach krupiły się figle i psoty. Gdyby byli młodsi, może by się inaczej zachowywali, ale starzy? Już im niewiele zależało. Byli mądrzy, bo starzy.
Ale pan mi nie pozwolił dokończyć o Błażeju. Figlarzom zrobiło się nie tylko żal, ale i głupio. Sam główny sprawca pobiegł za basistą i dopóty go molestował, aż go zawrócił. Tutaj kupił mu flaszkę okowity i tym go całkiem udobruchał. Już było dobrze.
— Tyle wszystkiego?
— Tyle lat — wyleciało człowiekowi z głowy. Dawniej to by za kilka dni nie opowiedział wszystkiego. Co jeszcze? Przypomniałem sobie, to już nie psota, ale jak się to tatusiowi wspomniało — zawsze ich wstrząsało. A było tak. Przyjechali na wesele w zimie. Muzykanci pomarzli na kość, że nawet z wozu nie mogli zleźć. Już się dobrze zmroczyło. Gospodarz, widząc muzykantów, chciał ich jak najprędzej rozgrzać. Czym najlepiej, jak nie kielichem? W sieni był komin, w dolnej jego części, czyli podstawie, była taka jakby szafka z półkami. Trzymało się w takich dziurach, co było najbardziej potrzebne. Gospodarz zaraz sięgnął na półkę w kominie, poleciał do izby po kieliszek i jeszcze w sieni nalał i podał tatusiowi jako prymiście. Łyknęli za jednym zamachem i zaraz ich zatkało. — Co to za dziwna wódka? — pomyśleli. Ale już wypił drugi, trzeci muzykant. Dopiero na końcu gospodarz. Aż krzyknął:
— Olaboga! To nafta! — Tatuś już wcześniej poczęli spluwać, nudziło ich, drudzy muzykanci też pluli, a gospodarz wciąż jęczał: — Laboga! Laboga!
Chłopisko pomyliło się, przepadło. Ale wesele już było zepsute, naturalnie tylko dla muzykantów. Na sam widok kieliszka wzdrygało ich i na womity zbierało. No, i w taki



Dziady odpustowe. Rzeźba Władysława Chajca (9)

sposób nic se nie użyli prócz grania. Ładne? — zapytał na końcu.
— Bardzo! — szczerze pochwaliłem. Ale w tym samym czasie wąsaty pastuch popatrzył w kierunku słońca i zerwał się z krzykiem. — Chryste Zbawicielu! Ja tu gadu, gadu, a już po południu. No, da mi synowa! Czeka tam z dojeniem, a ja tu bajdurzę. No, do widzenia! — zwrócił się do mnie, a odwracając się w kierunku krów śmignął dziecinnym bacikiem.

*

Inny wąsaty pastuch, który chwalił się, że muzykował, ale niedługo, opowiedział mi o takim jednym muzykancie, który starszy już był, bardzo lubił jeść, a w tym czasie nie

miał ani jednego zęba, jak niemowlę. Przyjechali na wesele — ojciec wydawał jedynaczkę. Żeby ludzie pamiętali wesele tejże jedynaczki, stary zabił nie tylko jałówkę, ale i wielką świnię. Upasł ją przecież na wesele. Muzykantów sam pilnował, zachęcał, przynaglał, a przynosił im najtłuściejsze kawałki, żeby go broń Boże nie obmówili. Temu staremu muzykantowi tylko się oczy świeciły jak kotu w nocy. Jadł, aż mu się uszy trzęsły. A że nie miał zębów, tylko pomełł dziąsłami kawały tłustej wieprzowiny i połykał. Pod koniec poczęstunku zrobiło się staremu rzeczywiście słabo. Wynieśli go na pole — ciepło było — położyli na murawie, rozpięli portki i gacie — brzuch nadęty jak ceber. Staremu odbija się raz po razu, stęka, jęczy, jakby się kończył. Wtedy zawołali taką kobietę, co to trudniła się smarowaniem chorych. Musicie wiedzieć, że dawniej to wierzyli tylko w kilka sposobów na chorobę: smarowanie i pijawki. Jak taka baba wygniotła człowieka na wszystkie strony, to chory nawet oddychać nie mógł. I ta zabrała się do roboty. Aż się pot lał z baby, nic nie pomagało. Muzykant leżał nieprzytomny i jęczał. Już myśleli, że pęknie.

Wtedy to jeden z weselnych gości — a już mu się ślepia dobrze świeciły — nie namyślając się długo, jak to pijak, zwalił się muzykantowi kolanami na brzuch i dalejże gnieść. A kolan nie żałował. Inni tak się tym przerazili, że zaniemówili, tylko czekali, kiedy stary pęknie. A tu naraz jak nie zacznie z muzykanta wyrzucać. Staremu widocznie ulżyło, bo najpierw siadł, a potem wstał, chociaż taczał się jak pijany. Czegoś się tylko napił i grał aż do rana. Tak, panie! Dawni ludzie byli twardzi. Teraźniejsi by tego nie wytrzymali. To marchew! — rzucił pod adresem młodego pokolenia.

*

O innym basiście opowiadał mi pewien dziadek, ale już nie pastuch:

— Basistów było dużo, byli w każdej muzyce. Ten, o którym opowiem, podobno nazywał się Buczek. Był już starszy, ale jeszcze krzepki, kiedy go poznałem. Był przy tym poczciwy, jak to mówią: „do rany przyłóż". Miał jedną słabość: miał się za muzykanta, i to nawet dobrego. Na ten temat mógł mówić godzinami, jak myśliwy o polowaniu. Ludzie lubili go, chociaż dobrodusznie nabijali się ze starego. Chodził tylko tam, gdzie go słuchali. Bohaterami jego opowieści były basy. Wszyscy dookoła wiedzieli, że naprawdę był bardzo kiepskim basistą. Uważał jeszcze, że powinien dużo zarabiać za swoją muzykę. Często nawet zarabiał, ale tylko w opowiadaniach. Owszem, ludzie prosili go, ale tylko z konieczności, gdy nie było innego. Po takim wstępie mówił z dumą:

— Aleśmy grali!

Jak się czasem dorwał do kontrabasu — swojego nie miał, zaledwie marne basięta — to grał z takim przejęciem, jakby piłował dębowy kloc. Ruszał przy tym całym swoim ciałem, że podobny był w tym momencie raczej do młockarza aniżeli do basisty. Wcale też nie przerabiał palcami, ale całą pięścią, chodząc nią od kluczy aż do podstawka. Toteż basy pod jego ręką nie wydawały tonów, ale jakiś targot, jakby kto wielkiego wołu żywcem ze skóry obdzierał.

Najwięcej i najchętniej włóczył się z kolędnikami. Jak wiadomo, kolędnicy szli przez wieś od chałupy do chałupy. Do jednych chałup puszczali, do innych nie. Basista, chodząc z kolędnikami, ubierał się w czarny langwerski mantel [10], napuszał się jak kogut lub nawet paw, nastraszał wąsiska i szedł z basami na plecach jak król w koronie. Tam, gdzie kolędników puścili, grał, aż się chałupa trzęsła, a dzieci ze strachu uciekały pod łóżka. W izbach, gdzie grali kolędnicy, natłok był okropny. Robiły go podrostki, które latały za kolędnikami. Do rozmaitych figlów byli oni pierwsi, bowiem sprawcę w tłumie trudno było znaleźć. Jakie oni mieli pomysły!

W jednej chałupie, kiedy basista pracował w pocie czoła — płaszcz według muzykanckiej mody miał zawieszony tylko na ramionach, rękawy wisiały puste — jakiś psotnik rozpruł Buczakowi jego płaszcz, muzykancką dumę. Kiedy kolędnicy wyszli, by iść dalej — wiał wtedy wcale silny, zimowy wiatr — nagle ponad kolędnikami powiały jakby dwie czarne chorągwie, niczym na pogrzebie. Buchnął taki śmiech, że nawet nie było słychać okropnych przekleństw basisty.

Nie miał on drugiego odpowiednio dostojnego przyodziewku, a ktoś wpadł na genialny pomysł. Ubrano basistę w płaszcz, już na rękawy, ale odwrotnie; tył do przodu, zaś przód do tyłu. Z tyłu zapięli mantel na guziki, z przodu spięli jakimiś szpilkami i tak ubrany basista szedł przez wieś. Co on biedak musiał wysłuchać przycinków!... Aż żal było niektórym. A kiedy kolęda się skończyła — ostatnia w jego życiu — długi czas przemykał się przez wieś tylko wieczorami, i w dodatku chyłkiem. Ale od muzykowania nawet ta przygoda go nie wyleczyła. Taka to już jest ta muzyka!

CZARODZIEJSKI SKRZYPEK

Pamięci Józefa Rysia z Łąki poświęcam

Józef Ryś, urodzony gawędziarz, prawdziwy mistrz muzykancki i malarz ludowy, opowiedział mi kiedyś historię czarodziejskiego skrzypka, zasłyszaną od jego ciotki, Józefy Barszczowskiej.
W swoich opowiadaniach Józef Ryś często wpadał jakby w trans. Wówczas przenosił się w przeszłość, którą chciał przekazać słuchającemu w całej jej krasie. Siadał za swoim „pracownianym" stołem, dobrze już sfatygowanym, na którym były rozłożone przybory do malowania — w okularach w drucianej oprawie i w zsuniętej ku tyłowi rogatywce, pochodzącej jeszcze z roku trzydziestego dziewiątego, a przyszarzałej na „bezkolor" — i rozpoczynal opowieść.
— Tę swoją ciotkę od dziecka ogromnie lubiłem za to, że chciała opowiadać nam — chłopakom. Opowiadała naturalnie o dawnych czasach, ale ja najwięcej lubiłem słuchać o muzykantach, muzykach, weselach. A jak ciotka na to zeszła, to po chwili — jak to ona drzewiej tańczyła i jak nie było nad nią tonecznicy na całą okolicę. W czasie opowiadania głos jej załamywał się nagle, poczynał drżeć, w oczach ukazywały się łzy i wreszcie przestawała. Patrzącym na to mówiła:
— No, już idźcie, idźcie! — i dawała ręką znak, zawsze prawą i zawsze od siebie. Odbiegaliśmy, czy tylko ja odchodziłem? Ale jak sobie dziś tę ciotkę przypomnę, to mnie żałość obejmuje. Dlaczego ja wtedy nie słuchałem częściej tych jej opowiadań? Dlaczego nie starałem się jak najwięcej zapamiętać?... Ale, co tam wtedy było w głowie takiemu chłopakowi! Dziś jakieś szczątki pałętają się po głowie.
Ciotka Barszczowska — a była już bardzo stara — najczęściej opowiadała o skrzypku, którego nazywała

czarodziejem. Musiała go znać może i dobrze, bo chwaliła się często, że tańczyła przy jego graniu. A wychodziło z jej opowiadania, że poznała go wtedy, kiedy zaczęła dziwczyć, to jest chodzić po muzykach. A był to bardzo ważny moment w życiu wiejskich dziewcząt, coś jak dziś matura. I na ten temat mało kiedy dokończyła gawędy: przez to płakanie. Ileż razy się ona nie nawzdychała, że nie może przeboleć, przeżałować tamtych czasów! A nazywał się ten skrzypek Siłka — imienia nie zapamiętała. Ale pamiętała jego przysłowia, ściśle to takie powiedzonka, jakimi ludzie często przeplatają swoje mowy. Jedno z nich było: „Trzebaż, i to wszystko", a drugie: „Do tysiąca chlebów". Baby — obojętnie, stare i młode, dziewki i mężatki — po prostu szalały za nim. A chłopi mówili, że on nie jednego, ale tysiąc diabłów musi mieć w tych swoich zaczarowanych skrzypcach. Chłopisko było ogromne, jak kopa siana; ale nigdy nikomu nie wszedł w drogę, z nikim zwady nie zaczął. A za babami nie tylko nie gonił, jak inni muzykanci, co to „baba a jego", nie zalecał się do nich, ale nawet się za nimi nie oglądał. Jakby to były wierzby czy topole.

Ale baby napastowały go, a szczególnie dziewki. Te najwięcej prosiły go o granie. A on:

— Nie kuście mnie, bo jak wezmę te łupy do ręki i zagram, to albo śmiać się będziecie bez końca, albo płakać, albo skakać.

A dziewki, jak to dziewki: bały się tych Siłkowych diabłów, ale jeszcze bardziej były ciekawe, jak takie granie, co nie do tańca, wygląda. Jak się już bardzo upierały, to grał. Mówiły potem, że Siłka przekładał, i to migiem, skrzypce z lewiej ręki do prawej, nawet i za plecy... a jakby same grały. To znowu, kiedy parobcy pasący konie na Zaprzyrwiu też uparli się, żeby im zagrał, to już nie hulali na pastwisku, ale szaleli do utraty tchu, aż ich rzuciło bez sił na ziemię. Czasem to i w błoto.

— Cóż to było to Zaprzyrwie?
— Dziś to miejsce tak samo się nazywa. My tu, panie, mieszkamy na takiej nizinie i równinie, że takich nigdzie indziej nie ma; przecież nasza wieś nazywa się Łąka. Ta równia ciągnie się między Palikówką i Terliczką jak stół. Po tej płaszczy — a grunt tu miękki jak ciasto — od wieków płynie Wisłok, jak ten wąż się kręci. Ile on tu razy zmieniał swoje koryto, tego i Pan Bóg by nie zliczył! Co zmienił koryto, to po starym pozostawały nie zgłębione topiele, stawki bezdenne, badunie i bajora, wąwozy o stromych brzegach, podmokłe łąki, zakręty dziwaczne... To wszystko nazywało się — no i nazywa — Zaprzyrwie. I było tego dawniej kilkadziesiąt morgów. Czyje to było? Rosły tam ogromne topole i wierzby, gęste wikliny oraz łozy. A szuwary i trzciny to takie były tam wysokie, że wyższe jak chłop na koniu. Pachniało tam zgnilizną i ziołami, a zwłaszcza miętą, aż w nosie wierciło. Ile tam żyło najrozmaitszego ptactwa wodnego! A ile zwierzyny wszelakiej! Prawdziwy raj dla myśliwych, a jeszcze większy dla kłusowników i wnykarzy. Co tam rybaków siedziało w niedziele! Tutaj też latem i jesienią — na wiosnę się nie dało — parobcy przypędzali konie na wyposkę. A po prawdzie, to przyjeżdżali na nich. Pętali je żelaznymi pętami, bo złodzieje podchodzili i nawet z żelaznymi pętami konie zapędzali w bajora, a tam, żeby nie było słychać, piłowali pęta pilnikami. A ile tam było komarów!... Parobcy zaraz po przybyciu rozpalali ogromne ogniska — przed komarami i zimnem. Jedni pootulani w derki drzemali, a inni co jakiś czas chodzili popatrzeć, czy konie się pasą. Ale taka tu była dzicz, że żaden w pojedynkę nie poważyłby się pójść między krzaki i szuwary; powiadali bowiem, że tam żyją diabły i inne nieczyste siły. A najwięcej topielic i topielców. Każdy, kto z tą dziczą był nie obeznany, obchodził ją z daleka, żegnając się nabożnie. A włosy mu się pod czapką czy chustką jeżyły, mroczki po ciele chodziły. To wszystko

razem nazywało się Zaprzyrwie.
— A czy tam się komu stało co złego?
— Na wołowej skórze nie spisałby tego, co ludzie opowiadali. Czasem przy ogniskach, które palili parobcy, zjawiał się Siłka z nieodstępnymi skrzypcami. Wielu ludziom wydawało się, że te ich ogniska jakby z piekła wytryskiwały. Siłka zjawiał się jak duch. Krok miał cichszy od lisa, nawet listka nie trącił, niby sowa. Nic nie mówiąc siadał przy ognisku i nieruchomo wpatrywał się w igrające płomyki. Nagle — wyjmował skrzypce i poczynał grać. Parobcy rzucali się do tańca i tak szaleli, że w końcu padali jak nieżywi. I nikt nigdy nie zauważył, kiedy Siłka znikał w gąszczu lub w mroku. Razem z tym drugim.
— Z jakim drugim? We dwóch chodzili?
— Przecież już mówiłem, ludzie szeptali, że Siłka z diabłem trzyma; i stale z nim chodzi. Znaczy, że diabeł pilnował Siłki, żeby mu się gdzieś nie wysmyknął. Mówili, że ten diabeł miał wydrzeć z Siłki duszę, kiedy ten będzie umierał. I nikt by go nie dotknął, nie pogłaskał, za skarby; taki był straszny.
— Niby kto? Ten drugi diabeł?
— Ależ nie! To był ogromny pies, czarny jak sadza, który nigdy nie opuszczał swego pana. Chodził za nim jak cień. W domu miał barłóg w kącie przy drzwiach. Kiedy byli obaj w domu, pies zawsze niby spał. Jak Siłka grał na weselu, to ten jego przyjaciel leżał pod ławą, pod tym miejscem, na którym Siłka siedział, i żeby nie wiedzieć co działo się, dopóki pan siedział, pies nawet łba nie podniósł. Zdarzyło się, że rozpoczynała się wrzawa; już, już miało dojść do bitki, takiej na dobre. Wtedy Siłka zeskakiwał ze swojej zwyżki, a pies natychmiast stawał koło jego nogi. Bez słowa wchodzili między powaśnionych i natychmiast wszyscy się uspokajali. Nawet najwięksi bitnicy. A Siłka gramolił się na swoje miejsce i zabawa szła dalej.
Razu jednego, a było to na weselu, na którym Siłka grał — babcia tego nie widziała, bo było to w odległej wsi, ale

jej opowiadali — skrzypkowi naraz pękły wszystkie struny u skrzypiec. Obecni rozumieli; ktoś mu „uczynił". Siłka, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, prędko wybiegł na pole. Tam z jakiegoś wozu wydarł garść słomy, zrobił z niej niewielkie powrósło, podpalił i wrzucił do studni. Następnie obleciał ją dookoła kilka razy i coś mamrotał. Nagle w studni coś się stało — jakby się tam dziura do piekła zrobiła. Woda poczęła się gotować i kipieć, coś w środku wyło i boruczało jak w najstraszliwszą burzę. I w czasie tego piekielnego zgiełku przybiegł na podwórze jakiś człowiek, jęcząc i wijąc się z bólu. Rzucił się na ziemię i na klęczkach błagał Siłkę, aby mu darował, że wynagrodzi mu stratę i szkodę. Ktoś wyniósł latarnię. Zebrani poznali jęczącego; to był miejscowy skrzypek, i on z zemsty „uczynił" Siłce za to, że jego zaprosili na wesele. Bo wszedł w jego rejon. Wszyscy patrzyli, co będzie dalej, myśleli, że teraz Siłka się pomści. Ale on tylko machnął ręką, założył nowe struny i grał dalej, jeszcze piękniej jak poprzednio.

Rzeczywiście tak było, że muzyki miały swoje rejony i jeden drugiemu, bez zezwolenia, nie wchodził w paradę. Siłka wszedł w czyjś rejon, to tamten się bronił. Dlaczego do tego doszło, ludzie woleli nie wnikać, chociaż ciekawość aż nimi kręciła.

Zdarzyło się, że i Siłce jakiś muzykant wszedł w jego rejon, a był to Żyd. Czy to przez młodą, która pochodziła z innych stron, czy przez co innego, może ojciec weselny bał się Siłkowego diabła — na wesele przyszły żydowskie muzyki. Wieczorem, kiedy tańce odchodziły w najlepsze, do izby wszedł Siłka z psem u nogi i ze skrzypcami pod pachą. Nie powiedział ani słowa, popatrzył tylko po weselnikach, po skrzypku i odszedł. Naraz... jak skrzypka nie chwyci bolenie, jak się nie pocznie wić po podłodze z boleści, jęczeć — aż litość brała. Ojciec młodej zaraz poleciał za Siłką, gdzieś go tam dognał i dalejże prosić, żeby tego nie robił, że z wesela nic, że tyle gości,

i to Siłkowych znajomych... Siłka kręcił głową dość długo. Aż nagle machnął ręką i powiedział tylko jedno słowo: idź już, idź! Kiedy chłop wrócił, Żyd już grał, a wesele tańczyło po dawnemu.

Na jedno wesele zaprosili jakąś kumę czy znajomą z dalekiej wsi. Siłki ona nie znała, ją też mało kto. A było babsko grube, wysokie, jadło i piło, a potem hulało, aż podłoga się trzęsła. No i przyszła kolejka płacić i śpiewać. Zaśpiewała na nutę, jakiej we wsi nikt nie znał. A kiedy śpiewała, Siłka zwiesił głowę i jakby nie słuchał; czy drzemał, czy zamyślił się? — zagrał co innego. Baba przetańczyła jedno kółko, stanęła i palnęła skrzypka po prostu w pysk, aż się rozległo po izbie. Wszyscy się przerazili, co to z tego będzie, przecież wiedzieli, co Siłka może. A on nic, spokojnie grał dalej. Aż tu, kiedy gruba baba znalazła się na środku izby, jakby wszystkie troczki poprzecinał i oderwał guziki. Co tylko miała na sobie, spadło z niej, stała nagusieńka, jak przyszła na świat. Nie wiedziała, co zakrywać. A tu — jak nie buchną wszyscy śmiechem, jak się nie poczną drzeć w niebogłosy! Wreszcie babsko porwało z ziemi swoje łachy i uciekło na dwór. Już się ona więcej w izbie nie pokazała.

Siłkę czasami coś jakby nachodziło, wtedy zmieniał się nie do poznania. Opowiadał ludziom takie ciekawe i przezabawne historie, że go godzinami słuchali z otwartymi gębami albo trzęśli się od śmiechu. A jak jął wyrabiać przeróżne sztuczki, to patrzący niemieli. W takie chwile Siłka był wesoły i szczęśliwy, jakby mu pieniądze z nieba prosto do czapki padały.

Długo dumitowali ludzie — już później, później — kiedy i jak się rozniosło, że Siłka leczy. Ileż to ludzi objechało różnych likorzy, najsławniejszych znachorów i nic; choróbsko jak dokuczało, tak dalej doskwirało. Aż się ludziom żyć odechciewało. A tu nagle, pod bokiem, we własnej wsi — taki likorz. Poradził, zamówił, dał jakiesik zioła i pomagało. A wówczas tyle chorób dręczyło ludzi,

że wielu przestawało się bać Siłkowego diabła, a i psa, i szli do niego. Drzwi nigdy nie były zamknięte; był Siłka w domu czy nie, pies nawet głowy nie podniósł, kiedy kto wchodził. Co to była za izba tego Siłki! U powały wisiały snopy różnego ziela, na ścianach jakieś huby, gałęzie; na półkach sterczały całe rzędy dziwnych garnków i baniek; wisiały szmaty, laski, kije — trudno było się w tym rozeznać. Co ludzi najbardziej podniecało, to to, że nikt, kto był u Siłki po leki, ani słowem nie zdradził się, czym go leczył, co mu dawał, co kazał robić — jakby ludzi zamurowało. Wszyscy mówili, że jest im lepiej, że Siłka pomógł. Ludzie wciąż do niego chodzili, nie myśląc: z diabłem leczy czy bez niego.

Jednego tylko nie mogli pojąć. Jeśli Siłka trzymał z diabłem, to dlaczego był taki biedny? Przecież dawno mówili, że kto diabłu duszę zaprzeda, to ma wszystkiego w bród. A Siłka był biedny. W chałupinie oprócz jego leków nic nie było, prawie pustka. Na grzbiecie łachy miał byle jakie, a przecież nie miał ani żony, ani dzieci. Prawda, za kołnierz nie wylewał. Jak nie grał i nie leczył, to siedział w karczmie. Tu go też potrzebujący szukali. Zresztą, co miał w domu do roboty? Pił nawet dużo, ale pijanym nikt go nigdy nie widział. Kiedy sobie podpił, poznawali to tylko po jednym: bawił ludzi opowiadaniami i figlami.

Do kościoła nie chodził. Kiedy go kobiety namawiały na kościół, tylko się uśmiechał, machał ręką i szedł do karczmy. Tam nawet w czasie sumy wygrywał, co wywoływało największe zgorszenie. Doszło wreszcie do tego, że dziekan z ambony ogłosił go wyznawcą szatana, gorszycielem i nakazał, aby się do niego nawet nie zbliżać ani tym bardziej korzystać z jego grania. Ludzie pokiwali głowami, ale dalej słuchali Siłkowych opowiadań i prosili na wesela. Groził dziekan klątwą, ale tego nie zrobił. No, i szło po dawnemu.

Przyszedł wreszcie i na Siłkę ciężki czas; zaniemógł

poważnie. Myśleli, że się wyliże, gdzie tam; był coraz słabszy. Męczył się, mało kto do niego zaglądał. Byłby może z samego głodu umarł i ze zgnilizny, bo się w końcu sam nie mógł podźwignąć ani nawet przewrócić, gdyby nie taki Szymek, syn spichlerzowego, który próbował coś na skrzypcach. Dopiero ten rozbębnił, że z Siłką bardzo źle. I oto lęk padł na wieś, że Siłka może umrzeć bez księdza. Kilka pobożnych bab zebrało się i poszło do Siłki. Zadziwiła ich nędza i to, że nie zobaczyły czarnego psa. Zresztą nikt nie wiedział, co się z tym zwierzęciem stało. Baby najpierw delikatnie zagadywały o księdzu, żeby Siłka się wyspowiadał, ale ten tylko przecząco ruszał głową. Mimo to pobiegły do proboszcza, który też szybko przyszedł. Nie przypuszczały, że się coś podobnego może stać. Na słowa dziekana Siłka ostatnim wysiłkiem odwrócił się do ściany i ani się ruszył. Nastąpiła kłopotliwa sytuacja.

Dziekan, poczekawszy nieco, wyszedł na pole. Obszedł chałupę trzykrotnie, pokropił ją, pomodlił się i znowu wrócił do chorego. Przemawiał doń długo, namawiał, trochę straszył — bez skutku. Na końcu obruszył się na baby, że go niepotrzebnie fatygowały do tak zatwardziałego grzesznika, i zgorszony odszedł na plebanię. Ludzie, smutni i zaniepokojeni, też się porozchodzili. Został tylko Szymek. — A niechta! — mruczeli, przecież to człowiek i jakąś pomoc mieć powinien.

Rano rozniosło się po wsi, że Siłka umarł. Teraz przyszła kolej na chłopów. Poszli, nie zastali nikogo. Psa również nie było. Doszli do przekonania, że jeśli Siłka miał diabła, to sobie poszedł razem z Siłkową duszą a ciało trzeba pogrzebać. W chałupie nie było niczego, z czego można by było trumnę sklecić. Ten dał kawałek, tamten drugi — starczyło na trumnę. Zbili prostą, jak skrzynkę. Wepchnęli do niej Siłkę, przykryli jakimś starym paruchem, przedtem na szyi powiesili różaniec: tak

nakazywał obyczaj. No, i koniecznie włożył czapkę pod pachę; to też nakazywał obyczaj. Przykryli nieboszczyka wiekiem, na którym sadzą wymalowali czarny krzyż, i poszli do dziekana. A ten nie chciał słyszeć o pójściu na pogrzeb. Na końcu już ze złością zapowiedział, że każe zamknąć dzwonnicę, aby bezbożnikowi dzwony nie biły.
I tutaj chłopi, zawsze posłuszni proboszczowi, zbuntowali się.
— Jak to? — wołali oburzeni. — Tyle się nam nawygrywał, żeby mu na końcu dzwony nie zagrały? A czyje dzwony? — pytali nie wiadomo kogo. — Proboszcza? On je kupował? Nie wieś zbierała się na dzwony? — Tedy, kiedy jedni wieźli Siłkowe ciało na cmentarz, gromada chłopów ruszyła ku dzwonnicy. Wywalili drzwi, bardzo zresztą słabe, a potem tak targali za sznury, że dzwony o mały kęs dookoła swych osi się nie obracały. I dotąd trwało to dzwonienie, aż się sarguty od dzwonów całkiem potargały. Widząc zajadłość chłopów, ani dziekan, ani nikt ze służby kościelnej poza plebanię głowy nie wychylił. Już dawno — niby po pogrzebie — najwierniejsi Siłce zeszli się w karczmie, by stypą uczcić zmarłego czarodziejskiego skrzypka, a dzwony długo jeszcze jęczały.
— Jakby za nim płakały — szeptały baby. — Hoj, hoj! Kto teraz będzie ludzi graniem czarował?
— A czy babcia była na tym pogrzebie?
— Tego to nie wiem. Pod koniec opowiadania znowu się rozpłakała i kazała nam odejść precz. Ale nas obchodziło, co się stało dalej. Jednego razu dała się uprosić i zaczęła opowiadać:
— Jeszcze jak chłopi pili w karczmie, jedno wlazło im do głów: gdzie się podziały Siłkowe skrzypce? Przecież ich nie widzieli nigdzie. Czyżby je diabeł zabrał ze sobą. A być może!...
Przyszedł kościelny i zwrócił się do wójta, który też tam był. I powiedział:
— Ksiądz dziekan mówili, żebyście poszli do Siłkowej

chałupy i wszystko, co tam jest, prędko spalili, i to w jakimś dole. Ksiądz dziekan o to bardzo proszą!
— I słusznie! — po dłuższej chwili ogólnego milczenia poważnie odezwał się wójt. — Poszedł diabeł, nie poszedł, trzeba to wszystko spalić, żeby tylko puste ściany pozostały. Idziemy! — rozkazująco zwrócił się do wszystkich. I poszli. Śmiało, bo to i po kilku kieliszkach, i w kupie. Na miejscu, kawałek od chałupy wykopali szeroki i głęboki dół i hurmem weszli do izby. Przeżegnali się nabożnie, odmówili litanię i zabrali się do wynoszenia, co tam było. Dopiero teraz pokazało się, co miał Siłka. Stare książki, ornaty, stuły kościelne, jakieś dziwne flaszki, dzbanki, kamienie — wszystko szło do dołu. Ale skrzypiec nie było. Dziwne syczenie, szargotanie, trzaskanie, pryskanie całe trzy dni dobywało się z podpalonego dołu.
— Co by to być mogło? — dziwili się ludzie.
Oj, miała wieś o czym mówić, miała, nie tylko miesiące, ale i lata. I dopóki mówili, dopóty pamiętali o Siłce i jego czarodziejskim graniu.
— A czy kiedykolwiek Siłkowe skrzypce znalazły się?
— Długo, długo, jak kamień w wodę. W końcu ludzie zapomnieli. Aż tu nagle — kilka lat już minęło — pokazało się, że gra na skrzypcach, i to dobrze, Szymek spichlerznika. Po prawdzie to nazywał się Szela, ale że ojciec pilnował dworskiego spichlerza, nikt na niego inaczej nie mówił, jak — spichlerzowy. Czy Szymek był naprawdę synem Szeli — to różnie mówili, ale prawdy nikt nie znał. Wysoki był, zgrabny, aż się za nim ludzie oglądali.
Kiedy Szymek już kawalerował, umarł mu ojciec. Teraz okazało się, że stary był bogatym człowiekiem, że kupił od dworu kilkanaście morgów ziemi i chałupę postawił — ale jaką. Szymek był jedynakiem. Ale o gospodarce ani myślał. Jemu tylko granie było w głowie. A taki był zapalony do muzyki, że potrafił grać całymi dniami. Na

końcu zebrał sobie innych muzykantów, a tę muzykę nikt inaczej nie nazywał, tylko — Szymki.
Szymkowa muzyka miała wielkie powodzenie. Ale też Szymek dobierał sobie muzykantów nie byle jakich. Jeśli nie umiał grać jak anioł — tak sam Szymek mówił — to u niego nigdy długo miejsca nie zagrzał. Nie było odległości, żeby do siebie muzykantów nie ściągnął. Szli do niego chętnie, bo jako prymista drugich nie ogrywał. A i płacić kazał sobie dobrze. Kiedy zabawa szła w najlepsze, Szymek wołał:
— Dawać! Dawać!... bo słoma! — A to znaczyło: — Nie masz, bracie, pieniędzy na złożenie „do basów", idź spać. — I tańczący dawali. Skąd brali, to brali, ale płacili. Jak nie mieli czym płacić, muzykanci zabierali graty i sami szli pić.
Gdzie się Szymek pokazał — na wsi czy w mieście — wiejskie kobiety i panie oglądały się za nim. Toteż chodził nadęty jak paw. A potrafił nadskakiwać babom! Dużo o tym Szymku opowiadali, przeważnie głośno, ale czasami to bardzo po cichu. Bo ludziom nie chciało się pomieścić w głowie, że to czy inne mogło się zdarzyć.
Aż stało się. Na jakimś weselu znalazł się starszy już chłop. Siedział w kącie, tarł jakieś jadło bezzębnymi szczękami, od czasu do czasu łyknął piwa czy wódki. Tańce jakby go nic nie obchodziły. Skończywszy posilanie się, wsparty o ścianę, wbił oczy w samego Szymka, jakby był sroką, a tamten kością. Mrużył powieki, to je rozszerzał; wzrok przenosił z Szymka na jego skrzypce, ze skrzypiec na rękę ze smykiem... Całe wesele było tak podochocone, że Szymek nagle krzyknął swoje jakby wojenne zawołanie:
— Płacić! Płacić! albo słoma! No!...
Zebrani buchnęli śmiechem. Zanim się wszystko uspokoiło, staruch spod pieca wylazł na izbę, wziął jakąś babkę pod rękę, prawie że przyciągnął pod muzykę, a zwracając się do prymisty, rzekł pokornie:



Muzyka w karczmie (10)

— Szymuś, zagraj dwojgu dziadkom za darmo! Zagraj, nie stracisz na tym, niech se ta poskaczą!

— Ha, ha, ha, ha! — zaśmiał się Szymek, aż zaszumiało w izbie. A potem na całe gardło zaśpiewał:

Staremu, staremu czerwone jabłuszko,
A mnie, Szymusiowi, z dziewczyną na łóżko!

I wreszcie:
— Dziaduniu, różaniec i spać, a nie tańcować! Kury już was dawno wołały, słyszałem! — dowcipkował.
— To mi, Szymuś, nie zagrasz? — cicho zapytał dziadek.
— Chyba na pogrzebie, to chętnie! — znowu palnął dowcipem. Ale kiedy izba uspokoiła się i z ciekawością patrzyła, co się dalej stanie, staruch zwrócił się do zebranych i rzekł dziwnym głosem:
— Szymuś! Mądryś, bo masz po Siłce diabelskie skrzypce. Za to masz to wielkie szczęście. Ale te skrzypce ukradłeś. Tak, tak, jak Siłka umarł. Widziałem, jakeś z nimi uciekał. Ano, zobaczymy, czy ci diabeł dalej będzie szczęścił, zobaczymy! — to rzekłszy, zostawił babkę na środku izby i cicho jak kot wyśliznął się na pole.

W izbie zapanowało ponure milczenie. I chociaż Szymki po krótkiej chwili ucięły wściekłą polkę, a sam Szymek zachęcał do tańca — wesele już się nie kleiło. Po części zapomniana historia z Siłką jakby nagle odżyła. Jeszcze ciągle się wesele ciągnęło, ale jak krew z nosa. Ludzie wygadali się, nawzdychali, naprorokowali, ale jak trafiło się wesele — to po kogo, jak nie po Szymków? I niby szło jak dawniej.

Szymek, „szalony chłop" — mówili niektórzy — nie daj Boże, żeby sobie podpił za dużo. Przeszedłszy pewną granicę, stawał się nagle zaczepny, awanturniczy, szukał bitki. Nawet tęgie chłopy mu ustępowały; znali jego pięści. Lata biegły. Szymek coraz częściej wypijał ponad swoją miarę, coraz częściej wywoływał awantury, zaczepiał. Aż wreszcie stało się. Na jakimś weselu doszło do ostrego starcia: byli na nim młodzi chłopi, którzy, być może, o Szymku nawet nie słyszeli. W zamieszaniu tak mocno dostało się Szymkowi, że pewnie coś mu odbili. Do domu już nie poszedł, odwieźli go ledwie żywego. A całą drogę

jęczał... Szymek po prostu jęczał; niesłychana rzecz. Chorował krótko i zmarł, prawie nagle.
— Ano, Siłka go zabrał za te swoje skrzypce! — zawyrokowali najmądrzejsi we wsi. — Poszedł grać... może z Siłką do spółki? I chyba na diabelskich weselach. Komuż by innemu tacy grali?

*

— Były muzyki, były, ile jeszcze! Grały Wójciki, Rupy, Bojdy, ale takich muzyków jak Siłka i Szymki — już nie było. I pewnie nie będzie. To nie diabelskie skrzypce grały, ale muzykanckie dusze. A takie dziś już trudno znaleźć — zakończył gawędziarz Józef Ryś.

JONTEK Z MAZIARNI

Pani Marii z Wiącków Kozłowej z Machowa poświęcam

Dziwna była — a w pewnej mierze jeszcze i jest — kraina obramowana rzekami: Sanem, Wisłą i Wisłokiem z Czarną. Geograficznie zwie się ona Kotliną Sandomierską, ale historyczna jej nazwa to Sandomierska Puszcza. Kraina ta jeszcze w XVIII wieku w potocznym języku nazywana była puszczą. Piaszczysta, podmokła i zimna gleba porosła ogromnymi połaciami lasów. Co krok spotykało się płytkie stawy, zarosłe i zakisłe bagna i moczary. Leniwe rzeczki i strumienie rozlewały się utrudniając przejście. Były takie ostępy, że strach przejmował człowieka. W dodatku mnóstwo różnorakiego, a dzikiego zwierza, ptactwa i gadów. Te równie urozmaicały wprawdzie różnego kształtu, długości i wysokości wydmy piaszczyste, nawet całkiem nagie, ale te były tak zryte jamami lisów i borsuków, że straszyły człowieka nie mniej niż bagna.

Jednak i w takiej krainie osiedlał się człowiek, wiodąc biedne i pełne niebezpieczeństw życie. Znacznie więcej usadowiło się tu różnego rodzaju demonów, duchów — dziś trudno dojść, jak się nazywały. W osiedlach ludzkich z czasem narosła nieprzebrana ilość wierzeń, przesądów, guseł. Stąd też znalazło się tam i wielu czarowników i czarownic, likorek i znachorów, którzy przed złem stworzyli rozbudowane systemy magii — od najczarniejszej do białej jak śnieg. Tedy społeczności ludzkie, bytujące w puszczy, śmiało można było zaliczyć do pierwotnych.

A jednak...

Kiedyś kraina ta tętniła przemysłem. Wytapiano tu żelazo, przerabiano surówkę na stal, produkowano smołę i dziegieć. Po dawnych hutach czy smolarniach pozostały nazwy własne wsi, takie jak: Dymarki, Rudy, Huty, Kuźnice, Hamernie i Maziarnie.

W jednej z tych wsi — właśnie Maziarni — w której po dawnej maziarni ślad nie pozostał — urodził się Jontek, bo tak mu dali na imię. A przezwisko przejął po ojcu — Maziarzu. O Jontku mówili ludzie, i to dużo, od samego początku. A to dlatego, że nie tylko urodził się w lesie, ale jak mało kto — w ogniu. Może raczej na pogorzelisku. Wszystkie likorki naokoło orzekły, że Jontek będzie sławny: będzie miał siłę, władzę nad ogniem. Tak bowiem mówiły najstarsze przepowiadki. Ale, jak do tego doszło. Maziarzowi „spod krzywej sosny" sypały się dzieci jak gruszki. Była już tego ładna gromadka, kiedy kobieta znowu zległa. Maziarz posłał najstarszego chłopaka po babkę, a sam zabrał się do grzania wody i innych przygotowań. Położnica jęczała, od czasu do czasu krzyknęła głośniej, ale chłop na to nie reagował; tyle to już razy rodziła i zawsze było dobrze. Już się pod blachą dobrze paliło, już podarł na pieluchy jakąś starą koszulę, kiedy młodszy chłopak wpadł do chałupy z krzykiem:
— Tato! chałupa się pali, cały dach płonie! — Stary natychmiast wybiegł na pole — rzeczywiście; ni ratować, co się da, ni gasić wodą... Wspomniał nagle kobietę, która zaczęła krzyczeć: — Wynieś mnie, wynieś! — Ale jak, z kim? Począł wydzierać łóżko przez drzwi na pole; kiedy stuknął o próg, położnica znowu krzyknęła. Zawtórował jej głośny płacz dziecięcia, którego przed chwilą jeszcze na świecie nie było. A tu płomienie już poczęły się wdzierać do sieni. Na szczęście przybiegł ktoś z sąsiadów, pomógł wynieść łóżko, które postawili pod dziką gruszką, rosnącą na podwórzu. Dopiero teraz zjawiła się babka i zajęła się kobietą i dzieckiem. Ojciec uratował z ognia niewiele, bo i nie bardzo było co. Wiadomo, Maziarz „spod krzywej sosny" był biedakiem i gdyby nie las, wszyscy wymarliby z głodu. Po chwili z chałupy pozostały zgliszcza.
Wkrótce koło pogorzelców zbiegła się cała osada. Ludzie kiwali głowami — widać było, że żałowali tych, których

taki los spotkał.
— Że też nie miało to na kogo innego spaść, tylko na taką biedę! — szeptały kobiety, stojąc bezradnie. — Co z tym zrobić? Sześcioro drobiazgu, dwoje starszych, gdzie to podziać? A szczególnie położnicę. — Nikt nie miał więcej jak jedną izbę, wnet będą żniwa, nawet do stodoły nie sposób puścić. Poszepty wzmagały się, kupka nieszczęśliwych płakała cicho, chłop patrzył ponuro w ziemię, jedynie babka krzątała się. Coraz to ktoś coś przyniósł i wtykał dzieciom, które do jedzenia nie dawały się prosić.
— A wiecie, co ja powiem? — rzekł głośno stary Kopeć, chyba najpoważniejszy człowiek w Maziarni. — Kiedy zrobiła się cisza i wszyscy zwrócili na niego oczy, rzekł dobitnie, a takim tonem, że nikt nie ważyłby się sprzeciwić: — A my to ich przeniesiemy do budy koło suszarni. Co kto może dać, to niech przyniesie, widzicie, że nic nie uratowali. Tylko prędko. Położnicę ja sam przewiozę. Wojtek! — zwrócił się do swojego syna: — Leć, zaprzęgaj konie, weź ze stodoły parę wiązek słomy i drobnego siana.
— Słusznie! — zebrani odezwali się prawie chórem. — Tam im będzie najlepiej. Chyba nikt ich stamtąd nie wyrzuci! — jakby się zachęcali.
Na skraju lasu, przy drodze stała suszarnia szyszek: wysoka, jakby piętrowa, na dole miała dwie izby. Tam zasiadał leśniczy i kasjer, kiedy była sprzedaż drzewa i opału. Tak jak i lasy, suszarnia była własnością hrabiego, z którym toczyła się nieustanna wojna. Oto zaszła okazja, żeby mu dokuczyć najbardziej. Chyba nie waży się wyrzucić stamtąd gromady pogorzelców, w dodatku z położnicą. Tedy cała rodzina ułożyła się do snu w suszarni. Był tam piec kuchenny, było drzewo... Jak się rozniosło po okolicy to wydarzenie, dużo ludzi przychodziło do suszarni, nie po to, żeby nieszczęsnym pomóc, ale zobaczyć chłopaka, który urodził się w ogniu.



Grające i śpiewające dziady odpustowe. Rysunek W. Chajca (11)

Przyleciały chyba wszystkie znachorki z Jadachów i one to głosiły, że chłopiec będzie miał wielką władzę nad ogniem, że będą go więcej szanowali jak księdza.
Wkrótce Maziarz miał najlepszą chałupę w przysiółku. Hrabia, żeby się pozbyć lokatorów, dał drzewa na nową chałupę, desek i innych rzeczy. Ten prawie cud znachorki przypisały Jontkowi, który jeszcze przed chrztem otrzymał przezwisko „z ognia". Ale po trochu wydarzenie to poszło w zapomnienie.
Jontek, kiedy już dobrze podrósł, do szkoły nie chodził, bo po prostu jej nie było. Ho, ho! Ileż to już miał lat, kiedy poszedł pierwszy raz do kościoła, do wcale odległego miasteczka! Wcześniej nie mógł, bo nie miał w czym.
A potem rwał się do kościoła, ale to przez organy. Kiedy tam się znalazł, nic innego nie słyszał, tylko przecudną grę. A potem w domu o niczym nie mówił, jak o tym graniu. Ale takie szczęście spotykało go jedynie od wielkiego święta.
Jontek wyrósł na bardzo zmyślnego podrostka. Bo też sobie znalazł nauczyciela: las. Czego on się tam nie nauczył! Zmysłu obserwacyjnego, sprytu, cierpliwości, chytrości, spokoju, uporu, podstępu i wielu, innych mądrości. Nikt nie wiedział tak dobrze jak Jontek, gdzie rosną najpiękniejsze grzyby, maliny i jagody, w którym bajorze żyją największe i najtłuściejsze piskory, w którym strumyku można złapać najwięcej ryb, skąd ich krowina lubi leśną trawę. Mając niewiele ponad dziesięć lat, potrafił przynosić do chałupy całe kosze ogromnych raków, w zimie nauczył się łapać tchórze, a nawet zające. Zastanawiało ludzi, po co i gdzie biega, że go nie ma od rana do wieczora. W ogóle chłopaka otaczało sporo tajemniczości i podejrzeń.
Jontek, chociaż niezbyt często, to jednak brał udział w zabawach chłopców w Maziarni. Sami je sobie wymyślali — typowe puszczańskie zabawy. To w zbójów

i żandarmów, to w rabszicerów i leśnych, to w ogień, czasem w zwierzęta, głównie w rogacze, jak się bodły. Właśnie w czasie takich zabaw Jontek zaskakiwał współtowarzyszy. Ukrywszy się w gęstych krzakach, zaszczekał czasem, że nikt nie odróżniłby go od psa. Chłopcy rzucali się szukać zwierzaka — i znajdowali Jontka. Potrafił też piać jak kogut, miauczeć niczym kot, nawet ryczeć jak sor wołający sarnę lub piszczeć tak, że chłopcy szukali małych lisiąt. Nieraz zakwiczał jak świnia, że nawet starsi szukali, komu prosię w las uciekło. Najpierw to chłopców bawiło, ale potem złościło i nie chcieli się z Jontkiem bawić. Jakby się go po trosze bali. I wymyślali na niego niestworzone historie. Kiedyś jakoś się rozeszło, że Jontek naprawia buty. — Cooo? Taki szpik i buty naprawia? — pyskowali niektórzy, ale z ciekawości poszli zaglądnąć. I rzeczywiście; Jontek potrafił naprawić buty nie gorzej od starego Turczyna, jedynego wiejskiego szewca na okolicę.

— Ale ci go podpatrzył! — gadali ni to z uznaniem, ni to z naganą. Rzeczywiście, Jontek podchodził do starego, który, naprawiając różnego rodzaju buty i chodaki, opowiadał chłopcu przeciekawe dziwy, jakie działy się w puszczy. Chłopak łykał te opowieści i patrzył, jak dziadek Turczyn daje sobie radę ze skórą, z narzędziami, z dratwą i szczeciną, a palce chodziły mu przy tym, jakby i on robił razem z dziadkiem. A widząc, że góra chodaków w kącie dziadkowej izby rośnie i rośnie, że ludzie prawie z płaczem prosili go to o przyszczypki, to o zelówki, to o jakąś tam łatę. Jontek dopóty próbował i próbował, aż mu poczęło wychodzić. Po jakimś czasie i temu przestano się dziwić. I było w Maziarni aż dwóch szewców.

Już do gruntu poruszyło przysiółek, kiedy poczęto przebąkiwać: — Jontek skądsiś dorwał skrzypce i już gra. Podchodzili do chałupy Maziarza „spod krzywej sosny", podglądali, podsłuchiwali... nic, ktoś puścił plotkę i nic więcej. A jednak niektórzy uparcie twierdzili, że tak jest:

— Jontek ma skrzypce i gra. Jeszcze jak! — podkreślali. Nagle, ni stąd, ni zowąd odżyło to, co przed kilkunastu laty mówiły likorki z Jadachów: że człowiek, który urodził się w ogniu, jak zostanie skrzypkiem, to jego granie ma ogromną moc. A przede wszystkim, że tym graniem potrafi zagasić albo odwrócić w drugą stronę ogień. Tylko że musi nosić przy sobie sól ze świętej Agaty [11]. Wtedy nie oprze mu się największy pożar. I Jontek na pewno gra, tylko tak umie zrobić, że nikt tego grania nie może słyszeć. W ten sposób atmosfera tajemniczości i podejrzliwości poczęła się dookoła chłopaka zagęszczać. Jeśli o nim mówili, to szeptem, rozglądając się, czy ktoś nie podsłuchuje.

Aż jednego razu — Jontek był już łebskim chłopakiem, inni w tym czasie już zaczynali kawalirować — w Maziarni zapaliło się. Najpierw zapłonęła stajnia, a wkrótce ogień przerzucił się na stodołę. Wiatr powiewał nieźle, jeszcze moment, a mogła pójść z dymem połowa Maziarni. Jęki i nawoływania biły w niebo, baby latały dookoła to z obrazami, to z zielem, wymachiwały nimi w jednym kierunku, gdzie był wylot na pastwisko.

— Bójcie się Boga, leećie kto po Jontka! — z tłumu wybuchł nagle taki krzyk, że wszyscy zwrócili oczy w kierunku chałupy Maziarza, stojącej daleko pod lasem.

— Leećie co tchu! — podniósł się już cały chór głosów.

I oto już z tłumu wystrzeliło kilku chłopaków i jak zające pomknęło w kierunku lasu. Ludzie wkrótce zobaczyli Jontka, który trzymał coś w ręce. Za moment poznali: skrzypce. Dobiegli zdyszani.

— Boże, taż się spali! — jęczeli niektórzy. Jontek stanął blisko płomieni, właśnie tam, gdzie był wylot na pastwisko. Coś rzucił w płomienie i zaczął grać. Ale tak żałośnie i dziwnie, że ciarki po skórze niektórym poczęły łazić. Jeszcze moment... gromada oniemiała: płomienie nagle zwróciły się w kierunku grającego, tak że musiał odskoczyć daleko. Szły równiutko na pastwisko jak gąski

do wody. A potem ogień począł wyraźnie przygasać. Chałupa i obora ocalały. I inne małe budyneczki.
W zgromadzonym tłumie poczęto oczyma szukać Jontka. Ale ten gdzieś się zapodział. I nikt nie widział, żeby szedł do chałupy.
— Widzicie! Widzicie! Pamiętacie, co mówiły baby z Jadachów, kiedy się ten Jontek w ogniu urodził? — dały się słyszeć poszepty. — Widzicie! — to słowo powtórzono setki razy. I tak począł się mit Jontka, syna Maziarza „spod krzywej sosny". Ale też Jontek zdekonspirował się, ujawniając swoją nową umiejętność. — Popatrzcie, popatrzcie! — często szło w stronę Jontka.
Od tego pamiętnego dnia raz po razu ktoś z okolicy przysyłał po Jontka konie — jak po księdza czy doktora — do ognia. Sława Jontka rosła, ale starzy patrzyli na chłopaka coraz podejrzliwiej, nawet go unikali.
Jednego razu, a było to w czasie polskiej jesieni — jasno, ciepło, kolorowo — pod chałupę Maziarza, w niedzielne popołudnie przyszła gromadka młodzieży: chłopców i dziewcząt. Wywołali Jontka z izby i dalejże prosić, a nawet molestować:
— Jontuś, takie ciepło, chodź, zagraj nam, pohulamy trochę. Tak nie ma co robić, chodź, Jontuś — przymilały się dziewczęta. Chłopak dał się uprosić. Zabrał skrzypki i poszli w las szukać dobrego miejsca do hulania.
Zaraz za chałupą na czoło wysunął się Jontek. Weszli w stary, jodłowy las. Blisko brzegu była niby polanka, taki placyk. Wiadomo, że pod jodłami nie ma prawie nigdy podszycia, a ziemia jest tak zrosła z korzeniami, że bywa twardsza od klepiska w stodole. I na takie miejsce przyprowadził skrzypek czeredkę ludzi. Dziewczęta jakimiś gałęziami pozamiatały ziemię; nie mogło być lepszej sali tanecznej. Był też obok jakiś pieniek. Jontek usiadł — i zagrał. Już zawirowały taneczne pary, boso, na podłodze niby na dywanie. Młodzi jakby się zapamiętali, tak ich ta muzyka Jontkowa otuliła i rozkołysała. Nie czuli wysiłku,

jakby ich powietrze niosło.
A Jontek grał coraz szybciej. Struny tylko jęczały z wysiłku. Dookoła tańczących wiewały płótnianki i szerokie spódnice. Nagle skrzypek zwolnił i poszedł taki powiewny taniec, jakby duchy pląsały na łące. Dziewczętom tak się tęskno robiło na duszy, tak markotno pod sercami, że tuliły się do chłopaków. Jontek grał bez przerwy. Jak długo trwało to jego granie, nikt nie mógł powiedzieć. Tylko potem szeptali, że w czasie Jontkowej gry jakby ich coś zamamiło, zauroczyło. I szła ta gra na przemian; szybko i powoli, żałośnie i wesoło. Kiedy skrzypek wreszcie przerwał granie, tańczących zostało niewielu, a i ci siedzieli na ziemi, ledwie zipiąc. Na takim graniu jeszcze nikt z nich nie był. Bo to wtedy muzykantów było bardzo mało, ludzie tańczyli nawet, gdyby kto grał na samych tylko patykach.
Od tego czasu młodzież często prosiła Jontka o granie. Ale chłopak miewał różne humory, raz godził się, kiedy indziej zdecydowanie odmawiał. Nie zdarzyło się jednak aby ktoś zaproponował Jontkowi granie na weselu. Bo coraz to coś nowego niepokoiło mieszkańców Maziarni i sąsiednich przysiółków. Tylko dzieci coraz częściej odwiedzały solowego grajka. Ale tym Jontek grał całkiem inaczej aniżeli starszym: to wesoło, rzewnie lub smętnie, ale takie melodie, jakich nikt inny nie grywał. Na skrzypcach, tak jak kiedyś ustami, naśladował głosy zwierząt i ptaków. Słuchanie tego sprawiało dzieciom tyle uciechy, że siadywały godzinami przed chałupą Maziarza, czekając na te głosy zwierząt i ptaków.
Rodzice Jontka spostrzegli, że chłopak — zresztą już prawie kawaler — od czasu do czasu wychodził, ale już nie do lasu, lecz gdzieś dalej, nigdy nie opowiadając się, dokąd i na jak długo. I zawsze brał ze sobą skrzypce. Potem dochodziły słuchy, że go tam widziano, że gdzie indziej. Łaził po różnych wsiach, potem wracał i brał się gorączkowo do naprawiania butów. Robota szła, jakby mu

się paliła w rękach.
Razu jednego ruszył w kierunku miasteczka. Na krzyżówce, to jest na styku trzech dróg, stała karczma. Jontek często przechodził koło tej karczmy, z której wionęło dymem i wódką. Ale nigdy dotąd nie nabrała go ochota, by tam wstąpić. Tego razu wszedł do wielkiej izby szynkowej, silnie napchanej ludźmi. Wszedł i stanął onieśmielony, ale zebrani już go poznali. I jak to zdarzało się często, zaczęły się molestowania, żeby zagrał. Najbardziej męczył go szynkarz, brodaty Żyd. Jontek ustąpił. Siadł na ławie pod oknem i zaczął grać. Ludzie, którzy słyszeli o dziwnym graniu Maziarczyka, teraz pootwierali gęby i słuchali. A kiedy zaciął jakąś taneczną nutę, już potworzyły się pary i karczma się rozszalała. Kiedy zziajani ludzie przestawali tańczyć, by się pokrzepić jedzeniem i piciem i poddać poczęstunek niezwykłemu muzykantowi, który nie żądał za granie pieniędzy, chłopak tylko głową kręcił, co znaczyło, że odmawia. I grał dalej, jakby był nakręcony niczym zegar.

W pewnym momencie — po paru godzinach gry — podniósł oczy sponad skrzypiec i zobaczył, że tylko kilka par kręci się leniwie, inni siedzą na ławach. Wstał i bez słowa wyszedł na pole, w ciemną noc. Wybiegła za nim cała gromada, wybiegł szynkarz, namawiali, prosili, żeby wrócił — na nic. Jontek się uśmiechał — czego z powodu ciemności nie mógł nikt widzieć — coś tam rzekł i poszedł w mrok nocy.
Akuratnie w zapusty, a miało się już na odwieczerz, Jontek bez słowa wdział na siebie suknem podbitą płótniankę, na głowę nałożył magierkę, jako że był już dorosłym parobkiem, zdjął ze ściany skrzypce i wsunąwszy je pod połę wyszedł z chałupy bez słowa. Nikt też nie pytał go, dokąd idzie; po pierwsze, nie odpowiedziałby, po drugie, tak się już do tego przyzwyczaili, że dla nikogo nie było to dziwne.
Sam nie wiedział jak i kiedy znalazł się koło karczmy na

krzyżówkach. W oknach żółciło się młode światło, z wnętrza dochodził dziwny szum i jakieś pokrzyki. Chwilę dumał i wszedł do środka. A w środku ciemno było od dymu i karczemnego smrodu. Nagle ktoś krzyknął:

— Jontek! Z niebaś spadł! Co tylko my o tobie mówili! Zagraj nam, Jontuś, bo to dziś zapusty!

Wszystkie oczy zwróciły się na Jontka. A widać po twarzach było, że ich właściciele nie żałowali sobie gorzałki. Tak mężczyźni, jak i kobiety. Teraz te dopiero poczęły jazgotać:

Jontuś, zagraj! — wyrychtowały mu siedzenie na stole, żeby było wyżej, żeby było dobrze słychać.

Jontek nie dał się długo prosić. Wgramolił się na stół jak na kazalnicę w kościele i zaczął grać. Po swojemu: najpierw powoli i żałośnie, a potem tak wściekle, że nawet szyby w oknach wyrczały. Co się wtedy nie zaczęło dziać!... Potem, potem mówili, że jak karczma karczmą, takiego szaleństwa w niej nie było. Ludzie, a zwłaszcza dziewki darły się, skakały, dusiły chłopaków — wydawało się, że nastąpi koniec świata. Raz po razu jakaś para doskakiwała do szynkwasu, tchem wychylała po półkwaterku i dalej w taniec. Karczmarz nie mógł nadolić nalewania i zgarniania pieniędzy.

Wszystkiemu temu przyglądali się staruchowie, siedzący rządkiem koło pieca. Pić już nie mogli wiele, hulać tym bardziej, ale chcieli chociaż przypatrzeć się, przypomnieć sobie młode lata... hoj, hoj! I ze dwie starsze kobiety siedziały pod piecem, pewnie już babki. Co jakiś czas jedna z nich podnosiła się, brała do ręki jedną lub nawet dwie dartki leżące na zapiecku, odtrącała nią czarny nos którejś z płonących szczap albo wydzierała ze szczeńbiny dopalającą się dartkę i wtykała nową. Wtedy zaraz robiło się jaśniej.

Nagle Jontek przerwał granie. Po prostu poczuł głód. Podniósł się niezmierny krzyk:

— Jontuś, graj dalej. — Ale Jontek siedział milczący. Rzucili się do niego i dalejże wpychać grajcary do jego kalety. Aż komuś wpadło do głowy, że muzykanta trzeba nakarmić. Ten i ów wpychał mu to kawał kiełbasy, to kawałek pieroga. Inni przynosili półkwaterki, ale tego Jontek nawet nie ruszył. Wreszcie podjadł sobie uczciwie. Kiedy podniósł skrzypce pod brodę, przystąpił do niego jeden ze staruchów siedzących koło pieca i krzyknął tak, żeby go nie tylko skrzypek, ale i inni słyszeli:
— Wiesz co, Jontek?! To twoje granie to nie jest ludzkie granie! W twoich skrzypcach diabeł siedzi. Ty z diabłem grasz, rozumiesz!? — A zwróciwszy się do siedzących koło pieca, kiwnąwszy na nich ręką, zawołał: — Idziewa! — I wyszedł. Poszły za nim dwie baby, jeden chłop, reszta się nie ruszyła.
Dopiero po chwili za tamtymi posypały się drwiny, przekleństwa, pogróżki. A Jontek, jakby to nie do niego było powiedziane, zaczął grać dalej — i od razu od najwścieklejszej polki.
Oprzytomniła go niesamowita cisza. Przestał grać i popatrzył dookoła. Nikt już nie tańczył. Ludzie — chłopy, baby, dziewki — leżeli jak snopy na zagonach. Jedni na ławach, inni na stołach, wielu na podłodze. Spali. Widać poustawali od Jontkowego grania, a i uchlani musieli być niezgorzej. Nawet szynkarz oparty na szynkwasie się nie ruszył. Na ten widok jakby i Jontka zmorzyło. Oparł się o ścianę i drzymota wzięła go z miejsca.
Jak Jontek długo spał — nie wiedział; godzinę? trzy? Zbudził go okropny krzyk:
— Laboga! Pali się! Ratujcie!
Rzeczywiście, w izbie było już tyle dymu, że nic nie było widać, a i oczu nie można było otworzyć, tak gryzło. Koło pieca, gdzie świeciły się dartki, syczały i trzaskały płomienie. Po prostu: dartki dopaliły się do ściany, a że już ich nikt nie zmienił, drzewo karczmy, stare, suche



Muzykanty. Figurki terakotowe wykonane przez artystkę ludową Władysławę Prucnal (12)

i smolne, zajęło się.
Na wpół przytomni ludzie zabrali się do ratunku. Wtedy ktoś sobie przypomniał, że przecież Jontek ma moc gaszenia ognia przez te swoje skrzypce. Stąd nagle krzyk:
— Jontuś, graj!
Jontek całkiem oprzytomniał. Najpierw wyjął z kalety garść soli świętej Agaty, rzucił ją w płomienie, a potem zaczął grać. A grał tak rzewliwie, tak dziwnie, że ludzie biegali szybciej, jak mogli. Lali wodę z konewek, z cebrzyków; wreszcie przestało się palić. Ludzie z podziwem patrzyli na Jontka.
— Toś ty, Jontuś, ugasił ogień, ty! Jakby nie twoje granie, poszłoby karczmisko w powietrze! I gdzie by my przychodzili na pocieszenie? — zawodzili.

Od tego czasu zawrzało w okolicy. Ludzie nic, tylko o tym: o wściekłym graniu Jontka, o zamawianiu, jakie opanowało pijących i tańczących, co Jontkowi powiedział stary Rębisz z Rębiszów, jak prędko ugasili ogień... — A nie mówili stary Rębisz, że diabelskie granie było, że diabeł siedzi w Jontkowych skrzypcach!? — Strach, co się nie działo, czego nie mówili! Aż do księdza doszło, na kazaniu o tym mówił, do czego diabeł ludzi może doprowadzić.

Od tego wydarzenia w Jontkowe, diabelskie granie wszyscy święcie wierzyli. Gdy się tylko Jontek pokazał, dzieci, podszczute przez rodziców, wołały za nim:

— Jontek z diabłem! Jontek z diabłem!

A Jontek z początku jakby tego nie słyszał, nie rozumiał. Chyba nie pojmował tego, że oto on, szanowany i podziwiany, stał się przedmiotem nienawiści i urągiwań. Razu jednego Jontka znowu gdziesik poniosło. Nikt się tym nie niepokoił. Ale kiedy Jontek nie przychodził tydzień, drugi, matka poczęła poszlochiwać po kątach, ojciec zmarkotniał, siostry wzdychały. Nic nie pomagało: ani danie na mszę do Matki Boskiej Dzikowskiej, ani modlitewki, które zawsze skutkowały. Kamień w wodę. Mijały lata, słuch o Jontku zaginął. Ludzie poczęli zapominać, tylko babki cichaczem opowiadały wnukom, jak to diabeł wywiódł gdziesik Jontka — pewnie na wieczyste zatracenie.

Kiedy lasowiackie strony prawie zupełnie zdążyły zapomnieć o muzykancie z diabłem, Jontek wrócił. Skąd — nikt nigdy nie doszedł. W ciągu kilkudziesięciu lat dużo się zmieniło, sława Jontka, ta dobra i ta zła, zblakła zupełnie. Zresztą, gdyby się Jontek — szukając swego rodzeństwa, bo ojcowie już dawno spoczywali w złocistym piasku — nie przyznał, kim jest, nikt byłby go nie poznał. Nawet ci, co znali go jeszcze jako parobka. Chyba że po tym, iż się nigdy ze skrzypcami nie rozstawał.

Jontek Maziarz zmienił się nie do poznania. Pochylił się,

nosił długie włosy, już siwiuteńkie, podobne wąsy i wielką, zwisającą na piersi brodę. Odziany w starą, połataną płótniankę, na głowie nosił bardzo wytartą magierkę. Na szyi wieszał różaniec z grubych ziaren i, jak dawniej, przez ramię miał przewieszoną kaletę. Co w niej było, nikt nie dochodził. I to był cały jego majątek. Nigdzie nie zagrzał długo miejsca. Właściwie to nieustannie był w podróży, a raczej na włóczędze. Grywał na odpustach pobożne pieśni, spotykano go na jarmarkach, często zachodził do zagród. Stawał pod drzwiami chałup i, nic nie mówiąc, grał. A tak żałośnie, tak modlitewnie, że nawet najskąpszy wygrzebywał z węzełka parę centów i wręczał grajkowi. Obdarowany, zaledwie bąknąwszy „Bóg zapłać", szedł dalej. Próbowali go namówić, by grał na weselach czy chrzcinach — nawet nie odpowiadał. Już jako „dziad" był postrachem dzieci; chociaż twarz miał łagodną i nigdy dzieci nie straszył. Ale sam jego wygląd był tak odmienny, że budził grozę.

Razu jednego zawędrował aż nad Wisłę. Szedł, a raczej wlókł się wiejską drogą, a na jego widok dzieci, które go tu nie widziały nigdy, w popłochu uciekały do chałup. Długi czas swoim zwyczajem nie wstępował na podwórza, szedł jak mara. I oto nagle zatrzymał się przed wrotami do zagrody Wojciecha Wiącka, zamożnego gospodarza. A potem pchnął furtkę i wszedł na podwórze. Gromada dzieci, nie mogąc skryć się w zamkniętej chałupie, jak zmartwiała przytuliła się do drzwi i patrzyła z przerażeniem na obcego, dziwnego człowieka. A ten, oparłszy się o słup żurawia przy studni, wyjął skrzypce spod płótnianki i począł grać. I jak ostatnio najczęściej, tęsknie i żałośliwie. Po chwili ciekawość dzieci przemogła strach. Zbliżyły się do grajka i oglądały go uważnie. Niezwykła muzyka ściągnęła też sąsiadów, którzy ustawieni za płotem obserwowali nie znane im dziwo. I oto stała się rzecz niezwykła. Grajek położył skrzypce na ziemi, podłożywszy przedtem pod nie swoją kaletę.

Przystąpił do studni i począł konewką czerpać wodę. Wyciągniętą konewkę stawiał na cembrowinie, kreślił nad nią w powietrzu jakieś znaki, a potem wodę wylewał tak, żeby popłynęła na drogę.
— Głupi, czy co? — sąsiedzi zadawali sobie pytanie, uśmiechając się. A tamten nic, tylko wylewał konewkę za konewką. Nareszcie przestał. Zawiesił kaletę na ramieniu, wziął skrzypce do ręki i zwracając się do ludzi, powiedział powoli:
— A ja wam mówię! I ta chałupa stąd zniknie, i studnia, a wy nie będziecie drugich nazywać głupimi. To nie ja to mówię, tak mi skrzypce wygrały. Jeszcze nie teraz, później — dokończył i wyszedł na drogę, nawet się nie oglądnąwszy.
Po wielu latach nieraz o tym wydarzeniu opowiadała wnuczka Wiącka wnukom tych sąsiadów, co to powiedzieli na grajka, że pewnie głupi. A powiadała o tym wtedy, kiedy nie tylko chałupa, nie tylko studnia, nie tylko Wiąckowa zagroda, ale cała nadwiślańska wieś tak znikła jak śnieg na wiosnę. Tak, jak przerzekł wtedy Jontek.
Mijały lata. I lasowiackie, i nadwiślańskie wsie przyzwyczaiły się do widoku i dziwnego zachowania się Jontka z Maziarni. Już nie mówili o nim: „z diabłem" ani „głupi" — ot, Jontek. A najczęściej — stary Jontek.
Aż się rozniosło: w krzakach, niedaleko karczmy na krzyżówkach, ktoś zdybał na chojaku zawieszone skrzypce. Poznali, były Jontka, starego Jontka. A po nim ani śladu. Kiedy zaczęli szukać dookoła, znaleźli jeszcze kaletę i magierkę — też Jontkowe. A więcej nic. Co się to mogło stać? Dumitowali ludziska, mieli okazję do domysłów. Czyżby go wilki zagryzły? A może kto go zabił? A może... Wtedy przypomniano sobie, że Jontek urodził się w ogniu, na pogorzelisku, że miał moc nad ogniem, że potem mówili, jak się karczma zapaliła, a Jontek ją ugasił, że miał diabła, który siedział w jego skrzypcach, a te miały i pewnie mają jeszcze ciortowską siłę. Długo wisiały na

tym chojaku, na którym je znaleźli, nikt nie poważył się ich zdjąć. Ale niepokoiły ludzi, wszyscy bali się tamtędy przechodzić. Długo szukali i prosili, aż ubłagali jednego chłopa, właśnie z Maziarni. Ten pamiętał Jontka jako chłopaka. A był to najpobożniejszy człowiek w parafii. Wziął krzyż, z którym prowadził kompanie do Dzikowa na odpust, wziął garść czartopłochu do flaszki święconej wody, kropidło — i poszedł, a za nim gromada ludzi. Najpierw te skrzypce pokropił wodą, potem okadził czartopłochem, przeżegnał się kilka razy i z dygotaniem zdjął je z gałęzi. I poszedł mówiąc, żeby teraz za nim nikt nie szedł. Co z nimi zrobił, gdzie podział, nikt nie wie do tego czasu. Zakopał je, czy spalił? Na miejscu, gdzie wisiały skrzypce, postawili wysoki, dębowy krzyż. A co się stało z Jontkiem z Maziarni, nikt się nigdy nie dowiedział.

Kiedyś, kiedyś, właściwie to jeszcze całkiem niedawno — na jarmarcznych i odpustowych straganach piętrzyły się istne góry „literatury dla ludzi", nazwanej później przez uczonych „straganiarską". Co tylko się tam kupiło, rozżarzało ludzką wyobraźnię do czerwoności, jeśli nie do samej białości. Czytelnikom wydawać się mogło, że jedynie dawno, dawno, w głębokim średniowieczu żyli i działali błędni rycerze, niepokonani królowie, natchnieni prorocy i wieszcze, przemożni czarnoksiężnicy, Żydzi wieczni tułacze, wędrowni grajkowie i śpiewacy prawie anielscy, dziewice na wskroś czyste, pustelnicy świątobliwi, a poza tym ludzie wolni, niczym nie skrępowani — „ludzie szerokiego pola". A więc tacy, co to ani orali, ani siali — a jednak żyli szczęśliwie pod okiem boskiej opatrzności. A termin ten bynajmniej nie jest wydumany, lecz źródłowy, historyczny; w licznych księgach rachunkowych miejskich z wieków XVII i XVIII często wymieniani są „ludzie szerokiego pola", którym — nie wiadomo jakim prawem, skodyfikowanym czy zwyczajowym — należał się jeden grosz. Zapomogi? odczepnego? na pozbycie się? Ci przybysze, Bóg wie skąd, ofiarowali miejscowości, dokąd przybyli, najróżnorodniejsze usługi — nawet ścinanie przestępców. Jeśli byli w danej chwili potrzebni, zatrudniano ich, płacąc odpowiednie wynagrodzenie. Jeśli nie — po otrzymaniu grosza zapomogi szli dalej. Iluż ja sam pamiętam takich wolnych ludzi! Grajków i śpiewaków jarmarczno-odpustowych, „pańskich dziadów", żyjących na wzór ptaków, rzeczywistych czy tylko udających pomylonych, sprzedawców cudownych leków, obrazów i innych „świętości", gawędziarzy... Wszystko to łaziło po bożym świecie, jakoś tam żyło, w pewnym czasie nagle znikało. Czasem ktoś tam wspomniał: —

O, tego z guzem na szyi dawno już nie było; co się z nim stało? — I tyle.
Byli oni wielekroć istnym utrapieniem. Przyszedł taki jak do rodziny, najpierw klęknął koło drzwi, pomodlił się, i to głośno, żeby nikt nie wątpił, że się modlił za cały dom, za to, żeby mu Pan Bóg błogosławił, potem siadał — i siedział. Zwyczajnie to i owo opowiadał, czekał, aż mu każą rozgościć się, dadzą coś do zjedzenia. Cuda ludzie opowiadali o takich łazęgach — dobrze, ale najczęściej źle. Byli tacy, którzy spełniali rolę jakichś bohaterów ludowych. Dla nas, chłopaków — co to była za okazja do rozbudzenia wyobraźni! Biegaliśmy za nimi jak za rarogami, gromadziliśmy się w domach, które zaszczycili swoją obecnością, słuchaliśmy ich jak tłumy Chrystusa nad jeziorem. Gdyby to wówczas byli tacy, co by spisywali te ich opowieści i nieprawdopodobne historie! Ale... nie zapisane słowo, nawet najpiękniejsze, ginie, jak różnobarwne jesienne liście, które czarują, kiedy wiszą na drzewie — a giną zerwane powiewem jesiennej wichury.
Ile tej poezji przepadło?
A jednak — chyba wyjątkowo dzięki inspiracji człowieka, który kiedyś był pod przemożnym urokiem takich „wolnych ludzi", kilku „takich" doczekało się słownej dokumentacji. Zapisanej — a jakże — atramentem, staroświecko, ale na bardzo lichym papierze. A był taki ludowy kronikarz idealnym realistą. To znaczy, że realne postacie opisywał takimi, jakimi je znał, widział, z jakimi rozmawiał.
Była taka postać — jak kiedyś w średniowieczu — znana jedynie z przezwiska. Zresztą w niewielkim kręgu, na ograniczonym terenie — może w kilkunastu, może co najwyżej kilkudziesięciu wsiach. A we wsiach lasowiackich, gdzie ze względu na szczególną atmosferę, w ciągu wieków wytworzoną przez lasy, strumienie, mokradła i bagna, wydmy złociste i inne dziwy przyrody, pleniły się najbardziej fantastyczne wieści. Jednym z takich „wolnych ludzi" był mężczyzna w sile wieku nazwany

Wiedeńczykiem lub Niemcem Wojtkiem. Jakim tam wiedeńczykiem był Wojtek — jego nazwiska prawie nikt nie znał — kiedy wiedziano na pewno, że urodził się w jednej z lasowiackich wsi, z lasowiackich rodziców, zresztą biedaków. Był tedy czystej krwi Lasowiakiem. W moich włóczęgach po lasowiackich stronach natrafiłem na wyraźne ślady czegoś w rodzaju zrzeszenia czy związku żebraków. A właściwie to dziadów odpustowych roznoszących po świecie nowinki [12]. Opowiadano mi, że kiedy stało się coś ważnego — objawienie się Matki Boskiej, czyjeś cudowne wyleczenie, jakaś zbrodnia — wieści o takich wydarzeniach szybko się rozchodziły. Na oznaczone miejsce schodziło się nawet kilkudziesięciu dziadów i tam wspólnie układali jedną czy kilka pieśni. Jeden czy dwóch — z rękopisem w zanadrzu, jednak niektórzy umieli pisać — szli do najbliższej drukarni w Tarnobrzegu lub Kolbuszowej i zamawiali „pospieszny" druk w odpowiednio wielkim nakładzie. Druczki były drobne, skład i druk następowały szybko. Drukarz nie przejmował się takimi czy innymi błędami; od siebie, dla okrasy dodawał jeszcze swoje i następnego dnia wysłańcy wracali na miejsce zbiórki, gdzie dokonywał się podział materiałów. Działo się to bez pisemnych zamówień, korekty, kwitów. W kilka dni po wydarzeniu na jarmarkach i odpustach „boży śpiewacy" już zawodzili, co się to tam a tam stało. Melodii mieli tyle na składzie, że brali najbardziej do charakteru wydarzenia pasującą, coś tam zmieniali i w świat biegła wiadomość.

Owi śpiewacy wielkie mieli poważanie i sławę. Dzieje jednego z muzykantów „szerokiego pola", jakim był Wiedeńczyk, opowiadał mi niezrównany gawędziarz Józef Ryś. Wiedeńczyk był to chłop jak dąb i chyba dlatego posłano go do służby wojskowej do Wiednia. Służył w wojsku kilkanaście lat, podobnoć w jakimś ekskluzywnym pułku, w dodatku przy kawalerii. Powróciwszy do swojej wsi po kilkunastu latach

nieobecności, poczuł się w niej całkowicie obcy. Nie miał nawet własnego kąta do zamieszkania. Co gorzej, ludzie poczęli patrzeć na niego podejrzliwie. Zmienił obyczaj, nawet po polsku mówić było mu już ciężko — lepiej mówił po niemiecku. I stąd jego drugie przezwisko — Niemiec Wojtek.

Więcej od dziwacznych wojskowych łachów, jakie miał na grzbiecie, interesowało ludzi to, co jedynie przywiózł ze sobą i z czym się nigdy i nigdzie nie rozstawał: skrzypce. Żeby to jeszcze były owinięte, jak nosili na wsi, w jakiś paruch. Nie, nosił zamknięte w drewnianej skrzyneczce, podobnej do dziecięcej trumienki.

Kiedy się pojawił we wsi, nikt go o nic nie pytał, sam nic nikomu nie opowiadał. Dziwiło ludzi, że nie zabrał się do żadnej roboty. Wreszcie — nie tylko się nie ożenił, ale w ogóle nie rozmawiał z dziewczętami. A te łypały za nim ślepiami, bo chociaż nieco przystarszy, to chłopem był walnym. Stał się we wsi sensacją, tematem rozmów i debat. Przecież jako wysłużony podoficer, mógł dostać pańską pracę, przy jakimś urzędzie, w lasach... A on nic. Czyżby się w wojsku całkiem pracować odzwyczaił? Przecież doskonale mówił po niemiecku, miał poprzypinane jakieś medale...

Wiedeńczyk nikogo nie prosił o mieszkanie. W lecie sypiał byle gdzie; po stodołach, pod szopami, często wprost w lesie, w jakiejś budzie, w polu, w kopkach siana lub zboża. A w zimie? W karczmach na twardych ławach, gdzieś w kącie u ludzi na wiechciu słomy, nawet w kostnicy na cmentarzu. Był tam piec, palił w nim starymi krzyżami, przykrywał się podobnoć podartymi chorągwiami i jakimiś łachami. To wszystko jeszcze bardziej spowijało go mgłą tajemniczości. Ale gdzie tylko wstąpił, zawsze dostał kawałek chleba, miseczkę strawy. Wiedeńczyk nigdzie nie zagrzał dłużej miejsca jak kilka dni. Miał jakby swój rejon włóczęgi. Ale tylko kawał lasowiackich stron. Widocznie tu czuł się najlepiej,



Kapela wiejska. Płaskorzeźba Franciszka Swidra (13)

najpewniej: przecież były to jego rodzinne strony. Nikt nie potrafiłby wytłumaczyć, od kiedy i z jakiego powodu zaczęto bać się Niemca Wojtka. Budził taki lęk jak znachorzy i Cyganie. Poczęto straszyć nim dzieci, które na jego widok kryły się w najciemniejsze kąty. — Zadrzesz z nim, odmówisz mu czegoś?... lepiej nie! — ostrzegali się wzajemnie. — Przecież to „światowiec", musi znać różne „sposoby", a nuż ci uczyni? Potem tego nie odczyni nawet najmądrzejsza baba — szeptali między sobą. Muzykanci z rejonu Niemca Wojtka rychło się przekonali, że jest doskonałym skrzypkiem. Nie dość że umiał „ swoje" kawałki, umiał także grać „po pańsku". Rzeczywiście, znał mnóstwo wiedeńskich walców, polek, jakieś jeszcze inne tańce... Zdarzało się, że w jakimś

zespole zabrakło skrzypka, wówczas na gwałt szukano Wiedeńczyka. A już szczególnie, kiedy na weselu spodziewano się państwa: leśniczego, kogoś ze dworu, nauczycieli. W takich wypadkach zarabiał lepiej nawet aniżeli inni. A grając jakby o bożym świecie zapominał. Muzykanci rychło też przekonali się, że Wiedeńczyk potrafi mieć kaprysy, że potrafi robić nie byle jakie figle. Nieraz w połowie wesela ni stąd, ni zowąd wstawał z ławy, wkładał skrzypce do tej swojej skrzyneczki, wsadzał je pod pachę i szedł bez słowa. Wesele diabli brali, dochodziło do awantury z pozostałymi, bo przecież na samych basach z sekundem grajka nie pójdzie. Jeden i drugi, sparzywszy się, nie dość że Wojtka nie brał na muzykę, ale jeszcze innych ostrzegał. Coś się z tego powodu musiało dziać w Wiedeńczyku, kiedy począł się ze swoim graniem innym narzucać; opornym groził głośno uczynieniem, a nawet podpaleniem. A tego bali się najwięcej. I znowu brali go na wesela. I zdarzało się, że Wojtek grał kilka dni pod rząd jak maszyna; inni poustawali, a Wojtek jeszcze by grał. — Czyżby rzeczywiście miał coś z diabłem? — poczęli znowu podejrzewać.

Nagle — nowina jak piorun z jasnego nieba. A stało się to nie gdzie indziej, jak w Trzebosi koło Sokołowa, a więc w rejonie Wiedeńczyka. Właśnie w Trzebosi miało być wielkie i bogate wesele, umówiono najlepszy zespół. Kiedy zebrani u prymisty muzykanci czekali na furmankę, coś tam już łyknąwszy na konto dobrego zarobku, drzwi się cicho otwarły i ukazał się Wojtek. Bez żadnego wstępu oświadczył, że idzie grać razem z nimi. Muzykantów poniosło:

— A to jakim prawem? — Jest ich komplet, nikogo nie brakuje, nikt nie chory... — Idź, Wojtuś, do pierona! — żartowali — Chcesz, napij się, przegryź, ale z nami nie pojedziesz, nie jesteś potrzebny — śmiali się.

I oto stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. Wojtek

nie groził, nie straszył uczynieniem, ale zaczął prosić, później nawet żebrać. Kiedy i to nie pomagało, Wiedeńczyk rozpłakał się jak dziecko; żeby go koniecznie wzięli.

Nic nie pomogło. Raz powiedzieli nie, tego się trzymali. Czyżby rzeczywiście chodziło im o to, żeby nie dostał się jeszcze jeden do zarobku? Tak potem ludzie mówili.

A tu za oknem krzyki, trzaskanie z bata, śpiewy — zajechał wóz po muzykę. Muzykanci szybko poczęli się zbierać, nie zwracając uwagi na znieruchomiałego Wojtka.

— No, Wojtuś, Wiedeńczyku, bądź zdrów! — zawołał basista, jakby drwiąco. — O, zagraj se sam, ulży ci! — dodał, zarzucając basy na ramię.

— Czekajcie wy, cholery! — zaryczał Wojtek — opowiadała później żona prymisty. — Darł się, jakby sto biesów w niego wstąpiło. A jak rękami wywijał, jak mu się piana z gęby toczyła! — zapewniała w niedzielę pod kościołem. — A kiedy już siadali na wóz, cosik robiąc ręką w powietrzu, wołał: — Wy mnie, cholery, popamiętacie, jeszcze mnie na kolanach prosić będziecie! — i poszedł w swoją stronę.

Muzykanci słyszeli jednak te słowa. Zrobiło im się nieswojo, przypomnieli sobie, co o Wiedeńczyku mówili. Kiedy wesele szalało, kiedy o tamtym zapomnieli, nagle oczy muzykantów skierowały się w stronę sieni.

W drzwiach, przewyższający wszystkich o głowę, stał Wiedeńczyk i patrzył na nich tak, jakby się w jego ślepiach siarka paliła. W jednym momencie wszyscy muzykanci zdrętwieli. Naraz — trrach! Wszystkie struny, jakby kto nożem ciachnął; jęknęły żałośnie, zwijając się. Popękały. Tańczący jakby nagle skamienieli, zrozumieli, że po weselu.

A Wiedeńczyk stał w drzwiach i uśmiechał się, czego u niego nikt nigdy nie widział. Weselni zrozumieli wreszcie — że uczynił. Dalej w prośby, błagania; kto się mógł do niego dopchnąć, podawał jedzenie, picie,

niektórzy pieniądze. Wojtek jadł, pił, pieniądze chował do kieszeni. Na końcu zbliżyli się i muzykanci, wielce skruszeni. Przepraszali, obiecywali... Wiedeńczyk przyzwolił ręką. Muzykanci struny powiązali, pozakładali też nowe, wesele ruszyło dalej jak młode konie.
— Oj, głupcy, głupcy! — naigrawał się po weselu z muzykantów ich znajomy, Józek. — Podechlaliście dobrze, jeszcze lepiej popili, rozjurzone swaty darły się:
— Ostro! ostro! — Przycisnęliście smyki, struny były już przetarte, przecież żal wam na lepsze, kupujecie same dziady, no i pękły. Co może zrobić taki biedak jak Wojtek? To Bogu ducha winny człowiek, przyszedł na wesele na pewno głodny, patrzył na sytych łakomie, a wam się wydawało, że chce was zabić śmiertelnymi promieniami.
— Uczynił, nie uczynił, ty gadaj swoje, a my wiemy swoje. Nie byłeś, nie widziałeś, co możesz mówić? — najgłośniej odpierał basista. — A my ci mówimy, ty z nim uważaj, bo się dorobisz tego co my — zakończył z przekonaniem. Józka jednak nie przekonali. Żegnając się dodał: — Wyłaziliście z portek, żeby dużo zarobić, no i mieliście. — A oni z politowaniem pokiwali za nim głowami. — Co można z takim niedowiarkiem?
Do samotnych włóczęg Wiedeńczyka już się dawno przyzwyczajono, a oto sensacja: Wiedeńczyk znalazł sobie kompana, naturalnie podobnego do siebie. Tamtego też dobrze znali w tych stronach, też łaził nie wiadomo po co i za czym, tylko że miał inny rejon. Raz spotkali się i jakby pożenili. Już nie widziano żadnego z nich osobno. Tyle że Wiedeńczyk nosił pod pachą skrzypce, a Kuba trąbkę. Swego zaś czasu Kuba ze swoją trąbką był tak samo sławny jak Niemiec Wojtek ze skrzypcami. Różnili się jednak tym, że Kuby nikt się nie bał, nikomu nic złego nie uczynił, dzieci nim nie straszono. No i nie zawsze się włóczył. Tylko wtedy, jak go coś naszło. Ale co to było, nikt dokładnie nie umiał wytłumaczyć.

Jak Wojtek na drugie miał Niemiec, tak Kuba — Cygan. Właśnie to jest ciekawe, skąd mu się wzięło to przezwisko. Jedno było pewne: nie pochodził ani z Cyganów, to znaczy z jednej z lasowieckich wsi, ani z Gorzyc, gdzie prawie pół wsi było Cyganów, którzy tam mieli swoje gospodarstwa.

Tutaj trzeba opowiedzieć wydarzenie, jakie się Kubie przytrafiło. W jego wsi wiedziano, jak się nazywa, jak się zwali jego ojcowie, ile mieli gruntu, koni i bydła — w dalszych stronach wiedzieli o tym mniej i wszędzie inaczej. Teraz, kiedy Kuba skompanił się z Wiedeńczykiem, cała sprawa stała się aktualna.

I opowiadali tak.

Kuba — matka zawsze mówiła mu tylko Kubuś — już był łebskim chłopakiem, już sam potrafił zrobić piszczałkę z wierzby i ładnie na niej zagrać, kiedy rodzice jadąc do miasta na jarmark zabrali go ze sobą. I tam, w mieście, stało się to, co chyba wpłynęło na bieg życia muzykalnego chłopaka. Kiedy dojeżdżali do miasta, wyjechała stamtąd bryka, na której siedział mężczyzna w burym płaszczu i czapce, z wielkimi wąsami i bakenbrodami. Trzymał on w ręce jakby wielki obwarzanek, który błyszczał w słońcu. I na tym metalowym obwarzanku trąbił; trąbił melodię pocztyliona wiozącego pocztę. Kubuś tego nie wiedział, ale trąbienie tak go omotało, że nic nie widział, tylko tę trąbkę i nic nie słyszał, jedynie cudowny hejnał. A w drodze powrotnej o niczym nie chciał mówić z rodzicami — chociaż tyle cudów widział — tylko o trąbce i graniu.

Od tego dnia chłopak gdzie i kiedy szedł, zwinąwszy dłonie na kształt trąbki, trąbił ów hejnał, naturalnie swoim głosem, tak jak trąbił pocztylion z miasta. Wieś się do tego przyzwyczaiła, nikt się już nie dziwił, jak Kuba, nawet idąc do szkoły, trąbił na swojej ręcznej trąbce. Kto o tym nie wiedział, a usłyszał owo trąbienie, oglądał się ze zdumieniem.

Rodziców Kuby stać było na kupno trąbki, ale o tym słyszeć nie chcieli. Tyle roboty w polu, tyle trzeba koło koni chodzić, tyle młocki, a ten nic by nie robił, tylko w trąbę dmuchał. Ale chłopak też nie dawał za wygraną, ciułał centy bez wiedzy rodziców i wreszcie trąbkę kupił. Myślał, że jest cudem świata, a to była tylko trąbka nocnego strażnika z sąsiedniej wsi, którą mu buchnął jakiś spryciarz. Nie miało to cudo żadnych klawiszy, ale i na takim instrumencie Kubuś nauczył się wygrywać, że dziwowali się ludziska.

— Będzie z niego muzykant, i to jeszcze jaki! — mówili do siebie, słysząc Kubusiowe granie.

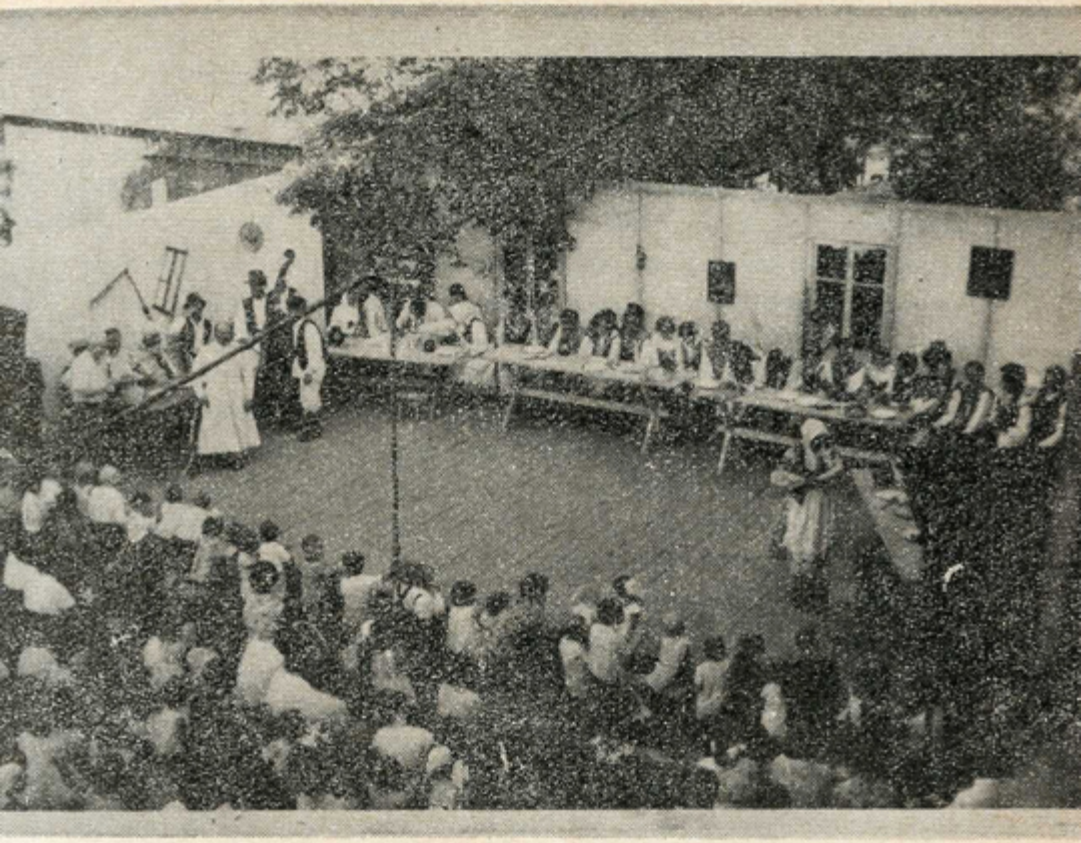
Ostatecznie chłopak wyrósł na podkawalirka. Zdobył też prawdziwą trąbkę. Do roku grał już „jak stary".

Wreszcie, mimo płaczu matki i krzyków ojca, Kubuś wszedł do zespołu. Wtedy niewiele było zespołów, w skład których wchodziłaby trąbka; były unikalne.

No i stało się. Na wesele, na którym grał Kubuś, przyszli Cyganie. Przyszli nie grać, jak to czasami robili, ale potańczyć sobie. Kazali sobie zagrać jakiś taniec, a tańczyli, jakby się wściekli. Skakali, krzyczeli, zawijali, podskakiwali. W izbie zrobiło się okropnie gorąco. Ale Kuba nic nie widział, tylko jedną Cygankę. Była ona piękna, obwieszona świecidełkami, w lekkich strojach. Kiedy w pewnej chwili upatrzona Cyganka stanęła pod ścianą nie tańcząc, Kuba nie wytrzymał. Położył trąbkę na ławie i już stanął koło Cyganki, prosząc ją do tańca. Zdyszana dziewczyna popatrzyła na chłopaka i na chwilę jakby osłupiała. Tak, Cygan, ale nie z ich obozu. Skąd się tu taki wziął? A urodny, jakich mało widziała. Cera smagła, włosy kręcone, oczy czarne, wysoki.

Skąd się taki chłopak wziął wśród Lasowiaków, dziwili się nieraz ci, którzy znali Kubę od dziecka. Czyżby się matka zapatrzyła na Cygana? Ale aż tak! O coś gorszego nikt Kubowej matki nie posądziłby nigdy. Dziewczętom się podobał, ale wszyscy uważali go jeszcze za młodego

do żeniaczki.
Po tańcu z Cyganką Kubie granie zupełnie nie szło. Jeszcze kilka razy trąbista z nią tańczył. Cyganie patrzyli na to nie reagując. Też nie wiedzieli, co zrobić; przecież to żywcem Cygan, może tańczyć z cygańską dziewczyną. Po weselu było dużo plotek. Ale jak tysiące innych byłyby ostatecznie ustąpiły miejsca innym, gdyby... Mało że Kuba zniknął bez śladu, ale razem z nim ojcowskie konie, śliczna para kasztanów, w dodatku razem z wozem. Orzeczenie było zgodne: uciekł do Cyganów, za tą urodziwą Cyganką. A że był podobny do nich jak dwie krople wody, pewno go przyjęli do siebie. Rodzice chodzili jak niespełna rozumu. Trzęsła się wieś, trzęsła okolica. Starzy szukali, dopytywali się, chodzili do żandarmów — kamień w wodę.
Po jakimś czasie, może po pół roku, pojawiły się dziwne pogłoski: ktoś tam widział Kubę, szedł jakiś zamyślony, obdarty, z czymś pod pachą — pewnie ze swoją trąbką. Ktoś inny szeptał, że widział chłopaka na jakimś odpuście, inny koło kościoła w dziesiątej wsi — różnie mówiono. W jednym byli zgodni: że Kuba jest jakiś dziwny. Zapytany przez kogoś, odwrócił się i nie powiedział ani słowa. Doszło to wreszcie i do rodziców. Pojechali do klasztoru, dali na kilka mszy, modlili się i prosili braciszków, żeby pomówili z dziadami. Gdyby któryś z nich widział Kubę, niech mu powie, żeby wracał do chałupy. No i chłopak wrócił.
Wrócił, ale inny. Rodzice nawet nie pytali go o konie i wóz. Niby coś robił, niby po staremu pomagał w gospodarce... Powoli wyszło. Jakiś czas jeździł z Cyganami, niby się miał żenić z ową dziewczyną. Ale kiedy już daleko odjechali z lasowiackich stron, pewnej nocy Kubę okropnie sprali, że stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, był w jakimś nieznanym lesie. Nie mógł się ruszyć i to dłuższy czas. Po jego koniach i wozie nie pozostało ani śladu. Tylko trąbkę zostawili mu, chociaż



Ludowe wesele w Grabownicy Starzeńskiej (14)

pogiętą.
— Uczyniła mu — i koniec! — zapadła diagnoza, zaaprobowana przez całą wieś. — Taka młoda i już czarownica! — wzdychali. — A co z niej będzie, kiedy będzie starsza? — pojękiwali. Od tego czasu pędzono Cyganów ze wsi jak zarazę. Ale Kubie to nic nie pomogło.
Najgorzej było, jak go „to" naszło. Najpierw był jakiś niespokojny, a następnie ni stąd, ni zowąd naciągał na siebie, co miał pod ręką, brał swoją trąbkę i szedł przed

siebie, na chybił-trafił. Z początku próbowali go zatrzymać, przemówić; nic nie pomagało. A po jakimś czasie znowu wracał i brał się do roboty jakby nigdy nic. Wreszcie spotkał się z Wiedeńczykiem.
Teraz Wiedeńczyk nie wpraszał się na wesela. Tym bardziej — Cygan. Czy się umówili, czy im to tak jakoś samo wyszło, dość że często nawiedzali karczmy. A było ich wtedy! Karczmarze bardzo chętnie widywali u siebie wszelkiego rodzaju muzykantów, nawet ich zamawiali, coś tam obiecując. Serdecznie więc byli witani nasi „bliźniacy". A potrafili we dwóch grać tak, że karczmy trzęsły się, jakby pioruny biły. Toteż niejeden furman, chociaż nie wypadało mu się zatrzymać, gdy słyszał takie granie, zajeżdżał na dziedziniec, wchodził, a w takich razach zawsze czegoś się napił, coś przegryzł. Dostawało się przy tym i muzykantom; ten postawił półkwaterek wódki, tamten piwa wielką halbę, ów przyniósł śledzia na przegryzkę i pajdę chleba. Czasem i kilka grajcarów wpadło. Dobrze im było, bo i spanie mieli, kiedy siąpiło na polu lub wichrzysko szalało.
Jak długo Wojtek z Kubą kamratowali i grywali po karczmach, nikt nie potrafiłby wymierzyć dokładnie metrem czy łokciem. Po jakimś czasie znowu poczęto ich widywać samotnie łażących po świecie. Wreszcie tak spowszednieli, że prawie nikt już nie myślał: — Żyją też oni? Umarli? Poszli w inne strony?
Tymczasem Józek Ryś wyrósł, dobrze się grać nauczył, a nawet skleił zespół, który zyskał sobie znaczną sławę. Zdarzyło się, że Józkową muzykę zaprosili grać daleko od jego wsi, do innego rejonu. Poczuł się tym bardzo wyróżniony, a nawet zaszczycony. Już jadąc do ślubu zauważył, że w pobliżu domu weselnego, na skraju lasu, wznosi się okazała, murowana leśniczówka w rozległym ogrodzie, doskonale ogrodzona wysokimi sztachetami, a po drugiej stronie drogi stała chałupinka, niewiele większa od psiej budy czy chlewa. I co było w niej ciekawego, to

okna, a dokładnie to okienka, nisko umieszczone, wąskie jak okienka w komorach. Wyjaśniono mu, że w chałupince mieszka tkacz, a przez te okienka pada mu światło na czółenko i płótno. Ale — ktoś machnął ręką i zrobił taką minę, że nie warto się tym w ogóle zajmować. To wszystko zamiast uspokoić Józka, rozbudziło jego ciekawość.

Nawet w czasie bardzo hucznych wesel trafiają się przerwy. W czasie takiej jednej Józek coś tam tylko łyknąwszy, poszedł do zagadkowej chałupy. Musiał się bardzo nisko pochylić, żeby w ogóle mógł się wcisnąć do maleńkiej i po uszy zagraconej sionki. Jeszcze niższe i węższe drzwi wiodły do izdebki. Kiedy i tam się wcisnął, jakby wszedł do piwnicy, taki tam panował półmrok. Pozdrowiwszy według zwyczaju przypuszczalnych mieszkańców, począł się wpatrywać w ów mrok. Na jego głos coś się odezwało, poruszyło. Wreszcie zamajaczyła przed nim pochylona postać ludzka w białej, płóciennej odzieży. Zbliżyła się, poznał tkacza. Stał przed nim stary mężczyzna, który uprzednio siedział nieruchomo w jakimś kącie. Jego prośbę, żeby mu pokazał, jak się robi swojskie płótno, spełnił skwapliwie. Pokazując to i owo, raz po razu w wyjaśnienia wtrącał żale na swoją żonę. Że jest młodsza od niego, że nic nie miała, jak do niego przyszła, że on dopiero porządną koszulę jej kupił, że... Skargi sypały się obficie. I dalej — że go nie słucha, robić nic nie chce, gdzieś lata po świecie, do warsztatu się nie bierze — za co ją piekło nie minie — nie szanuje go nic a nic. O, i dziś gdzieś pociekła, obiadu nie ugotowała, siedzą obaj o głodzie.

Jeszcze nie skończył biadań, a tu ktoś chrząknął, niby przytaknął, że to wszystko święta prawda. Wtedy dopiero Józek zobaczył postać siedzącą na przypiecku. Zrazu nie poznał, ale nagle coś mu zaczęło majaczyć. Zbliżył się, przymrużył oczy — aż się cofną. Przed nim na przypiecku siedział Wiedeńczyk, bajkowa postać z czasów jego

chłopięctwa. Ale nie był to już iście posągowy mężczyzna, za którym dziewki łakomie łypały, ale przygarbiony starzec, zeschły prawie na wiór. Ciemne ongiś włosy, dziś zmierzwione, posiwiały na mleko, wąsy i bakenbrody zwisały splątane w jakieś strąki. Ani śladu z grozy, o jakiej dawni muzykanci mówili, ot — ruina człowieka.
— Pewnie głodni jesteście, co? — zapytał obydwu, wyczuwając położenie tych dwóch starców.
— Trochę — odpowiedział tkacz. — Nie jedliśmy jeszcze jak przedwczoraj, kiedy tamta pysk otworzywszy zabrała się i poszła, nie zostawiając nic w chałupie, nawet na zaprószenie oka — opowiadał barwnie.
Józka już nie było w chałupinie. Popatrzyli za nim i jakby pomyśleli: — Przestraszył się, że go może zjemy? — Ale zaraz posłyszeli skrzypienie drzwi i już do izby wpadł Józek, dusząc coś pod pachą. Nie widząc stołu — takiego w izbie w ogóle nie było — położył zawiniątko na blasze kuchenki.
— No, macie, jedzcie! — zachęcał, podając obydwu na raz dwa ogromne kawały weselnego placka, kilka sztuk masła i kilka kawałków suchego sera. — A tu macie jeszcze kiełbasę! — zawołał, kładąc na kolanach osłupiałego tkacza wianek kiełbasy. — A teraz mnie już nie ma, idę grać, ale tu jeszcze do was wstąpię! — krzyknął i pobiegł na wesele, gdzie już dopominali się o granie.
— Kim są ci dwaj z małej chałupki? — w przerwie grania z głupia frant zapytał prymista Józek któregoś z miejscowych, słowem nie pisnąwszy o tym, że tam był, rozmawiał z nimi, zaniósł coś na ząb.
— Kto? A, dziady, jakich świat nie widział ani korona polska! — wykrzyknął zapytany. — Łazęgi pierońskie, gnojki sakramenckie, pańskie dziady! — sypał epitetami, jakby wodę lał z konewki. — Ten stary a mały to tkacz znakomity, miałby roboty po uszy, gdyby chciał, tkaczy teraz mało. Chodzą tu do niego, przynoszą przędziwo, ale zastać tego dziada, to jak złotego pieniądza w rowie

znaleźć. Myśleli ludzie, że jak się ożeni, będzie pilnował roboty; młodą se wziął babę, nawet walną, tylko że dziadówka też była od pierona. Niby siedział jakiś czas, robił płótno, a jak nie było co tkać, kalendarze oprawiał, książeczki do nabożeństwa. Myśleli: — No, stary się wreszcie ustatkuje. — I wtedy przyszedł ten drugi, też złocisty... Przystali do siebie jak dwie krople wody. Jak stary nie ma grosza, nie ma co do gęby włożyć, a baba mu kołki na łbie czesze, wtedy siada do roboty i czółenko chodzi mu jak dziewczyna w tańcu. I wiecie, co ten drugi wtedy robi? Gra mu na skrzypcach całymi godzinami. Tamten mówi, że mu wtedy czółenko lepiej chodzi. Baba, panie, młoda, potrzebuje chłopa, a stary już całkiem do niczego. Żeby choć ten drugi coś mu tam pomógł, gdzie tam! Obaj do niczego. To jak jeden robi, a drugi gra, to ona uchodzi z chałupy i idzie gdzieś na zarobek. Gadają, że różnie zarabia, ale Bóg z nią. A jak ona nie przychodzi, to stary zamyka chałupę, zakłada skobel na patyk i idą. Bóg wie gdzie i po co. Jak się już nachodzą, nachodzą — gdzie tych dziadów nie widzieli! — to wracają. Jakiś czas i baba z nimi siedzi. Ale jak ten Wojtek znowu zaczyna staremu grać, to ona zabiera się i idzie na zarobek. Widzicie, takie to towarzystwo; dziadowskie i tyla! — machnął ręką.

Józkowi jeszcze raz udało się wpaść do „dziadów". Stali się nagle bardzo bliscy jego sercu. Udało mu się porwać pół flaszki wódki, chrześcijański kawał pieroga z jaglaną kaszą i zaniósł to rozkosznym łazęgom. Zapowiedział, że przyjdzie do nich w najbliższą niedzielę po południu, żeby na niego czekali. Przyszedł, jak zapowiedział. Czekali na niego obaj jak na najlepszego przyjaciela. Tym razem już od siebie zabrał pękatą butelczynę rosolki i duży splot kiełbasy.

— No i co? — pytali go potem jego muzykanci. — Coś ty z nimi robił?... O czymżeście gadali?

— Wiecie, co wam powiem? — Józek zaczął od wysokiego

tonu. — Jeszcze tak przyjemnego dnia nie miałem w życiu! To dopiero wolni ludzie! Opowiadali mi o swoich wędrówkach, co widzieli i co słyszeli. A widzieli i słyszeli bardzo dużo. Opowiadali, że znaleźli się jak w korcu maku, jak pasują do siebie, jak nikomu niczego nie zazdroszczą, wszystkich lubią, nikogo nie nienawidzą. A wiecie, co im się najwięcej podoba w życiu? Sen w lesie, na wiosnę lub w lecie, kiedy ptaki już zaraz po północy śpiewają, jakby godzinki odprawiały. Potrafią leżeć na garści trawy godzinami i słuchać, i patrzeć, jak się robi coraz jaśniej, jak słonko, skacząc z konaru na konar niby wiewiórka, wyskakuje wreszcie na niebo...
— Słuchaj no, Józek! Czy oni dobrze mają w głowach? — zapytał ktoś z gromady koło kościoła.
— Lepiej jak wy! — rozzłościł się Józek i odszedł bez pożegnania.
— On taki sam! Co z nim mówić? — zawyrokował któryś. — O, chodźmy lepiej na jednego! — zakomenderował i pierwszy ruszył do karczmy.
Znowu mijały lata. Wybuchła wojna, Józek, jak i inni, prawie zapomniał, jak wygląda codzienne życie w spokoju, w dni świąteczne, i pełne drobnych kłopotów w dni powszednie. Z wojny wrócił Józek wprawdzie poraniony i pochrobotany, ale nie kaleki. A co najważniejsze, mógł smyk utrzymać w garści i jeździć nim po strunach nawet po kilka nocy z rzędu na weselach. A tak musiało być, bo po wojnie mężczyźni jakby zwariowali na punkcie żeniaczki.
Pewnego wieczoru Józek wprost zatruty dymem z bakonu i kopciem z naftowych lamp wyszedł na dwór, by odetchnąć czystym, świeżym powietrzem. Stanął w sadzie pod jakimś drzewem i wdychał w płuca orzeźwiający chłód. I oto zauważył, że jakiś wysoki, ale pochylony mężczyzna kręci się koło weselnej chałupy. Raz po razu zaglądał do sieni, skąd buchało światło, a ludzie wchodzili i wychodzili. Dookoła chałupy słychać było

piski, szemrania, śmiechy, jakieś wyznania czy namowy. Ludzie roili się jak pszczoły koło ula. A tamten wciąż krążył, ciężko, powoli...

W pewnym momencie Józkiem coś jakby targnęło, coś błysnęło w pamięci, zawirowało, coś gwałtownie domagało się przypomnienia. Szybko zbliżył się do krążącej postaci i stanął jak wryty: Wiedeńczyk. A raczej cień tamtego. Jakieś łachy trzymały się grzbietu, jedno z ramion przyciskało do boku z sercem skrzypce; znajome Józkowi skrzypce. I tamten, jakby zahipnotyzowany, przystanął. Pochylił głowę i wyszeptał: — Józek! — Więcej słów nie wyszło z ust starucha.

Józek jedno zaraz wyczuł, że stary muzykant jest bardzo głodny. Ale wyciągnąć ręki, poprosić o kawałek chleba, nie umiał. Jakby pamiętał, że muzykantów siłą karmili i poili. A on?... Józek, jak przed wielu laty, jak przed wojną, wyniósł staremu pokrzepę; co mu się udało zdobyć. Wojtek porwał to łapczywie, wsunął za pazuchę, a podziękowawszy cicho, znikł w mroku nocy.

Na Boże Narodzenie Wiedeńczyk jakoś przywlókł się do rodzinnej wsi. Dawno już tam nie był. Na świętego Szczepana, kiedy to ludzie po kolędzie jedni do drugich chodzą, Wiedeńczyk, jak przed laty, dowlókł się do gospody Dygonia. Ale do izby nie śmiał wejść. Jak się tam pokazać? W tych łachach? Taki obrosły jak dzik?... Usiadł na ławce w ganeczku, wyjął skrzypki... Oj, już nie ze skrzyneczki, tamta rozpadła się dawno — z jakiegoś parucha. Nastroił i począł grać cichutko, rzewnie, prawie z płaczem *Szczęśliwe czasy nam się zjawiły!* Posłyszał to granie Szczepan Dygoń — jego imieniny przecież były — wyszedł, dał staruchowi jakiś datek, ale do środka, do ciepła nie zaprosił. Wojtek tedy wciąż siedział na ganeczku i nieustannie płakał tymi „szczęśliwymi czasami".

Skrzypce śpiewały coraz żałośniej. Wyraźnie skarżyły się niczym głodne pisklę, osierocone kocię, dziecko przy pustej matczynej piersi. Wojtek grał, jakby się chciał uśpić i we

śnie doczekać szczęśliwych czasów. Nie zauważył nawet, że śnieg począł sypać grubymi płatami, że pokrył całą jego postać, że nawet skrzypki pobielały. Nie zauważył, że zapadła noc, nie słyszał, że wewnątrz wre wesoła zabawa. Ludzie wchodzili i wychodzili, skulonej postaci nikt nie zauważył.

Była to chyba ostatnia pieśń Wiedeńczyka, Niemca Wojtka, ułana w cesarskim kiedyś regimencie, walnego chłopa, a potem muzykanta wędrownego, którego pomawiano o konszachty z diabłem. Kiedy i jak uszło z niego życie — nikt nie wiedział, nie słyszał. Zostawił na ziemi swoje zmarniałe ciało i ukochane skrzypce. I chyba szczęśliwy — wygrał to sobie — powędrował przed siebie, on, wędrowny skrzypek. Zresztą do dalekich wędrówek z dawna był przyzwyczajony.

Jeden z poznanych przeze mnie mieszkańców wsi Jadachy tak wspominał:
— Sumiennie wam mówię! Bardzo trudno byłoby dziś określić, w jakim miejscu stała chałupa starego Szczepona. Bo wiecie, Jadachy to typowa lasowiacka wiocha; wieś niby tu, ale równie dobrze może być i tam, do tego mnóstwo przysiółków i przysiółeczków, a także kilka chałup rozrzuconych po szerokiej płaszczyźnie. Dlatego najlepiej było zapytać; — A gdzie siedzi stary Szczepon? — Wtedy każdy wiedział, o kogo chodzi i wskazał najkrótszą drogę. A tę jego chałupę to trudno było nazwać tak jak inne we wsi, taka była wielka i inna. Sam właściciel nie mówił inaczej jak — chałupsko. Zaś najstarsi w Cyganach mówili na nią — karczma, chociaż nawet najstarsi, którym się koło dziewięćdziesiątki kręciło, nie słyszeli, aby w tej chałupie szynkowali trunki, żeby tam ktoś tańcował. Skąd się takie przezwisko wzięło, Bóg raczył wiedzieć [13].
Stało tedy to chałupsko, a nie było koło niej żadnego budyneczku — stajenki, stodółki, nawet chlewika. Przez środek przelatywała sień, na przestrzał. Z jednej strony sieni były dwie izby: jedna wielka, a druga mniejsza — i tę nazywali izdebką. Zaś po drugiej — też coś wielkiego; niby izby, niby komórki czy komory, ale nikt dokładnie nie wiedział. Tyle było wiadomo, że stary trzymał tam rozmaite graty, drewienka na opał, hodował króliki i kilka kurek. I tyle wszystkiego.
Z czego Szczepon żył i jak — nikt nie wiedział, bo do swojej chałupy nigdy i nikogo nie wpuszczał. Czasem to i dymiło się z komina, tedy musiał coś gotować. Kiedy ktoś tamtędy przechodził lub przejeżdżał, to Szczepona widzieli siedzącego na wysokim progu, kurzącego fajkę

i patrzącego przed siebie na drogę.
Szczepon nie był sam na świecie. Miał żonatego syna i wnuki, ale w innej wsi. Kiedy powrócił ze świata, po kilkudziesięciu latach, dokąd parobkiem powędrował, nikt się nigdy nie dowiedział, gdzie przebywał, jakie okolice czy kraje przewędrował, co tam robił. Jak ktoś na niego napierał, ucinał:
— Ano, odezwała się we mnie cygańska krew i wędrowałem. — Syna przywiózł ze świata już dorosłego. Ale o żonie nigdy nic nie mówił. Tego syna ożenił w innej wsi, tam mu kupił ładny kawał gruntu, a dla siebie kupił to chałupsko daleko od wsi. I znowu: nikt nie mógł dojść, kiedy i o co stary poróżnił się z synem. Dość, że od pewnego czasu ani stary do syna, ani syn do ojca nie przychodzili. Czasem tylko ten i ów niby widział, że Franuś, wnuczek starego, bardzo śmigły chłopak, sunął przez pola i ścieżki jak zając w stronę jego chałupy niosąc albo koszyk, albo worek na plecach — pewnie coś dziadkowi. To jeszcze ludzie zauważyli, że kiedy syn był pobożny, to Szczepon do kościoła nie chodził.
A ten Franuś to był dziwny chłopak, niepodobny do innych. Przede wszystkim był czarny: ciemna cera, czarne włosy i czarne jak tareczki oczy. Inni chłopcy przezywali go Cygan. Chłopak nie obrażał się, jak by to zrobili inni chłopcy. Może po prostu dlatego, że w głowie miał co innego.
Franusiowi, jako postuchowi, krowy często szły w szkodę. Brał za to cięgi od ojca, ale jakby zupełnie nic sobie z tego nie robił. A przez to, że niby grał na skrzypcach. Jeden patyk trzymając w lewej ręce wkładał pod brodę, drugim, który miał udawać smyczek, tarł po tym pierwszym. Wtedy też palcami przerabiał, jakby rzeczywiście naciskał prawdziwe struny. Grając na fikcyjnych skrzypcach spomiędzy warg wydawał głosy do złudzenia podobne do głosu skrzypiec. Przytupywał przy tym prawą nóżką, jak to robią prawdziwi muzykanci.

Inni pastusi śmiali się z niego, ale on na to nie zważał. Aż raz Franuś zobaczył na własne oczy prawdziwe wesele, pierwszy raz w życiu. Najpierw jak jechało na wozach do ślubu, a potem, po południu, jak w sąsiedztwie grali i tańczyli. Stał za płotem i słuchał prawie nieprzytomny. Nie zdawał sobie sprawy, że już noc zapadła, że chłód począł mu łazić po skórze. Ocknął się dopiero, kiedy ktoś ostro szarpnął go za ramię i rzekł sycząco:
— A idziesz ty spać do chałupy! Dokąd będziesz tu siedział? — poznał głos ojca. Przyprowadzonego za szyję do chałupy matka uratowała od ciężkiego lania. Co z tego, całą noc nie mógł spać. W dodatku dręczyła go ochota: uciec i znowu polecieć na wesele. Leżącemu w półśnie wszystko naokoło grało. Brzęczące muchy przemieniały się w skrzypce, świerszcze pod piecem w basy. Wstał zmęczony. Od tego czasu chodził jeszcze bardziej zadumany aniżeli dawniej.
Wieś, w której mieszkał i Franuś, i jego ojciec, była zamożna. Kiedy chłopiec miał dziesięć lat, we wsi otworzono po raz pierwszy szkołę. Ojciec zaraz zapisał swego syna, naraz do pierwszej i drugiej klasy. Ale już po kilku dniach nauki chłopiec doznał znowu wstrząsu podobnego jak na weselu. Nauczyciel przyniósł do klasy skrzypce; najprawdziwsze skrzypce. Franuś z miejsca przemienił się w słuch. Nauczyciel najpierw nastroił błyszczący instrument, a potem powiedział, że nauczy dzieci śpiewać ładną piosenkę. Franuś i melodię, i słowa zapamiętał w mig, jakby je umiał od bardzo dawna.
A była to piosenka *Krakowiaczek ci ja*... Wtedy nauczyciel zapytał, które z dzieci samo to powtórzy. Franuś wykrzyknął bezwiednie: — Ja! — Nauczyciel uśmiechnął się i pozwolił Franusiowi zaśpiewać. I zdumiał się: chłopiec zaśpiewał bez najdrobniejszego błędu. Zaraz zaczął go wypytywać, ile ma lat, jak się nazywa jego ojciec, gdzie mieszkają. Chłopiec niby odpowiadał, ale jak papuga. Palcami głaskał błyszczące deski instrumentu, opartego

o ławkę, w której siedział.
Franuś poprosił nauczyciela, aby mu pozwolił zagrać na jego skrzypcach. Nauczyciel, wciąż uśmiechając się, podał Franusiowi tak skrzypce jak i smyczek. Pociągnął po strunach parę razy. Wydało mu się, że spod smyka wydobywają się najcudowniejsze dźwięki, jakie dotychczas słyszał. A ciągnął smykiem tak delikatnie, że włosień prawie nie dotykał strun.
Tego pamiętnego dnia, po nauce Franuś śmigał do domu jak zając. A przypadłszy do chałupy, chwycił ojca i zdyszanym głosem, jakby się coś najgorszego stało, począł wołać:
— Tatusiu! Tatusieńku! Kupcie mi skrzypce!... Tatusieńku!... Skrzypce!
W ojcu dech zaparło, takim swego syna jeszcze nie widział. Patrzał na chłopaka osłupiałymi oczyma, milczał i nagle:
— Franek! — krzyknął, jakby go kto oparzył. — Czyś ty się, nie przymierzając, nie wściekł? Takiemu gówniarzowi skrzypce? Ażebym ci miał paluchy poobcinać, to ci skrzypiec nie kupię i uczyć ci się nie dam, rozumiesz?! — krzyczał. — Żebym cię miał z byczkiem w stajni zamykać, żebym cię miał na służbę posłać, to ci się uczyć grać nie pozwolę. Żebyś sobie to dobrze zapamiętał, uważaj! — groził ponuro.
Takim Franuś ojca jeszcze nie widział. I wtedy, jakby mu groziło największe niebezpieczeństwo, skoczył przez tylne drzwi do ogrodu, przesadził płot i co sił pognał przez pola do dziadka.
Dziadek Szczepon, siedząc na progu i paląc fajkę, nie dał poznać po sobie, że przeraził się widokiem ukochanego wnuka, czerwonego i zadyszanego z wysiłku, z rozpaczą na twarzy. Chłopak długo nie mógł przemówić, oddychał ciężko. Stary przypuszczał, że u syna musiało stać się coś niedobrego, może nawet nieszczęście.
— Franuś! A co się tam u was stało?
— Dziadusiu! — Dziadusiu! — teraz dopiero chłopiec wybuchnął spazmatycznym płaczem i z dziwnym niepokojem począł tulić się do piersi starego. — Dziadusiu! Tatuś nie

chcą mi kupić skrzypiec! — wyrzuciło z chłopaka. — Jeszcze bić mnie chcieli! — i zaniósł się nowym wybuchem szlochu, że trzęsło dzieckiem jakby ogroszka.
Dobrze się stało, że chłopiec, tuląc się do dziadka, nie widział tego, co się poczęło dziać na twarzy starego człowieka.
— Cichaj, syneczku, cichaj! — odezwał się po chwili tak cichym głosem, jakiego nikt u niego nie słyszał. Był to szept tak smutny, że prawie tragiczny. — Cichaj, cichaj!... — powtarzał rytmicznie jak zegar. — Słuchaj no Franuś! Ty dzisiaj nie pójdziesz do domu, zostaniesz u mnie nocować. Ojciec tu jutro na pewno przyjdzie ciebie szukać... A w wieczór to ci coś opowiem — dodał.
Ale dopiero następnego dnia rano, kiedy usiedli według miejscowego prawa na progu chałupy, po dłuższym milczeniu, stary zaczął cicho i powoli obiecaną opowieść:
— Widzisz, Franuś, od muzykanctwa to niech cię ręka boska broni. Już ja wiem, co to znaczy i co mówię — mówił tak, jakby miał przed sobą dorosłego człowieka — bo grałem, i to dużo. Ho, ho! Nigdy bym do ciebie o tym nie mówił, ale teraz to ci powiem: przekląłem muzykę raz na zawsze. Siedemdziesiąt siedem razy. Minęło to twojego ojca, cieszyłem się, że nie chwyci i ciebie. A tu masz! Pamiętaj, Franuś, żebyś kiedy sam siebie nie przeklinał. Bo jak się nie będziesz bronił, ułapi cię na dobre i nie puści, aż cię zamęczy na śmierć. I dobrze zrobił ojciec, że się skrzyczał, że nie chce ci kupić skrzypiec. On wie! — podniósł głos, jakby chwalił swego syna za jego postępek.
Chłopiec patrzył na mówiącego prawie że z przerażeniem. A dziadek:
— Tak, tak, wnuczusiu! — mówił czule jak matka. — Opowiem ci najpierw o takim jednym chłopaku, bardzo podobnym do ciebie. Tylko że on żył bardzo dawno temu. A ponieważ żyją jeszcze jego krewni, nie powiem ci, jak się nazywał. Tylko jak mu było na imię. Trochę śmiesznie, bo Kasper. Ale chrzcili go na Trzech Króli, chrzestni

trochę napili i zapomnieli, jak ojcowie sobie życzyli. Ksiądz się pozłościł i dał temu chłopcu tak, jak miał na imię pierwszy król, co przyszedł do żłobka pokłonić się Panu Jezusowi. Kasper miał ojców. Tylko że mieli dużo dzieci i byli bardzo biedni. Tak biedni, że często w chałupie nie było co do gęby włożyć. Co które z dzieci podrosło, jak miało osiem, dziewięć lat, już szło na służbę. Kasper, jako najstarszy, poszedł nieco później. Był to strasznie wesoły chłopak. Choć był biedny, często głodny i kiepsko odziany, zawsze był uśmiechnięty i miał jeden zwyczaj: albo mruczał jakąś piosenkę, albo ją grał na wargach, a tak zmyślnie niczym klarnet czy trąbka. Za to go wszyscy lubili.

Aż raz... jakby się mu coś stało, nic, tylko żeby mieć skrzypce. Ale skąd taki biedny chłopak mógł dostać skrzypce? To sobie najpierw sam zrobił z deszczułki, którą dostał od takiego, co robił we wsi trumny. Smyczek łatwo było zrobić, ale chodziło o struny; z czego on nie próbował zrobić! Z drucików, z konopnych nici nasmarowanych żywicą, z włosienia — na nic. Bzykało to i nic więcej. A i te jego skrzypce... z kawałka deski. To się uparł, że pójdzie się uczyć na kołodzieja. Bo widywał u kołodzieja we wsi, jak wystrugiwał z kawałków drewna zgrabne rzeczy. Stelmach przyjął go do pomocy i chłopaka bardzo polubił. Jak się już zżyli, Kasper poprosił kołodzieja, żeby mu zrobił skrzypce. Majster z początku oganiał się, jak mógł, ale na końcu uległ. Przyglądał się dobrze prawdziwym skrzypcom u jednego muzykanta i dopóty dłubał, aż wreszcie zrobił te skrzypce. Aż sam się zdziwił, czego on to nie potrafi zmajstrować.

— A umiał grać! — z przejęciem zapytał chłopiec.

— A skąd, jeśli nie miał dotychczas skrzypiec? Kołodziej później sam siebie przeklinał, że uległ Kasprowi. Bo temu nie chodziło o naukę kołodziejstwa, tylko o te skrzypce. Jak je już dostał, skądś zdobył struny i tyle go majster widział. Chłopak poszukał sobie służby — w domu nie

było co jeść — u jednego gospodarza, za parobka. Jaki tam z niego był parobek! U tego gospodarza miał nie tylko jedzenie, ale i spanie, w stajni. Tam w nocy siadał na swojej pryczy i grał. Nie tyle grał, ile się uczył grać. A w domu by mu na to nie pozwolili. Na początku konie kwiczały, targały się, ale powoli przyzwyczaiły się i Kasper więcej w nocy grał, jak spał. I tak się w tej stajni wyuczył grać — ale o tym nikt nie wiedział — że grał lepiej od wszystkich skrzypków.

Kasprowe konie ciężko pracowały, ale za to kiepsko jadły, a jeszcze gorzej mieszkały. To jeden zachorował, to drugi albo dla odmiany źróbek, którego Kasper najbardziej lubił. Kasper miał okropnie miękkie serce i myślał sobie. — Jak tu robić chorymi końmi? — I na początku on sam nie wiedział, jaką miał moc. Każdego chorego konia — a potem i każde bydlę — potrafił wykurować. Co on robił — nikt nic nie wiedział, Gospodarz to czuł, ale tylko kiwał głową i też nikomu o Kasprowej mocy nie mówił.

Ale po jakimś czasie ludzie wyświdrowali — czego to ludzie nie potrafią uślipnąć! — że Kasper czasem podchodził do starej babki. Siedziała w małej chałupce koło Olszyny, a nazywała się Kluzowiczka. Mówili też na nią likorka. Potrafiła pomóc małym dzieciom, kobietom — do chłopów się nie brała. Mówiła, że niech umierają, bo ich nie lubi. Dlaczego nie lubiła mężczyzn — nikt nie wiedział. Przychodzili do niej ludzie z daleka. Smarowała, umiała robić maści, znała się na ziołach, a najlepiej to potrafiła zamówić najgorsze choróbsko.

Wreszcie Kasper odszedł od tego swojego gospodarza. Wszystkie dzieci — niby to jego rodzeństwo — poszły w świat, pozostali starzy rodzice. Starzy to tam oni nie byli, ale dokończyła ich bieda. Jakoś szybko jedno po drugim umarło i Kasper poszedł do tej chałupiny.

I dopiero teraz powiedział, że umie grać. Zaraz go zabrali do jednej muzyki i grał z nią po weselach, w karczmach, na wieńcowinach i tłokach, chętnie chodził z kolędnikami



Muzykanty. Rzeźba Stefana Rogoza (15)

i żył sobie w tej swojej chałupce. I wciąż był wesoły, chociaż wódki do ust nie wziął, żeby w niego na siłę nawet pchali. I tylko jedno miał do siebie: ani się nie żenił, ani za dziewkami jak inni muzykanci nie latał. Aż raz stało się coś takiego, że o Kasprze poczęli nagle wszyscy mówić, i to daleko. A było tak.
Niedaleki sąsiad Kaspra miał pszczoły. Miód na lekarstwo sprzedawał, gromnice robił, susz dawał, kiedy

komu krowa zachorowała. I temu sąsiadowi wyroiły się pszczoły. Bardzo mu na roju zależało, miał kilka nowych uli. Pokropił je święconą wodą i to na Świętego Ducha, nadstawiał im przetak wysoko na drągu, wysłany melisą, a te nic, tylko do ucieczki. Sąsiad takiego narobił lamentu, że wszyscy z jego domu wylecieli i próbowali nawrócić te pszczoły, sypiąc na nie piaskiem od tej strony, dokąd chciały uciekać. Nic nie pomagało. Już były dość daleko od pasieki — a kierowały się jakby w stronę kaplicy, koło której rosły ogromne lipy — kiedy na krzyk całej rodziny sąsiada wyszedł na pole Kasper. Kiedy zobaczył, co się dzieje — z sąsiadem żył w wielkiej zgodzie, miodu i wosku od niego dostawał — wpadł z powrotem do swojej chałupiny i zaraz wyleciał, ale już ze skrzypcami. Już miał inne, nie te, co mu zrobił kołodziej, gdzieś kupił nowe, podobno u Cyganów — jak na nie łakomie patrzyli inni muzykanci, jaką chrapkę mieli chłopcy! Pobiegł do roju zbitego już w taką czarną chmurkę i zaczął grać. Potem dużo o tym mówili, ale nikt nie zapamiętał melodii.

— A ja bym zapamiętał! — gorączkowo rzucił zasłuchany chłopiec. — Ale stary jakby uwagi wnuczka nie usłyszał, ciągnął dalej. — Kiedy zagrał, to te pszczoły jakby się rozsypały, jakiś czas krążyły w miejscu, a potem zawróciły do pasieki i usiadły na jakiejś gałęzi. Stamtąd sąsiad je zebrał i wsadził do ula.

Kiedy indziej było jeszcze dziwniej. Kasper coś kosił w polu. Słucha, patrzy — leci rój pszczół. Pole szczeruteńkie, tylko dróżką szedł jakiś chłop. Kasper skrzypiec nie miał, bo i po co? Naraz począł uderzać w kosę osełką. Tak to dzwoniło, jakby w kaplicy kto dzwonkiem szarpał. I wtedy te pszczoły zatrzymały się w powietrzu. A potem zakręciły i poczęły siadać na tym chłopie, który szedł dróżką. Chłop zaczął krzyczeć wniebogłosy, ale Kasper podbiegł do niego i powiedział, żeby stał spokojnie, to mu się nic złego nie stanie. Chłop

tak zrobił, po chwili cały rój siedział na nim jak ogromna futrzana czapa. Wtedy Kasper kazał mu iść za sobą. Szli aż doszli do sąsiadowej pasieki. A tam zawsze był ul przygotowany na rójkę. Kasper kazał stanąć owemu chłopu koło ula, a pszczoły zaraz poczęły do niego wchodzić. Ani jedna go nie ukąsiła. A jak już był wolny, to stał taki blady jak opłatek. Na pociechę dali mu chleba z miodem i poszedł w stoją stronę.

Pszczelarze aż w głowy zachodzili: skąd on zna takie pszczelarskie czary? I pytali go — a przychodzili do niego po kryjomu — po te czary. A Kasper mówił ze śmiechem:

— Oj głupi, głupi! To nie żadne czary! Pszczoły bardzo boją się burzy. Jak im zagra, a głośno, albo zadzwoni na kosie czy siekierze, one myślą, że burza idzie i zaraz szukają ula lub co bądź, żeby uniknąć burzy. To nie żadne czary.

— Co było dalej?... A było. Jakoś w tym czasie umarła babka-likorka, a ludzie jakby się umówili: kto gdzie na co zachorował — do Kaspra. A Kasper nikomu nie odmówił, każdemu chciał dopomóc, poradzić... leczył.

Ale przyszły na ludzi złe roki, nieurodzaje. Bardzo biedowali. Nareszcie zwaliło się najgorsze — cholera. Ludzie marli jak muchy. I dopiero wtedy podniósł się bunt. Rozniosło się po wsi; to nikt nie winien tylko Kasper, on trzyma ze złem, z diabłem. To wszystko przez to jego granie, przez jego czary. Tylko że o tym mówieniu Kasper nic nie wiedział.

Kiedyś Kasper wracał z wesela i musiał przechodzić po drewnianym mostku przez rzeczkę. I właśnie na tym mostku ludzie znaleźli Kasprową czapkę — i nic więcej. Od tego wesela Kaspra nikt na oczy nie widział. Mówili:

— Pewnie gdzieś poszedł we świat. — Nikt go nie szukał Dopiero jednego razu znaleźli Kasprowe ciało. Było już bardzo zgniłe, długo leżało w wodzie. Kasper miał głowę opatuloną jakąś płachtą, a ręce związane do tyłu. To

ludzie rozumieli; wtedy dopadli go, a musiało być kilku chłopów, zawinęli głowę, że nie mógł wołać, ręce związali i wrzucili do rzeki. Woda poniosła go trochę, a potem wepchnęła pod brzeg i tam leżał, aż woda opadła. Żandarmi pytali się, dochodzili, ale nikogo nie znaleźli. I przeszło. Tylko od tego czasu koło mostku straszyło. Ale sprowadzili księdza, pokropił, pomodlił się i uspokoiło się wszystko. Mówili, że to duch Kaspra. Ale ludzie potem zapomnieli, do chałupy sprowadzili się Cyganie, a kiedy nie była im potrzebna, rozebrali, a drzewo spalili. Widzisz, jaki był los Kaspra? A żeby był się ożenił, gospodarzył, byłby do tego nieszczęścia nie doszedł.

— Dziadusiu! A co się stało z Kasprowymi skrzypcami? — chłopiec przerwał staremu opowiadanie i wpatrywał się w niego bacznie, jakby to wszystko stało się przed chwilą, a skrzypce mogły jeszcze gdzieś leżeć w krzakach.

— Skrzypce? ze skrzypcami? — stary jakoś nie mógł nawiązać ani do pytania, ani do własnych wywodów. — Mówisz, co się stało ze skrzypcami? — stary jakby czegoś szukał. — No, nie znaleźli, może się zatopiły, może połamały w szamotaniu... Wziąć, to pewnie nikt nie wziął, bo nie byłyby przyniosły szczęścia... A może... może przyniosłyby nieszczęście? — stary dziwnie się zasępił.

— Franek! — rozległ się nagle niedaleki krzyk. Kiedy obaj siedzący na progu niemal poderwali się i podnieśli głowy, zobaczyli stojącego wśród sosen ojca chłopaka. — Idziesz ty mi zaraz do domu! — krzyczał, wygrażając wyciągniętą ręką. — Ja ci pokażę! — groził. Ale kiedy chłopiec siedział blady i jakby zdrewniały, stary zmarszczywszy twarz odrzekł spokojnie: — No, no, nie drzyj się, bo ludzi przestraszysz, chodź tutaj! — dodał rozkazująco. Tamten chwilę jakby się wahał, w końcu podszedł bliżej wolnym już krokiem. A kiedy się zatrzymał, już spokojnie, zapytał: — A co?

— Pamiętaj, żebyś mi chłopaka nie bił! I żebyś mu skrzypiec nie kupował!... Wiesz? — mówił dziwnie twardo

— Wiem, i bez was nie kupiłbym — tamten odrzekł również mocno. — Chodź! — zwrócił się już tylko do chłopca.
— Franuś teraz nie pójdzie, przyjdzie tam za jakie dwie godziny — stary mówił teraz spokojnie, ale stanowczo. — Za to kupisz mu klarnet. Tylko pamiętaj, dobry, nie byle jaki. Jak już musi grać, to niech gra na klarnecie, też ładny instrument. Ja mu tu nic nie powiedziałem, ty też o tym pamiętaj. No, możesz już pójść, Franuś wnet tam przyjdzie.
Tamten odwrócił się i bez słowa odszedł. Kiedy już znikł za krzakami, stary zwrócił się do wnuczka wyjątkowo czule:
— Jak ci ojciec kupi klarnet, to tu przyjdziesz. Pokażę ci, jak się palcami przebiera, jak się dmucha. A teraz skocz za sośninę i ukop mi koszyczek ziemniaków. —
A kiedy chłopak znikł w sośninie, stary zmiął twarz jak kawałek szmaty, a patrząc w niebo szeptał:
— Skrzypce... skrzypce...

KLARNECISTA

Józef Cisek pochodził z Trzebosi. Nie z Trzebuski ani z Trzebowniska, które to nazwy wyraźnie mówią o puszczańskim osadnictwie, ale z Trzebosi, wsi dużej, mającej wspaniały, rokokowy kościół — Józef na stylach się nie znał, ale z kościoła był dumny — i w której kiedyś był wielki dwór, należący do wielkiego pana. Co on się o tych trzeboskich panach nie nasłuchał od babek i dziadków! Ten dwór to Józef dobrze pamiętał i ostatniego pana też. Jakie on miał konie! Nawet w Paryżu zachwycali się nimi. Ale i te konie, i te powozy zjadły pana tak jak myszy snopki z dobrym ziarnem. Cisków w Trzebosi było dużo, prawie co trzecia chałupa. Dlatego też każda rodzina miała swoje przezwisko — inaczej by się w nich nie wyznał. Przezwiska pasowały do przezwanych jak ulał. Józef Cisek — chłopisko było ogromne, nawet zwaliste. Patrząc na niego, miało się prawie pewność, że powinien za jednym zamachem wydrzeć z korzeniami potężnego dąbczaka. I takiego to chłopa — tęższego nie było w parafii — nazwali... Józuś. Właściwie to nie wieś przezwała go Józusiem, zrobiła to rodzona matka. Wieś podchwyciła matczyną czułość i chłopisko zostało Józusiem, chociaż raczej pasowałoby mu Józefisko. Józef Cisek, jaki był wielki i gruby, taki też był poczciwy. Zawsze uśmiechnięty, uczynny, z nikim nie zadzierał, każdemu ustąpił, choć gdyby zastępującego mu drogę raz palnął, tamten ocknąłby się dopiero na boskim sądzie. Słowem — piernik nie chłop. Nawet jego baba nigdy o swoim Józusiu marnego słowa nie wyrzekła. I ona też nie powiedziała na niego inaczej jak — Józuś.
A dokładniej — mój Józuś.
Józuś urodził się jeszcze w tamtym, ale w wojsku służył już w tym wieku. Na wiekach to on się nie bardzo



Figurki z szopki ludowej. Wykonała Julia Kalinowska (16)

wyznawał, ale ten przełom pamiętał, bowiem związane to było z księdzem Stojałowskim i postawieniem dzięki jego staraniom wielkiego krzyża. Józuś służył w wojsku za Franciszka Józefa. Został nawet frajtrem i to gdzie? W ciężkiej artylerii.

Na wojnę poszedł zaraz w pierwszym rzucie. Był na różnych frontach, ale nieprzyjaciół nigdy nie widział. Chyba jako jeńców. Ranny nie był ani razu — miał szczęście — chociaż wielu jego przyjaciół zginęło. Za każdym rzewnie płakał.

Gdzieś zaraz na początku wojny wpadł mu w ręce klarnet — taka ładna i skomplikowana rzecz. Myślał sobie: — Będę wracał do Trzebusi, to ją do wsi zawiozę. — Niby

ten klarnet. Był bowiem pewny, jak miliony innych żołnierzy, że się ta wojna skończy za kilka miesięcy. Gdyby był piechurem, nie artylerzystą, i to od ciężkich haubic, byłby może zdobycz wyrzucił: dźwigać taki ciężar! Ale przy haubicach było tyle skrytek, że klarnet dobrze schowany jeździł sobie i jeździł. Józuś od czasu do czasu oglądał go tylko, czy szmaty opakowania dobrze się trzymają, żeby klarnet nie zaszedł prochem.
Na zimę wojna ustała. Józusiowa haubica odzywała się jakby od niechcenia. Artylerzystom mieszkającym w drewnianych domkach, na wpół zakopanych w ziemi, okropnie się nudziło. Józuś z nudów zaczął majstrować koło klarnetu. A także dmuchać do niego. Klarnetowy głos zwabił do Józusiowego dekunku [14] jednego Czecha, chociaż z innej baterii. A ten Czech umiał grać na klarnecie. Pokazał frajtrowi Ciskowi, co i jak trzeba robić, żeby klarnet grał. I dopiero przy tym nauczaniu okazało się, że Józuś ma niezły słuch i wcale dobre zdolności do muzyki. Już w czasie pierwszej wojennej zimy Józuś nauczył się dobrze grać, ale tylko tak, jak śpiewali i grali w Trzebosi. Bo tak ładnie i wesoło to nie potrafili nigdzie indziej na świecie. Dopiero w jakimś lesie za Tarnowem Cisek uświadomił sobie, że jest trzeboskim patriotą, choć słownie tego określić nie potrafiłby.
Józuś dopiero w czasie drugiej wojennej zimy dostał urlop i to pełny miesiąc. Wybierając się wziął ze sobą przede wszystkim ową zdobycz wojenną — klarnet. Teraz, kiedy już umiał grać, traktował go jak talizman, uważał w podróży, jakby wiózł w tornistrze skarb. Powtarzał sobie w myśli melodie weselnych pieśni i nawet nie zauważył, jak przerabiał palcami po klapkach.
Wreszcie dojechał. Traf chciał, że akurat było wesele. Żenił się urlopnik jak i on, bliski sąsiad i dobry znajomy. Młody rozglądał się za muzyką; jakież to wesele bez muzyki, bez tańców, chociażby tańczyły tylko babki z dziadkami. A tu muzykantów ani na lekarstwo —

wszystko w wojsku. Wreszcie znaleźli jakiegoś chłopczynę, który jakoś tam pitolił na skrzypczętach, znaleźli i basistę, ale takiego, co to — jak mówią — lepszych do trumny kładą. Staruch ledwie rękami ruszał, ale myśleli, wypije stary półkwaterek, może się i rozrusza. Skąd, jak, ale zwiedzieli się i o Józusiu. Dalej prosić, błagać, zresztą niedługo, przecież Cisek miał miękkie serce. Ale musieli zrobić próbę.

No i zeszli się. Chłopczyna rzeczywiście rzępolił bardzo mizernie, basy były niewiele głośniejsze od brzęczenia trzmiela. Wychodziło, że wszystko spadnie na klarnecistę. A ten przyjechał nie tylko z klarnetem, ale i wąsami jak pomietła: taka była moda. Musiały też być nastroszone do przodu jak u chrabąszcza.

Przyszło wreszcie do grania. Już na samym początku okazało się, że rzeczywiście cały ciężar musi spaść na Józusia. Cisek dmuchał tedy w klarnet tak, że instrument omal nie pękł. A z boleści krzyczał, że wapno ze ścian leciało. Ale po weselu chwały było co niemiara. Józuś wyrósł w Trzebosi na genialnego muzyka.

Ostatecznie skończyła się wojna; Józuś wrócił zdrów i ostro zabrał się do gospodarki. Chociaż... czy było tak bardzo na czym robić? A tu żeniaczka za żeniaczką — chłopy jakby się wściekły. I zmartwienie: skąd wziąć muzykantów? Na wojnie kule nie wybierały, muzykanci też ginęli. Ale o Cisku ludzie już wiedzieli. Jakoś ni stąd, ni zowąd sklecił się zespół muzykancki, w którym Józuś odgrywał najważniejszą rolę. Kiedy grał, słychać go było z jednego na drugim końcu wsi. A jak muzykanci jechali do ślubu, konie bardziej bały się klarnetu niż bata. Furman, któremu konie tak się spłoszyły, że omal nie pozabijał młodych i drużki, powiedział proboszczowi, że święty Michał, wywołując zmarłych z grobu, nie będzie trąbił głośniej od Józusia. Tak się to ludziom spodobało, że jakiś czas na niego wołali: święty Michał. To jeszcze bardziej rozsławiło klarnecistę Józusia.

Ale ludzie, a zwłaszcza muzykanci, z wielką lubością wyszukujący wady lub śmieszności u bliźnich, aby się nimi zabawić, stwierdzili, że i Józuś ma jedną słabostkę. Wada to nie była, ale zawsze coś. Otóż klarnecista Cisek ogromnie lubił i, co najważniejsze, umiał spać. A już szczególnie po graniu. A przecież zdarzało się, że grano i całą noc, bez wypoczynku, bez przerwy. Mimo to wytrawni muzykanci, kiedy nad ranem kończyli grać, a weselni biegli do chałup oporządzić bydło i konie, dzieciom jeść ugotować i do szkoły wyprawić, dopiero zabierali się do zabawy; przecież i im należało się coś z wesela. Jedli, pili jak najzdrowiej, do bab się zabierali — niektóre i nie broniły się za bardzo. Ale Cisek przekąsiwszy coś niecoś — jak kura dla zniesienia jaja, tak i on szukał spokojnego kąta. A jak jeszcze znalazł siano, słomę, a nawet plewy, zaszywał się cały i z miejsca zasypiał jak borsuk w jamie na zimę. I w czym był: w samym ubraniu, w koszuli, jeśli to było w lecie, a w kożuchu w zimie. A jak przyszło go szukać, to znaleźć Józusia można było tylko po chrapaniu. Bowiem śpiąc chrapał niczym organy. A zbudzić go też była większa sztuka.

Zdarzało się, że zaraz po całonocnym graniu trzeba było iść grać albo do drugiej chałupy, albo i na inne wesele. To dla Józusia była klęska. Mówili jego koledzy, że potrafił iść i spać. Czasem kończyło się to smutnie, bo klarnecista właził do wody lub bajora, nawet się wywracał. Już nie z przyjaźni dla kolegi, ale że ofiarniejszego muzykanta trudno byłoby znaleźć, koledzy idąc podtrzymywali go, żeby sobie nie narobił biedy. A on idąc, podtrzymywany pod ręce, spał.

To wszystko byłoby jeszcze nic. Gorzej, bo Cisek — rzadko, bo rzadko, ale trafiało się — zasypiał nawet w czasie grania. Wtedy spadał z muzykanckiej zwyżki prościutko na ziemię. Po prawdzie, to najpierw na zbity krąg dzieci, zawsze otaczających muzykantów. Waliło się więc

chłopisko jak snopek na głowy dzieciarni, niczym na klepisko w stodole. Na szczęście dzieciaki były tak zbite, że ani Ciskowi, ani im nic złego stać się nie mogło. Wybuchał tylko ogromny krzyk przerażenia, a następnie burza śmiechu, kiedy taka baryła musiała z powrotem gramolić się do góry. W dodatku zaspana i niemrawa. Czego się jednak bali inni muzycy: że kiedyś Józuś może spaść z klarnetem w gębie i przebić się nim na wylot. Albo spadając mógł połamać fujarę — tak przezywali klarnet — na drobne kawałki, a wówczas koniec z graniem. Bali się tak wiele już lat, ale na szczęście nic takiego się nie stało. Co najciekawsze, że ci, co widzieli upadki Ciska, nie mogli się nadziwić, że muzykant waląc się na dół, jakby na czyjeś polecenie wyjmował fujarę z ust, a rękę, w której ją trzymał, podnosił w górę.

— Wy sobie mówcie, co chcecie — paplały baby — a jego Pan Bóg ma w swojej opiece. Poczciwe to chłopisko, on jeden z was, z całej muzyki nie pije, nie zabiera się do innych bab, nie szczypie. To go Pan Bóg ma w swojej opiece! — akcentowały machaniem rąk.

Kobiety lubiły opowiadać o Ciskowych przygodach; ani złośliwie, ani nie litując się, ot tak, dla gadania. Opowiadały, zapominały. Aż raz rzeczywiście wydarzyło się coś, co je bawiło dłuższy czas. A było tak.

Zaprosili raz trzeboskich muzykantów — razem z Ciskiem — na biedne wesele. Weselni jeść mieli u młodej, w małej chałupinie o jednej izbie, ale ojciec uprosił sąsiada, żeby użyczył swojej wielkiej chałupy na tańcowanie. I w tej chałupie była tylko jedna izba — kto tam wtedy miał dwie — ale za to wielgachna jak stodola. Kiedy goście tak się wytańczyli, że swacia ściągali koszule, aby je z potu wykręcać, wszystkich zaprosili do tamtej chałupki na jedzenie. Naturalnie, muzykantów przede wszystkim. Ale klarnecista wolał się dobrze wyspać, jak najeść.

W izbie nie było mowy, aby się gdzieś położyć, wszystkie graty powynoszono, aby było jak najwięcej miejsca do

tańca. Tedy poradzili Józusiowi położyć się w szopie przy chałupie. Pokazali mu nawet coś w rodzaju dobrze wyleżanego gniazda, niewątpliwie było to czyjeś legowisko. Obok leżał jakiś paruszek do przykrycia. Kiedy Cisek położył się, on, który prawie natychmiast zasypiał, poczuł, że pod sobą ma coś na sieczkę startego: słomę?... siano? Ale tak go ćmiło, że już na leżący ściągnął z siebie bluzkę i portki — inaczej w tym gnieździe byłby się nie zmieścił — śmiali się potem. Już prawie usypiając nakrył się owym paruszkiem i był pewien, że się dobrze wyśpi.

Ale... tego nie wziął pod uwagę. Pchły — miliony ich było! — poczuwszy świeże ciało, jak się nie rzucą na biednego klarnecistę!... jak najgorsze osy. Poczęły Józusia tak gryźć, że pomyślał nieszczęsny: — Ja tu chyba do cna zgłupieję:

— Jak się tam tego gadziaństwa nakociło, to jedynie diabeł wie, bo to tylko jego wymysł mógł być — opowiadał swoim kolegom. — Drapałem się co chwila, myślałem, że pomoże — tłumaczył — ale było jeszcze gorzej. Po chwili myślałem, żem już w piekle i że diabli osypali mnie gorącym popiołem.

Nie wytrzymał wstał. Otrzepał się ze śmieci, zdjął koszulę i gacie — zdrętwiał: czarne były, jakby je przez komin przewlókł. Wytrzepał, ile tylko miał sił, oblekł się z powrotem. Poobzierał się, z boku stały półkoszki do wozu. Twardo było, ale położył się, aby — żalił się później — chociaż kapkę się zdrzemnąć. Oczy miał tak napuchłe, że z trudem przymykał powieki. Gdzie tam! Gryzły wciąż tak niemiłosiernie, że podrzucał sobą, jakby był zabitym padalcem. Trudno, wstał, znowu się rozebrał, aby wytrzepać ubranie. Dopiero wtedy spostrzegł, że jest cały czerwony jak rak. Przypomniały mu się jego dzieci, kiedy chorowały na ospę. Trzepał, bił łachami o ściany szopy, przebiegał z miejsca na miejsce, kiedy posłyszał wołanie: już go szukali do grania.

— To był mój sądny dzień! Najgorsze granie w życiu — jęczał później. — Gryzły mnie cholery cały czas, a tu nijak się poskrobać, nijak potrzeć plecy o futrynę. To ci była męka!

— Ten jeden raz w życiu nie chciało mu się spać — pokpiwali sobie z niego koledzy, kiedy opowiadali drugim o przygodzie Józusia.

Biedny był poczciwy Cisek z tym swoim spaniem. Stał się też przedmiotem różnego rodzaju figlów i psot ze strony swoich kumów, jak nazywał kolegów-muzykantów. Z kim innym tak by sobie nie pozwalali, ale że Józuś znosił wszystko cierpliwie, coraz to śmielej bawili się jego kosztem.

Aż raz przemaścili. Inna rzecz, że byli sobie dobrze podpili. Kiedy Cisek korzystając z jakiejś przerwy w graniu — a umordowany był jak koń — poszedł się zdrzemnąć, muzykanci wpadli na iście szatański pomysł: wzięli nożyczki i obcięli Józusiowi jego dumę, jego „haubicki" honor — jedną wiechę wąsów, połowę. Mimo że robili to niezbyt delikatnie, Cisek nie obudził się. Kiedy ludzie domagali się grania, wyspany klarnecista wziął instrument, siadł na zwyżce, podniósł wzrok — swoim zwyczajem, ku powale — i nadąwszy się, zagrał jakąś polkę. Nadymając policzki jak dynie zauważył, że nagle wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. Był pewien, że to jego muzyka tak się podoba. Podniósł tedy wargi, aby wąsika sterczały do góry — a tu jak wszystko nie gruchnie śmiechem!... Jakby całe wesele oszalało. Niektórzy ze śmiechu aż się na podłogę kładli. I krzyczeli coś. Nagle pojął, że gra sam jeden, że kumy też się śmieją do rozpuku; przestał i on, patrząc wciąż na ludzi jak na wariatów.

Dopiero kiedy ktoś podał Józusiowi lusterko, zobaczył, co się stało. Kumy pierwszy raz zobaczyli Ciska w złości. Zaczerwienił się, podniósł się na zwyżce tak, że głową uderzył o powałę, coś wykrzyknął, że na ludzi padł strach.

Muzykanci przestali się śmiać. Skurczeni, czekali na coś strasznego. Ale Cisek skoczył na ziemię — i prosto w drzwi. Teraz zrozumieli, że przeholowali, że zrobili coś bardzo złego. Siedzieli też jak skamienieli.
Przez chwilę w izbie nikt nawet się nie odezwał, jakby wszyscy poczuli się winni, aż ktoś krzyknął na innych i ruszyli w pogoń za klarnecistą. Dogonili go i tak rzewnie przepraszali, i przekładali, że wrócił. Grał do końca wesela, ani słowem nie odzywając się do towarzyszy. Dąsał się na nich dłuższy czas — dopóki wąsy jako tako mu nie odrosły. I szło dalej, z tym tylko, że koledzy już nie śmieli zrobić Józusiowi najmniejszego figla.
Wiele lat pracował Cisek w trudzie i mozole — sobie na jaki taki pożytek, ludziom na uciechę, a Panu Bogu na chwałę — jak mawiał będąc w humorze. Chociaż lata leciały, wszyscy byli pewni, że Józuś będzie grał jeszcze może na stu, może na dwustu weselach.
Aż raz zaprosili Ciskową muzykę na wesele do niedalekiej wsi. Wesele było bogate, było co jeść i pić, muzyka grała ostro, goście bawili się jak mało gdzie, a to przez tę trzeboską muzykę. A że to było jeszcze w lecie, a gospodarz bogaty, w ogrodzie pod starą gruszą urządził podłogę, na której mogło się pomieścić i kilkadziesiąt par. Siedzisko dla muzyki było koło samej gruszy, tak że muzykanci mogli się nawet oprzeć o jej pień.
Zapadła noc, zabawa tętniła coraz żywiej. Nagle — nieludzki krzyk i w tym samym momencie klarnecista runął ze zwyżki na ziemię. Za nim potoczył się na podłogę duży, ciężki kamień. Zrobiło się zamieszanie, pokrzyki, bieganina, ale ponad wszystko wybijał się żałosny jęk i prawie wycie wijącego się z bólu klarnecisty.
— O mój Boże!... o mój Boże!... co ja jemu winien, com mu jest winien? — Ciosek pytał nie wiadomo kogo.
Ale już zrozumiano, co się stało; niewątpliwie któryś z miejscowych muzykantów, ze złości, że nie ich, ale

obcych zaproszono na wesele, rzucił kamieniem z tyłu, z krzaków — i trafił w plecy właśnie klarnecistę.
— Ścigać drania! — wykrzyknął ktoś.
— Aha! Zrobisz mu tyle, co Kasper dziurawej stodole — odpowiedział ktoś inny, być może solidaryzujący się z tamtym.
Ludzki pierścień otoczył wijącego się z bólu i jęczącego klarnecistę. Może nie tyle ze współczucia, co z ciekawości. A i z żalu, że zabawa została zepsuta. Wypatrywali też innych muzykantów, żeby zajęli się swoim towarzyszem. Ale nikt nie mógł dojrzeć ani jednego; uciekli w obawie o siebie. W tym tragicznym momencie wieloletniego kompana pozostawili na łasce losu. Kto wie, czy dla Józusia to właśnie nie było najboleśniejsze.
Cisek o własnej mocy nie mógł już wstać, nawet mowy być nie mogło, żeby sam poszedł do Trzebosi, do własnego domu, musiano go odwieść. W domu chorzał długo. Po jakimś czasie nawet wstał, ale mógł łazić tylko w pół zgięty. I bardzo brakowało mu tchu. W takim stanie niedługo pociągnął; zmarł nawet do roku od uderzenia nie dociągnąwszy. Wielkie i poczciwe chłopisko, które w ciągu wielu lat dało drugim tyle radości. Pogrzebano go na trzeboskim cmentarzu. O tym wypadku długo mówiono w Trzebosi i okolicy; i o tym, że sprawcy nigdy nie wykryto. Nie było dowodów, ale opinia publiczna niedwuznacznie wskazywała na znanych wszystkim muzykantów, że to była ich sprawka. Byli bowiem bardzo mściwi.
Po pewnym czasie zapomniano o Cisku i jego śmierci. Przypomniano go dopiero wtedy, kiedy w kilka lat po śmierci Józusia, ktoś przechodząc w nocy koło cmentarza, widział wysoką, białą postać. To mógł być tylko duch klarnecisty, tak tragicznie zgasłego.
— Mój Boże! Czy to on jeden, jako muzykant, śmiercią zapłacił za miłość do muzyki? — ktoś stoicko zawyrokował.
— Ilu by takich można wyliczyć!

TRĄBISTA I BĘBNISTA

Pani Marii z Wiącków Kozłowej z Machowa poświęcam

Jasiek, może dziewięcio-, może dziesięcioletni syn „Dominika spod kościoła" albo Dominika z Kmieci — najstarszej i najbogatszej części wsi leżącej blisko Wisły — był bardzo podobny do innych chłopaków, swoich rówieśników. Tak samo chodził do szkoły ucząc się, nie ucząc, podobnie zbytkował, z pasją czubił się z kolegami, pasł krowy, a szczególnie wypędzał gęsi na ług. A jednak był inny. Może dlatego nie przypadł matce do serca, chociaż był jedynakiem. I to „poskrobkiem", jak go często nazywała. Był wśród dzieci najmłodszy, przed nim były cztery córki. Między ostatnią córką a Jaśkiem była wcale duża różnica. Takich wyskrobków- jedynaków właśnie matki najbardziej kochają, ale tu było inaczej. Chłopak był najbliższy sercu ojca. Żeby to jednak pojąć, trzeba się cokolwiek wrócić w czasie, do pamięci starszego pokolenia tej pięknej nadwiślańskiej wsi.

W Dominiku, jedynym synu jednego z bogatszych gospodarzy z Kmieci, kiedy już wyrósł na kawalera, trudno się było dopatrzeć wiejskiego parobka. Był wysoki — we wsi przeważali mężczyźni średniego wzrostu i krępi — i bardzo szczupły. Aby mu dokuczyć, przezywali go tyka. Inny byłby się obraził i brał do bitki, Dominik nie, uśmiechał się dobrodusznie. Kiedy był jeszcze chłopakiem, okropnie chciał grać na skrzypcach. Prosił, błagał ojca, żeby mu kupił taki instrument — stać go było — ale tamten nawet sobie wspomnieć o tym nie pozwolił.

— A czy ty wiesz, że muzyka to jest z diablem? — krzyczał. — Chcesz mi do chałupy jakie złe przywieść? A niech cię Pan Bóg i Matka Boska Dzikowska od tego bronią! — wykrzykiwał. — A mało to roboty koło gospodarstwa? Skrzypiec ci się zachciewa jak jakiemu biedakowi! Żeby się z ciebie i ze mnie śmiali? Kmiecy

syn i głupstw mu się zachciewa. A co by robiły biedaki? Lepiej bierz się do roboty w polu, bo ci śmierdzi jak za przeproszeniem gówno.
Ojciec Dominika był twardy i syn nigdy nie miał własnych skrzypiec. Ale ludzie doślipli! Jak się chłopak gdzieś znalazł — i mu się zdawało, że jest sam na sam — brał dwa patyki: jeden grubszy, drugi cieńszy. Ten grubszy ujmował jak skrzypce, a tym drugim pociągał po nim niby smykiem. Udawał, że gra. A głosem, przy zamkniętych ustach, starał się naśladować głos skrzypiec, najpiękniejszy głos, jaki może powstać na świecie. Robił to, dopóki był chłopakiem. Ale jak dorósł na podkawalirka, chyba wstydził się, bo go grającego na patykach już nikt nie widział.
Dominik, kiedy przyszedł na niego czas, do wojska na trzy lata nie poszedł. Według panujących wówczas ustaw jedynacy byli z wojska wyłączeni. Kiedy rówieśnicy Dominika wyrukowali w różne strony, Dominik pozostał, jakby ze wstydem. I wtedy raz ojciec odezwał się do niego:
— Wiesz co, synu? Trzeba ci się ożenić. Widzisz, matka coraz częściej słabuje, gospodarka upada, ja już też niemłody. A co byś ty powiedział na Maryśkę Więckową, naszych sąsiadów? Widzisz, jej już pora, złapie ją byle kto, a byłoby szkoda. Robotna, zaradna, a jak wiesz, grunt starego przytyka do naszego. Gdybyś się z nią ożenił, ojciec dałby jej to, co z nami sąsiaduje. A to dobry kawałek, nawet lepszy od naszego. I co ty na to?
Dominik tak się przyzwyczaił, że nie powinien mieć swego zdania, że coś tam tylko burknął, co ojciec zrozumiał jako zgodę. Już w zimie odbyło się wesele. Wieś zrozumiała, że Dominik będzie po śmierci starego najbogatszym gospodarzem we wsi.
Maryśka rychło złapała w garść tak gospodarstwo jak i męża. A on w tej sytuacji bynajmniej nie czuł się źle. W tym tylko był markotny, że z Maryśki sypały się same

dziewki, chłopaka ani na lekarstwo. Nareszcie i dziewczęta przestały się sypać, aż tu nagle, po tylu latach — chłopak! Sąsiedzi myśleli, że Dominik zgłupiał z radości.
I pierwszy raz w życiu postawił na swoim; że chrzciny muszą być tak huczne jak wesele i że chłopak musi nazywać się Jasiek, chociaż matka ogromnie chciała, aby się nazywał jak jej ojciec, czyli Stanisław.
Nikt nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego Jasiek nie jest matce taki bliski, jakim powinien być chłopak i to jeszcze jedynak. Może dlatego tak się stało, że jej chłop pierwszy raz w życiu wyłamał się z jej rządów? A może przez to, że Jasiek był tak bardzo podobny do ojca? — Jak dwie krople wody! Jakby mu z oka wypadł! — jednogłośnie osądzili dalsi i bliżsi sąsiedzi. Choć nie można powiedzieć, żeby matka chłopaka nie lubiła; ładny był, wesoły, posłuszny.
Jasiek czasami był dziwny. — Taki sam był i ojciec, jak był takim chłopakiem — wyjaśniła jakaś starucha. — Zresztą była to dziwność mało szkodliwa, jednak matkę złościła, bo jej perswazje padały jakby groch o ścianę. Jasiek słuchał ich w milczeniu, a swoje robił. Zresztą jak czasem.
Lubił uciekać nad Wisłę. Kawałkami, gdzie brzegi były najniższe i gdzie rzeka wylewała najczęściej, dawno już usypano wysoki wał. Żeby się do niego dostać, trzeba było zejść z pagórka, na którym leżała wieś, a potem przejść przez szeroki pas ni to pastwiska, ni to łąki. Dalej był podmokły grunt, porosły istną puszczą wiklin i łóz. Przedzieranie się przez tę przeszkodę sprawiało Jaśkowi najwięcej przyjemności. Czuł w sercu wielką radość, kiedy gałęzie i pręty smagały mu twarz, drapały, dziurawiły ubranie, kiedy nieraz zapadał się po pas w bajorze i potem musiał drapać się jak kret z ziemi. Ale za to czekał go wał, a tuż przy nim drgający i zawsze niespokojny nurt rzeki, ukochanej Wisły. Potrafił godzinami wpatrywać się w błyskającą wodę i słuchać jej szumu. Wydawało mu

się, że rzeka raz mówi, a raz gra. Śliczna była ta muzyka wody.

Drugą słabością Jaśka był Kalinka. Mieszkał on na Księżem. Była to mała grupka domów, raczej chałupek, gdzie za czasów pańszczyzny mieszkali poddani księży, którzy za mały kawałek ziemi pracowali na księżym folwarku; potem stało się to chłopskie. Znajomy Jaśka po prawdzie to nazywał się Kalina, ale że był to człowiek „sam miód" i przez wszystkich ogromnie lubiany za swoją wesołość i dobroduszność, zdrobniale nazwali go Kalinką. Nie miał wtedy nikogo z bliskich; był nieprawego łoża, matka zmarła, zostawiając mu budzinę i prawie pół morgi lichego gruntu. Zarobkował gdzie i jak się dało. Mimo swojej biedy, chętnie był wszędzie widziany, a nawet poszukiwany, głównie przez swoją fujarkę, a ściśle to piszczałkę, i ten niewyczerpany humor.

Kalinka na fujarce grywał — jak mówili — od cycka, tego mamusinego. Niektórzy śmiali się, że grywał już na cycku właśnie, dlatego tak słodko. Naprawdę to nauczył się przy pasieniu bydła, naturalnie cudzego, bo od chłopaka chodził po służbie. A grywał z czasem tak, że ludzie słuchali z otwartymi ustami.

Jak szedł do wojska, zabrał swoją fujarkę. Opowiadali ci, co z nim służyli, że przez tę fujarkę to mu się w wojsku doskonale wiodło, o niebo lepiej jak w chałupie. Raz jego cug był na ćwiczeniach. W czasie chwilowego odpoczynku Kalinka zaraz za fujarkę i dalejże grać po nadwiślańsku. Żołnierze tak się zasłuchali, że nie słyszeli rozkazu i zerwali się, kiedy oficer jak wrona wrzasnął nad ich głowami. Kiedy poznał, co się to stało, kązał grać Kalince, który miał to do siebie, że nikogo się nie bał, każdego traktował jak kolegę. Toteż bez strachu zagrał kapitanowi to, co umiał najlepiej. Kiedy skończył, oficer wziął do ręki mizerną fujarkę, kupioną na odpuście w Dzikowie, obejrzał ją ze wszystkich stron, uśmiechnął się, pokiwał głową, a za kilka dni przyniósł Kalince cud nie fujarkę.

Była z twardego drzewa, ślicznie okuta srebrem, wyglancowana, ale miała tyle samo dziurek co ta dzikowska. Jak po kilku dniach Kalinka zagrał na tym cudzie, to już kupił sobie cały batalion i wszystkich oficerów. Ci bardzo często zapraszali go na swoje zabawy i tam grał ich żonom i dzieciom. Ile pieniędzy mu nadawali i różnych rzeczy! Wszystkim dzielił się z kolegami, za co go jeszcze bardziej lubili.

Kiedy Jasiek pierwszy raz posłyszał Kalinkowe granie, stał się nie tylko jego wielbicielem, ale i częstym gościem. Zarobkującego po ludziach fujarkarza trudno było zastać w domu. Jaśkowi czasem się to udawało i wtedy dopóty błagał Kalinkę, aż ten coś mu zagrał na swojej cudownej piszczałce. Potem chłopak szedł do domu zamyślony. Wreszcie uprosił ojca, żeby mu kupił fujarkę na odpuście. Próbował się na niej nauczyć grać, Kalinka mu pomagał, ale jej tony mu się nie podobały. — Były takie — jak to sam określał — niby ta mgła. — On zaś chciał, żeby wydawała głos jak grzmoty przed burzą.

Czasem upraszał Kalinkę i ten opowiadał mu o wielkim świecie, o wojsku, a szczególnie o orkiestrach, jakie tam są trąby... Właśnie wyraz trąba uchwycił się duszy Jaśka jak nie dopieczony chleb żołądka. Nigdy nie widząc tego instrumentu, nie słysząc jego dźwięku, znając go tylko z opowiadania, często o nim myślał, często rozmawiał z byle kim. Aż go cierpliwy jak anioł ojciec czasem skrzyczał.

Nadszedł rok 1914. We wsi pojawiło się wojsko. Zaraz potem rozniosło się, że dużo chłopów musi iść na wojnę i cała wieś rozszlochała się. Jasiek dowiedział się, że i Kalinka musi iść, zaraz więc pobiegł do niego. Fujarkarz już się zbierał. Chłopak wciąż spoglądał na fujarkę, wiszącą nad łóżkiem i myślał sobie: — Powiem Kalince, żeby piszczałkę u mnie schował, ja jej nikomu nie dam. — Wreszcie zdobył się na odwagę. Ale to, co usłyszał, zasmuciło go. Kalinka powiedział, że fujarkę zabierze ze sobą, bo bez niej byłoby mu bardzo smutno,



Dziady odpustowe. Rzeźba W. Chajca (17)

że i na wojnie będzie grał.
Następnego dnia całe wojsko kwaterujące we wsi szło do szkoły. Kilka oddziałów przemaszerowało koło Jaśkowego domu. Patrzył, owszem, ładne to było, ale... Aż tu naraz jak od szkoły nie buchnie coś! Jaśkiem targnęło, niby wiatr drobnym listkiem. Już w następnym momencie pędem biegł w tamtym kierunku i na własne oczy zobaczył to, o czym mu tyle opowiadał Kalinka. Na placyku przed szkołą stała prawdziwa wojskowa orkiestra i grała marsza, a przed nią maszerowało wojsko, duże wojsko. Ale Jasiek widział tylko trąbki: błyszczące, dźwięczące, jakby kto kosy oselkami próbował, czy twarde.
— Jezusie! — szeptał w zachwycie. — Jakie to cudne! — Dopchał się do samej orkiestry i patrzył, słuchał, patrzył

— bez końca. A kiedy granie i maszerowanie się skończyło, poszedł do domu jak nieprzytomny.
W ciągu kilku lat ze wsi zabrano do wojska dużo chłopów. Pozostali starzy i kaleki. „Dominika spod kościoła" zrobiono wójtem, chociaż bronił się przed tym rękami i nogami. Zadecydowała żona. Pewnego dnia przyniesiono do nowego wójta zamkniętą skrzynkę z papierami i pieczęciami, i — prawdziwą trąbę. Jasiek złapał ją jak relikwię, ale radość jego szybko ostygła. Trąba była brudna, zaśniedziała, nie miała klapek. Stanowiła wyposażenie nocnego wartnika, który trąbieniem oznajmiał, że czuwa. A żeby była lepsza nad nim kontrola, trąba zawsze była u wójta. Wartnik musiał przychodzić po nią późnym wieczorem, a odnosić o świcie. Można tedy było na niej buczeć, ale nie wygrać. Jasiek często bawił się nią jak najlepszą zabawką. W oczekiwaniu na jakiś cud wciąż grał na niewidzialnej, pięknej trąbce z klapkami. A że miał doskonały słuch, zapamiętał kilka marszy, granych we wsi przez tamto wojsko. Często nadymał usta i potrafił wydawać z nich głosy do złudzenia podobne do głosu trąbki.
Nareszcie skończyła się wojna. Jaśkowi pozostało po niej wspomnienie dźwięczącej trąbki. Do wsi wróciło dużo chłopów, ale nie wszyscy. Ci co wrócili, naturalnie młodzi i kawalerowie, na gwałt poczęli się żenić. Przyszło żniwo dla muzykantów, nawet najgorszych. Wsie aż dudniły od grania i śpiewów, ludzie jakby chcieli sobie wynagrodzić lata męki i niepewności.
Nagle doszło do Jaśka — już był z niego podkawalirek, dziewczęta oglądały się za nim — że w Cyganach, wsi dość daleko położonej od Wisły, ktoś tam założył muzykę, w której nie było już basów, ale bęben, a zamiast drugich skrzypiec wprowadził trąbkę. I ta muzyka stała się wnet głośna i poszukiwana. Było ją słychać nawet w czasie największego jazgotu, nikt nie mógł zmylić kroku. Jaśkiem aż zatrzęsło.

Co jeszcze do niego doszło; że ten trąbista to był w wojskowej orkiestrze. Ten Grdeń z Cyganów w czasie wojny, kiedy muzykanci z orkiestry zostawili swoje instrumenty, naładował do wora co drobniejszych kawałków i szczęśliwie dojechał do swojej wsi. Szybko założył zespół, muzykę, a na siebie kazał mówić: „panie kapelmistrzu".

Jednej niedzieli Jasiek wybrał się do Cyganów, wziął wszystkie uciułane pieniądze, zarobione na rybach, na rakach i te od ojca. „Pan kapelmistrz" rychło stwierdził, że amator na trąbkę ma doskonały słuch i kto wie, czy nie byłby konkurentem. Owszem, sprzedał chłopcu trąbkę, ale na prośbę chłopca, żeby mu pokazał, jak się tymi klapkami przebiera, wymówił się jakimś tam nagłym interesem. Jasiek wrócił do domu z instrumentem, ale jakby z niemową. Próbował, szturkał, dmuchał, wreszcie coś poczęło z tego wychodzić.

Nagle szokująca wiadomość. Dość bogaty gospodarz spod dworu, trochę światowiec, jako że handlował końmi, chciał się pokazać i na wesele córki zaprosił kapelmistrza Grdenia. Jasiek nie mógł doczekać się dnia ślubu i tańców. Wieczorem tak się kręcił, tak zachodził, że wreszcie udało mu się dostać do środka. Skulił się i dotarł ostatecznie w pobliże muzyki, a że siedział cichutko, muzykanci nie zwrócili na niego uwagi. Natomiast Jasiek jak zahipnotyzowany patrzył tylko na trąbkę. A ściślej to na palce kapelmistrza, jak on na tych klapkach nimi przerabia. Coś się w nim dokonywało! Czuł, że kiedy tylko weźmie do ręki swoją trąbkę, zagra prawie tak samo jak kapelmistrz. Już, już chciał się z powrotem wysmyknąć, kiedy nagle koło drzwi zrobił się okropny harmider. Po chwili do izby nie tyle weszła, ile wpadła cała banda Cyganów. I dalejże molestować, żeby im pozwolili zatańczyć, że oni za to młodej powróżą, jak jej to będzie dobrze.

Gdyby tak na taniec w czasie najlepszego nastroju

napierała się jakaś banda z innej wsi — ho, ho! już byłaby bitka. Ale że Cyganie! — rzecz na weselach wiejskich raczej niezwykła. Trochę z lęku przed nimi, więcej z ciekawości, Cyganie dostali przyzwolenie, a marszałek zarządził, żeby zrobiono im duży plac na środku izby. Teraz do muzykantów podszedł starszy już Cygan. Błyszczał guzikami na ubraniu, imponował grubym łańcuchem przy zegarku, wielkim pierścieniem na palcu, ozdobnym kapeluszem.

— To pewnie król! — weselni poczęli szeptać pomiędzy sobą, z szacunkiem zerkając na Cygana, który coś tam konferował z „panem kapelmistrzem". Ten widocznie pojmował, o co mu chodziło, bo uśmiechał się, kiwał głową i coś większego schował do kieszeni, otrzymawszy to z rąk Cygana. Kapelmistrz jakby pouczył bębnistę, coś szepnął skrzypkowi, ale wszystko tak cicho, że tuż, tuż siedzący Jasiek nic nie uszczknął. Nagle kapelmistrz stanął na podwyżce, podniósł trąbkę do góry i jak nie huknie! Tuż za nim bębnista jak nie palnie w bęben! Obecni aż podskoczyli, jakby ich kto nagle przestraszył. I prawie natychmiast Cygany jak nie zawyją, nie krzykną! Tylko chałupa się zatrzęsła i kawałki wapna sypnęły się na głowy obecnych. A potem... trudno byłoby to opisać. Mężczyźni cygańscy jakby poszaleli, krzycząc podskakiwali do góry, niemal pod powałę. Co oni wyrabiali tak rękami jak i nogami, to czegoś podobnego świat nie widział! Podobnie zachowywały się starsze Cyganki. Młode stały w kącie i widać było, jak nimi wstrząsa, jak coś szamoce. Może utworzyły się ze dwie pary z tych młodszych, ale kilka nadal stało, patrząc na szalejących jak głodny na chleb.

Nagle stało się coś, czego nikt nie przewidział. Jedna z młodych Cyganek wyskoczyła błyskawicznie z gromadki, jak strzała dopadła skulonego Jaśka. Ten, nawet się nie spostrzegłszy, znalazł się na środku izby wśród tańczących. Właściwie to prawie stracił przytomność i zupełnie nie

zdawał sobie sprawy z tego, że wiruje w takt jakiejś szalonej muzyki, czując tylko szum w uszach taki jak w czasie największej burzy. Wkrótce jakby począł płonąć, a w skroniach tak mu coś biło, że słyszał te uderzenia. Zaś widownia, ta miejscowa, omal szyj nie wydarła sobie z tułowia. Wspinali się na palcach, jeden wyłaził na drugiego — przecież wójtowego Jaśka wszyscy tu znali, ale... — Bożycku! jaki on podobny do Cygana! żywcem jak brat tej, z którą tańcuje. Ona pewnie myślała, że to Cygan, przecież nie wzięłaby do tańca żadnego z miejscowych chłopaków. To ci nowina!

Nagle muzyka się urwała. Tak grać, jak to robił kapelmistrz, nie sposób było dłużej. Usiadł i ciężko dyszał. Dotychczas jak w szale tańczący Cyganie bez duszy owalili się na stojących pod ścianami ludzi i również głęboko oddychali. Żeby chociaż było czym! W izbie siekierę by zawiesił, szaro było od pyłu z roztartej ziemi. Nastąpiła cisza jak po objawieniu. A Jasiek?

Jasiek wypuszczony z ostrych kleszczy, jak z procy strzelił w ciemny otwór drzwi i począł pędzić w stronę chałupy, jakby go sto duchów ścigało. W pewnym momencie uświadomił sobie, że znalazł się koło wysokiej mogiły, którą w pierwszych dniach wojny usypano na stosie setek poległych żołnierzy. Przypomniał sobie, co opowiadali we wsi, że z tej mogiły w niektóre noce wychodzi jakaś biała postać, klęka na mogile i boleśnie jęczy. To wspomnienie jakby go oprzytomniło, stanął, przeżegnał się, a następnie usiadł na ziemi bez czucia. Powoli, powoli począł sobie uświadamiać, co było. Otulił go drażniący zapach dymu, który mu towarzyszył w czasie tego szaleńczego tańca. Co to był za taniec — nie wiedział. Na jego wspomnienie targały nim dygotki. Wreszcie poczuł dojmujący chłód — przecież była to jesień — i ruszył w kierunku domu. Szedł wolno, starając się, chociaż bezwiednie, uporządkować kłębiące się w nim myśli. Dlaczego ona właśnie jego wyciągnęła do tańca? Czyżby rzeczywiście

był tak podobny do Cygana, jak mu to nieraz mówili? Myśląc o tańcu i o dymem wonnej Cygance, nagle posłyszał trąbkę. Opanowała go melodia, jakiej nigdy nie słyszał. — Gdzie on się takiej nauczył? — myślał o kapelmistrzu. — Pewnie gdzieś w świecie. — I oto doznał złudzenia, że w rękach trzyma nie tamtą, ale swoją trąbkę — wyczyścił ją na glanc — że dmucha w nią i przebiera palcami po klapkach tak samo jak tamten. Przecież patrzył mu na palce chyba całe dwie godziny. Doskonale, wierniuteńko przypomniała mu się nie melodia dla Cyganów, ale walczyk, którego kapelmistrz grał kilka razy. Ale to nie był wiejski walczyk, pewnie też ze świata. Jasiek jakby szedł z trąbką w rękach i grał tego walczyka ze świata. Jego melodię miał w sobie, przebierał klapkami tak samo jak kapelmistrz. Tak grając, zbliżył się do domu. Do przytomności przyprowadził go płatek, który wyskoczył mu z radości na piersi i wytrącił z rąk tę niby trąbkę. W domu też nie spali. — A ty gdzie się tak włóczysz? — krzyknęła matka. Pierwszy raz posłyszał w jej słowach troskę o niego.

Nie odpowiedział. Podszedł do swojego łóżka, nad którym wisiała błyszcząca trąbka. Zdjął ją z największym nabożeństwem, pogładził pieszczotliwie i przyłożywszy ustnik do warg, począł dmuchać w ten sam sposób, jak to robił kapelmistrz. I przebierać palcami, po porządku, jak się nauczył na pamięć patrząc na grającego trąbistę. Wychodziło, chociaż z drobnymi nieścisłościami. Ale zaraz się poprawiał. Wreszcie wyszło. Chłopak rozpłakał się jak dziecko. Oboje rodzice patrzyli na to wszystko z ciekawością i z przerażeniem. Ale kiedy Jasiek się rozpłakał, matka pierwszy raz w życiu przytuliła jego głowę do swojej piersi i też wybuchnęła płaczem. Tylko ojciec patrzył na to, jakby nie widząc, myśli jego poleciały w przeszłość.

— Boże! Żebym ja tak umiał zagrać, żeby ludzie tak

tańczyli jak Cyganie... i ta nieznana Cyganka — szeptał do siebie Jasiek.

*

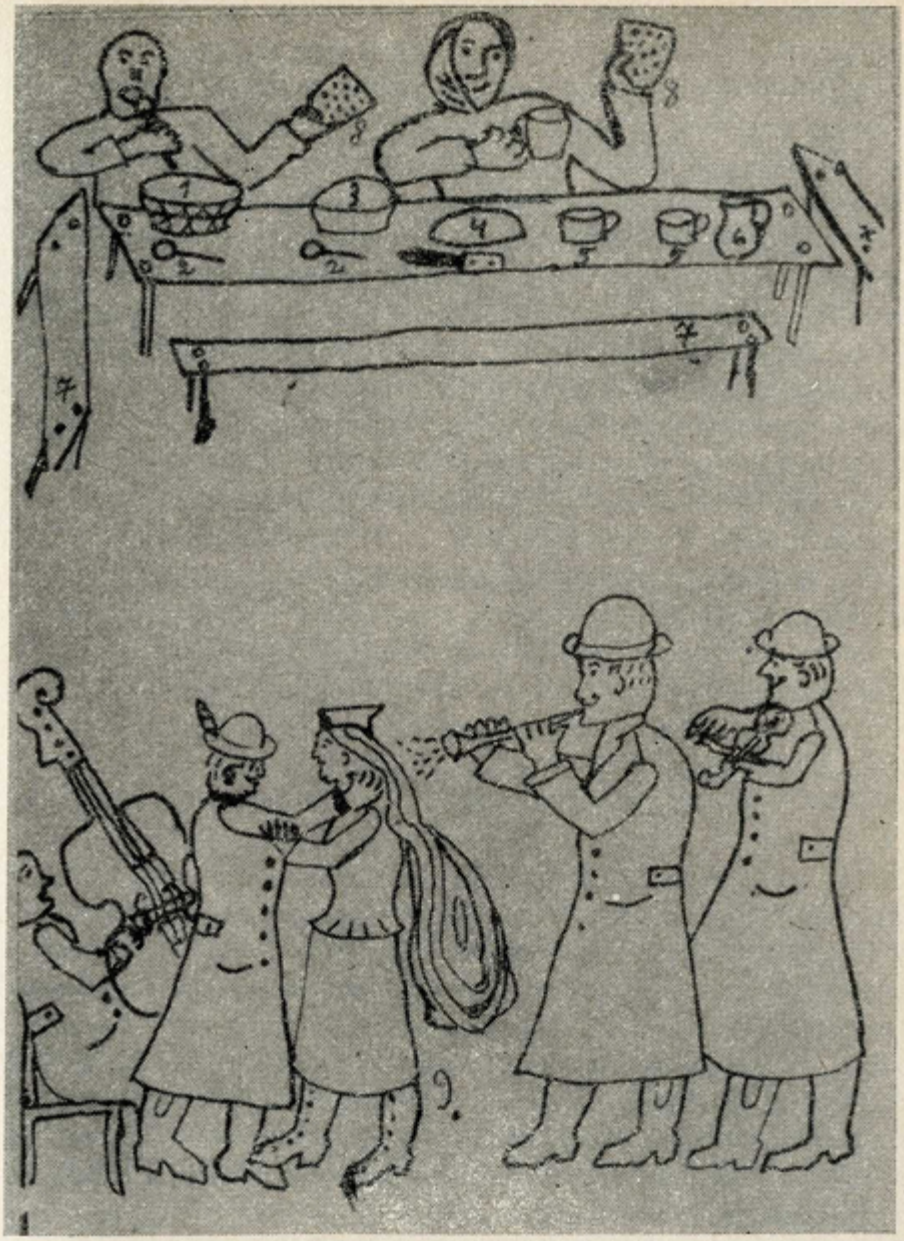
W tej samej wsi nad Wisłą, prawie na samym końcu, gdzie mieszkała największa biedota, miała swoją chałupkę rodzina Dulów. Było tam dzieciarni jak królików — prawdziwie „co rok to prorok".

— Czym to wszystko żyło? — dziwowali się ludzie. Inna rzecz, że u Dula poszanowania dla siódmego przykazania wielkiego nie było. Bo i co? — odwalał. — Mamy z głodu wyzdychać?

Mimo biedy starsze Dulowe chłopaki zawsze były wesołe, dowcipne, na pastwisku byle na czym wygrywali i tańczyli. Średni był akurat w wieku Jaśka, syna Dominika. Nawet razem do szkoły chodzili. Ale odległości różnego rodzaju między nimi były wielkie. I ten właśnie średni skądś dorwał skrzypczęta; marne one były — chodziło po wsi, że Duloki ukradły je Cyganom, a to była sztuka nie lada! Skrzypiały, syczały, ale wszystkie melodie na nich wyciągnął ton średni. Nareszcie tak już nauczył się grać, że go przyciągali starsi, na razie na sekond. Ale chłopak miał większe ambicje, myślał, jakby zrobić muzykę z samych tylko Duloków. Bo tak starszy jak i młodszy mieli pojęcie do muzyki.

Skrzypce były. Teraz konieczne były basy, skąd je wziąć? Kupić? Ale za co? Instrument był bardzo drogi. Wtedy im wpadło do głowy: bęben. Już używano go zamiast basów, nawet kapelmistrz z Cyganów nim się posługiwał. Drewno to by sami zrobili — z osikowej deski, jak się robi pudełka do siewu, miarki. Tylko skąd wziąć skórę? Myśleli, dumitowali, no i wyhajdukowali: z psa. Swojego to oni nie mieli, porwać sąsiadom też byłoby nijako, a psisko musiało być wielkie, żeby skóry starczyło na dwie strony.

Od tego czasu Duloki wieczorami kręciły się po wsi. Ludzie to zauważyli i powiadali do siebie: — Cosik pewnie



Wesele ludowe. Rysunek W. Chajca (18)

komusik zginie. — Ale nie ginęło nic. Kiedy ludzie już się uspokoili, nagle sensacja — zniknął pies. Po prawdzie to psisko, wielkie prawie jak małe cielę. Dobre to było, nikomu krzywdy nie zrobiło, bawiło się z dziećmi, nawet we wsi nikt nie wiedział, czyje było.
Po Wielkanocy nadwiślańską wsią znowu zatrzęsło: Duloki jednak zrobiły muzykę i grają — pewnie, że nie tak jak kapelmistrz z Cyganów, ale chłopaki są młode, wyrobią się. A nową muzykę wieś dlatego zestawiła z tamtą, że Duloki nie miały basów, tylko bęben. A grali pod chałupą prawie co wieczór, jeśli tylko było ciepło, jakby chcieli sobie zrobić reklamę. Dużo chłopaków, dużo dziewcząt podchodziło w tamtą stronę, żeby posłuchać. I wszystkim się widziało. Kiedy raz młodzi muzykanci spostrzegli, że są podsłuchiwani, zawołali głośno:
— No, chodźcie, chodźcie! Zahulacie sobie za darmo, bez pieniędzy. — Od tego czasu dość często na Dulowym podwórzu odbywały się hulanki. Kiedy doszło to do uszu proboszcza, zawołał do siebie starego Dula i zbeształ go od najgorszych: że zgorszenie we wsi szerzy, że piekło mu grozi, że da znać na policję. Stary do lękliwych nie należał, coś tam księdzu nawet odpyskował, ale granie i tańcowanie ograniczył.
Ostatecznie sława Duloków tak się szeroko rozniosła, że zaprosili ich grać na wesele. Biedne wprawdzie, bo na Księżem, ale zawsze wesele. Na wygrywiny wybrali się wcześniej, wnet po południu, żeby ich widziała cała wieś. Też mieli swoją ambicję. Szli wiejską drogą nadęci jak pawie, za nimi jak zwykle gromada chłopaków. Naraz — skądś wzięła się mała psina i dalejże oszczekiwać gromadę. Na próżno chłopcy starali się odpędzić szczekacza. Gorzej, po chwili dołączył się drugi pies, potem i trzeci — takiego pocztu jeszcze we wsi nie widziano. Ostatecznie nikt się temu bardzo nie dziwił: od czego są bowiem psy?
Ale Dulokom serca podchodziły do gardła, tylko oni wiedzieli, skąd ta psia muzyka. Słyszeli od kogoś, że psy

zawsze wyczują psią skórę i że ją obszczekują. Porozumieli się mrugnięciem oczu i zeszli z głównej drogi na zagumnia. Przyspieszyli kroku i szybko byli na miejscu. Dręczył ich lęk: a co będzie, jak pójdą na odgrywiny?
Złe przeczucia — na szczęście — nie spełniły się. Byli trochę obszczekani przez pieski, ale to była zwyczajna rzecz. Chłopców jednak coś gryzło, zwłaszcza Walka, który w tej małej muzyce był bębnistą. Uderzając w bęben, nie słyszał stuku czy huku, ale nieustannie wydawało mu się, że słyszy szczekanie psa, nawet jego zawodzenia, kiedy walili go po łbie pałami. To pierwsze w życiu wesele nie cieszyło go, raczej gnębiło. Nie mógł jeść, nie wypił ani kieliszka wódki. Ostatecznie wesele przeszło, ludzie byli zadowoleni, a nadwiślańska wieś była nawet dumna, że oto ma swoją muzykę.
Takie wydarzenie jak zaginięcie psa w jakimś większym środowisku szybko poszłoby w niepamięć, ale nie w niewielkiej wsi. Kiedy Duloki już były niemal pewne, że ludzie o psie zapomnieli na amen, nagle coś jak granat: to zginął pies Bartniczki. Chłopcy mniej, ale ojciec, który domyślał się wszystkiego, a który samego proboszcza się nie bał — struchlał. Dobrze wiedział, kto to Bartniczka: była czarownicą i to najgorszego gatunku. Bali się też jej ludzie, gorzej niż duchów, południc i mamun.
Bartniczka — wdową była? panną? uciekła od chłopa? Nikt tego dobrze nie wiedział. Siedziała sama w takim wątoku, daleko od innych chałup. Jej buda tak zarosła krzakami, że nawet jej widać nie było. Z czego żyła, też nikt nie wiedział. Nikt tam się nie zbliżał, nawet nie popatrzył w tamtą stronę, bo uroki takie potrafiła rzucić na człowieka, że żadna święcona rzecz nie pomogła, żadne cudowne miejsca. Jak popatrzyła na człowieka — a ślepia miała przeszywające — to zaraz brały go takie bolenia, że tarzał się po ziemi jak młode konie. A tak jęczał, że strach było słuchać. Jak przeszła komuś drogę, to żeby po księdza do chorego jechał, lepiej było się

wrócić; musiało się stać nieszczęście. Niechby oglądnęła się za wozem ze zbożem czy z gnojem, żeby jechał po drodze do stołu podobnej, musiał się wywrócić. Powiadali, że potrafiła kawalira odciągnąć, nawet po zapowiedziach, albo dziewce poradzić, jak złapać takiego, którego ojce psem szczuli. Bali się jej ludzie, schodzili z drogi, a kiedy przyszła po coś do kogo, nikt by nie odmówił.
Szeptali ludzie, że nocami przychodzili do niej z dalekich stron, bowiem daleko wierzyli, że wszystko może. I takiej babie Duloki zabiły psa i zrobiły z niego bęben. Jak stary Dul o tym się dowiedział, wpadł do chałupy, jakby go błąd ścigał. I zaraz zaczął krzyczeć:
— Żebyście mi się nie ważyli grać na tym bębnie już nie w domu, ale nawet koło chałupy! Wynocha z tym, pókim dobry. Bo inaczej nie tylko tén przeklęty bęben na kawałki porąbię, ale i skrzypce! Pamiętajcie sobie!
Synowie pamiętali, a wiedzieli, że z ojcem lepiej nie zadzierać. Kiedy chłopcy i dziewczęta napierali, żeby im zagrali wieczorem do miesiączka, na bosaka, po rosie — nie odmówili, tylko wyznaczyli inne miejsce, nie koło chałupy. Na pastwisku był duży kał, przez który przepływał strumyczek. W jednym miejscu była nad strumykiem kładka z poręczą, na niej wygodnie można było usiąść. Wprawdzie ludzie mówili, że w kale siedzi jakiś stwór, który czasem wychodzi i straszy, ale chłopcy nie bardzo w to wierzyli. Tam też odbywały się hulanki. Po wyskubanej i zbitej murawie nogi chodziły jak wrzeciona. Na jedną taką hulankę przyszedł młody studniarz, gdziesik z dziesiątej wsi. Kopał studnię u pewnego gospodarza, który w żaden sposób nie mógł dostać się do wody. A próbował już wiele razy. Ten studniarz zaśpiewał takie kawałki, jakich Duloki nigdy nie słyszały; a zapadły im na samo dno duszy. Kiedy już wszyscy się porozchodzili, oni zostali, żeby te kawałki dobrze sobie przegrać — w domu przecież nie mogli. Zeszło im pewnie do północy. A tu nagle w kale jak nie chlupnie!... raz,

potem drugi, jakby kto kijanicą tak wielką jak wiesło do chleba trzaskał po wodzie. W tej samej chwili wyszła z wody wysoka i cienka biała postać i poczęła iść po wierzchu jak kaczka. Co stąpiła, to woda głośno chlapała. Szła prosto do nich. Chłopakom zdrętwiały nogi, włosy dęba stanęły. A tu jak się nie zerwie wicher, aż im czapki z głów pozdzierało! Już ich potem nigdy nie zdybali. Wtedy muzykanci jak się nie rzucą do ucieczki! A „to" za nimi. Ledwie wpadli do chałupy, ledwie zdążyli zamknąć zasuwkę, Stach — gruch na ziemię. Zemdlał. Z trudem zdołali go ocucić. Ale upadając pochrobotał skrzypce na mak. A potem tak krzyczał, że wszyscy pobudzili się i już długo nie mogli zasnąć. Wreszcie się uspokoili. Ale ze skrzypiec już nic nie było. Płakały im serca i dusze, ale — to nie inaczej, tylko ta cholerna czarownica dowiedziała się o psie i ona im tak zrobiła. Doszli do tego, że bębna muszą się pozbyć. Jednego wieczoru, kiedy nastała pełnia, we trzech poszli nad Wisłę. Tam przebili skórę bębna kilka razy, wepchali do środka kamieni i z wysokiego brzegu rzeki wrzucili w głęboką wodę. Byli przekonani, że teraz czarownica już nic do nich nie będzie miała.

Wkrótce jakby szczęście Dulokom wróciło. Bliskiemu sąsiadowi zdechło cielę. Prosił ich, żeby je gdzieś zakopali, bo jego serce boli na widok padła. Chłopakom serce aż pod gardło podskoczyło: będzie nowy bęben! Zdarli z cielęcia skórę, wysuszyli i wnet na ścianie zawisł nowych instrument, większy i ładniejszy od starego.

Gorzej było ze skrzypcami. Chodzili po różnych wsiach, wywiadywali się, dopytywali, czy kto nie ma skrzypiec na sprzedaż — nic. Były jedne, swojej roboty, ale nie do grania.

Jasiek wójtów dobrze wiedział o Dulokach, ale sam do nich nie podchodził. Dowiedział się też, że mają nowy bęben.

I znowu zdarzyło się wesele, w dodatku na Kmieciach.

Pierwszego zaprosili wójta, bo to i krewniak był, i sąsiad bliski. Do niego też rozpoczęły się wygrywiny. Na wesele zaprosili muzykę aż z trzeciej wsi, taką staroświecką: dwoje skrzypiec i basy. Ojciec młodej ani słyszeć nie chciał o kapelmistrzu z trąbą i bębnem. — Nie chcę ogłuchnąć i już! — powiedział. — A że był uparty, postawił na swoim.

O jednym nie wiedział, że basista lubi dobrze popić. Przekonali się o tym dopiero w czasie odgrywin. Stary basista tak się zalał — na Kmieciach częstowali w każdej chałupie — że ostatecznie wywrócił się i rozbił basy.

A stało się to już nad ranem. Zmartwienie najwyższej klasy, co tu zrobić? Szukać basisty — ale gdzie?

W weselnym domu zrobiło się tak smutno jak na pogrzebie. I wtedy ktoś poddał Walka Duloka. Co było robić? Żeby tylko był w chałupie! Na szczęście był, co tylko wstał, nawet jeszcze nic nie jadł. Tak chłopaka przynaglali, że ledwo się obmył i już jechał na wozie co pary w koniach. Czuł się wtedy jak król na tronie — nie taki prawdziwy, ale król Herod z kolędy.

Na miejscu tamte dwa muzykanty zamknęli się z Walkiem w alkierzu, żeby popróbować, jak to pójdzie. I oto próba wypadła doskonale. Walek był muzykalny, potrafił utrzymać tempo. A co najważniejsze, bęben nie był głośny i miał łagodny głos. Muzykanci z trzeciej wsi nie wiedzieli, że Walek nie zdarł sierści ze skóry i że tę stronę dał do wewnątrz bębna.

Na wesele przyszedł i Jasiek od Dominika. Jak zwykle, wolał słuchać, jak tańczyć. Nowi muzykanci zawsze coś nowego przynosili. I okropnie przypadł mu do gustu ten bęben. Kiedy wesele już na dobre się rozhulało, nic nie mówiąc poszedł do domu. Zupełnie bezwiednie, jakby nim kto kierował, zdjął ze ściany swoją trąbkę i wrócił.

Tańczący nie zauważyli — inni to widzieli — jak Jasiek stanął koło muzyki, wyjął spod bluzki swoją trąbkę, przyłożył do ust, nadął policzki i... po pewnej chwili jak

na komendę tańczący stanęli, patrząc w kierunku muzyki. Co się stało?

O samym weselu wieś mniej mówiła, niż to zwykle bywało. Stało się bowiem coś ważniejszego: Jasiek wójtów grał na weselu aż do końca. Ale jak grał! Nadziwić się nie mogli: gdzie on się tak nauczył? A co to była za muzyka! Takiej hulanki nikt nie pamiętał. Nogi same chodziły. Już nie to, że muzykantów było aż czterech, tylko jakich! I od tego czasu już się nie rozłączyli. Tyle, że do muzyki po czasie wszedł Stach Dulok.

Ze wsi nikt tego nie rozniósł, a rozleciało się jak motylem: stara Bartniczka umarła. Z początku nie wierzyli, ale ktoś śmielszy i ciekawszy zaglądnął do chałupy w wątoku przez okno. Rzeczywiście, stara leżała nieruchomo na łóżku. Pewnie ktoś z okolicy przyszedł do niej w nocy, po kryjomu i zobaczył, co się stało. Komu o tym powiedział, kto powtórzył, nikt się nie dowiedział. Wieś odetchnęła, starą pogrzebano. Myśle'i, że Bóg wie, co się będzie działo po jej śmierci! A tu nic.

Na jakimś weselu, jak sobie Walek Dulów trochę podpił, opowiedział o tym wielkim białym psie, jak to z niego zrobili bęben, jak to psi za nim biegali i oszczekiwały, jak ich nad ługiem postraszyło, że Walek mało nie umarł. Gdyby był wiedział, co to z tego będzie, dałby sobie wpierw język urżnąć. Jak się z nich cała wieś śmiała! Jak sobie z nich drwili!

Ale sława muzyki Duloków rosła jak na drożdżach. Częściej ją wołali na wesela niż kapelmistrzową z Cyganów. Czyżby to była zasługa skóry z sierścią?

Na zapusty wykociła się iście pierońska zima — spadły obfite śniegi, chwycił siarczysty mróz. Tylko ona była tematem wszystkich rozmów. Stała się też okazją do wspominków o podobnych zimach, które tylko dziadkowie i babki pamiętali.

A zima szalała, nic sobie z ludzkich gadań nie robiąc. Którejś nocy, nie dość że mróz nic a nic nie pofolgował — drzewa w sadach i gonty na dachach strzelały — w taki ziąb rozwścieklła się jeszcze wichura, jakby nie jedna, ale dziesięć bab się powiesiło. Szczególnie przerażało ludzi wycie wichru w kominach, jakby w nich diabli wesela odprawiali, jakby złe duchy nieszczęścia przepowiadały. Huczało chwilami tak, że przerażeni ludziska czekali, kiedy zwali się komin, dach zerwie, stodolinę wywróci.

Miotło przy tym suchym śniegiem jak sypkim piaskiem, że tchu nie można było złapać. Przed niektórymi chałupami nawiało takie zaspy, że rano trzeba było strzechę rozrywać i przez dziurę na świat wychodzić, żeby ścieżkę do studni przekopać, do stajni wąwóz przebić, do stodoły jakoś się dostać, by bydlętom siana przynieść.

I ten ziąb!... Cielęta, kury, króliki, prosięta, żeby to nie uskwirkło, trzeba było do izb przynosić.

Niektórzy — a wśród nich i Kasper Wąsaty — czuli się w chałupach jak w grobie. Przez zamarznięte szybki widać było tylko rozlane mleko. Kasper próbował chodzić do sąsiadów, do których można było dobrnąć i z którymi się nie gniewał. Trzeba było się przekopać przez śnieżne zaspy. Ale sąsiedzi nie zawsze chętnie widzieli gości w taki czas. Toteż Kasprowi wydawało się, że jest wiewiórką zamkniętą w ciasnej klatce.

W dodatku ten Jędrek. Prawda, cieszyło go jako ojca, że chłopak miał pojęcie do grania, rozumiał go, przecież

i sam kiedyś próbował muzykowania. W lecie Jędrek grywał, gdzie się dało, nawet i w stajni. A teraz pitolił na skrzypcach od rana do wieczora. Ojciec słuchał, cierpiał, wreszcie rozegrały się w nim nerwy. Rano, zaraz po śniadaniu nagle poderwał się i powiedział zdecydowanie:
— Pójdę do miasta! — A znaczyło to — do Rzeszowa.
— Kasper! Czyś ty się wściekł? — wykrzyknęła drobna kobiecina, przerywając jakąś robotę. — Na taką biedę? Czy ty masz rozum? Zawieje cię i dopiero na wiosnę będziemy ci mogli zrobić pogrzeb — próbowała drwić. — Nie, ty nie masz dobrze w głowie! — już zaczęła krzyczeć, bowiem znała szusy swojego, a także jego upór.
— Pójdę i już! — Kasper patrząc w innym kierunku odparł twardo i począł się ubierać. Jakby tamto nie do niego było mówione. — Ja tu wnet wrócę! — dodał i poszedł. Jęki kobiety zgasiła wichura jak kościelny świecę.
— Ja bym się miał bać takiego wiatru? Chryste Panie! Ja, Kasper Wąsaty? — dodawał sobie animuszu. Tak mrucząc do siebie brnął przez zaspy jak łódź po morskich falach. Brnącemu w śniegu na imię rzeczywiście było Kasper. Ale Wąsaty? Tak go przezywali — nie ze złości, nie! — ale jako że miał wąsy jak wiechcie. Przyniósł je z wojska, od ułanów, i już się ich nie chciał pozbyć. A że chłopisko było wysokie, wąsiska nadawały mu groźnego wyglądu. — Gdyby zaś nie te szusy — jak mówiła kobieta — i upór, byłby z Kaspra złoty chłop.
— No, tak najgorzej to nie było! — mówił z przechwałką do kogoś spotkanego w Rzeszowie. — Z długich kawałów drogi to tak zmiotło śnieg, że się szło jak po stole. Prawda, było i gorzej, ale przecieżem ułan! Może nie? — nadymał się, kiedy znajomy podziwiał jego odwagę.
Kasper pochodził trochę po pustych ulicach miasta, wstąpił jedynie do kościoła, żeby się cośkolwiek zagrzać. Przeszedł się ze smutkiem koło szynku, gdzie podawali herbatę — no bo i z czym mógł tam iść? Po niespełna

godzinie pobytu w mieście ruszył z powrotem do chałupy. Teraz jednak postanowił odwiedzić na Pobitnie Wieńcusia, słynnego skrzypka. Dawniej, dawniej i on próbował doczepić się do Wieńcusiowego zespołu ze swoim sekundowaniem, ale prymista powiedział mu w oczy:
— Wiesz co, Kaspruś? Idź ty lepiej, szatkuj kapustę lub rżnij sieczkę w skrzynce, bo z twego muzykowania nic nie będzie. — No i Kaspruś dał sobie spokój. Skrzypce włożył do serniego worka i powiesił w komorze. Znalazł je Jędrek, no — ale on co innego: ten to ma pojęcie. Kiedy już sam nie najgorzej nauczył się rzępolić, zachodził czasami do Wieńcusia. Bywało, że grywali razem, ale nie na weselu; w chałupie.
— No, Wieńcuś, będzie co z mojego chłopaka? — zapytał raz Kasper Wieńcusia, kiedy wracał z jarmarku, a kilka kieliszków dodało mu odwagi. Stary dłuższy czas nic nie odpowiadał, jakby myślał o czymś innym. Aż nagle odwrócił się do okna i rzekł: — A może i będzie?...
Kiedy Kasper otupując śnieg z buciorów otworzył drzwi do izby w Wieńcusiowej chałupie, zobaczył starego stojącego przy oknie i wpatrującego się w drogę. Na skrzyp odwrócił się, a poznawszy znajomka przez przymrużone oczy, nagle wykrzyknął:
— Kaspruś! Pan Bóg mi cię zesłał! Ja tu już pewnie dwie godziny stoję i wypatruję kogo z Łąki, żeby go posłać do ciebie, a tyś tu. Słuchaj! Ani się nie rozsiadaj, tylko goń do chałupy i czym duchu przyślij mi tu Jędrka. Jeszcze rano przyjechali do mnie z Bratkowic — wiesz ty, jaki to kawał drogi? — żeby jeszcze dziś wieczorem przyjechać grać na wesele. Popatrz, w taką biedę! Błagali na wszystkie świętości. Mówili, że mogliby dostać innych muzykantów, ale tam nic, tylko Wieńcusia. Stary Lis wydaje dziewkę, to największy bogacz we wsi. Przez tę zimę nie będzie wygrywin, ale ślub zamówiony, goście sproszeni... musimy jechać, przyobiecałem...
— A co mnie to wszystko tyczy? — przerwał staremu

mowę, bo przekora poczęła go rozbierać. Przyszedł się trochę zagrzać, a tu...
— Powiedziałem im, że jak twój Jędrek pojedzie ze mną, to przyjadę; sam już całego wesela nie odegram, musi mi ktosik pomóc. Józek chory, tylko Jędrek uratuje to wszystko. Leć co tchu do chałupy i zaraz mi tu przysyłaj chłopaka, zaraz konie przyjadą z Bratkowic! — krzyczał staruszek.
— Chryste Zbawicielu! — postawił się Kasper. — Przecież sumienia nie miałbym ani na lekarstwo, jakbym chłopaka na taką biedę wyprawiał i to do Bratkowic. Macie wy rozum, Wieńcusiu? — też prawie krzyczał.
— Kasper! Nie bądź głupi! — stary mówił ostro. — Czy ty wiesz, ile na takim weselu można zarobić? — uderzył w czułą strunę.
Jeszcze Kasper wzbraniał się, tłumaczył, ostatecznie zmiękł i ruszył w kierunku chałupy. Myślał po drodze: — Chryste Panie! Jędrek na weselu z Wieńcusiem! Inni pękną z zazdrości. Stary dwie godziny stał przy oknie, żeby kogo złapać i do mnie posłać... Może i z pięć ryńskich zarobi? A i zje dobrze, chyba i do chałupy coś przyniesie.
— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kasper miał teraz wiatr w plecy. Sunął, a raczej leciał przez zadymione śniegiem pola i ani się obejrzał, kiedy stanął przed chałupą. Wpadł do izby z takim wzrokiem, że baba aż się przeraziła. Oddychał ciężko, raczej łapał powietrze; ciepłe, zawiesiste, gęste.
— A gdzie Jędrek? — zawołał nagle, jakby się dławił.
— A o! Nie widzisz, oślepłeś? — podobnie krzyknęła drobna kobiecina i wskazała na chłopaka, który siedział koło pieca, trzymając skrzypce w rękach. Bardzo był rad, że ojciec poszedł do miasta i nierad, że tak prędko wrócił. Przez ten cały czas używał sobie na graniu jak nigdy.
— Jędrek, na miłość Boską, zbieraj się czym duchu, dziadek Wiencek kazali ci przyjść i to zaraz. Zbieraj się! — wołał jak nieprzytomny.

Kasprowa była przekonana, że chłopu coś się stało. Wreszcie wszyscy zrozumieli, o co chodzi.
— Czyś ty zwariował? Chłopie, opamiętaj się! — krzyczała. — I miałbyś ty sumienie posyłać chłopaka, taką mizerotę, w taki czas! — i popatrzyła na Jędrka, który budowę wziął po niej drobniutką. Ale w tym momencie zauważyła, że chłopakowi oczy aż się jarzą. Stanęło na tym, że pójdzie. Wizja zarobku i chęci chłopaka przeważyły.
Kiedy matka poczęła zwijać się koło ubrania syna, Kasper kładł chłopakowi do uszu:
— Żebyś ty, Jędruś, wiedział, jak dziadzio Wieńcuś prosili, żebyś koniecznie przyszedł! Nikogo nie prosili, tylko ciebie. Fura z Bratkowic przyjedzie. A czy ty wiesz, co to grać z Wieńcusiem?
Matka tymczasem wyjęła najlepszą świąteczną koszulę, ale oniemiała, kiedy mąż przyniósł z komory swoje sukieniaki z oblamówkami, kawalerskie jeszcze, na ślub sprawione, także kamizelę siwiutką z oficerskiego sukna, największą świętość w tym domu. Na kamizelę nadziali mu korasankę. Buty Jędruś ubrał swoje, prawie jeszcze nowe, koniaki, dobrze wyścielone skrętkami ze słomy, żeby nogi nie przemarzły. Na to wszystko ubrali mu burnus [15] z peleryną i wreszcie okoronowali chłopaka bielutką żarnówką. Na koniec Kasprowa wyjęła ze skrzyni wełnianą chustkę na głowę — jeszcze po mamusi — i ostrzegając: — Jędruś, żebyś jej gdzie nie zgubił! — owinęła mu szyję i zawiązała na plecach. Jeszcze skrzypczęta pod pachę, kawałkiem starego koca owinięte, i chłopak był gotów do drogi. Gdyby nie zmora paskudnej i dalekiej drogi do Pobitny, pewnie byliby się uśmiali z Jędrusiowego stroju. Po prawdzie pociesznie wyglądał: wszystko było przydługie, za szerokie, ale rodzice tego w tej chwili nie widzieli. Matce widok przesłaniały łzy.
Kiedy chłopak powiedział już: — Bądźcie zdrowi! — matka podbiegła do kropielnicy, umaczała palce w wodzie i na czole syna nakreśliła krzyż.

— Niech cię Pan Bóg prowadzi! — pożegnała go. I jeszcze stało się coś, co nawet Jędrka wzruszyło: matka pocałowała go, jakby szedł do ślubu. Chłopiec zniknął w zadymce, a za nim łzy i błogosławieństwa.
A Jędrek, jakby pasowany na weselnego muzykanta. swoją drogę musiał rozpocząć od strasznej walki z zaspami, z wiatrem, bijącym mu w twarz i zatykającym oddech, z tumanami śniegu. Ale posuwał się krok za krokiem, pochylony do przodu, tak że tylko widział swoje buty. Utykał, zdarzało się, że upadał, wydawało mu się chwilami, że go przywieje, że nie dojdzie. Chciało mu się płakać, wołać ratunku, ale myśl, że tam na niego czekają, dodawała mu sił. Żeby tylko do wąwozu, tam będzie cicho, odetchnie... Wreszcie przeszedł i wąwóz i ostatkiem sił przekroczył wysoki próg Wieńcusiowej chałupy.
— Dziadziu, przyszedłem! — wyszeptał.
— Spóźniłeś się, Jędruś, spóźniłeś! — biadał prymista. — Długo na ciebie czekamy, fura już dawno stoi!... Myślałem, że już nie przyjdziesz, że sam będę musiał jechać, jeszcze chwila, a byłbyś nas nie zastał...
— Dziadziu, nie mogłem dojść — wyszeptał chłopczyna i upadł. Szybko podnieśli chłopaka, zdjęli z niego ciężkie odzienie, posadzili koło pieca, dali się napić czegoś ciepłego. Chłopak przyszedł do siebie. A tu trzeba się było spieszyć, bo jak noc zapadnie, zbłądzić można, zamarznąć, a mieli kawał drogi.
Teraz jeszcze u Wieńcusia zaczęło się to, co niedawno u Kasprów: strojenie się prymisty. Wdział dziadziu najpierw sukieniaki, spodnie bez oblamówek, które tylko kawalerom przysługiwały, i siwą kamizelę z parcianą podszewką, ale według starodawnej mody nie zapiął jej na wszystkie guziki, tylko na dwa od dołu. Porządny chłop musiał pokazać tak duszaki jak i piersi, a przede wszystkim owłosienie piersi. Na to wdział półkożuszek i wreszcie langwerski mantel z rozpiętym dragonem. Obie połówki wiewały jak dwie chorągiewki. Na głowę nałożył



Grajek odpustowy (19)

kapelusz z aksamitką. Tak było honorowo. Ale musiał go przywiązać chustką pod brodę, boby go wiatr zdarł zaraz za progiem. Przy pomocy furmanów wgramolili się obaj na wóz, gdzie zaraz owionął ich wiatr i ogarnęła siarczysta zima.

Pojechali. Przytulili się do siebie, skuleni jak te dwa skowronki w marcu, kiedy jeszcze zima daje się we znaki. Jędrek niby piskle przywierał do dziadzia; tak było mu niby cieplej. A tu wichura wciskała się w zanadrza, pod pazuchy, za kołnierze... — Panie Boże, zmiłuj się nad Twoimi sługami — poszeptywał Wieńcuś. Przejechali

Rzeszów, na Sandomierskiej drodze nie było widać bożego świata. Czas się bardzo dłużył. Wreszcie dojechali, zmarznięci na kość. Musieli ich zdejmować z wozu jak worki. Dziadka zaraz wsadzono pod pierzynę i napojono herbatą z arakiem. Stary wkrótce zasnął, chrapiąc zdrowo. Jędrek wcześniej przyszedł do siebie, rozgrzany alkohol rozszedł się szybko po młodym ciele.
Tymczasem izba była już pełna ludzi. Przeważnie młodzieży, bo starzy usadowili się w alkierzu i gościli się zdrowo. Młodzi poczęli domagać się muzyki, grania, chcieli tańczyć. Mowy nie było, aby obudzić prymistę, do grania zabrał się tylko Jędrek z basistą. Ale chłopak, młody przecież i niezwyczajny, w dymie i zaduchu prędko tak się umachał, jakby cały dzień młócił na boisku. Grał coraz słabiej, wreszcie ustał całkiem. W dodatku wspomniał zachętę ojca i łzy mu się kręciły w oczach raz po razu.
— Dziadziu, ja już nie mogę! — powiedział z płaczem, budząc starego.
— A czemu ty płaczesz, dziecko? — ze strachem w oczach zapytał szlochającego Jędrka. On, stary weselny wyga.
— Już nie mogę! Ja gram i gram, cięgiem, ręce mi mdleją, a oni nie tylko że nic nie płacą, jeszcze mnie bić obiecują. Chodźcie, dziadziu!
— Dobrze, dobrze! — Wieńcuś wyrzekł nagle twardo. — Idźże, idź, dziecko kochane, jeszcze raz zagraj, ja tam zaraz przyjdę, tylko się oblekę. Ja se tam z nimi pogadam! — rozkazał chłopcu, który takiego tonu jeszcze u starego nie słyszał.
Dziadek szybko przyszedł do siebie, zresztą dobrze się już wyspał. Ubrany, ze skrzypcami pod pachą, przyszedł do wielkiej izby, gdzie wrzała zabawa. Siadł na ławie koło Jędrka, zagrał ostro jeden taniec, drugi i trzeci, ale kiedy nowy swat ustawiał się do śpiewu, słynny prymista podniósł się z ławy, wsunął skrzypce pod pachę,

a zwracając się do Jędrka i basisty, zawołał:
— Zbierajcie się, idziemy! — i sam skierował się do wyjściowych drzwi.
W izbie nagle zawrzało jak w gnieździe szerszeni. Młodzi poczęli krzyczeć jeden przez drugiego, że trudno było odróżnić słowa.
— Co się stało? Czego odchodzicie?
— A wy, psiekrwie! Wy, psie dusze! psie ścierwo! — ryknął stary. — To my tu przyjechali tyli świat, w taką biedę, żeśmy pokostnieli na kamienie!... Wy, psie juchy, psie nasiona! To my tu na wstyd przyjechali? na pańszczyznę? Chłopczyna gra i gra, drzecie się, żeby grać i grać, a nikt nie daje złamanego szeląga? A wy, ścierwy niedobre! Niech wam psi na swoich ogonach grają, ale nie my! — I chciał wyjść, ale mu weselni zastąpili drogę. Znowu zrobił się tumult, jakieś gadania, poszepty. Zaczęli starego przepraszać, że zaszło nieporozumienie, że... Wieńcuś na weselach zjadł zęby, wiedział, jak w takich wypadkach gadać. Wciąż udając rozzłoszczonego, krzyczał:
— Tak, dali mi dwa ryńskie zadatku, ale to na struny, nie za granie całą noc. Tego tom się nie spodziewał! — fuczał. Wyjaśniło się. Według zwyczaju młody płacił całą muzykę, na całe wesele. Myśleli, że tak jest. A młody przegapił, nie zapłacił.
— No, teraz to wiemy! — wołali radośnie. Ktoś przyniósł kapelusz, chodził pomiędzy uczestnikami, zrobił składkę. Poczęły się sypać monety jak grad. Dali je dziadkowi razem z kapeluszem. Stary począł monety przegarniać dłonią, spróbował ciężaru, w kącikach ust zamigotał uśmieszek. Widocznie ocenił, że warto grać dalej. Wesele było tak udane, że wszyscy dodatkowo dziękowali muzykom, a ojcowie powtykali im tobołki na pożegnanie. Muzyków odwieziono do Rzeszowa, aż po pobiecieńską rogatkę. Wesele było bogate, niczego nie brakowało. Żeby go muzykanci nie obnieśli po świecie, przed odjazdem dobrze ich napojono. Najwięcej pił basista, stary Wieńcuś już nie

bardzo mógł, chociaż dawniej za kołnierz nie wylewał, młodego chłopaka uszanowali i nie musili do picia.
I właśnie... kiedy schodzili z wozu, przed rogatką, jakim się to stało cudem? Dość, że basista spadł z wozu, w dodatku na basy. Był to już stary grat, rozbijany i sklejany nie wiadomo ile razy, toteż basy rozsypały się na okruszki. Jęknął basista, jęknęli i skrzypkowie. Już nie żal było basów, ale w nich były zarobione pieniądze. Szczerupy z basów jakoś tam basista pozbierał, gorzej było z grajcarami; utonęły w śniegu jak kamień w wodzie. Podumali, Wieńcuś poszedł i przyniósł przetak, zebrali do niego pieniądze razem ze śniegiem i poszli do karczmy. To właśnie od szynkarki Wieńcuś pożyczył przetaka. Kilka razy potrzymali przetak nad gorącą kuchnią, śnieg stopniał, monety pozostały na sicie. Pomarzli przy tym na kość, ręce im zgrabiały, bowiem mróz trzymał pieroński. Wiedzieli, że dużo pozostało w śniegu, ale dobrze, że tyle uratowali. Szczęśliwe wesele, szczęśliwy powrót i szczęśliwe uratowanie pieniędzy trzeba było koniecznie oblać. Urządzili sobie tedy poprawiny. Pieniążki co do centa zabrała szynkarka, a oni ledwie na nogach się trzymając, porozchodzili się w swoje strony. Sprawdziło się jeszcze raz przysłowie: „Z muzyki i z gołębiarza nie będzie gospodarza".
Jędrusia czekano w domu z wielkim utęsknieniem. Nie było grosika, a Wieńcuś tak zapewniał dobry zarobek. Kiedy nie powracał, a miało się już pod wieczór, rodziców ogarnął niepokój. Ojciec postanowił iść naprzeciw chłopaka. Tą drogą, którą zawsze chadzali; przez Załęże, koło strycharzówki. A były tam doły, po wybraniu gliny do cegielni, którą już dawno zniesiono. Dalej szła droga koło murowanej kapliczki z figurą świętego Jana Nepomucena. Kasper szedł, oglądał się na prawo i lewo, co kilkanaście kroków stawał i hukał na znak, że idzie... Nic i nic. Ale kiedy rzucił okiem w stronę kapliczki, na schodach zobaczył coś ciemnego. Zbliżył się. Na wpół przysypany

śniegiem, prawie sztywny, nie dający znaku życia — leżał Jędrek. A obok niego zawinięte w kawałek koca skrzypce.

Kasper najpierw narobił krzyku, ale kto by go tam słyszał. Począł następnie tarmosić chłopca. Po długiej chwili chłopak nieco oprzytomniał. Na tyle, że stanął na własnych nogach, ale słowa od niego nie można było wydobyć: coś tam tylko mamrotał i bełkotał. Na wpół go ciągnąc, na wpół dźwigając, dowlókł Kasper swojego muzykanta do chałupy. Tu matka narobiła takiego gwałtu, że zbiegły się sąsiady, chętne nie tyle do ratowania, ile do zdobycia wiadomości: jak było, co było, co się stało? Baby świarno zabrały się do Jędrka. Przede wszystkim zdarły z chłopaka obleczenie, potem nacierały, smarowały, dawały pić jakieś zioła, tak z ziela na Matkę Boską Zielną jak i wianków oktobowych [16]. A Kasper tymczasem przeszukiwał gorączkowo wszystkie kieszenie. — Przecież coś powinien był zarobić — mruczał. Ale nie znalazł ani centa. Wezbrała w nim złość, przypomniał sobie drogę od Wieńcusia, potem ubieranie Jędrka, potem tyle nadziei. Najgorzej, że w tej chwili nie było na kim tej złości wyładować. Wtedy spojrzał w kierunku krzątających się bab, którym przewodziła babka, słynna likorka, znana w całej okolicy. Właśnie robiła Jędrkowi jakiś okład.

— Ty byś tu, cholero, nie przyleciała, żebyś wiedziała, że nie przywiózł dużo pieniędzy. Ale że go spotkało nieszczęście, to pierwsza zjawiła się, a potem będzie rozpowiadała, jak to uratowała chłopaka Kasprowi Wąsatemu. I to jeszcze nic! Ani grosza jej za to nie dali... — mruczał do siebie.

— No, Kasper! — zawołała babka, zwracając się do posępnego chłopa. — Podziękuj Panu Bogu, że cię natchnął wyjść po Jędrka. Jakby tam poleżał jeszcze jaką godzinkę, toby teraz aniołkom w niebie przygrywał na tych swoich skrzypciętach — a kto wie?... może i diabłom? Ale po prawdzie, to go wódka uratowała, ciepło mu było od

środka — nie zamarzł. Ale na drugi raz, powiedz mu to potem, niech uważa! Bo to już niejeden uskwirkł, nie wiedząc kiedy.

Jędrkowi rzeczywiście nic się nie stało. Tyle tylko, że kilka dni trochę pokaszliwał. Gorsze, że musiał wysłuchać ojcowskich przycinków i matczynych biadań. Do dziadka Wieńcusia poszedł dopiero na pogrzeb. Ale w tym czasie miał już swoją własną muzykę, zespół, który zastąpił Wieńcusiów.

Mieli oni — zresztą jak i inni — wiele wesołych, ale i przykrych przejść, bo to nigdy nie było wiadomo, co pijakom strzeli do łba. Raz przyjechali po nich aż od Lesiaków. Nigdy nie grywali w tamtych stronach, nie znali ich, coś tam słyszeli, ale niejasno. Ci, co przyjechali, byli bardzo grzeczni, „na struny" dali nie dwa, ale aż pięć reńskich. Złakomili się. Przysłali po nich furmankę, obiecali też odwieźć, więc pojechali. Wesele leciało jak po maśle, dobrze płacili. Nagle, gdzieś po północy, do izby z okropnym krzykiem, prawie jak wściekły pies, wpadł rozjuszony człowiek: młody mężczyzna w białej płótniance i magierze na głowie... Tańczący rozstąpili się, dziewczyny przytuliły się do ścian, a on...

Muzykanci znają takich — diabłów nie ludzi. Potrafią rozbić najlepsze wesele czy zabawę. Jakby w nich sam bies wstąpił. Taki właśnie stanął przed muzykami — oczy mu się świeciły jak wściekłemu wilkowi — a nie zapłaciwszy ochrypłym głosem kazał sobie grać wściekłą polkę. Chcąc zaśpiewać, wydobył z siebie głos jakiś nieludzki; ani słów nie mogli zrozumieć, ani melodii. Strach ich ogarnął okrutczny. Zaczęli grać, sami nie wiedząc co, gorzej, bo każdy co innego. Ale grali, jak mogli najprędzej. A tamten zaczął skakać po izbie jak zwariowany, darł się niby opętany, wreszcie opanował go istny szał. Stanął znowu przed muzykami, klnąc straszliwie, wyzywając ich, grożąc śmiercią.

— Ja was nauczę grać! — wył. — Wy!... — używał

najgorszych wyzwisk — wy mi tu musicie grać, aż wam paluchy popuchną, aż tu zdechniecie! A potem przystąpił do nich i począł przesadzać. Posadził basistę na miejscu prymisty, tam, gdzie siedział basista posadził sekunda. Znowu kazał grać.

— Wtedy my już całkiem powariowali — wspominał Jędrek Wąsaty. — Cośmy mu grali, sami nie wiedzieliśmy. Tyle tylko, że była to wariacka muzyka. Ale tamtemu widocznie się spodobała, bo zawył: — A widzicie, naucołem wos grać!? — Hulał z takim impetem, że mu ta jego płótnianka wiewała ponad głową jak chorągiew w czasie procesji, kiedy wieje silny wiatr. Hulał, hulał, jakby chciał do samego wypuku. Kiedy podskoczył, stężnik od portek mu pękł. Wtedy złapał portki w garść i trzymając je jedną ręką, hulał dalej. Wreszcie jak tupnął o podłogę, wysoki obcas od węgierskich butów odpadł i gdzieś poleciał. Stanął — a dyszał jak miech — począł go szukać. Znalazł. Wziął go w garść, potrzymał chwilę i nagle zawywszy z największym jadem rzucił nim w nas, muzykantów. Gdyby się młody sekundzista nie schylił, byłby go trafił w samą głowę i pewnie zabił. Obcas był przecież podkuty i miał wielkiego huncwota. Obcas walnął w obraz na ścianie. Zadźwięczało, posypało się szkło. Tamten znowu zawył i runął na ziemię. Z gęby bulnęła mu krew. Leżał jak nieżywy. Zrobiło się zamieszanie. Skorzystaliśmy z tego — a już świtało — i nie czekając na furmankę, co sił, obzierając się raz po razu, ruszyliśmy w stronę Sokołowa. Jakeśmy tam doszli, dopierośmy odetchnęli. W jakimś szynku coś zjedliśmy, coś wypili, a na końcu poszliśmy na mszę, podziękować Panu Bogu, że nas uchronił od prawdziwego szatana. I przysięgliśmy sobie, że w te strony nie pójdziemy więcej za największe pieniądze.

— I dobrze, żeśmy gady całe wynieśli — westchnął kończąc to wspomnienie Jędrek Wąsaty.

O BIEŚNICKIM PRYMIŚCIE I JEGO BASISTCE

Józefowi Szurze z Bieśnika
poświęcam

Jeden z moich dobrych znajomych, świetny gawędziarz, jakich wielu poznałem zbierając materiał do tej książki, Józef Szura z Bieśnika, opowiedział mi ciekawe dzieje muzykanckiej rodziny z jego wsi, a przy tym dostarczył innych cennych informacji o muzykowaniu. Swoją opowieść tak zaczął:

— Znałem wielu muzykantów i wiele różnych muzykanckich par. Prymistom bardzo było na rękę, kiedy basista mieszkał jak najbliżej, że nie trzeba było po niego posyłać, a nie daj Boże — bo i tak bywało — na przysłowiową dziesiątą wieś. A już cudownie było, kiedy basista siedział w tej samej chałupie. W dodatku taki, który się nie ociągał, nie grymasił, nie wynajdywał przeszkód, ale słuchał jak żołnierz kaprala. Trzeba było to do karczmy, to na wesele, bo zamówieni grajkowie nie przyszli, albo i z innej okazji. Sprowadzenie basisty trwało nieraz i kilka godzin, bo go nie było w domu i nie wiadomo, gdzie się powlókł. Szukaj, dopytuj się. Dlatego dobry i znany prymista Jasiek Kowalski nieraz tak klął basistów, że by takich przekleństw nawet w piekle nie wymyślił. Już myślał, żeby za własne pieniądze kupić basy, poszukać jakiegoś młodego tanecznika i nauczyć go grać. I w czasie takich rozmyślań i planów stało się: znalazł basistę, prawie wymarzonego. A było tak:

Należy powiedzieć, że chcąc się ubawić, a znaczyło wytańczyć na weselu do mokrej koszuli, trzeba było umieć tańczyć. Niby to nie była sztuka, ale jednak... Chłopak miał mniej kłopotu, ale dziewczyna... Jak się nadarzył taki szturmak, co to ni w tę, ni w ową stronę, ani w prawo, ani w lewo, źle od pieca, gorzej od okna, co to utykała po nogach, nie szła za smykiem, to mogła przestać całą noc i nikt na nią nawet nie spojrzał.

Ale były też i takie dziewczyny czy kobiety, nawet starsze, że chodziły jak wrzeciona. Można było taką wywijać jak snopkiem czy cepami, o nic i o nikogo nie zawadził, nie trącił. Taką to aż żal było z rąk wypuszczać! Za takimi chłopcy szaleli, nieraz się dobrze pobili.
Teraz już to zaginęło, ale dawniej było takie prawo. Jak sobie swatowie dobrze na weselu podochocili i przyszła na którego kolejka, założywszy do basów — a miał prawo do trzech kawałków — stawał przed muzyką i śpiewał to, co chciał, żeby mu grali. Wtedy to jeden przez drugiego silili się na najśmieszniejsze „ugryzki" albo „przyszczypki" — tej swojej dziewczynie. Czasem te przyśpiewki były ostre jak osty. Niektóre dziewczyny, żeby im najostrzej przyciął, to tylko spuściły głowę albo nawet i zapłakały cichutko, i szły dalej posłusznie w taniec. Ale zdarzało się, że trafiła kosa na kamień i to nie byle jak twardy. Jak stawali znowu do śpiewu, to taka nie dopuściła kawalera do głosu. A to, co miała kawalerowi zaśpiewać, żeby się odciąć, układała sobie w tańcu; czasem coś sobie przypomniała z dawniejszych śpiewek albo — no, były i takie — sama sobie naprędce ułożyła, a jak zaśpiewała, to kawalerowi nieraz dobrze w pięty poszło. Z takimi to nawet nie zaczynali. Bo to śmiechu było!... Nieraz taki obśmiany uciekał i już na wesele nie wracał. Takie też miały powodzenie, miały.
Na weselach bywał nieraz taki tłok, dookoła ścian stała masa hołoty, że nawet siedzący na zwyżce muzykanci widzieli tylko zbitą masę. Dopiero jak tańczyli na polu, na podwórzu czy dziedzińcu, że kilkoma wozami można było nawrócić, na przykład w czasie wieńcowin, po tłokach u bogatych gospodarzy czy na leśniczówce, to jak się „razówki" rozszalały — tak nazywali dziewczęta ze wsi, niby dlatego, że na razowym chlebie wychowane — w polce „na raz", a chociażby taka na sobie i sześć spódnic miała, to pośladki łyskały niczym miesiąc w pełni. Muzykanci to byli figlarze... nieuroku! Jak ludzie szaleli



Autor z kolędnikami (20)

z podniecenia i radości, kiedy tańczyły takie tanecznice, to ze skóry wyłazili, żeby z nich wypruć całego ducha. Dziewki wiły się prawie nieprzytomne, od fruwających spódnic wiał wiatr jak w czasie burzy. Ale muzykanci wiedzieli, co robią; takim właśnie graniem uwodzili tanecznice, które osłabione tańcem w razie czego prawie że się nie broniły. Do takich muzykantów, i to prymistów, należał Jasiek. Szalały za nim dziewki, bo też było za kim. Ale ostatecznie jedna go tylko dostała: Kundzia.

— No, dobrze, dobrze, ale kto to był ten Jasiek i ta Kundzia?

— Słusznie! Otóż Jasiek Kowalski był naszym bliskim sąsiadem. I chociaż był ode mnie starszy, znałem go bardzo

dobrze. Nikt na niego nie powiedział inaczej, jak Jasiek-prymista. I wszyscy zawsze wiedzieli, o kogo chodzi. A Kowalskich w Bieśniku było dużo. Leży ten nasz Bieśnik w takiej kotlinie jak w kołysce: dookoła góry i góry. Starzy mówili, że właśnie w tej kotlinie kiedyś same tylko biesy mieszkały i panowały. W końcu ludzie ich stąd wykurzyli. Przeniosły się do innej kotliny, do Biesnej, ale i stamtąd musiały uciekać. Teraz w Bieśniku i Biesnej spokój, ale dawniej... Wracając do Jaśka; co on przeszedł, ile przetrzymał, zanim został słynnym prymistą! Strach pomyśleć. Dziś tego by nikt nie wytrzymał, na muzykanctwo nawet by nie spojrzał. A Jasiek nic, stał przy swoim jak pijany, co się trzyma płotu. Sam mi o tym opowiadał, kiedy przychodził do nas po jabłka. Jasiek bardzo lubił jabłka. Jak siadł i dobrze sobie ich podjadł, bardzo chętnie opowiadał o swoim życiu. Ciekawiście może?

— Owszem, jak najbardziej!

— U tych Kowalskich nie byłoby nawet źle, gdyby ojciec nie lubił zaglądać do kieliszka; każdy grajcar przepijał. Ale matka, znaczy żona starego Kowalskiego — to była kobieta! Tylko ona przeparła, że Jasiek poszedł do szkoły. U nas wtedy szkoły nie było, chodził do Szalowej. W Szalowej jest nasz kościół parafialny. Ci, którzy go przyjeżdżają oglądać, mówią, że to istny cud. I przy tym kościele jakiś pan jeszcze w XVIII wieku założył orkiestrę. Istnieje ona do dziś. A grała! I Jasiek tam chodził do szkoły. Tam i z powrotem, codziennie parę ładnych kilometrów. Ale chodził. Mimo że naukę miał po południu i musiał wracać w nocy — zima, lato. Koło szkoły był taki dom, w którym ćwiczyła orkiestra. Jak tylko była próba, Jaśka w szkole nie uświadczył. Stał pod oknem jak słup i słuchał. Potrafił tak godzinami. W takie dni przychodził do chałupy bardzo późno, już w nocy, bo czekał, aż skończą. Wtedy ojciec go prał, a Jasiek nieraz uciekał i nocował byle gdzie. Ale szkołę skończył; wszystkie cztery

klasy. Potem koniecznie chciał się wkręcić do tej kościelnej orkiestry. A wiecie, co go najbardziej ciągnęło?... Żeby chociaż granie w kościele, na procesjach, w czasie różnych uroczystości... nie! Tylko jak orkiestra grała na świętego Jana, w czerwcu.

W środku wsi, wnet za kościołem, w ogromnym parku przy drodze, stoi stary dwór. A naprzeciw są dwa stawy; jeden mniejszy, drugi większy. Między nimi jest grobla. I na tej grobli stoi kapliczka z figurą świętego Jana. Nawet najstarsi nie pamiętają, kiedy była postawiona. Naszym pradziadkom ich pradziadkowie opowiadali, że stała tam i stoi. Wieczorem 23 czerwca, nad ten większy staw przychodziła dosłownie cała wieś. Ile wtedy było luda! Na grobli zapalali ogromny ogień, blisko łodzi, która przepięknie ubrana stała na wodzie. Wszyscy czekali na orkiestrę. Kiedy przychodziła odświętnie ubrana, grała pobożną pieśń do świętego Jana, a za orkiestrą śpiewał, kto tylko miał głos. Po chwili kilku mężczyzn wynosiło figurę i ustawiało w łodzi. Teraz ta łódź, popychana przez mężczyzn, opływała staw dookoła, trzy razy. Cały ten czas jedną zwrotkę grała orkiestra, drugą śpiewali ludzie stojący na brzegu. Był wieczór, już rosa opadała — jak się to niosło po okolicy! A kiedy figurę wstawiali z powrotem do kapliczki, ludzie ustawiali się jak do procesji, a orkiestra na przodzie. Orkiestra zaczynała grać wesołego marsza i ludzie ruszali przez wieś. Po drodze, kto miał dom, opuszczał pochód i odchodził. Na końcu wsi pozostawała tylko orkiestra i hurma chłopaków z kilku wiosek, między nimi koniecznie i Jasiek.

Jasiek na niczym innym nie chciał grać, tylko na trąbie. Ale go wyśmiali. Bo i co to miało dmuchać? Małe to było, chuderlawe... Ale jak się chłopak rozpłakał, żal im się zrobiło i poradzili mu, żeby się zabrał do skrzypiec. Jak mu wtedy te skrzypce wlazły do głowy, to zaczęła się dla chłopaka istna męka. Chodziły za nim te skrzypce jak zaziel. No bo i jak je dostać? Od ojca żadnej pomocy nie

mógł się spodziewać — jeszcze by mu zabrał, gdyby czuł u niego parę grajcarów, matka też była bezsilna. I tak w tej męce doszedł Jasiek do piętnastu lat życia.
Aż jednego razu, kiedy Jasiek był w Szalowej w kościele, dowiedział się, że z Szalowej i Bieśnika wybierają ludzi na Węgry, do Pesztu, na roboty w cegielni. Poszedł się zapisać. Na jego wzrost patrzyli z politowaniem, ale na wyjazd chętnie się zgodzili; on jeden z kilkudziesięciu chętnych umiał czytać i pisać, nawet trochę i po niemiecku. Ojciec nie sprzeciwiał się, owszem, zezwalał w nadziei, że kiedy chłopak wróci, wyciągnie coś od niego na wódkę. Nie przypuszczał, że chłopakowi jedynie skrzypce w głowie. Matczysko chlipiąc przygotowało mały węzełek — ot, trochę łachów i owsiany placek.
I zaczęła się robota — o wiele za ciężka jak na Jaśkowe piętnaście lat. Ciągnął wózki z surową cegłą do pieca i z pieca wypaloną. Puchły mu ręce i nogi, oczy zachodziły mgłą, latały przed nimi błyszczące koła — ustawał. Już miał powiedzieć, że odchodzi — jak to już zrobiło kilku — ale zwrócił na niego uwagę majster. Nie mógł się nadziwić, że mały chłopczyna wydoli tak ciężkiej pracy. I zmienił mu na lżejszą. Radził mu też, żeby sobie codziennie kupił kawałek kiełbasy; gdzież to o kawałku chleba pracować. Ale Jaśkowi żal było wydać na kiełbasę tylachna pieniędzy; przecież tylko na skrzypce tak ciężko pracował. Na dobitek swojej udręki często spotykał Cyganów, a ci tak grali, że po chłopaku ciarki chodziły. Ciułał tedy i ciułał.
W niedziele chodził do Pesztu. Tam stawał przed wystawami z instrumentami muzycznymi, ale nic na nich nie widział, tylko skrzypce. Potrafił przyglądać się im godzinami. Wkrótce na pamięć umiał wszystkie ceny, ale nawet do tych tańszych wciąż mu brakowało. Toteż kiedy po trzech miesiącach wszyscy inni z powrotem ruszyli do domu, Jasiek pozostał. Ale po sześciu miesiącach ruszył wreszcie w kierunku Bieśnika. Szczęśliwy niczym ptak

powracający w ojczyste strony. Ze skrzypcami pod pachą. Matczysko przywitało syna serdecznie, ale ojciec sklął chłopaka, kiedy się dowiedział, na co wydał wszystkie pieniądze: bo Jasiek kupił sobie dobre skrzypce. A kiedy począł uczyć się grać, powiedział mu ze złością, że jak wciąż będzie rzępolił i miauczał w chałupie, to mu to przeklęte pudło na kawałki rozbije. Znowu udręka: lęk przed utratą skarbu. Dlatego bardzo chętnie szedł z siostrą Anielcią paść krowy w lesie. A potrafiła ona ślicznie śpiewać. Siadali na jakimś pniaku czy belku, ona śpiewała, on próbował to wygrać. A że miał pojęcie, niedługo to trwało, umiał wszystkie wygrać i to jeszcze jak! Wtedy dołączył się do niego starszy kolega z Bieśnika, który w kościelnej orkiestrze grał na klarnecie.
I tak grywali we dwóch: w stodołach, wieczorami w ogródkach, ot tak sobie, dla radości i uciechy. Chociaż Bogiem a prawdą powiedziawszy, sami to oni nigdy nie grali, bo żeby nie wiedzieć, jak się zadekowali, zawsze ich odnaleźli. Kto by inny jak nie chłopcy i dziewczęta?
I zaraz:
— A zagrajcie nam, niech byśmy sobie trochę potańczyli.
— Nie odmawiali, ale — to nowe struny trzeba było kupić, to smyk naciągnąć, to nabyć nowe trzcinki do klarnetu... Trzeba było coś niecoś zarobić. Zapraszani tam, gdzie spodziewali się zarobku, szli. No i rozniosło się, że dobrze grają. Zaczęli ich wołać i na wesela. I na takim jednym zobaczył Jasiek Kundzię. Tańczyła jak wrzeciono, a śpiewała jak najlepsze skrzypce. Niedługo zeszło i Jasiek ożenił się. A Kundzia, szczęśliwa, że dostała może nie urodnego, ale sławnego prymistę, nawet nie spodziewała się, co sobie Jasiek zamyślał zrobić. A on zamyślał zrobić swoją własną muzykę.
Żeby była muzyka, musiały być basy. Dowiedział się, że są gdzieś aż na Gródku, ale rozbite. Ktoś ze złości potłukł je basiście na weselu. Poszedł i kupił „za czapkę gruszek", jak powiadali, czyli za bezcen. Zaraz też się do nich zabrał:

poskładał, połatał, posklejał... Grały całkiem dobrze. A basistę dawno miał upatrzonego — Kundzię. Jak jej o tym powiedział, zrazu żachnęła się, jakby osa koło niej zabrzęczała, ale po chwili — Jasiek nie złościł się, nie fukał — powiedziała: — No to spróbujmy. — Niedługo próbowali. Jasiek miał basistę, o jakim nawet nie marzył. Kundzia była muzykalniejsza od swego męża. Po kilku tygodniach grała jak stary basista. Miał już swoją muzykę: skrzypce, basy. I do tego doskonały klarnet. Szczęście mieli wielkie, omal ich nie rozrywano. Może to i przez tę basistkę. Była to nowość nie lada.

— Oj, Józefie, Józefie! — opowiadała mi nieraz Kundzia, a była w moim wieku, młodsza od Jaśka o dziesięć lat — na początku wszystko było dobrze; zarobiło się, zabawiło, zjadło i wypiło — dopóki nie było dzieci. Ale jak się ten drobiazg zaczął sypać! Dziecko trzeba było oporządzić, w polu robota, w domu też dobrze trzeba się było nakręcić, a tu Jasiek woła: — Kundziu! Idziemy grać! — No i trzeba było iść. Boże, ile ja się razy zdrzemnęłam przy tych basach, ile razy smyk mi wyleciał z ręki! To wtedy Jasiek krzyczał: Kucia faja! — taka była jego gadka. Ponoć z Węgier ją przywiózł. Potem to tak się do niego przykleiło, że nikt nie nazywał go inaczej jak prymista „Kucia faja". Tyle tylko z tego miałam, że czasami mi na bluzkę kupił, na zapaskę, raz korale z bursztynu... no i to, że człowiek i podjadł sobie, i dzieciskom przyniósł cały podołek.

Prawda, prawda, Kowalskim sypały się dzieciska jak z wora. W sumie było tego sześcioro, trzech synów i trzy córki. Jak tu zostawić na Boskiej opiece tyle drobiazgu? A bieśnianie tak się już roztańcowali, że bez tego nie mogli żyć. Ale „Kucia faja" miał głowę nie od parady. I wymyślił. Wyrównał klepisko na boisku jak stół i zaczął urządzać zabawy u siebie, w stodole. Zawsze było pełno, zwłaszcza młodzieży. Nawet sobie chwalili. Nie było na takich zabawach ani wódki, ani piwa, nie było kłótni,

awantur, bitek, i dla taneczników było tanio. Jak się tylko zdarzyła byle jaka okazja, u Kowalskich aż huczało.
— Oj, Józefie, Józefie! — wspominała nieraz stara Kowalska. — Co ja miałam w życiu przez te basy! Przeklęłam je od deski do deski, ze strunami i ze smykiem. Jasiek bez muzyki nie mógł żyć, wciąż musiał mieć koło siebie śpiewy i tańce. Nieraz gramy, a ja słyszę: w chałupie dzieci płaczą, aż się zachodzą. Wiedziałam: chce im się spać, a tu nie ma ich kto rozebrać, ułożyć. Pokazuję Jaśkowi, że muszę pójść, że dzieci drą się, ale Jasiek jakby nie miał sumienia, kręci głową, że nie. Bywało — nadarły się, napłakały i zasypiały byle jak, gdzie które siedziało. To znowu któreś budziło się i w płacz, że głodne. Czasem udało mi się jeszcze przed graniem nakarmić, poukładać — zasnęły. Ale jak to na zabawie: ten krzyknie, tamten zaśpiewa, dzieci budziły się — i w bek. Nieraz to się i poprzestraszały dobrze; i to było najgorsze. A było przerwać zapłacony kawałek — niech Bóg broni! Jasiek to by mnie chyba zabił, gdybym taniec przerwała. Czasem któraś ze znajomych kobiet, co przyszła tylko popatrzeć i posłuchać, zmiłowała się, poszła do dzieci, jakoś tam uspokoiła. Pan Bóg miał nade mną zmiłowanie. Powiadają, że na muzykanta nawet sam Pan Jezus łaskawszym okiem spoziera. I wychowały się wszystkie, zdrowe.
— Widzisz! — krzyczał nieraz Jasiek. — Takeś jęczała, labidziła i co im się stało? Pan Bóg łaskaw! — dodawał. Kiedy indziej wspominała:
— Żeby się to było tylko na tym skończyło. Jak już które od ziemi odrosło, to zajmowało się młodszymi, lżej było. Cieszyłam się. Czasem już i poza chałupę wyskoczyliśmy. Ale kiedy jeszcze bardziej podrosły, ojciec zabrał się zaprawiać je do muzyki. Sadowił to bractwo na pogródce, wynosił skrzypce, grał, a temu drobiazgowi kazał śpiewać Albo przynajmniej mruczeć. Potem kupił drugie skrzypce. Czasem szło to jak po grudzie. Dziewczęta jeszcze były

pojętniejsze — zwłaszcza najstarsza — ale o chłopakach mówił, że mają drewniane uszy. No i nauczył tę najstarszą grać na skrzypcach, ale do prymu jej nie dopuścił, była sekundem. Wtedy było nas już czworo. Na dalsze wesela ją już ojciec brał, mnie zostawiał w domu. Dopiero kiedy jeden chłopak nauczył się grać na basach, dał mi spokój. Gdzie oni nie jeździli! Na drugi koniec powiatu! A ten klarnecista trzymał się nas jak swój.

— A jakże im się powodziło na tych wędrówkach?

— Dobrze! Jasiek sumitował się, że wtedy obegrali więcej jak dwieście wesel. I bardzo ich szanowali, nawet więcej jak księży. Bo księża wydziwiali na muzykantów, na wesela, na tańce, a muzykanci grali ludziom na rozweselenie. Zawsze dostawali lepiej jeść od innych i zawsze coś do domu przynosili. Przede wszystkim ogromny jak koło od wozu bochen chleba — nazywali go paschą. Przy nim odbywało się błogosławieństwo młodych. A paschę zawsze oddawali muzykantom — takie było prawo. Najwięcej wesel to było po pierwszej wojnie światowej. Przyszła z frontów masa chłopstwa i dalej żenić się, i to na gwałt. Nieraz szło się z wesela na wesele; nie muzykanci czekali na nie, a one na muzykantów. Grali, chociaż palce puchły, chociaż nieraz i krew z nich szła. Bieda, jaka przyszła po wojnie, wyrządziła dużo złego i muzykantom. Według zwyczaju zamawiający taniec dawał do basów zapłatę; nazywało się to „założyć do basów". Gdzie by komu przyszło dawniej oszukać muzykantów! A wtedy... Ile to razy, kiedy wysypywali z basów, to dobrych pieniędzy prawie że na lekarstwo. Tylko — jakieś z całego świata, gdzie ci chłopi byli na wojnie. A obok tego blaszki, guziki. Wtedy muzykanci wzięli się na sposób. Dalej się rzucało do basów, ale wpierw zakładający musiał dać pieniądze do ręki basiście; ten dobrze je oglądał, a kiedy były dobre, wrzucał dopiero do środka. Wtedy to Jasiek dokupił dwie morgi gruntu, dobrą krowę, ale gospodarką to się nic a nic nie zajmował,

wszystko na mnie zwalił i na dzieci, na te, które nie grały. Jak mu to wymawiałam, tłumaczył:
— Muzykant musi mieć delikatne palce, czułe. Jakżeż inaczej mógłby grać? — I tak zostało.
Kiedy Jasiek się postarzał, a dzieci szukały lepszego życia na swoją rękę, muzyka się rozbiła. Prymista nie miał już grania. Jego miejsce zajęli młodsi. Jasiek chodził jak struty, dumał i znowu pokazało się, że jego głowa nie była do pozłoty. Otóż bywało, że w czasie weselnych bitek i muzykantom coś się dostało. Gorzej, bo niejednemu pochrobotali to basy, to skrzypce, a tu trzeba było grać. I Jasiek rozpuścił szeroko, że naprawia zepsute instrumenty. I przynosili mu. Dość prędko tak się wprawił, że naprawił skrzypce pobite nawet na mak. Mało tego; dowiadywał o takich potłuczonych gratach, naprawiał je i sprzedawał potrzebującym. Zawsze miał kilka na składzie. Przychodzili, kupowali, zawsze coś wpadło.
Wreszcie po latach, kiedy już wszystkie dzieci Jaśka i Kundzi poszły w świat, we wsi pozostało dwoje starych dziadów. Jak ich tęsknota za dziećmi tak rozebrała, że sobie miejsca nie mogli znaleźć, wtedy, przeważnie wieczorami, wynosili swoje instrumenty na pole i jak za dawnych lat siadali na pogródce i grywali: walczyki, tramelki, a na koniec pieśni religijne.
Dla dwojga staruchów szary w ciągu wielu miesięcy świat stawał się nagle jaśniejszy, cieplejszy i młodszy, kiedy na wakacje przyjeżdżały wnuki. A było tego sporo. Wieczorami z wielką ochotą siadali na pogródce i grali. A wtedy nic powolnego czy smutnego — same polki, oberki, do tańca. I stare serca im rosły, kiedy gromada wnuków tańczyła czy chociażby skakała w takt ich muzyki. Wtedy tracili lata, wydawało im się, że co tylko pobrali się. A grali!... chociaż jej już po siedemdziesiątce było, jemu na dziewiąty krzyżyk przechodziło. Jak im te ręce chodziły! — takie spracowane. Smyki skakały po strunach na podziw! Zaglądali na takie dziecięce zabawy i starsi

i nadziwić się nie mogli.
— Jak im się tak chce! — gorszyła się jakaś babulina. — A im się chciało, i to długo. Wtedy nawet we wsi było weselej.

*

Chyba nigdy nie dowiedziałbym się o dalszych losach Jaśka i Kundzi, gdyby nie postanowienie napisania tej opowieści. Com napisał, zebrałem na miejscu w Bieśniku. Potem napisałem, chyba w roku 1971, do mojego znakomitego respondenta, Józefa Szury. Napisałem nieco niespokojny, bowiem ostatnio skarżył mi się w liście na kiepski stan zdrowia. Jaka była moja radość, kiedy w dniu 8 września 1971 roku otrzymałem od pana Józefa list. „Pierwsza zmarła basistka, więc Kundzia, z końcem 1969 roku. Zmarła na Ziemiach Odzyskanych, dokąd zabrały ją dzieci na lekarskie badania. Bieśnicki prymista pozostał samotny. Unikał ludzi, zamykając się we własym domu na cztery spusty. Czasem, gdy wychodził, skarżył się ludziom na ból głowy, ale nie przyznał się, że spadł z drabiny. Zawiadomione o tym dzieci zabrały go z Bieśnika, już półprzytomnego, gdzieś w okolice Dzierżoniowa. Po kilku tygodniach zmarł i został pochowany na Zachodzie, daleko od Bieśnika, obok Kundzi. Tylko, czy im dali do trumny instrumenty, żeby sobie czasem mogli zagrać? jak w Bieśniku?
Pozostał po nich pusty dom ze starodawną pogródką, na której muzykancka familia Kowalskich wygrywała ku uciesze bieśniczan. Już ich muzyki nikt więcej nie usłyszy. Zamiast niej, wieczorami po kotlinie roznoszą się głosy radia, telewizorów, tranzystorów — współczesny «folklor» Bieśnika. Słysząc to, starzy mówią do siebie z niepokojem: — Czyżby biesi wracali?"

Zespoły muzykanckie znały na wylot swoje rejony. W kilku lapidarnych zdaniach muzykanci potrafili scharakteryzować poszczególne wsie i ich mieszkańców. Doskonale wiedzieli, gdzie dobrze, a gdzie podle płacą, gdzie napychają i poją muzykantów, jak indyki na święta, w których wsiach bawią się jak anioły, a w których wesela jeśli nie trupami się kończą, to istną rzeźnią i strumieniami krwi. Wiedzieli też, w których wsiach bawią się tylko weselni, a w których już pierwszego dnia wieczór zwala się hołota z zaplanowanymi awanturami i bitkami.

Dobry zespół był poszukiwany i dobrze opłacany. Ale tacy też mieli swoje wymagania. Do pewnych wsi, żeby im obiecywali złote góry, nie poszli. Mówili między sobą: — Niech ta młodzi idą, niech se użyją!

Ale bywało, że mądrość zawodziła i muzykanci wpadali jak owe przysłowiowe śliwki. Najczęściej zdarzało się to wtedy, kiedy dobry znajomy muzykantów żenił się w odległej wsi, o której zespół nic nie wiedział. No, ale jak było krajanowi odmówić, przecież chciał się pokazać w obcej wsi; skąd to on nie jest!

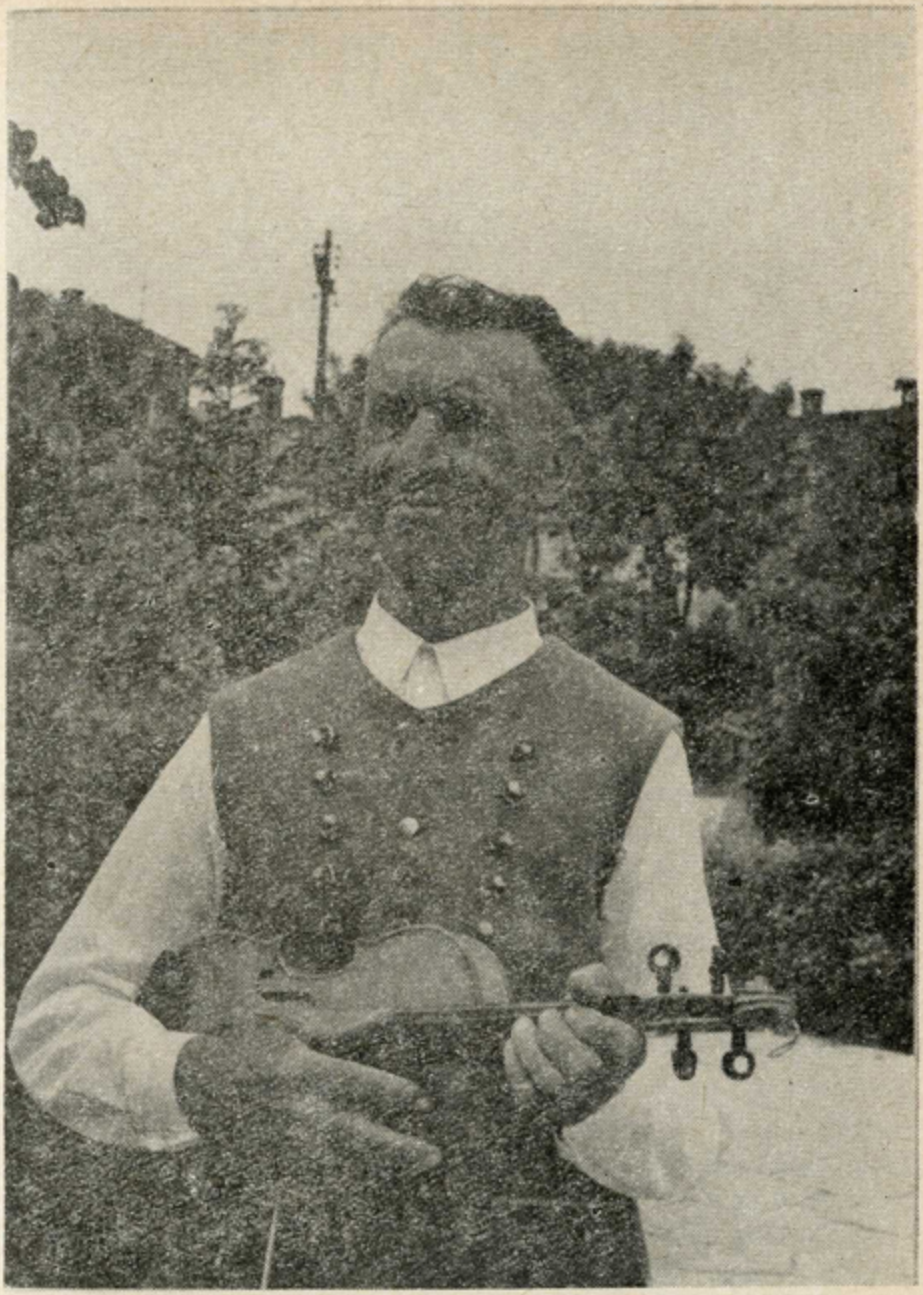
Taka właśnie historia wydarzyła się z młodym chłopakiem, Marcinem z Łąki. Było to już po żniwach, gdy Marcin z ojcem, Mateuszem, wybrali się do Rzeszowa na jarmark. Właściwie to zupełnie bez interesu, ot, przypatrzeć się. A jeśli ich coś ciągnęło, to konie. O, bo Rzeszów od wieków słynął z końskich jarmarków. Skąd tutaj nie przyprowadzali tych zwierząt! dokąd ich nie kupowali!

Poszli zaraz na targowicę. Ciasnota, kwik, wrzawa, zachwalanie nawet ostatnich szkap, trzaskanie w dłonie — ogarnęły obu mężczyzn jak najpiękniejsza muzyka.

Plątali się urzeczeni, przysłuchiwali, podglądali... I wtedy właśnie Marcin zobaczył dziewczynę, która razem ze swoim ojcem sprzedawała gniadą kobyłę. Marcin z miejsca zapatrzył się w dziewczynę. Ślepia miała czarne i błyskające, cerę smagłą z rumieńcami, a jak tylko otworzyła usta, to cudowniejszych zębów chyba na całym świecie nie było. A że Marcin też był chłop nie ułomek, dziewczyna zwróciła na niego uwagę i raz po razu poczęła szczerzyć te swoje białe zęby. Stary Mateusz poszedł dalej, Marcin zaś zawieruszył się. Potem odnaleźli się, ale chłopak całą drogę do chałupy był jakiś nieswój. A już się zmówił z tamtą dziewczyną. W niedzielę powiedział, że pójdzie do kościoła w Rzeszowie. Wrócił w nocy. To samo było na drugą. A w poniedziałek powiedział ojcom, że się będzie żenił i to jak najprędzej.

Starym żeniaczka Marcina była bardzo nie na rękę. Chłopak był jeszcze młody, w chałupie bardzo potrzebny. No, ale posłali kogoś na przeziery do Matysówki, w której mieszkała dziewczyna. Wieś ta leży w tak zwanych „górach", chociaż właściwie są to raczej dość płaskie pagórki, ostatnie zwały Podkarpacia. Dla mieszkańców równin była to jednak dość tajemnicza kraina. Ludzie z gór rzadko schodzili na równinę, a mieszkańcy nizin również rzadko pięli się w góry. Stykali się więc ze sobą nieczęsto. Rodzice Marcina dowiedzieli się o wszystkim: że tam są jeszcze dzicy ludzie, że sami handlarze końmi, co to gorsi od zbójów, że daleko, że góry, źle robić w polu. Przestraszyli się wtedy, ale syn uparł się. A jak zobaczyli dziewczynę w czasie zmówin — nic, tylko rzuciła na niego uroki. Prawda, bardzo urodna była, ale bali się jej.

Marcin koniecznie chciał mieć swoją muzykę: niech wiedzą, jak grają muzykanty z jego okolic. Upatrzył sobie najlepszy zespół: dwoje skrzypiec i basy. Prymista był z Łąki, sekond z Terliczki, basista z Palikówki. Prymistą był Jędrzej Kula, ale jak się nazywał sekond, wiedział mało kto. Przezywali go „Piciom", ponieważ nieustannie



Rzeszowiacki skrzypek (21)

piłował na skrzypcach: pi-ciom, pi-ciom... aż do obłędu. Mógł spać przy graniu, a „piciom" szło normalnie. Basista miał znowu przezwisko „Karakon"; rzeczywiście z postawy i chodu był do karakona wielce podobny.
W Matysówce, nie można powiedzieć, muzykantów przyjęli bardzo dobrze; nakarmili, napoili, na struny Marcin też dał niezgorzej. W bardzo dobrych humorach ruszyli na odgrywiny. Prowadził ich spory wyrostek, brat młodej — byli tu przecież całkiem obcy. Ale w miarę odgrywin miny poczęły im rzednąć: proszeni jakby mieli węże w kieszeniach, mało co gdzie kapło. Ale nie to jeszcze było najgorsze.
Odgrywiny w nizinnych wsiach to była sama rozkosz. Chałupy prawie jedna na drugiej i dlatego było dużo czasu na poczęstunki. A tymczasem tu, w górach... — nieprzyzwyczajeni do takich garbatych okolic — już po kilku godzinach byli mokrzy jak kury na deszczu. Owszem, był kawałek zwartej wsi, ale ile to razy musieli chodzić z góry na górę, przez doliny i paryje, przez wąwozy! Spraszanie gości zeszło im prawie do rana. Ledwie im ręce ze smykami chodziły po strunach. Żeby to jeszcze było za co! Tymczasem może co dziesiąty kapnął ni to, ni owo. Tylko spozierali po sobie, a smutek wyłaził im z oczu. Kiedy wszystkich gości zegnali do kupy, był już czas iść do panny młodej. Szedł tedy ogromny pochód z graniem i śpiewaniem, a potem do kościoła, do ślubu. Trzeba było grać, ile sił, żeby było widać i słychać, że to wesele. Tyle sobie odpoczęli i nieco przedrzemali co w karczmie, kiedy wszystko było w kościele.
Wreszcie prawdziwe wesele, to jest granie do tańca, po jedzeniu i piciu. Za dnia jeszcze, jeszcze, dawali sobie radę, przecież byli zwyczajni. Weselni bawili się ładnie, spokojnie. Wreszcie wieczerza i...
Nasi nizinni muzykanci nie wiedzieli, że w górach dopiero przy wieczerzy zaczyna się pijaństwo, i to okropne. Kiedy jak najlepszej myśli, bo to i wypoczęci, znaleźli się na

swojej zwyżce, popatrzyli na izbę, na weselnych jak na wariatów. Wszystko spite, poczęło szaleć. Krzyki, wrzaski, wyzwiska, przekleństwa... Muzykanci grali, jak im kto kazał. Tymczasem zapadła szarówka, zaświecili lampy. I dopiero wtedy się zaczęło. Najpierw z rzadka, jak nietoperze, poczęli się wśród weselnych pojawiać goście nie proszeni, czyli hołota. Ale szybko poczęły się wpychać do izby całe bandy. Zrobiło się tak ciasno, że zaledwie kilka par, i to zduszonych, mogło na środku kręcić się jako tako.

Rozdrażniło to swatów, przecież oni stanowili siłę wesela. Poczęło się tedy wypraszanie, najpierw słowne, a następnie na siłę. Hołota czując swoją siłę, poczęła wyć i szaleć, rwać się do tańca. W izbie, z ziemi, podniosły się tumany kurzu, powietrze tak się przesyciło ludzkim potem i wyziewami, że nie było czym oddychać. Z nadmiernego paszku i gorąca lampa co i raz gasła. Z mroku korzystali co gorętsi i dalejże skubać dziewki. Co chwila wybuchały przeraźliwe piski i wrzaski. Muzykantom wydawało się, że za chwilę powinien nastąpić koniec świata.

Wreszcie zupełnie osłabli; pot zalewał im oczy, rękami nie mogli już poruszać. A tu doskakują do nich raz po raz. Jeden woła: — Mnie grajcie! — Drugi drze się: — Mnie polkę bez nogę! — i skacze im z nożem do gardła. To znów podbiega dziewka, prawie że obłąkana, i piszczy: — Czemu nie gracie, wy skurwysyny? — Jeszcze inny, nieprzytomny z pijaństwa, rzuca pod ich adresem słowa, jakie mu tylko wściekła ślina na język przynosi. Krzyczą, grożą, błyskają nożami, ale żaden ani szelążka nie zapłaci.

Muzykanci nie wiedzieli już, co się z nimi dzieje. Dostawali zawrotów głowy, jakaś mraka rzucała im się na oczy, ręce kołkowaciały... A tu od drzwi lecą jakieś baryły czy kamienie, aż ze ścian sypie się wapno i pacyny, wprost na ich głowy. Już im się zdawało, że zbliża się koniec, że oto śmierć koło nich się kręci. Wyjść nie sposób, drzwi i okna obsadzone, że palca by nie wbił.

W jakiejś chwilowej przerwie poczęli się naradzać, jak wyjść za swoją potrzebą. Szczęśliwie udało się wymknąć basiście. Po krótkim czasie od jego wyjścia w izbie podniósł się okropny gwałt. Tłuszcza wrzeszcząc i drąc się co sił: — Gdzie basista?... Czego nie gracie? — zaczęła maltretować nieszczęsnych skrzypków i to w tak okrutny sposób, że żaden z nich nie wyobrażał sobie, iżby takie katusze nawet w piekle mogły być stosowane. A oni siedzieli jak skamienieli, słowa nie mogąc wykrztusić. Siedzieli nieruchomo, z rezygnacją, gotowi już na wszystko, nawet na śmierć.

Nagle zgraja wpadła na pomysł: iść i szukać basisty. Dookoła skrzypków stanęła straż, zresztą niepotrzebnie, bo żaden z nich nie miałby siły stanąć na nogach.

I znowu nagle: — Grać! grać! — zgraja poczęła się drzeć, ile sił w płucach. Muzykanci machinalnie poczęli grać, nawet skrzypiec nastroić nie mieli ani myśli, ani siły. Chełtali jeden z drugim po biednych skrzypczętach, ale głosu żadnego nikt nie słyszał, bo i nie mógł usłyszeć w tej wrzawie. Ten i ów, któremu nogi nie wiadomo gdzie i jak się plątały, doskakiwał do nieszczęsnych muzyków, darł się, że cicho grają, wygrażając to pięścią, to jakimś kołkiem. Skrzypki usiłowały mocniej naciskać smyki, cóż kiedy w rękach nie było siły. To tylko podniecało oszalałych ludzi; jakby czuli radość na widok niedoli bliźniego.

A basista?... Dla niego nie istniał świat: ani dobry, ani zły. Spał jak anioł, chrapiąc tylko jak normalny człowiek, zmorzony kamiennym snem. Byłby się szczęśliwie dobrze wyspał, żeby nie sfora, która się rzuciła na jego poszukiwanie. Jeden ze sfory znalazł go. Basista poczuł nagle, jakby go kto chwytał wielkimi i ostrymi obcęgami. Następnie coś jak bolesne uderzenia. Oprzytomniał dopiero wówczas, kiedy lecąc po jakimś nierównym gruncie, zahaczając nieustannie o coś twardego, ale nie ostrego, nagle poczuł zimno, oblepiające całe jego ciało.

Otrzeźwiał. Zrozumiał, że znajduje się w wodzie, w jakimś strumyku o płytkich brzegach. Wyskoczył z wody i stanął wprawdzie na twardym gruncie, ale w takiej ciemności, że przeraził się okrutnie.
Przypomniał sobie wesele, jak wyskoczył oknem i jak zasnął kamieniem. Widocznie zasnął na samej krawędzi głębokiego parowu, no i ten łotr, który go znalazł, zepchnął go do baduni. Brzegi musiały być dość miękkie, kiedy nic mu się nie stało. Ba!... omal nie krzyknął z radości: w zgrabiałych rękach trzymał swoje basięta. Czule, jakby w rękach miał urodziwą dziewczynę, począł je obmacywać. Nie tylko że były całe, ale nawet struny się nie pozrywały. Zaraz można było na nich grać.
W tejże chwili przyszli mu na myśl koledzy, sami piłujący na swych skrzypkach. Jak tam oni grają w tym hałasie? I żal mu się ich zrobiło — najlepszych kolegów. Źle tam jest, prawie jak w piekle, ale samych ich przecież nie może pozostawić, musi się do nich dostać, pomóc im. Ruszył z biegiem wody, w nadziei, że szybko dojdzie na równe pole. Ciężka to była droga. Ziemia była przesiąknięta wodą, że wkrótce cały był w błocie. Szedł, utykał, wywracał się, zapadał w namuliska prawie po pas. Wreszcie, a miało się już do świtania, dotarł do swoich. W izbie się przerzedziło, wszedł bez oporu. Wylazł na swoje miejsce i zaczął basować. A tu naraz ogromny śmiech; jakby wszyscy pogłupieli. Zrozumiał dopiero, kiedy popatrzył po sobie; był kupą błota.
— Co się z tobą działo? — zapytał prymista.
— Niech was Bóg broni i Matka Najświętsza!... Od powietrza, głodu, ognia i wojny, i od tego, co mnie spotkało, niech was Pan Bóg osłania! — odpowiedział z namaszczeniem i powagą.
Z wielką biedą, ale jakoś szczęśliwie dotrwali do rana. Weselni wcale nie okazywali chęci do rozejścia się; wciąż mało im było i tańców, i trunku. Muzykanci już nie wyprosili, ale po prostu wypłakali kilka godzin na sen

i wypoczynek. — Przecież koło południa znowu będzie: „hulaj diable, trzy dni świąt!" — znowu trzeba grać. — Musimy mieć siły — tłumaczył rosły prymista. Jakoś zgodzili się, pokazano im miejsce do spania. Co to było za miejsce! Rzucili w kącie izby wiązeczkę słomy, i to króciutkiej — nic więcej. Ot, zwyczajny barłóg, nie miejsce na spanie.

— Żadnej przykrywki cholery nie dali! — klął basista, jeszcze cały mokry.

— Nie masz przykrywki na fajce? — złośliwie zauważył sekond — przykryj się, będzie ci pod nią ciepło — i rzucił się na słomę.

Nie umawiając się, jednak wszyscy byli jednej myśli. Już nie tyle o spanie im chodziło, ile o to, jak się z tej przeklętej Matysówki wyrwać. Czuli, że nie wytrzymają jeszcze jednej nocy, tej trzeciej już z rzędu. Postanowili zwiać za wszelką cenę. Ale jak? Kiedy spostrzegli, że w izbie jest prawie pusto, pozbierali instrumenty i cichutko, jeden za drugim, nie oglądając się za siebie, aby jakiego zła nie przyciągnąć, ruszyli przed siebie, przyspieszając kroku — jak najdalej od tego gniazda szerszeni. Już kawał drogi uwalili, już im nadzieja poczęła rozjaśniać świat, niestety, przeliczyli się, dobrze byli stróżowani. Rychło zauważono ich zniknięcie, urządzono pogoń jak za kurami i zmuszono do powrotu. Naurągano im przy tej okazji, nagrożono połamaniem kości, odbiciem nerek... Musieli milcząco wysłuchiwać okropnych pogróżek.

Prymista pierwszy przyszedł do siebie; zresztą był znany jako fifak i kawalarz. Popatrzył na swoich kolegów: basista szedł jak na stracenie i nie dziwił się niczemu po tym, co przeszedł wczoraj, sekond wlókł się zrezygnowany. A prym myślał: — Jak się chcą bawić, to nie zabiją nas ani nie pokaleczą. To, co się wczoraj działo na weselu, już się szeroko rozniosło i żadna muzyka nie przyszłaby za skarby. Muszą nas szanować, a ze strachu jeszcze dzieci nie było. Tedy nastroiwszy się — tak na chłopskiego

filozofa — zwrócił się do największego kozaka i rzekł spokojnie:
— Jak nas nie puścicie do miasta, to sami będziecie se grać, ale na końskich ogonach i na cebrzykach. Lubicie taką muzykę?
— Tylko nie kpijcie, bo może być źle! — fuknął prowodyr. O co wam chodzi? Złe wesele?
— A kto wam powiedział, że złe? — odwrócił prymista. — Nam się podoba, zarobek niezły, jedzenia i picia, ile zdoli... Nam zależy i dlatego chcieliśmy iść do miasta po nowe struny, stare starły się na nic. Przecież u was we wsi nie kupi, musieliśmy iść do Rzeszowa, tam zawsze kupujemy, wiemy gdzie dobre. Mieliśmy zaraz wrócić. Gdzieżby my coś podobnego zrobili Marcinowi, naszemu sąsiadowi! Chcecie, wrócimy, ale pamiętajcie!
Właśnie doszli do chałupy. Cicho zaczęli się naradzać, wreszcie:
— Dobrze, idźcie, ale instrumenty zostawcie. Wtedy będziemy mieli gwarancję — rezonował ten, co im najwięcej urągał.
— No, dobrze! — po chwili, niby to namysłu, odpalił prymista. — I do czego my te struny przymierzymy? Do cholew? Każdy instrument musi mieć odpowiednie struny co do grubości, długości... A jak kupimy za krótkie? — filozofował poważnie, a ci drudzy omal nie wybuchli śmiechem. Ostatecznie dali się przekonać, chociaż prymista bał się, że może zechcą ich odwieźć końmi do miasta.
Szli. Ale kiedy znaleźli się na prostej drodze do miasta, kiedy całkiem przesycili się świeżym, jędrnym powietrzem, jakby im skrzydła urosły.
— No, aleś im zajechał! — ze słowami pełnymi podziwu basista zwrócił się do prymisty. — Takie niby kozaki, a dali się zatumanić — basista nie mógł wyjść z podziwu.
— No, no! — przytaknął sekond, jakby zaczął wygrywać „pi-tum, pi-tum".
— Mocne to one tylko w pysku i w pięści, jak se pały

zaleją. Połcorze jedne! — prymista splunął, używając najbardziej pogardliwego wyzwiska, jakim określano takich, co świnie na jarmarkach kupują, raczej godzą nie dla siebie, ale dla kupców. Zdaniem chłopów była to najgorsza na świecie kasta ludzi.
— Patrzcie! To już rogatka, kopytkowe! — krzyknął basista.
— A to wstąpmy na jednego — zaproponował nagle prymista, pokazując stojącą przed mostem karczmę, którą zresztą wszyscy dobrze znali. Bowiem czy jest na świecie karczma, o której by muzykanci nie wiedzieli?
— Sucho w basach — zauważył basista. — Niech ich jasna cholera z takim zarobkiem — jęknął, jakby odzyskał mowę.
— Dużo, mało, należy nam się zabawa, czy nie? — twardo zapytał prymista, zwracając się do swoich kolegów.
— Pewnie! — zasekundował ten trzeci. — Mało my się to strachu najedli? Mało namęczyli i nadręczyli? A dwie doby nie spaliśmy przez te górskie cholery! Dobry trunek na frasunek i już! — jakby zakończył granie.
Weszli statecznie, jak na muzykantów przystało, pewni siebie, jakby w basach po dziurki pełno było samych koron. W kącie wielkiej szynkownej izby postawili instrumenty i zasiedli na najbardziej honorowej ławie; było rano i w karczmie puściuteńko. Ale już zjawił się brodaty Żyd i jakby tańcząc przed nimi zapytał z uśmiechem:
— Ny, co sobie panowie muzykanty życzą? Jest zaczerskie, jest okocimskie...
— Pół kwarty gorzałki, tylko uczciwej, samej okowity, przekąska i piwo! — zakomenderował prymista, który nagle poczuł się jakby wielkim, wolnym panem. — Przecież musimy uczcić to wyrwanie się z niewoli! — podkreślał jak generał po wygraniu wielkiej bitwy. Zaraz też nalał, stuknęli się, wypiwszy obrzędowo skrzywili się

i resztki w kieliszkach sakralnym ruchem chlupnęli na ziemię, zagryźli śledziem. Dobrze im było.
Kiedy muzykanci dogadzali sobie, przychwalali, z wolna przemieniali się w bohaterów, dwoje dzieci szynkarza, chłopaczek i dziewczynka, podeszli do instrumentów i poczęli brzdąkać na strunach. Ojciec patrzył na dzieci z zachwytem, jakie one śmiałe i muzykalne, a potem przystąpił do panów muzykantów i przymilnie rzekł:
— Moje panowie muzykancia! Coby wy byli takie dobrzie i zagrali tym małym Żydziętom: niechby się uny uciesili, potańcowali odrobinkę... Ja zapłacę, zaraz postawię piwo!... dobre chałe, co ziony upiekła... Nu, ja was proszę, zagrajcie!
Okowita i piwo zrobiły swoje. W muzykantach zagrała muzykancka krew, złapali swoje instrumenty i dalejże rżnąć polkę, taką w lewo. Dzieci rzeczywiście poczęły skakać w takt muzyki, czemu ojciec przyglądał się z miłością i z zachwytem, sam przytupując nogą.
Doskonałej zabawy nie zmącił nagły turkot wozu i stuk kopyt na zajeździe. Naraz odwaliły się drzwi i do środka wpadła znana już muzykantom rozjuszona zgraja, z przekleństwem i znowu z pogróżkami. Muzykanci zbledli, jak skamieniali patrzyli, co z tego będzie.
— To tam całe wesele na was czeka, ludzie chcą tańczyć, a wy takie syny tu? Na zabawę przyszliście sobie, za nasze pieniądze! — wrzeszczał jeden, którego poznali, to on błyskał im nożem przed oczami. — To tu kupuje się struny?
Spokój stracili wszyscy, z wyjątkiem szynkarza. A bo on to jedną awanturę widział? Szybko posłał po policjanta, który w tej okolicy zawsze się kręcił. Ale muzykanci nic o tym nie wiedząc, poczęli się łagodnie spraszać, że oni tak tylko na chwilę tu wstąpili, przecież coś musieli zjeść, ale już idą po struny, to bliziutko stąd.
— Wy panowie — znów prymista zwrócił się do bandy — poczekajcie tu chwileńkę, a żeby się wam nie nudziło,

napijcie się. Chaim! — krzyknął na szynkarza — każdemu z tych panów po półkwaterce, ja płacę! — zawołał. — My skoczymy na jednej nodze, już jedziemy! — dodał z radością, jakby ich tam czekało największe szczęście. I wszyscy trzej wyskoczyli jak z procy.
— Na stację! — warknął prymista i pierwszy ruszył prościutko w kierunku dworca. Prawie biegli, przezornie raz po raz oglądając się za siebie. Wreszcie znaleźli się w poczekalni. Właśnie akurat znany im kolejarz krzyczał przeciągle, że pociąg w kierunku Przemyśla już wyrusza. Nawet nie próbując kupić biletów, wskoczyli na peron i prosto do wagonu. Za moment pociąg ruszył...
Kiedy wreszcie pociąg zadudnił na moście nad Wisłokiem, jakby po raz drugi w tym dniu wstąpiło w nich życie. Basista niczym karakon wyskoczył na ławkę, spuścił portki, wypiął tyłek w okno i darł się:
— Teraz w dupie was mamy! Tu nas możecie pocałować, wy połcorze przeklęte! Czekajcie tam na nas do śmierci, żeby do was jak najprędzej przyszła! — wrzeszczał.
— Do worka nam chuchnijcie! — mruczał sekondzista.
— No, wiecie już teraz, jak piekło wygląda? — filozoficznie zapytał prymista. — Już tam moja noga nigdy w życiu nie postanie, w tych pierońskich górach! — wycedził zawzięcie. — A z Marcinem to my się kiedy spotkamy, musimy mu przecież podziękować za takie wesele, nie? — zwrócił się do kompanów, jakby oczekując aprobaty.
— Aptfy! — splunął sekond, spojrzawszy w kierunku południowym, gdzie na horyzoncie garbiły się „góry". Marcina nieprędko spotkali; on sam wolał się nie pokazywać w swojej wsi. Do ojca nawet nie zaglądał, wstyd mu było. Wkrótce rozniosło się, że Marcin źle trafił, że go Pan Bóg skarał, iż ojca nie posłuchał. Ta czarująca białymi zębami i czarnymi ślepiami dziewka okazała się istną diablicą, babą z piekła rodem. — Nie wyrodziła się,

nie! — przytakiwał prymista. Była ta Marcinowa baba dokuczliwa jak osa, potrafiła skakać do niego z pazurami jak wściekły pies.
— Dobrze mu tak! Za to nasze wesele — „żałowali" go znajomi muzykanci.

— Wiejskie grajki weselne żadnej gry ani się nie uczą, ani nie ćwiczą, jak to robią w szkołach — opowiadał mi niestrudzony gawędziarz Józef Ryś. — Już rodzą się grającymi. A kiedy schodzą się do kupy, od razu się zgrywają. Na poczekaniu też tworzą, czyli układają melodie oraz teksty; według okoliczności, jak potrzeba. I płyną piosenki proste, pierwotne, śpiewane i grane w jednym głosie.
Prymiście — zawsze skrzypkowi — towarzyszy klarnecista. Obaj wygrywają jedną melodię, tylko że ozdabiają ją według swego gustu i umiejętności. W tym pomagają im basista i sekundzista. Po największej części to ci dwaj ostatni wcale grać nie muszą umieć; wystarczy im tylko jakie takie poczucie rytmu i tempa a harmonicznie z tamtymi dwoma wcale się nie zespalają, ponieważ o muzyce nie mają żadnego pojęcia. Sekundziści mają wtórować skrzypcom, czyli wspomagać ich w graniu. A basista, również nie umiejący grać na swoim instrumencie, popycha to wszystko swym harowaniem i dudnieniem na basach, dodając czaru tak grającym jak i tańczącym.
Tak stworzyło zespół dwóch braci Wilków: Frynk i Stanley Wolfy. Tak się wabili z angielska, ponieważ dłuższy czas przebywali w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, czyli w Hameryce. A po prawdzie to się nazywali Franek i Stach Wilki. Byli oni wielkimi miłośnikami muzyki; tak na oko. Ale po prawdzie to byli amatorami do pieniędzy, o czym marzyli i mówili dniami i nocami. Ale grać nie umieli ani krzty. Natomiast słyszeli od ludzi, że muzykanci bardzo dobrze zarabiają. Tak się spaskudzili i uwzięli na muzykę, że grać im się zachciało, jak na złość. A jak mówili o graniu, to równocześnie o pieniądzach.



Ze szkicownika Władysława Chajca, rzeźbiarza ludowego (22)

Z tego też powodu lubieli zahandlować, czym się dało. Ale najbardziej podpadł im handel instrumentami. A że na nich nic a nic się nie znali, zawsze pozbywali się lepszych a nabywali gorsze. Toteż nie tylko że nie zarabiali na tym interesie, to jeszcze najczęściej dopłacali. Stanley miał skrzypce i klarnet, Frynk żadnego instrumentu. Uradzili sobie i postanowili Frynkowi kupić basetlę, bo miał ochotę do gry na tym właśnie instrumencie. Aby zrealizować swoje postanowienie, wybrali się na jarmark do Rzeszowa. Stanley po drodze zabrał klarnet do sprzedania, który sobie przywiózł z Ameryki. Co się miał poniewierać po chałupie, kiedy nie umiał na nim zagrać. Żeby nie przeczucać grata z miejsca na miejsce, postanowił sprzedać, chociażby za byle co. W Rzeszowie, naprzeciw ratusza na Starym Rynku, w samym jego środku stał pomnik Tadeusza Kościuszki,

wykuty z kamienia [17]. Pod tym pomnikiem muzyki w dni targowe sprzedawały i kupowały różne stare instrumenty, po największej części skrzypce i basy; przeważnie już nie nadające się do użytku. Tu też niebawem znaleźli się nasi: Frynk ze Stanley'em, no i z klarnetem. Najpierw pochodzili, porozglądali się, co nieco popytali o ceny i zaczęli szukać kupców na klarnet. Niedługo trzeba było szukać i namawiać; klarnet był tani i dobry, wnet go też sprzedali. Następnie wzięli się do kupna basetli. I tu im zeszło nieco dłużej. Udając wielkich znawców oglądali każdą dookoła, ile ich tam było, darli po nich smykiem niby piłą, próbując, czy mają dobry dźwięk. Robili przy tym huk tak niesłychany, że zwabili do siebie pół miasta. Każdy chciał się dowiedzieć, co to za niesamowite grzmoty. Wkrótce zrobił się koło nich wielki ścisk. Na jarmark przychodziło dużo ludzi po to, aby się ubawić, napatrzyć. Jak się tacy poznali na kupcach, dalej z nich drwić i wołać:

— Koncert! Koncert na basetli! Grać tam jeszcze! My chcemy słuchać, grojcie nom! — słuchacze nabijali się coraz bardziej.

Było tedy pod Kościuszką przypowieści i śmiechu co niemiara. Nareszcie przystąpili do kupna. Obrali teraz basetlę pierwszą z brzegu, zresztą nie było tam i w czym przebierać, wytargowali, uderzyli parę razy w rękę, dobili ugody i zapłacili za istne szczerupy. Tylko kazali sobie wyrzucić dwa centy na bruk, aby się basetla darzyła; takie było prawo.

Miało się już ku wieczorowi. Słonko nisko wisiało tuż nad zagajami Starego Wisłoczyska. Od Dębiny do Krzywego Wału, oblane żółto-tęczowymi falami słonecznego światła, zbliżały się do wsi dwie nikłe postaci. Im bliżej Kogutowego Kąta, tym stawały się wyraźniejsze. A gdy wyszły z niskiego Podwisłocza na wysoki brzeg gościńca, było ich widać wyraźnie, jak na dłoni. Ubrani byli w długie, czarne amerykańskie oberkołty i podobni

do olbrzymich karaluchów albo do chrabąszczy. W miarę jak zbliżali się do wioski, stopniowo przybierali ludzkie kształty. Byli to oczywiście bracia, Frynk i Stanley.
Frynk na swoich krępych i barczystych gnatach niósł dużych rozmiarów basetlę. Niósł ją bardzo delikatnie i nader ostrożnie, gdyż było to jak żegotka: połupane, podrutowane, że Boże ratuj i zlituj się. Lada chwila mogło się to w krupy rozsypać. Czy mógł kto wiedzieć, ile bójek weselnych widział ten stary grat? Dlatego Frynk szedł równo i lekleńko, jak z jajami.
Gdy znaleźli się już w domu, Frynk pomaleńku zdjął basetlę z karku i przypatrzył się jej z lubością. Obrócił nią parę razy dookoła, tak jakby chciał z nią przeprowadzić szkołę tańca. Jeszcze raz długą chwilę przypatrywał się spełnionemu marzeniu, a gdy już basetlę zlustrował dokładnie, szarpnął siarczyście pazurami struny, brzęknął potężnie i przystawił kosmate ucho do wierzchniej płyty — czy aby miała dobry jęk. Nie było jęku. Grat charkał tylko jak dorzynane bydlę, co wydaje z siebie ostatni dech.
— Próbuj jeszcze raz! — odezwał się Stanley. Tedy Frynk szarpnął powtórnie i z większą jeszcze siłą; nic się nie poprawiło. Basetla wydała teraz skowyt i na tym pozostało.
— Trzeba będzie na niej dużo grać, a wygra się i dźwięk naprawi — oświadczył znowuż Stanley.
— No, jo! — Frynk przytaknął pod nosem i jak niepyszni postawili basetlę w kącie za piecem; na straszne utrapienie wszystkich domowników. I tak basetla po wieloletniej poniewierce doczekała się spoczynku, a o basiście pojawiła się taka pogaduszka:

Marzy wiecznie o muzyce i smaruje sobie smyczek.
Bas stoi koło komina, grania jak ni ma, tak ni ma.

Basista nie zasypiał jednak gruszek w popiele. O graniu myślał cięgiem i szukał go niestrudzenie. To w dzień, to w nocy łaził i szwendał się po rozstajnych drogach, niby

kot z pęcherzem i pytał każdego z osobna: — Czy nie potrzeba gdzie muzyków?
Nareszcie nadarzyła się im upragniona na granie chwila, o czym z lubością marzyli całe swoje życie. Był to karnawał; świat szumiał i huczał od zabaw, wesel i różnych hulanek. Nie dziw tedy, że dał się odczuć wielki brak muzykantów. Grało co żywe i jako tako umiało smykiem ruszać, nawet ślepe i kulawe. I taki ktoś, szukając muzykantów, błąkał się po ulicy i rozpytywał o grajków; kto by to nie był, byle cośkolwiek zagrał. Basista Frynk w mig zgodził się na granie. Z bratem Stanley'em poszukali do siebie więcej takich, co jak oni nie umieli, zebrali się w kupę i już sformowali zespół. Wyruszyli w umówionym dniu, tak po prawdzie — z motyką na słońce.
Wesele odbywało się na folwarku w Trzebownisku, bardzo blisko Łąki. Żenił się Maciek Ćwieków, który obsługiwał trzodę chlewną. Rządcowie chcieli mu zrobić pokazowe wesele, postarali się o doborowe trunki, obfite i smaczne przekąski. Było tedy co jeść i pić, jeno grać nie miał kto. Toteż przybyłych muzykantów uraczono dobrze; dano im dosyć wódki i piwa oraz placka weselnego, ile zdołali zjeść. No i nareszcie zaśpiewali im i kazali grać. Napróbowali się, w ten i inny sposób, tak i owak, w tę i tamtą stronę — w żaden sposób nie wychodziło. Chociaż basista Frynk wciąż wołali: — Łapaj Stachu... łapaj Grzechu — nawet i to nie pomogło.
Wzięli się jeszcze raz do tego i znowu z miejsca nie ruszyli. Wreszcie odprawiono ich z kwitkiem, a wesele odbyło się bez muzyki; na okropną publikę. Od tego czasu Wilki zaprzestali grać, zresztą i tak nikt ich nie szukał i nie chciał słuchać.
Jeszcze raz trafiła im się okazja, a to na folwarku w Cyfkowie, gdzie dla fornali urządzano małą gościnę dożynkową. Mieli oni tam krewnego karbownika i ten zaprosił ich na libację. Zaproszeniem nie pogardzili, nie

zapomnieli też zabrać instrumentów, chociaż o tym w ogóle nie było mowy.
Nikt we wsi nigdy nie dowiedział się — bo i nie było od kogo — jak to naprawdę było z tym graniem na obrzynkach w Cyfkowie. Sami bracia chwalili się przed każdym napotkanym, jak to ładnie muzykowali. Ale było to już i ostatni raz, bo wątły Stanley zachorował na płuca i wnet pożegnał się ze wsią i bratem. Zaś Frynk od tego czasu zaszył się w swojej zagrodzie i już tylko sam koncertował na swojej basetli.
Mieszkał Frynk prawie w zaroślach, wśród bagnisk i krzewów, nad badunią przy wiecznie błotnistej drodze, na tak zwanych „Wilczych Dołach". Tam też żaby, na wzór Frynkowych basów, duczały i kumkały, jakby odprawiały wieczne serenady. A może wtórowały swojemu sąsiadowi? Bo ten uparcie uważał się za wielkiego muzyka; było to ulubionym tematem jego opowiadań. Jako muzykant, uważając mnie za kolegę, często wstępował do mnie na pogawędkę.
Z czasem opanowała go, a po prawdzie to opętała iście chorobliwa mania gry na basach. Nie przyznawał się do tego, że stale myślał o zarobku. Mimo wieku o grze wciąż nie miał zielonego pojęcia. Ale wyobrażenie o sobie miał wielkie, często chwalił się: — Myśmy grali tam, to znowu tu... — lał niestworzone rzeczy i Boże niewidy. Nie dał sobie też nigdy wytłumaczyć, że grać nie umie. Nie można mu było tego powiedzieć.
Nie wiadomo w jaki sposób, ale wyuczył się chodzić z kolędnikami. Wówczas srożył się i puszył jak paw lub kogut. Kiedy niekiedy ktoś tam i puścił z miłosierdzia tych psotników, dygocących od zimna na środku ulicy; ale to nie przytrafiało się zbyt często. Toteż basiście zawsze wąsy dobrze osędziały, zanim się gdzieś wpakowali i zaczęli kolędować. Wtedy Frynk przemieniał się w wielkiego pana. Stawał koło komina wyprężony jak

struna i basował zamaszyście, wtórując skrzypkowi, który świerczał na swoim instrumencie:

Szczęśliwe czasy nam się zjawiły,
Łaskawe nieba Boga spuściły.
Żywot święty, niepojęty, Maryi miły.

I ty, słuchaczu, bądź dziś wesoły,
Bo nawet wszystkie skaczą żywioły.
Zbądź frasunku, dodaj trunku, co robią pszczoły!

Pewnego razu Frynk przyszedł do mnie i zastał mnie grającego na skrzypcach. Nie namyślając się długo i nie pytając, złapał stojący w kącie kontrabas i zaczął piłować po nim smykiem z całej siły i jadliwie, przerabiając na strunach już nie palcami — a te były grube jak trzonki od sierpa — ale całą pięścią. Chodził przy tym po szyjce od klucza aż do podstawki jak opętany. Czynił w ten sposób tak przerażający łuzgot, nie podobny do żadnych tonów, ale do ryczącego bydła, żywcem ze skóry obdzieranego. Mnie aż ciarki przechodziły.
Zwróciłem mu wtedy uwagę:
— Franciszku! Nie przytykajcie pazurów do strun, nie trzeba przerabiać, grajcie na próżnych strunach, dostaniecie czyściejsze brzmienie. Bo wy i tak palcować nie umiecie, nie znacie żadnego krycia i nie wiecie, gdzie który palec postawić.
Ale nie dał się przekonać. Natomiast ostro odpowiedział:
— Kiedy to się należy przerabiać, bo wszystkie muzyki na instrumentach tak przerabiają. — Był tak dalece pewny, że umie dobrze grać, a tymczasem nawet w tempie nie mógł się utrzymać, nie mówiąc już o rytmie. Dodał wreszcie z wielką dumą:
— Czy ty wiesz, jak my pięknie grali w Cyfkowie, na obrzynku? — I wciąż tylko z tym Cyfkowem wyjeżdżał.
Zdarzało się, że muzyków takich jak Frynk brało się tylko na paradę, do rachuby. Pożytku z nich nie było żadnego.

Taki człowiek darmo spacerował z basami po obcych wsiach. Różne łotrzyki i łobuzy rychło się na takich poznawały i tylko węszyły, jak by im spłatać figla. Znając Franciszkową manię do grania, przychodzili prosić go niby to na wesele. Godzili go i kazali się zgłosić w tym a tym miejscu i o tej godzinie. A że Frynk był punktualny i naiwny jak dziecko, zjawiał się z basami co do minuty i krążył jak wyżeł szukający wiatru. Zaś łotrzyki, dobrze ukryte za węgłami i pod przydachami, urągały basiście, że dał się na dudka wystrychnąć. Po kilku takich nauczkach nie dał się więcej nabierać na niby wesela. Niedługo później stary Frynk przestał już chodzić grać. Tylko czasami, w chwilach wspomnień młodości, pobrzękiwał na swojej basetli, mrucząc stare melodie. Ale zdarzyło się, że zaproszono jeszcze raz dobrze już podstarzałego i posiwiałego Franciszka na granie. Było to tuż zaraz po drugiej wojnie, w święto 1 Maja. Dzień ten był uroczyście obchodzony. Ludność wiejska jechała na uroczystości do Rzeszowa furmankami. Aby wypaść jak najefektowniej, zabierano z sobą muzykę. W wiejskich kapelach musiały być tradycyjne basy. A że nowe zespoły nie używały tego instrumentu, wzięto basistę z serca i duszy, starego Franciszka, zadowolonego i wielce tym uradowanego. Ja też byłem w tej muzyce i pamiętam dobrze, co się wówczas wydarzyło. Zatrzymaliśmy się w Staromieściu i dalej ruszyliśmy do miasta piechotą, gdzie mieliśmy zająć miejsce w pochodzie. Zaledwie uszliśmy kilka kroków, kiedy basista Franciszek upadł w poprzek na samym środku gościńca i zatarasował na drodze przejście i przejazd. Za nami ustawiło się pełno furmanek, pieszych i aut. Czekają, a tu basista leży jak olbrzymi żółw, związany basami, od których ani rusz nie udaje mu się odłączyć. Kabel, na którym basy wisiały niby karabin, krótki i cienki, wpił się w kark, zatrzymał dopływ krwi i chłopa żywcem dusi. Gorzej, bo nie ma żadnej rady uwolnienia starego od tej męki. Głowa przez kabel za

żadne skarby świata nie przejdzie. Wepchać wepchał, ale z powrotem — szkoda mówić. Odwiązać się nie da, bo kilka stalowych drutów tak się splątało i zawikłało, że szkoda myśleć. Przeciąć też nie ma czym. A tu chłop leży prawie bez duszy, pojękuje i prawie dogorywa, z każdą sekundą życie z niego szybko uchodzi.
Zator zrobił się okrutny, przybywało wciąż aut i furmanek, a tu ani rusz. Aż dopiero ktoś wpadł na dobry pomysł; Franciszka, zrośniętego ze swoją basetlą, ściągnięto do rowu, posłano gdzieś do kowala po młot i obcęgi. Operacji dokonano już w rowie. Niestety; basista udziału w pochodzie nie wziął, leżał spokojnie w przykopie. Będąc tą kontuzją mocno osłabiony, wrócił leżący na wozie w towarzystwie swojej ukochanej basetli. I tak się zakończyło muzykowanie na basetli.
Za jakiś czas dowiedzieliśmy się, że basista Frynk pomarł. Dostał jakiejś ciężkiej astmy z kaszlem i silnymi boleściami w piersiach. Pomarł Frynk Wolf — po prawdzie Franciszek Wilk — a po sobie pozostawił prawdziwą sierotę, umiłowaną towarzyszkę niedoli, basetlę, której dochował wierności do śmierci. — Nie opuścił jej, myśląc o niej — jak opowiadała jego córka — do ostatniego — tchu.

CZĘŚĆ DRUGA

Pamiętniki muzykantów

PIOTR OLENIACZ

Było to w roku 1963, w pierwszej połowie sierpnia, w czasie przeprowadzania badań terenowych w dawnym powiecie brzozowskim. W poszukiwaniu ludowych narratorów znalazłem się w dużej i ciekawej wsi, Grabownicy Starzeńskiej; tam wszyscy odsyłali mnie do dziadka Piotra Oleniacza. Jego dom łatwo było znaleźć, stał tuż koło szosy. Kiedy wszedłem do sieni, takiej typowej na Podgórzu, zobaczyłem starszego mężczyznę zajętego robieniem wiklinowego koszyka. Siedział na stołeczku, a obok leżała cała góra pręci. Ręce koszykarza chodziły jak maszyna. Byłem tedy przekonany, że mam przed sobą Piotrowego syna, bowiem Piotra określano mi jako człowieka bardzo starego.

— Szczęść Boże! — zawołałem na powitanie.

— Dej, Panie Boże! — padł jakby odzew. Ale koszykarz prawie nie podniósł oczu, żeby zobaczyć, kto przyszedł, tak był zajęty robotą.

— Czy dziadziu Piotr Oleniacz są w chałupie?

— A bo co? — posłyszałem pytanie na pytanie. — A to ja jestem. Czego pan ode mnie chce? — znów zapytał, nie odrywając oczu od roboty.

— Aaa!... to wy? A ja myślałem, żeście syn Piotra. Mówili mi: dziadek Oleniacz to człowiek bardzo stary, a wyście jeszcze chłop! To wam powiem, co ja od was chcę; żebyście mi poświęcili pięć minut czasu na rozmowę. Mam się was o coś zapytać — zagadywałem po swojemu.

— Panie! — wykrzyknął koszykarz. — Teraz sezon, wnet będą kopali ziemniaki, ludzie czekają na koszyki, nanieśli mi pręci, ja muszę zarobić, a panu zachciewa się pogadanki! — fuczał na mnie.

Ale ja, zamiast odejść po mało gościnnym przyjęciu, usiadłem naprzeciw dziadka. Znam tego rodzaju ludzi

i nigdy nie zniechęcam się.
— No to mi powiedzcie, ile wy zarobicie na takim koszyku? — zapytałem.
— Ile?... dwadzieścia złotych od roboty, bo pręcie każdy sobie sam przynosi, to panie, dużo! — wyjaśnił.
— A ile wy takich koszyków zrobicie na dzień? — pytałem niestrudzenie, wiedząc, że raz rozkręcona rozmowa potoczy się dalej w pożądanym kierunku.
— Czasem to i dwa! Ale najczęściej to półtora, to jest zawsze trzydzieści złotych! — podkreślał chełpliwie, że taki jeszcze zuch.
— Dziadziu! A wyście podobno robili skrzypce? — przeskoczyłem na inny temat, widząc, że rozmowa się rozkręca.
— A robiłem! Jeszcze ile! I basy! Co kto chciał — mówił o tym z widoczną dumą, coraz częściej zerkając na mnie.
— To może macie coś ze swojej roboty, może skrzypce? — zapytałem na chybił-trafił, myśląc, że może nabędę do zbiorów muzealnych.
— A mam, o! wiszą nad łóżkiem, niech pan zobaczy! — i wskazał w kierunku otwartych do izby drzwi. Zdjąłem ze ściany skrzypce razem ze smyczkiem i począłem je oglądać ze wszystkich stron. Były surowe, nie malowane, ale wcale nie były prymitywnie robione. Smyk też był przyzwoicie wyrobiony.
— Wie pan?... ja tego dużo narobiłem, a te to niedawno. Jeszcze nawet nie pomalowane. To dla takich początkujących, bo starzy muzykanci woleli fabryczne. Ale i moje nieźle grały — wyjaśniał dziadziu.
— A może byście sprzedali te skrzypce? — ruszyłem do interesu.
— A sprzedam — otrzymałem natychmiast odpowiedź.
— To ile za nie? — szedłem już na całego.
— Stówa!
— To ja wam dam półtorej! — podniosłem, bawiąc się tego rodzaju handlem i myśląc: Co to jest dla muzeum

półtorej setki? A co dla starego człowieka?
— Naprawdę? — dziadziu wyrzekł z niedowierzaniem i po raz pierwszy przerwał robotę, patrząc na mnie badawczo.
— Tylko dziadziu, musicie mi podpisać rachunek, bo to nie dla mnie, a dla państwa. — Umiecie pisać? — zapytałem, bo w tym wieku ludzie nie zawsze potrafili. Kiedy mój lutnik wziął do ręki pieniądze, a ja pisałem rachunek, nagle stary cisnął do kąta zaczęty koszyk i zawołał wesoło:
— No, teraz to możemy rozmawiać! — Następnie wyjął z kieszeni okulary, a kiedy podałem mu długopis, machnął na papierze wcale wprawny podpis.
— Słuchajcie no, dziadziu Piotrusiu! — zacząłem teraz już familiarnie — jeśli wyście grywali, jeśli robiliście instrumenty, toście powinni też śpiewać. No, potraficie? — szedłem pod ambicję.
— Ho, ho! Umiem, i to jeszcze jak! Jak chcecie, to wam zaśpiewam — jak rzadko kto wyraził od razu gotowość. Nastawiłem magnetofon, a dziadziu Piotruś zaczął śpiewać pewnym i czystym głosem. I oto wyszedł z niego muzykant: śpiewał piosenki na melodie do tańca. Słuchając całego „różańca" typowo weselnych przyśpiewek, nie bez radości stwierdziłem, że treść ich jest bardzo frywolna. Podkreślam, nie lubieżna, ale frywolna. Kiedy następnie przegrałem śpiewakowi jego występ, zauważyłem wesoło:
— Wiecie wy co, dziadziu? Mówili mi, że codziennie chodzicie do kościoła, pod tę górę, żeście pobożny, a wy śpiewacie takie gorszące piosenki. Czekajcie! Teraz ja z tym pójdę do proboszcza i przegram mu, coście śpiewali. On wam już da za swoje! — żartowałem. Myślałem, że dziadzio nieco się speszy, ale odpowiedzią na moje groźby był szczery i bardzo wesoły śmiech. — Co się to stało? — pytałem w duchu sam siebie.
— Panie! — zawołał przez śmiech, który rwał mu wyrazy. — Ja mu, to jest proboszczowi, jeszcze lepsze zaśpiewałem...

to wie pan? Tylko mnie uścisnął — skończył wciąż się śmiejąc.

W czasie badań terenowych zazwyczaj zabieram ze sobą „piersiówkę" z mocniejszym płynem. Dziaduś Piotruś po „jednym" stał się jeszcze weselszy. Po pół godzinie staliśmy się przyjaciółmi. Ponieważ czekała mnie jeszcze dłuższa droga, uznałem, że pora przystąpić do końcowego interesu. Po prostu zaproponowałem dziadziowi napisanie dla mnie pamiętnika. I znowu zdziwienie: zgodził się bez najdrobniejszych ceregieli, z jednym tylko zastrzeżeniem; że napisze dopiero w jesieni i w zimie, kiedy już będzie miał dużo czasu.

Wczesną jesienią pojechałem do dziadzia Piotrusia — inaczej go nie nazywałem. Przywiozłem ze sobą zeszyty, atrament, pióro i coś tam jeszcze. Na wiosnę oba zeszyty były zapisane od okładki do okładki. Pod koniec pismo było już trochę niezgrabne. Pamiętnik przeczytałem jednym tchem; jakżeż mogłem inaczej. I spotkał mnie niejaki zawód. To, o co mi chodziło najbardziej — dziadkowe granie i lutnictwo — zostało potraktowane niejako marginesowo. Zajmuje niewielką część całości. Natomiast inne przeżycia Oleniacz opisał bardzo szczegółowo: dzieciństwo, pobyt w Ameryce, a przede wszystkim wydarzenia w czasie pierwszej wojny światowej. Również obszernie przedstawił okres okupacji hitlerowskiej.

Po pewnym czasie, wczesną jesienią znowu skoczyłem do dziadzia Piotrusia. Dojeżdżając do domu spostrzegłem dobrze znajomą mi postać starego. Siedział na łące, na pniu ściętego drzewa, twarzą do słońca. Wysiadłem z auta i z odległości kilkudziesięciu kroków zawołałem niezbyt głośno:

— Dziadusiu Piotrusiu!

— O, mój pan dyrektor! — zawołał z miejsca dziadzio, bynajmniej nie odwracając się w moją stronę. Pomyślałem:

— Taki słuch w dziewięćdziesiątym roku życia!

Po serdecznej, wstępnej rozmowie nawróciłem do pamiętnika i klarowałem, o co mi najwięcej chodzi.

A wtedy dziadzio — niskim i smętnym głosem, bliskim płaczu, po prostu wyjęczał:
— Proszę pana, już nie mogę. Ręka by chodziła, pamięć mam dobrą, wszystko pamiętam, tylko oczy. Już nie pomagają okulary... łzami zachodzą. Już tamto ledwie dokończyłem. Z początku szło mi dobrze, ale jak przyszła zima, coś mi się stało... łzy zalewają oczy nawet jak nie piszę. Niech się pan na mnie nie gniewa! Już nie mogę! — zapłakał.
Żal serdeczny mnie ogarnął. Odwiedzałem go parokrotnie. Ciężko przechodził zimy. Ale wciąż zachowywał jasny umysł i pamięć. Zmarł minąwszy dziewięćdziesiątkę. A ja pomyślałem: — Czy dużo jest pamiętników napisanych w dziewięćdziesiątym roku życia?
A oto co odnosi się do muzykowania i lutnictwa w pamiętniku Piotra Oleniacza.

*

„Tata umarli w listopadzie. Pamiętam dobrze, śnieg spadł wielki, powyżej kolan. Ale ja poszedłem do szkoły i na drugi dzień. Chłopcy powiedzieli panu, że mnie umarł ojciec. To mi nie kazał przychodzić, kiedy będzie pogrzeb. Tatusiowi było 50 lat, umarli na astmę. Starszy brat miał lat 20, siostra 17, drugi brat 15 i ten cały rok chorował na nogę, tak że mu kostki z nogi lazły, miał wielki ból. Za mną były jeszcze dwie młodsze siostry. Było nam smutno, a mnie nauka szła już ciężej. [...] Ale siostra wyszła za mąż [...], najstarszy brat pojechał kupić dęba na materiał (był stolarzem), przemarzł, zachorował ciężko i do miesiąca umarł. Zostało nas czworo dzieci. Przyszedł sąsiad i ożenił się z mamą. Matka nam nakazała, abyśmy tego tatusia słuchali, co nam każe robić. Przyzwyczailiśmy się do tego człowieka. Był gospodarny i dbał o wszystko, dobrze nam było.
Mój stryjeczny brat szedł do wojska, a miał stare skrzypce. Chciał, abym je kupił od niego, chciał 3 korony.

Ojczym kazał mi kupić i ja kupiłem. Gdy się chłopaki dowiedzieli, że ja mam skrzypce, zaczęli do mnie przychodzić uczyć się grać. Przychodzili co wieczór. Nareszcie jeden kupił w drugiej wsi stary klarnet i razem uczyliśmy się cały rok. Jak my się nauczyli, ja znowu dowiedziałem się, że są basy do sprzedania. Poszedłem, ale że były stare, bez stron i smyczka, kupiłem te basy za koronę. Smyczek musiałem sam zrobić i włosienia kupić. Zładowałem go. Za trzy struny do basów zapłaciłem 6 koron. Jak to było: basy koronę a struny sześć. Były to stare rupiecie. Tak ja mówię do tych chłopaków: — Ja zrobię basy bez zimę. — To oni mi powiedzieli: — Jak potrafisz, to zrób. — A ja: — Jak człowiek zamyśli, to i zrobi. — Tak było.

Poszedłem na drugi koniec wsi do takiego gospodarza, co miał 10 półsążków suchego drzewa. Kazał mi sobie wybrać i ja wybrałem dwie duże płachty. Kazał sobie zapłacić i zapłaciłem dwie korony. Związałem i przyniosłem do domu. Na drugi dzień poszedłem do bednarza. On miał na materiał jodłowe drzewo połupane na płachy. Poprosiłem go, aby mi sprzedał. Nie odmówił mi, tylko sprzedał za trzy korony. Przyniosłem do domu. Jeszcze by mi trzeba na boki. Na drugi dzień wieczór poschodzili się chłopaki, aby uczyć się grać. Mówię im, że już mam materiał na basy. Oni mi nie wierzyli, musiałem im pokazać. I tak my się dalej uczyli grać.

Wszystko byłoby dobrze, żeby były nowe basy. Mówię do chłopców, by się dowiedzieli, gdzie by można było kupić drzewa jaworowego albo trześniowego. Jeden z tych chłopców mówi: — Mój stryk wykopali trześnię z korzeniami na sanie, to by ci może sprzedali, a ten stryk nazywają się Wojciech Adamski.

Na drugi dzień poszedłem do niego, a on już robił koło sanic. Kazał mi zaczekać, aż on przerznie piłą na dwoje i zobaczy, czy z tego może coś być. Tak przerznął i przełupał. Była płacha akurat dobra. Więc zapłaciłem mu

dwie korony.
Już jesień [...], już zaszła zima, już się pracuje koło sani, bo ludzie potrzebują [...]. Po Godnich Świętach trzeba robić koło kanap i łóżek. Widzę, że tak cała zima zejdzie, tylko mig! Upływa rok za rokiem i już mi rok siedemnasty, a tu basy nie robią się, choć materiał gotowy. Chłopaki mi dokuczają, czego nie robię basów. Tak ja się wziął do roboty. Powoli robię naprzód szyjkę, rzeźbię, a potem spód, wierzch i boki. Dość, że za jeden miesiąc zrobiłem te basięta. Ale ludzie nie dają mi spokoju, tylko robić drzwi i okna do nowego domu. [...] Tak mi zima zeszła jak jeden dzień. Basy czekały. Dopierom skończył w kwietniu. Chłopaki też czekali, ale niecierpliwie [...].
Ja pracowałem przy warsztacie, robiłem stolarkę w zimie, a w lecie pomagałem w gospodarstwie. [...] Ja przyszedłem z wojska, a mamusia już byli chorzy. Chorowali niedługo i umarli. Została (w domu) jedna siostra, najmłodsza i tak my gospodarowali jeszcze trzy lata, razem w domu. Ja chodziłem grać po weselach i robiłem stolarstwo."

WOJCIECH SOCHA

Wojciech Socha należy do najciekawszych twórców ludowych, jakich spotkałem. A został „odkryty" dopiero w roku 1967, w czasie badań zespołowych prowadzonych przeze mnie, kiedy twórca liczył sobie... bagatelka: 79 lat. Na napisanie pamiętnika zgodził się nawet skwapliwie. Było to zrozumiałe: oto starym, biednym człowiekiem, siedzącym w małej, prymitywnej chałupince na peryferiach wsi, dobrze już głuchawym, nagle ktoś się zainteresował. Pamiętnik swój podyktował mi w 1968 roku, a zmarł trzy lata później. Wspomnienia Wojciecha Sochy są niezwykle przejmujące, zwłaszcza dotyczące jego dzieciństwa, ukazane w początkowych partiach pamiętnika.

„Urodziłem się 1888 roku 24 grudnia. Byłem nieprawego łoża. Matka moja nie mogła mnie utrzymać przy sobie, musiała mnie dać na wychowanie obcej kobiecie. A sama musiała pójść na służbę. I płaciła kobiecie za wychowanie. Po roku czasu matka nie mogła płacić za wychowanie. Tak ta kobieta nie chciała mnie dalej chować i żywić. Odwiozła mnie do wujka. Ale wujek nie chciał mnie przyjąć, bo się bał żony. Nareszcie owa kobieta rzuciła mnie na obejście mojego wujka, na trawę. Tam skubały gęsi. Więc te gęsi obstąpiły mnie w koło i szczypały. Żona wujka już nie mogła znieść tego widoku, tak prosiła męża, żeby wziąć to dziecko i wychować, bo swoich nie mieli. — To się nam przyda — mówiła. Chowałem się tam siedem lat i już zacząłem chodzić z krowami na pastwisko.

Wtedy sąsiedzi zaczęli zazdrościć wujkowi, a przeważnie druga wujna. Poszła do wójta, żeby tego chłopca — niby mnie — stamtąd wziąć. Zawołali wujka do wójta, że chłopaka — to jest mnie — odbierają. Wujek przyszedł do domu i kazał mi skryć się pod łóżko. Ale mało to pomogło, bo kiedy przyszedł wójt z wartnikiem z taką krzywą lagą,

to sięgnął tą lagą po mnie, złapał za koszulę i wyciągnął. Złapali mnie na plecy i ponieśli do wójta. Tam osądzili, co zrobić z tym chłopakiem. Ale trafił się gospodarz, który mnie wziął za swojego. Dostał za to trzy stajanka pola i pieniędzy 20 koron. Chował mnie ten chłop trzy lata. Po trzech latach kazał mi iść na służbę do grubego gospodarza. Miałem lat jedenaście.

U nowego gospodarza pasłem bydło i konie. Byłem tam rok. Po roku czasu wziął mnie nazad ten chłop, który mnie chował trzy lata. I znów chował mnie dwa lata. Miałem lat trzynaście, poszedłem na służbę dalej. I znów służyłem dwa lata.

Wziął mnie potem gospodarz znów do pasienia bydła. Był to dobry gospodarz i człowiek. Rozumiał, co to chłopiec potrzebuje. Tak kupił mi elementarz i kazał mi się uczyć. Wziął się do mnie rzetelnie, co wieczór uczył mnie dwie godziny. Tak za trzy miesiące umiałem czytać. Za to kupił mi książeczkę (do nabożeństwa) i posyłał mnie do kościoła, a sam za mnie pasł bydło.

Już po roku czasu poszedłem na inną służbę. Trafiłem na kiepską. Był to muzykant i stolarz i pocieszał mnie, że mnie nauczy (grać i stolarki), ale mało mi dawał jeść, bo i sam nie miał. Wyganiał mnie do pracy na gościniec. A gdy brakło pracy na gościńcu, szedłem do dworu. A on te pieniądze brał. Tak przesłużyłem cały rok. Tak mnie nauczył muzyki i stolarstwa." [...]

*

Niestety, dalsze partie pamiętnika Wojciecha Sochy tylko w niewielkim stopniu dotyczą muzykanctwa. Pamiętnikarz opisuje swoją prawdziwą „drogę na Golgotę", liczne kłopoty, nędzę i ciężkie przeżycia. Sporo pisze o drugiej obok muzyki pasji — rzeźbiarstwie, które uprawiał od 1948 roku. Zaledwie kilka stron pamiętnika poświęcił Wojciech Socha swojemu muzykowaniu.

*

„Pomału te wojny się skończyły. Jednego razu zeszło się u mnie w domu czterech i myślimy: — Co by tu zrobić, żeby się zabawić na święta Bożego Narodzenia? Postanowiliśmy: zrobimy kolędę. — Ale jaką? — pytali. A ja mówię: — Zrobimy szopkę. — Dobrze, zgadzamy się — odpowiedzieli. — Ale jaka to będzie ta szopka? — byli ciekawi. To ja mówię: — Będziecie patrzyć, ja to zrobię. — I zabraliśmy się do roboty. Jedni robili szopkę, ja rzeźbiłem lalki.

Przyszły święta. Zebrało się nas sześciu. Ja pracowałem lalkami, drugi mi te lalki podawał, trzeci grał na harmonii, czwarty — Żyd z workiem, dwóch nosiło szopkę. Żyd wsadził do worka dwa koty. Jak ja przestawałem robić lalkami, to Żyd targał koty za ogony i one bardzo wrzeszczały. I to wyglądało cudnie. I tak [chodzili] do Nowego Roku po pobliskich wsiach. Jak my szli z kolędą, to był zamarznięty staw. Ja im grał, a oni tańcowali, a potem poszli do domów. Dobrześmy zarobili, bo ludzie byli ciekawi widzieć naszą szopkę. [...]

Był we wsi taki Żyd, który zajmował się muzyką. Ja przystałem do jego spółki. I grywaliśmy razem na skrzypcach [niewątpliwie na weselach]. Ale kiepsko na tym wychodziłem. Rzuciłem muzykę i pojechałem na roboty do Kobrynia, do kanalizacji." [...]

*

Wojciech Socha pod koniec swojego życia osiągnął sławę jako znany rzeźbiarz ludowy; jednak zasadnicza jego twórczość szła w innym kierunku, prawie nie pozostawiając po sobie śladu. Socha był człowiekiem teatru, w pełnym tego słowa znaczeniu. I to wielostronnym. Naturalnie teatru jak najbardziej ludowego, kukiełkowego. Umiał tylko czytać. Jeśli chodzi o pisanie, to umiał jedynie podpisać się. A mimo to układał scenariusze do swoich szopek, wciąż odmiennych. Był tedy — w pierwszym rzędzie — scenarzystą. Układał teksty dla lalek, które sam

wykonywał. Nie ubierał ich w szmatki, jak to robiono bardzo często, ale malował figurki wystrugane z drzewa. Lalkami — jak pisze — „sam robił". Był więc reżyserem swojego teatrzyku.

Ilość osób zaangażowanych w szopce Sochy była różna, ale zawsze było takich dwóch, którzy tę szopkę nosili. Oni równocześnie tworzyli chór, powiększany czasem przez innych. Był to chór a cappella, bowiem w skład zespołu teatralnego Sochy zawsze wchodził harmonista, chociaż bywało nieraz, że i skrzypek. Muzykę, a ściśle to melodie do tekstów — przez siebie układanych, chociaż za pomocą starej kantyczki — dobierał czy nawet układał również Socha.

Był więc Wojciech Socha twórcą wielostronnie uzdolnionym. Grał na kilku instrumentach, ale jego wyjątkowa muzykalność poszła w kierunku tworzenia czegoś w rodzaju teatrzyku muzycznego. On też stanowił jego największą pasję życiową.

Józefa Rysia z Łąki znałem bardzo długo. Poznałem się z nim chyba w roku 1936, kiedy przejęty rolą kustosza tworzącego się muzeum, „szalałem" po terenie w poszukiwaniu eksponatów kultury ludowej. Jak trafiłem do Rysia — dziś już nie pamiętam, a diariusz moich penetracji zaginął w czasie wojny. Tam to wydarzenie niewątpliwie było opisane, chociażby z tej prostej przyczyny, że Ryś ofiarował do muzeum w Rzeszowie szereg eksponatów w zamian za pewne rodzaje literatury straganiarskiej, której był namiętnym poszukiwaczem i zbieraczem.
Już wówczas wiedziałem, że jest muzykantem wiejskim. Ale w tamtym czasie ta jego umiejętność mniej mnie interesowała. Więcej jego malarstwo.
Moje kontakty z Rysiem przerwała na jakiś czas wojna. Po wojnie Ryś założył rodzinę. Już go i lata przysiadły, siły osłabły, grał znacznie mniej. Natomiast pod koniec lat pięćdziesiątych dowiedziałem się, że Ryś z pasją zabrał się do malowania i... do pisania. Bardzo byłem tego ciekaw i często Józefa odwiedzałem.
Kiedy Ryś pokazał mi swoje dzieło, zaniemówiłem. Czegoś podobnego się nie spodziewałem. Na „dzieło" to składało się kilka tomików przez samego Rysia zrobionych i oprawionych — jaka szkoda, że na bardzo podłym papierze — a w nich, obok szeregu wierszyków i poematów pisanych w konwencji romantyczno-ludowej, coś co można nazwać „łącką epopeją" — *Wesele łąckie*.
Józef Ryś był nie tylko znakomitym gawędziarzem, ale i pisarzem, okazał się nim zarówno w *Weselu łąckim*, jak i we wspomnieniach muzykanckich.
A oto pamiętnik Józefa Rysia.

*

Pierwszy okres mojego muzykowania

Do muzyki miałem pociąg już od małego dziecka. Gdzie tylko usłyszałem jej dźwięki — a można je było usłyszeć wszędzie — leciałem za odgłosem choćby najdalej; aby tylko widzieć i słyszeć.
Cienkie jęczenie skrzypiec i buczenie basu często rozlegało się po rozłogach, po polach i drogach, gdyż muzykanci wówczas nie nosili instrumentów w futerałach i idąc na wesela czy chrzciny grali na każdym kroku. Grali też serenady za oknami panny młodej, starszej drużki i swaszki. Za nimi krok w krok snuły się gromady dzieci, do których przyłączałem się i ja. I słuchałem, słuchałem, nie mogąc się nasycić tymi tonami, które wydawały mi się słodsze od miodu. Patrzyłem też na muzykantów i ich instrumenty z wielkim zachwytem, leciałem za nimi jak najdalej, mając ich za półbogów. Stanowili oni dla mnie najpiękniejszy, nieoceniony element na świecie. Patrząc na nich i słuchając ich grania, ruszałem do taktu wszystkimi palcami rąk i nóg, żeby zapamiętać melodie i móc je naśladować. W tym celu zrobiłem sobie prymitywne skrzypce z deszczułek, bo nie miałem pieniędzy na zakup lepszych, a z domu też mi nie dano. Założyłem na nich zaimprowizowane z szarych nici i nasmarowanych woskiem struny. Włosień naciągnąłem na zgięty w kabłąk patyk, natarłem go żywicą i zacząłem grać. Ale to granie nie potrwało długo, gdyż o przypadek nie było trudno. Taki i mnie nie ominął.
Było to w roku 1910, miałem wtedy dwanaście lat. Stało się tak, że chłopak z sąsiedniej wioski, pasący razem ze mną bydło na łąkach, zaproponował mi korzystny interes. Ja miałem mu dać moje skrzypce, a on w zamian harmonijkę ustną, dwustronnie grającą — fujarkę z klawiszami i kałamarz w kształcie globusa, zamykający się hermetycznie. Jeszcze miał mi coś dołożyć. Transakcja byłaby bardzo korzystna. Mnie najbardziej zachwycał

kałamarz. Zgodziłem się skwapliwie na jego propozycję. Natychmiast wysłałem siostrę, która mi zawsze towarzyszyła przy pasieniu, żeby prędko przyniosła z domu te skrzypce. Pobiegła, ale jakoś długo nie było jej widać. Obaj czekaliśmy jej z niecierpliwością, ale później okazało się, że mieliśmy się jej nie doczekać z tymi skrzypcami nigdy.

Gdym przygnał bydło i wszedł do mieszkania, zobaczyłem stroskaną matkę, a obok niej niekształtne i połamane cząsteczki z moich skrzypiec. Na ten widok opanowała mnie niezgruntowana boleść i nieukojona żałość. Moje marzenia rozpadły się w proch. Matka wytłumaczyła mi, że chcąc, aby zbrukane i przykurzone skrzypce lepiej się prezentowały, włożyła je do cebra z pomyjami, aby odmokły z brudu. A potem je troskliwie szorowała, aż się jej na końcu w rękach rozlazły. I tak powstały szczątki, nad którymi żałośnie zapłakałem. Serce tonęło mi w bólu i rozpaczy. I tak się zakończyła pierwsza faza mojego muzykowania.

Po pewnym czasie, gdym już przebolał tę stratę i pomału począł o tym zapominać, naszła mnie znów mania do muzyki. Dowiedziałem się, że chłop w Łukawcu zrobił sobie basy i chce je sprzedać. Powiedziałem to kolegom. Jeden z nich miał dwie szóstki i z tym kapitałem we trzech poszliśmy kupować te basy. Chłop był dosyć chętny do sprzedania, ale zażądał siedem szóstek. W targu opuścił jeszcze szóstkę i w niedługim czasie staliśmy się właścicielami instrumentu, ale prawie na bórg, bośmy dali tylko te dwie szóstki zadatku. Reszty biedak zresztą nigdy nie dostał.

Był to kiepski instrument, w dodatku w opłakanym stanie, ale dla nas i taki był cudowny. Oczyściliśmy go trochę z kurzu i pajęczyny, potem przywiązali struny ze szpagatów i zabrali się do grania. Było nas trzech i jeden instrument, ale było nas słychać wszędzie; w izbie, na polu, po drogach i w ogrodach, rano i wieczór. I to był pierwszy mój zespół.

Pewnego razu szedł sobie pan profesor — później dyrektor państwowego gimnazjum w Rzeszowie — Wawrzyniec Wilk z żoną i dziećmi na chrzciny do swej siostry w Łące i posłyszał w pokrzywach przy drodze niesamowite dźwięki. To myśmy się tam usadowili z tym naszym graniem. Przywołał nas do siebie i kazał zagrać. A jak nakazywał obyczaj, dał swym dzieciom kilka niklowych szóstek, aby nam wrzuciły do basów. Dzieciom to sprawiło wielką radość, a myśmy od tej chwili, od pierwszego zarobku, nabrali strasznej ochoty i animuszu do grania. Jakie tam dźwięki z tych naszych instrumentów wychodziły, to nam było obojętne. Aleśmy pana profesora z tą naszą niesamowitą muzyką odprowadzili ładny kawał drogi. Do tego pochodu przyłączyła się jeszcze gromada dzieci i szczekanie piesków. Państwo chcąc się nas pozbyć, kiwali rękami, aby odejść, ale myśmy nie bardzo chcieli ustąpić. Dali nam wreszcie coś na odczepne i dopierośmy odeszli. Wytrzepaliśmy z basów pieniądze i każdemu z nas wypadło po dwie szóstki. Sprawiło nam to wielką radość. Pierwszy zarobek był dla nas istnym majątkiem.

Dalsze losy naszego muzykowania były mniej pocieszne. Wieczorami graliśmy pod oknami serenady. Czasami dał nam ktoś parę groszy, częściej tylko pochwalił. Zdarzało się, że nas także przeganiano.

Jednego razu graliśmy taką serenadę. Tony naszej muzyki nie były widać zbyt upajające, bo koń się chłopu spłoszył. To chłop na uspokojenie konia wsypał nam po parę postronków. To ochłodziło nasz zapał do grania i na jakiś czas zarzuciliśmy ten proceder; aż do zapomnienia tamtych uspokajających konia postronków.

Ale przyszedł znów maj, a z nim chrabąszcze, derkacze bzykanie komarów i kumkanie żab. Przyłączyliśmy się i my do tych radosnych odgłosów i znów zaczęliśmy «koncertować». Upojeni tchnieniem wiosny i wonią rozkwitłych pąków, otoczeni gromadką chłopców

i dziewcząt, w błogim nastroju siadaliśmy na przyzbach w księżycowe noce, ciągnąc zadzierżyste melodie w nierównych taktach aż do utraty tchu. Graliśmy, nie posiadając się z radości. Taka to nas unosiła fantazja. Raz podczas takiego popisu, zatopieni w nastrojach i unoszeni na skrzydłach czarującej nas muzyki w podniebne szlaki, zapomnieliśmy całkiem o rzeczywistości. Ani nie przeczuwaliśmy nieszczęścia, jakie nas miało spotkać. Jak przez mgłę słyszeliśmy pomruki zbliżającej się burzy w postaci chrapliwego, pijackiego ryku. Z furią, jakoby duchy piekielne, napadli na nas pijacy. Zdążyliśmy jednak umknąć i skryć się w bezpiecznym miejscu. Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy huk, podobny do uderzenia pioruna. To nasze basy po uderzeniu nimi przez jednego z napastników o ścianę zamieniły się w szczerupy. Ocalały tylko skrzypce, któreśmy z sobą unieśli. Tamci urządzili za nami pogoń, aby i te zniszczyć, a nas pobić. Ale tego już nie zdołali dokonać. No i za co? Cośmy im zawinili?

Tak dramatycznie zakończyły się nasze dziecinne popisy muzyczne. To wydarzenie było jakby proroctwem; bo podobne będą nam towarzyszyły do końca naszego muzykowania. Tak się zaczęła nieszczęsna droga wiejskiego muzykanta weselnego. Droga cierpień, męki, zniewag i terroru, istna droga na Golgotę. Ten tylko wie, kto przeszedł tę drogę. W czasie weselnych wybryków najwięcej byli narażeni właśnie grajkowie. A zdarzały się wybryki wręcz nieludzkiej natury; na szczęście nie były zbyt częste. Na ogół jednak z muzykami obchodzono się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Odnoszono się do nich z wielkim poważaniem i szacunkiem, przyjmowano ich mile i serdecznie, co im częściowo wynagradzało krzywdy i przykrości, wyrządzane przez ludzi o niskich obyczajach i zwierzęcych instynktach. A bywało, że tylko jeden osobnik tego typu zatruwał całą atmosferę na weselu. Jeśli trafiło się ich więcej albo —

Boże obraniaj! — cała szajka, to nie ma słów na opisanie tego.

Mój zespół muzyczny

Było nas czterech. Wszyscy urodziliśmy się w roku 1898 w Łące i tu wszyscy mieszkaliśmy. To nam dawało szanse dobrego i poprawnego grania, ponieważ mieszkając blisko siebie, mogliśmy się często schodzić i dużo ćwiczyć.
Ja byłem kierownikiem tego zespołu, który też figurował pod moim nazwiskiem. Moim zasadniczym instrumentem były skrzypce i na nich przeważnie grałem. Poza tym grałem jeszcze na flecie, kontrabasie i perkusji.
Z grania na weselach nie zachowałem — niestety! — żadnych miłych wspomnień. Brzydziłem się dzikimi orgiami i pijaństwem, przygodnymi miłostkami... Kochałem muzykę, ale w domu. Na weselach i zabawach grałem tylko z musu, po to, aby zarobić na życie.
Społecznie nie pracowałem, tak z braku czasu jak i zamiłowania do tego. Mój wolny czas wolałem obracać na co inne, co mi dawało więcej zadowolenia i lepsze zyski, bowiem zapotrzebowanie na pieniądze było zawsze. Pieniądze to jedyny sposób na odpędzenie biedy od domu. Jedna starsza i doświadczona kobieta tak była zwykle mawiać: «Bieda niczego się nie boi: ni przekleństwa, ni narzekania, ani bitki. Ale zaraz ucieka stamtąd, gdzie poczuje pieniądze». Przecież i chorobę łatwiej przetrwać można przy pieniądzach. I to jest moje wierzenie. Bez honorów i zaszczytów obejść się można, bez pieniędzy nie bardzo. Nie chciałem pracować dla idei. Miałem dosyć dwóch wojen. Przy wojsku ofiarowano mi stopień kaprala, abym został. Odrzuciłem to, bojąc się obowiązków. Wolałem swobodę, która mi zawsze imponowała. Narzucano mi stanowisko słotysa, później kierownika zlewni mleczarskiej; zrezygnowałem i z tego, chociaż były to stanowiska dobrze płatne. Nie chciałem sobie zaprzątać

umysłu takimi sprawami, które mnie nie interesowały. [...] Te same poglądy, co ja, wyznawał Jan Barszczewski, drugi skrzypek z zespole. Umysł swój kształtował w młodym wieku na czytaniu *Robinsona Crusoe* oraz różnych kalendarzy. Zachwycał się ich ilustracjami, które stale kopiował. Zbieraniem kalendarzy zaraziłem się właśnie od niego. Lubił także wydawane we Lwowie konne karty do gry, w które też stale grywał. Ale gdy pewnego razu ograno go do nitki, a w kieszeniach pozostało mu jedynie płótno — zarzucił ten proceder. [...] Liczne wypadki i przygody jego życia równały się mniej więcej z moimi. Poza muzyką zajmował się rolnictwem i z pasją kolekcjonował stare kalendarze. Jak mnie, tak i jego pasjonowały stare czasy i starzy ludzie, stare domy i wszystko to, czego już nie ma. Odwiedzaliśmy te miejsca, gdzie będąc chłopcami paśliśmy bydło, psociliśmy i bawili się. Gdy rozmawiamy, przypominamy sobie stare postaci i zdaje się nam, że rozmawiamy z nimi, czujemy to, co oni czuli i słyszymy ich głosy, chociaż już ich nie ma. Miło jest rozmawiać o przeszłości [...].

Czwarty z rzędu — basista Jan Rząsa — zwany ogólnie „Paluchem" — nie zasługuje na szersze omówienie. Lubił hołubić dziewczęta, toteż skutek był spodziewany; troje nieślubnych dzieci, a w konsekwencji alimenty. Rząsa się tym nie przejmował, jadł i pił, ile w niego wlazło, no i dalej hołubił dziewczęta. Około 1930 roku musiał ustąpić z zespołu, ponieważ kontrabas został zastąpiony perkusją. I tak z zespołu musiało wylecieć aż dwóch: bas i sekond. Zastąpieni zostali przez trąbę i akordeon.

Trzeci skrzypek, sekondzista nazywał się Jan Porada. Nie wyszczególniał się niczym: ot, zwykły zjadacz chleba. Materialista jak każdy, dbał o dobytek i fortunę. Dlatego też ożenił się dosyć wcześnie i średnio bogato. Na graniu kariery nie zrobił, nie idąc z postępem czasu. Gdy nastały nowe tańce i melodie, Jasiek nie dawał sobie z tym rady i trzeba go było zastąpić kim innym.

Powyżej częściowo scharakteryzowałem mój zespół, jego stosunek do ludzi i otoczenia, jako też i ludzi do zespołu. Także obsadę zespołu i nasz zarobek. Co do tego ostatniego, to nie było zbyt dobrze w porównaniu do przedwojennych czasów. Zarobek po wojnie najczęściej równał się zeru. Graliśmy w czasie największej dewaluacji. Bywało, że to, co dzisiaj zarobiliśmy, jutro już trzeba było wydać, bo po paru dniach pozostawała tylko kupa bezwartościowych papierów i nic więcej. Często mieliśmy tylko samą satysfakcję, żeśmy grali. Ale pamiętam, że nie miałem za co kupič sobie nawet butów. Taki był muzykancki los.
W roku 1924, gdy ustalono walutę, coś niecoś dychło. Ale normalne życie psuł zamęt polityczny i częste zmiany gabinetów, wreszcie przewrót majowy w roku 1926.
W dodatku znów na szczątki rozbito nam kontrabas na weselu, skąd trzeba było uciekać z duszą na ramieniu, ratując życie. I na tym zakończył się pierwszy powojenny etap działalności naszego zespołu.
Po wojnie (po I wojnie światowej) świat jakby się zmienił. Przyszedł nowy ustrój, młodzi ludzie poczęli dorastać, nastała nowa moda, nowe stroje, piosenki, tańce... szalone tempo zmian. To samo działo się i w muzyce. Stary zespół nie nadążał, trzeba było myśleć o jego zmianie, o nowym zespole. Ale jakim?
Gdzieś w portowym mieście Nowy Orlean, u ujścia rzeki Missisipi, a więc na południu Stanów Zjednoczonych, Murzyni grali na małych, okrągłych gitarach i długich, niklowanych rurach. Do tego dochodziła sekcja rytmiczna w postaci blach, grzechotek, klaksonów i bębnów. Była to muzyka łobuzerska, zwana ragtime. Mimo mało życzliwej nazwy «czarna muzyka» zaczęła szybko opanowywać cały świat. Grano, śpiewano, tańczono — wszystko w rytmie ragtime, od rana do wieczora, przy każdej okazji. Nazwa później została zmieniona na jazz — dżez, pod którą to

nazwą tamta muzyka obiegła cały świat, przywędrowała i do nas. Trzeba ją było naśladować i to prędko. Bowiem w czasie zabawy przyszedł do muzyki wyelegantowany facet z bakami, w czapce z długim dachem na bakier, z bukietem włosów nad lewym uchem i powiada: — Zagrajcie mi jakiego «szima» lub «blusa»! No i trzeba było się zastosować do takiego rozkazu. A potem to już przychodziły po porządku: tanga, bostony, two-stepy, one--stepy, fokstroty, slow-foxy, rumby, baja-bongi, bugi-ługi, bamby, kalamby, samby, mamby, rock and rolle, świsty, swingi, begine... i tak dalej, i tak dalej, że czasami już nie mogli sobie języka połamać i wypowiedzieć. Tak nazywali wszystko razem czy ogólnie szlagierami lub dżezami.

I grało się. Z początku sprawiało to dużo kłopotów i trudności, bo trzeba było zmieniać styl rytmu, ze zwykłego na synkopowy, nierówny i zadzierżysty, jak również i melodie. Te często były abstrakcyjne i wcale niezrozumiałe. W końcu przywykło się i do tego, tylko trzeba było zmienić dotychczasowych wykonawców, bowiem w żaden sposób nie dawali sobie z tym rady.

Na początku czy na razie odrzuciliśmy dwoje skrzypiec i kontrabas. Na ich miejsce włączyliśmy flet, klarnet, trąbę i perkusję. Ze starego składu pozostały jedne tylko skrzypce. Na tym myśmy się oparli. Ale była to dopiero imitacja dżezu. Z początku szło nam to jako tako, nikt z nami nie konkurował. Pomału posuwaliśmy się naprzód. Zarobek nie był jednak tęgi, bo kryzys światowy, bezrobocie, a na skutek tego ogólny brak pieniędzy dawał się wszystkim, a szczególnie chłopom dobrze we znaki. Chłopak musiał się długo zastanawiać, gdy miał wydać gdzieś złotówkę lub dwie. Toteż kapano nam za granie tylko groszami.

Dopiero po roku 1930 czasy jakoś zaczęły się normować, chłopskie produkty zdrożały i chłop już brał po złotemu za kilo świńskiej żywej wagi. Zaczęto się oglądać za luksusami i szukać nowości. I wydybano je na rynku w Rzeszowie,

gdzie pod Kościuszką schodzili się muzykanci z okolic Rzeszowa: tam ich godzono na wesela. Nie był ten «wydybany» zespół lepszy od naszego, ale nowość: z miasta! Zespół ten występował pod nazwą Szymków, a reprezentował go Szymon Szela, analfabeta, nie znający się na nutach, pochodzący z Zaczernia, a zamieszkały w Rzeszowie. Był to nie tyle muzykant, co dobry organizator. Dobierał sobie zdolnych wykonawców, wciąż wprowadzał innowacje i różne zmiany w zespole. On to pierwszy zastosował dwa atrakcyjne instrumenty, jakich jeszcze w naszych okolicach nie znano i nie widziano: saksofon i akordeon. Instrumenty te świetnie prezentowały się w zespole tak pod względem formy jak i barwy tonów. Była to wówczas istna rewelacja. Zaimponował ogółowi, a nam podciął nogi. Naturalnie tylko chwilowo, ale musieliśmy zastosować to samo i w naszym zespole. Zmusiło nas to do wielkich wydatków.

Później znalazło się więcej podobnych zespołów: Wójciki, dorożkarze z Rzeszowa, Rupy z Rzeszowa, Bojdy z Zalesia [1], którzy poczęli rajzować po okolicy. Ale: «Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło» — mówi przysłowie. Myśmy zaczęli brać taniej, za jedną zabawę zaledwie 35 złotych. Tamci nie żałowali nikogo; darli skórę, ile się tylko dało, biorąc za jedną zabawę aż 60 złotych, czyli prawie dwa razy tyle co my. A była to wartość połowy normalnej krowy, która w tym czasie kosztowała 120 złotych. A można było kupić już za stówkę. Powoli, kiedyśmy już wyrobili sobie dobrą markę, podnieśliśmy się do tej samej ceny co i oni. I utrzymaliśmy się na niej. W razie targu odwoływaliśmy się do ceny tamtych i nie było apelacji. Wynikało z tego, żeśmy mniej grali, ale zarabiali to samo. W graniu też nas nie mogli ubić, bośmy im dorównywali na każdym kroku. Od roku 1936 sytuacja poprawiła się na dobre [2]. Młodzież częściowo szła już do pracy, a chłopi za swoje produkty otrzymywali wyższe ceny. Przyczyniły się do tego chłopskie ruchy i walki, powstało i rozpowszechniło się hasło:

«Frontem do wsi!» Po wsiach poczęto budować domy ludowe i urządzać więcej zabaw i huczniejszych wesel. Nastały dla muzykantów lepsze czasy. [...]
«Złoty okres» dla muzykowania trwał krótko, wszystko skończyło się w roku 1939, kiedy to wróg ciężkimi butami wszystkich nas zdeptał. W czasie wojny to była już tylko wegetacja.
Skończyła się i wojna. Po wojnie powstały liczne szkoły muzyczne, kształcąc i przysposabiając do muzyki młode pokolenie. Wytworzyły się nowe zespoły, już wokalno-instrumentalne, których my, starsi wiekiem i nie mający sił ani głosu, nie byliśmy w stanie naśladować; musieliśmy ustąpić z placu. Trafia się jeszcze do dziś dnia, że i do nas kogoś przygoni bieda i trzeba jeszcze zagrać. Ale zdarza się to już bardzo rzadko, a my w zasadzie już nie wchodzimy w rachubę.
I to byłoby już chyba tyle co do mojej działalności na niwie muzycznej. [...]

*

Znałem i przyjaźniłem się z wieloma twórcami ludowymi. Takich jak Józef Ryś spotkałem bardzo niewielu. — To był dobry, szlachetny człowiek — słyszałem wielekroć od tych, którzy Rysia dobrze i długo znali. Brzydził się wszystkim, co niskie i złe. Był prawdziwym poetą: w swoim graniu, rysowaniu, malowaniu, pisaniu — w całym życiu. Ryś pod koniec życia postawił sobie dwa zadania, których dopełnił. Muszę się przyznać, że było w tym sporo mojej inspiracji i zachęty, kiedy od autora, dręczonego chorobami, opanowanego zniechęceniem, udało mi się jednak uzyskać jego prace. Przede wszystkim wspomniane już *Wesele łąckie*, najlepsze dzieło Rysia, które ostatecznie ukazało się w druku [3]. Drugie zadanie, jakiego dokonał pod koniec życia Józef Ryś, to jego wspomnienia o dawnych muzykantach, które zostały w znacznej części wykorzystane w tej pracy.

Józef Ryś był dużą indywidualnością, człowiekiem o szerokich horyzontach, chociaż tylko w skali mikroregionu, twórcą, jakich niewielu wydała rzeszowska wieś.
Józef Ryś chorował długo. Choroba była wyjątkowo bolesna. Wczesną wiosną 1971 roku było już wiadomo, że zbliża się koniec. W drugi dzień świąt wielkanocnych przyszedł odwiedzić Rysia Jan Rząsa, basista z jego zespołu. Na widok zbolałego Józefa mocno zapłakał; płakał jak dziecko za matką. Mówił:
— Jak mi go żal! Dobry był kolega i od młodych lat chodziliśmy razem, razem grywali na weselach. A dziś już na odchodnem mój trzeci najlepszy kolega i spólnik od muzyki. Pierwszy pomarł Porada Jaś, a drugi Barszczewski Jaś, teraz Ryś na odchodnem... — żalił się przed Rysiową kobietą.
„W ostatni dzień swego życia powiedział mi, że dzisiaj umrze, i co do trumny mi tłumaczył, że deski są w stodole — to dej mi zrobić, ale nie malowaną — już tylko wybełkotał. Zmarł po południu w pół do drugiej (10 maja 1971 r.)" — zapisała Józefowa kobieta w swoich wspomnieniach z ostatnich chwil jego życia.

ANTONI FLOREK

W czasie badań terenowych na Podgórzu, w sierpniu 1963 roku, ściągnięty tam sławą orkiestry Florków, poznałem właśnie Antoniego Florka. Był wówczas starszym już (urodził się gdzieś pod koniec XIX wieku), ale krzepkim mężczyzną. Kiedy zaproponowałem mu napisanie pamiętnika pod tytułem *Moja muzykancka kariera* — zgodził się bez oporu.

*

„Gdzieś w 1905 roku mój ojciec kupił mi na odpuście w Starej Wsi fujarkę. Dając mi ją powiedział: — Ucz się na niej grać, a jak się nauczysz na tej fujarce, to ci kupię klarnet. — A było nas w domu siedmioro rodzeństwa; czterech braci i trzy siostry. Najstarszy brat już grał na skrzypcach, a średni mu sekundował. Ja wkrótce począłem przygrywać na fujarce. Najmłodszy Jasiek także rwał się do muzyki. Tak już była prawie cała kapela, brakowało nam tylko basów. Ale ojciec wpadł na pomysł. Wyciągnął z łóżka maglarkę i wałek i — wio! Jak zaczął gruchotać na maglarce — kapela była gotowa.
Upłynęło parę lat i byłem już dużym chłopakiem. Przypomniałem ojcu obietnicę i prosiłem, aby mi kupił klarnet. Co robić? Pieniędzy w domu nie było. Ojciec chwilę pomyślał i powiada do mnie: — W stajni stoi cielak, wezmę w poniedziałek na targ i sprzedam. — No i przyszedł ten nieszczęśliwy poniedziałek. Ojciec wziął cielę na powrózek i wybieramy się. Matka widząc, co się dzieje, łapie cielę i mówi do ojca: — Ja na takie głupoty nie dam cielaka sprzedać ze stajni! — Ale siła zwyciężyła nad prawem i ojciec cielę sprzedał. Mając pieniądze chodził po mieście i dowiadywał się, gdzie by tu kupić klarnet. Jakiś obywatel skierował ojca do pewnego domu

i tam kupił ten klarnet po jakimś nieboszczyku. Kiedy wróciliśmy do domu późno wieczorem, matka jeszcze nie przestała płakać za cielęciem. A ja bałem się grać na tak wypłakanym instrumencie.
Szybko mijały zimowe dnie, a ja stale wygrywałem ludowe melodie, które tak mi utkwiły w pamięci, że siedzą w niej do dzisiejszego dnia. I tak kapela Florków przybierała na sile. Nawet próbowaliśmy już grać na małych weselach. Co do kontrabasu, to z maglarki przeszliśmy do prawdziwego. Kontrabas wykonał nam niejaki Edward Surowiak, lutnik, z zawodu stolarz. Więc kapela była kompletna i gotowa do grania. Ludwik grał pierwsze skrzypce, Stefan sekund, ja grałem klarnet, najmłodszy Jasiek drugie skrzypce. Jednak z kontrabasisty, któremu bogaty ojciec kupił basy, nic nie wyszło. Przekonaliśmy się, że ten nasz kolega jest bez słuchu muzycznego i bez rytmu. Ile musieliśmy się z nim namęczyć! Palce mu chodziły, gdzie same chciały. Ale za to był jedyny do bitki. Nie dał sobie i nam w kaszę napluć. Jak na weselu nie szło coś według jego gustu albo jeżeli uważał, że komuś już się taniec wygrało, a niby pokrzywdzony upierał się, basista odwijał drugą stronę smyka i dalej nim po głowie. W owym czasie dołączyliśmy do naszej kapeli i trąbkę. Uchodziliśmy już za najlepszą kapelę w szerokiej okolicy, toteż jak my pojechali grać w poniedziałek, to my wracali w piątek. A każdy z nas był obładowany kołaczami, bo był taki zwyczaj, że każdy muzykant musiał dostać z wesela dwa kołacze, a w dodatku flaszkę rumu. Basy także ważyły niemało, bo gdyśmy z nich wytrzepali pieniądze, to każdy z nas dostawał po kilkadziesiąt koron.
Razu jednego przyszliśmy z wesela, a pamiętam, było to bogate weselisko. Zarobiłem wtedy 15 koron austriackich. Daję je matce i mówię do niej: — Na, nie płacz za cielęciem, masz te piętnaście koron. — A ona mówi do mnie: — Żeby ja była wiedziała, że ty będziesz nosił z wesela takie kołacze, to ja bym już dawno dała spokój

z moim płaczem. Uważałam, że na takie głupoty jak klarnet, to szkoda wydawać pieniędzy.
Nasze kapela przechodziła różne koleje. Jednego razu graliśmy na bogatym weselu w sąsiedniej wiosce Pakoszówce. Wesele ciągło się coś trzy dni, a my byliśmy bardzo wymęczeni. W trzecim dniu przyszliśmy do ojca weselnego, a była już noc. Dali nam dobrze pojeść, a potem powiedzieli: — Teraz pójdźcie spać na strych. Światła nie mam, ale tam jest siano, tam wam się będzie dobrze spało. — Nie powiedział nam, że tam jest dziura do stajni, przez którą rzuca krowom siano. Tak po jedzeniu idziemy spać. Pierwszy wszedł Stefan, za chwilę my za nim. Stefan woła przytłumionym głosem: — Chodźcie tu, chodźcie! — Nie przypuszczaliśmy, że on jest już w stajni między krowami. Więc jeden za drugim wpadaliśmy do stajni. Krowy i konie postraszyły się, ruch w stajni zrobił się okropny. Gospodarz budzi się, nie wie, co się stało, chodzi po stajni i woła: — Kto w Boga wierzy, niech się odezwie! — To my muzykanci, to my tu wpadli! Czegoście nam nie powiedzieli, że tam macie dziurę? — A ja zapomniałem, myślałem, że aż do stajni nie poleziecie — jęczał." [...]

*

Pan Antoni był nie tylko dobrym muzykantem, ale i bacznym obserwatorem. Tedy w pamiętniku szczegółowo przedstawia wiele obrzędów weselnych, zwyczajów i obyczajów, zachowanie się ludzi, stosunki społeczne. Przytaczam te fragmenty wspomnień, które łączą się z muzyką.

*

„Do obowiązku weselnej muzyki należał udział w proszeniu swatów i druhen na ślub i gościnę. Drużbowie — ci proszący — na koniach, konie pięknie przystrojone — kapela też — w piękne bukiety. A że swatów i druhen czasem było i ze dwadzieścia, nieraz trzeba było chodzić

od wieczora do rana. Gdy się dochodziło do domu, z którego miało się prosić swata czy druhnę, to oni zamykali drzwi. Trzeba więc było odegrać kilka piosenek, zanim drzwi otworzyli. Najpierw pani młoda chwytała matkę i ojca za nogi i prosiła, żeby pozwolili synowi czy córce przyjść na wesele za swata czy druhnę. Potem całowała się i ze swatem, prosząc go o przyjście na wesele.
Po ceremonii zaprosin cały orszak przychodził do pani młodej, u której była wieczerza. Dla kapeli tradycyjnie gotowali kurę, bowiem muzykantów uważano za coś lepszego od innych gości. Dla «reszty» kładli na stół masło, ser, kołacze i przy tym gościli. Jeżeli jeszcze pozostawało coś czasu do spania, to ojciec weselny przynosił wiązkę słomy i na niej spało się do rana.
Rano musieliśmy wstać wcześnie, bo czekało nas przyjmowanie graniem swatów i druhen, którzy mieli się zejść u pani młodej. Ta ceremonia odbywała się przed domem. Odgrywało się każdemu, kto się zjawił u pani młodej. Nie przepuszczaliśmy nikomu, toteż do basów wpadały ładne «centy». Po przyjęciu swatów i drużek pani młoda zapraszała ich do mieszkania na śniadanie.
Naturalnie nie obeszło się bez rumu. Po śniadaniu starosta zapraszał ojców pani młodej i pana młodego, aby usiedli wszyscy obok siebie. Wygłaszał przemówienie i prosił rodziców o błogosławieństwo dla młodych. Teraz dopiero zaczynał się płacz, do którego były wynajęte specjalne płaczki. Bez tego płaczu wesele byłoby bardzo smutne.
W czasie płaczu i zawodzenia koleżanki żegnały się z młodą, a koledzy z młodym. Wówczas muzyka obowiązkowo musiała grać *Serdeczna Matko*. Dopiero po tej ceremonii swacia i drużki dobierali się w pary, wsiadali na wozy, a popędzane konie pędziły w kierunku kościoła co sił, nie wyprzedzając, broń Boże, jadących na pierwszym wozie młodych. [...]
Po ceremonii oczepinowej młody zaprasza już żonę do siebie. Teraz wszyscy weselni zabierają się do pana

młodego, naturalnie z muzyką. Swacia — a należało to do weselnych obrządów — porywają z gospodarstwa rodziców młodej, co się tylko dało; pierzyny, kury, gęsi, jakieś graty — co popadło pod ręce. Starszy swat obowiązkowo odwiązywał krowę od żłobu i przywiązywał do wozu, na którym mieli jechać młodzi; wszystko niby to na wiano. Przed domem pana młodego następowała ta sama historia co przed domem młodej, tylko że była większa pijatyka. Po gościnie młodzież rozchodziła się do domów, a młodzi, już tylko we dwoje, szli spać na siano. [...]
Już przed pierwszą wojną światową młodzież wiejska poczęła się organizować. Jak było w dalszych wioskach, nie wiem dokładnie; w naszej okolicy, więc i w Górkach, powstał «klub kawalerski». Przyjmowali do niego chłopaków, którzy już ukończyli 18 lat. Taki młodzieniec, chcąc należeć do klubu kawalerów, składał podanie o przyjęcie go. Jeżeli został przyjęty, musiał okupić się wódką i kiełbasą. Urządzał też kawalerską zabawę. Zapraszano na nią i dziewczęta. A która by nie chciała iść tańczyć z zapraszającym ją kawalerem, wkładali jej do ręki miotłę i przy dźwiękach marsza wychodziła zawstydzona ze sali.
[...] W roku 1918 poszło nas szesnastu z wioski na ochotnika do polskiego wojska. Byłem na froncie do roku 1919, a następnie wzięto mnie do orkiestry wojskowej w Przemyślu. Jednego razu nasz kolega, wachmistrz żandarmerii, żenił się w Hurku pod Przemyślem. Prosił nas, byśmy mu grali na weselu. Aby nie meldować się kapelmistrzowi — mógłby nam nie pozwolić — postanowiliśmy iść bez jego wiedzy. W sobotę wieczorem pod koszary zajechała furmanka, my instrumenty pod pachę, na wóz i jazda. Weselisko było bogate, orkiestra wojskowa, wszystko szło jak z nut. Nad ranem — była godzina szósta — mówimy do młodego, że trzeba będzie nas odwieźć, musimy zdążyć na zbiórkę, aby odprowadzić do kościoła kompanię honorową. Czekamy, a furmanki jak

nie ma, tak nie ma. Pocieszali nas, że odwiozła gości, a jak wróci, to odwiezie i nas. Młody chciał nas zabawić, wynagrodzić, dał dobrze popić. A furmanki dalej nie ma. Postanowiliśmy iść pieszo. Do koszar przyszliśmy — prawie biegiem — o ósmej. Zbiórka już się odbyła, a orkiestra bez kompletu. Dowódca pułku Kwiatkowski wydał rozkaz, że skoro się zjawimy, zaraz nas pozamykać. Rzeczywiście, skoro dochodziliśmy do koszar, już nas patrol zabrała i zaprowadziła do aresztu. Rozdzielili nas po dwóch, ale uprosiliśmy służbowego, żeby nam pozwolił zejść się razem i umówić, jak się będziemy tłumaczyć. Koledzy przyjęli mój wniosek, aby pułkownikowi powiedzieć całą prawdę. Wprawdzie wyspaliśmy się wybornie, ale rano w poniedziałek — nie pomogły tłumaczenia — każdy z nas złapał siedem dni ścisłego. Trudno!
Tak się zdarzyło, że na poniedziałek wieczór zapowiedziana była na zamku w Teatrze Fredry próba. Przychodzi do nas kapelmistrz i mówi: — Chłopaki! Pułkownika mało krew nie zaleje, że nie może dać wam kary. To ja mu poradził, żeby dać wam po miesiącu kasarniaka. A wiecie, że i kasarniaka nie możecie otrzymać. I tak nam przyszło. [...] W roku 1922 zwolniłem się z wojska i przeniosłem się do przemysłu naftowego w Borysławiu. Tam prowadziłem orkiestrę robotniczą do roku 1930. Wróciłem do Górek".

*

Końcowa część pamiętnika Antoniego Florka dotyczy okresu po II wojnie światowej, kiedy ten niestrudzony muzykant uczył grać młode pokolenie i oczywiście natychmiast przystąpił znów do założenia własnego zespołu.

*

„Po zakończeniu działań wojennych młodzież, która była bez zajęcia, rwała się do czegoś. Więc mówię do niej: — Postarajcie się o instrumenty, to was nauczę grać. —

Chłopakom nie trzeba było dwa razy mówić. Rzucili się na szaber za instrumentami i nanieśli tyle «złomu», że nie wiedziałem, co z tym robić. Ale dowiedziałem się, że w Besku mieszka jeden pan, który robił instrumenty, i to we Lwowie. Zabraliśmy tedy cały wóz tego «złomu» i zawieźli do tego pana Kielara. Pooglądał nasze gruchoty i obiecał nam je ponaprawiać i zestroić. Dotrzymał przyrzeczenia, a ja już w roku 1947, w składzie trzydziestu instrumentów dałem koncert w Brzozowie.

Ale mnie to nie zadowalało. W umyśle wciąż brzmiały mi melodie dawnych wiejskich piosenek, z moich młodych lat. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności żyli moi koledzy muzykanci. Znowu zmontowaliśmy kapelę. W pierwszym roku naszego powtórnego grania na eliminacjach powiatowych zdobyliśmy pierwsze miejsce, na wojewódzkich w Rzeszowie również pierwsze. Na eliminacjach ogólnopolskich w Kielcach zdobyliśmy drugie miejsce. Występowaliśmy w warszawskiej telewizji. A graliśmy naprawdę «od ucha!».

W roku 1959 zostaliśmy zaproszeni na centralne dożynki w Warszawie. Pojechał trzydziestoosobowy chór i kapela z ośmiu muzykantów. Po zakończeniu dożynek mieliśmy dać w Parku Saskim koncert pieśni regionalnych. Byliśmy ubrani w rzeszowskie stroje. Ja swoją normalną marynarkę dałem do teczki z nutami. W marynarce była też karta uczestnictwa. Pech chciał, że jeden z muzykantów chciał mi ulżyć, jako starszemu i kapelmistrzowi, i wziął mi teczkę. W międzyczasie jednej z dziewcząt zachciało się na stronę, a że miała do tego muzykanta z teczką największe zaufanie jako do dobrego kolegi, a sama wstydziła się od nas oderwać, a i bała się, poprosiła go o towarzystwo. Zameldowali się, że odchodzą.

Przychodzimy do tego Saskiego Parku, a mojego muzykanta z teczką z nutami i marynarką oraz śpiewaczki nie ma. Czyżby pobłądzili? Proszą nas już na estradę, a tu nie ma z czego grać. Sytuacja bardzo kłopotliwa. I wtedy przyszło

wybawienie z kłopotu: deszcz. Amatorzy folkloru pochowali się, gdzie mogli, a my też. Moi poprzebierali się w swoje normalne stroje, a ja musiał chodzić jak ten błazen w stroju rzeszowskim. Poszedłem na wschodni dworzec, a mój pociąg z zespołem już odjechał. Drugi pociąg miał odjechać w kierunku Przemyśla. Ale spotkałem znajomego z autem i ten mnie wziął ze sobą do Rzeszowa. Przyjechałem do domu jak ten wariat.
W samych Górkach wychowałem sobie dwa zespoły. Jeden, ten złożony ze starszych w roku 1947, i drugi.
Pewnego razu graliśmy na pogrzebie parobka, który zmarł u bogatego kmiecia. Ten gospodarz, chcąc się zrobić dobry dla swojego otoczenia i pozyskać sobie więcej popularności, zmarłemu parobkowi postawił nagrobek z napisem.

Tu leży mój parobek,
Ja jemu ten nagrobek
Stawiam ku wiecznej pamięci,
Niech się jego dusza święci.

Ale znalazł się dowcipniś i na nagrobku przykleił karteczkę z napisem:

Gdyś mu stawiał ten nagrobek,
On już nie był twój parobek.
A tyś nie był jego panem —
Pocałuj go w dupę — amen!"

Nie przytoczyłem pełnego, obszernego pamiętnika Antoniego Florka, tylko wybór tych fragmentów, które łączą się bezpośrednio z muzykancką pasją autora.
Florek napisał swój pamiętnik pismem wyrobionym i dobrym stylem, ale też był człowiekiem światowym, a jako muzykant opanował znajomość nut. Skończył swoją karierę muzykancką jako wytrawny kapelmistrz, ale rozpoczął od wiejskiego muzykowania. A takich było więcej.

Odwiedzając Piotra Oleniacza dowiedziałem się, że w Grabownicy działa typowy wiejski muzykant, który opanował wiele instrumentów. Znaleźć go było trochę trudno. Mieszkał na wzgórzu, za jedną z licznych dolinek, a pracował przy szybie naftowym.
Jan Dżoń urodził się w 1903 roku. W czasie kiedy go poznałem, a więc w 1964 roku, był to jeszcze mężczyzna w kwiecie wieku; brunet o ciemnej cerze, miał urodę dość rzadką w tych okolicach. Nazwisko jego wskazywało na obce pochodzenie, jednak tradycja rodzinna Dżonia nie ma nic do powiedzenia na ten temat.
Jan Dżoń nie napisał swojego pamiętnika własnoręcznie. Napisała go córka muzykanta, ale pod dyktando ojca. Pamiętnik jego dość obszerny, dotyczy różnych problemów. A oto fragmenty, w których Dżoń opowiada o swoim muzykanckim życiu.

*

„Ojciec, Jakub Dżoń, miał trzy morgi pola, a dzieci — jedną córkę i ośmiu synów. Dzieciństwo było trudne i ciężkie. Gdy miałem trzynaście lat, umarła matka; wtedy warunki całkiem się pogorszyły. Zostałem pod opieką niemłodego już ojca i obojętnej macochy. [...]
Moim pierwszym instrumentem muzycznym były skrzypki, które wyprosiłem od mojej stryjenki, mając wtedy osiem lat. Sam wykombinowałem do nich struny, a to od starszych muzykantów. Oni mi też nastroili skrzypce.
Sam uczyłem się grać, słysząc, jak inni grali. Gdy nauczyłem się sam stroić, była to dla mnie wielka dogodność; już nie musiałem nikogo prosić. Gdy się gdzieś odbywało wesele, to mnie brała ogromna chęć iść posłuchać, jak muzykancia grają. Jak mi się nadarzyła okazja, to uciekałem z domu,

żeby mnie nikt nie widział, i słuchałem. Gdy wróciłem do domu, próbowałem tak samo grać, jak słyszałem. Jak pasłem krowy w polu, to próbowałem grać. Kiedy się już trochę nauczyłem, było w sąsiedztwie wesele. Jeden starszy muzykant bardzo się upił na tym weselu i brakowało im jednych skrzypiec. Bo dawniej grało się na dwojgu skrzypcach, na klarnecie i basach. Wtedy przyszli po mnie, bo wiedzieli, że ja trochę umię grać. Grałem z nimi na sali, a nie miałem butów; byłem boso. Po skończonym graniu, co oni zarobili, to ja nie wiedziałem. Oni dali mi sześć szóstek.

W czasie grania na sali wszyscy się ze mnie strasznie śmiali, że jeden muzykant gra boso. Przyszedłem do domu, dałem te pieniądze ojcu i prosiłem go, żeby mi kupił buty. Wtedy ojciec coś dołożył i kupił mi buty. Byłem bardzo zadowolony, że grałem ze starszymi muzykantami. Koledzy moi byli strasznie zazdrośni i wytykali mnie palcami; że taki mały grał na weselu.

Potem spodobał mi się klarnet i jego gra. Wypożyczyłem sobie klarnet od starego muzykanta, który już nie grał. I zacząłem grać w domu. Ale mi to strasznie kwiczało, więc w domu tylko się ze mną kłócili, że tyle bez przerwy kwiczę. Myślałem: — Dlaczego to tak jest, że ktoś umie, a ja nie. — Tedy chętnie szedłem w pole paść krowy, bo tam nikt mi nie przeszkadzał grać. Tak dmuchałem do tego starego klarneta, że aż mnie gardło rozbolało. Ze zmęczenia położyłem się pod krzakiem. Po jakimś czasie znowu mnie chętka zebrała i zacząłem kwiczeć.

Wreszcie poznałem wszystkie klapki i zdobyłem się na melodię: *Kąpała się Kasia w morzu.* Później szło mi coraz łatwiej. Kiedy już dobrze grałem, zaciekawiła mnie trąbka o trzech klapkach. Koniecznie chciałem się dowiedzieć, jak się na tym gra. Wypożyczyłem sobie taką trąbkę, bo nie miałem za co sobie kupić. Początkowo nie umiałem dmuchać, aż się wreszcie nauczyłem, ale bardzo się namordowałem.

Kiedy zaoszczędziłem parę groszy, kupiłem sobie glinianą okarynę, którą u nas na wsi nazywali «kukułką». Był to instrument o dziewięciu dziurkach.
Dalej byłem ciekawy, jak się gra na basach. Kiedy graliśmy na jakimś weselu, to żeby właściciel nie wiedział, w czasie przerwy w graniu w kącie próbowałem na tych basach. Po jakimś czasie lepiej mi to szło jak właścicielowi basów.
Próbowałem jeszcze na mandolinie. Szło mi to całkiem łatwo, bo umiałem grać na skrzypcach. Umiem także grać na harmonijce ustnej, ale tylko na «pikolu». Muszę się także pochwalić, że potrafię grać na akordeonie, ale tylko sam dla siebie, dla swojej przyjemności.
Muzykanci mają różne przygody — wesołe i smutne. Miałem i ja. Dwie z nich bardzo silnie utkwiły mi w pamięci. Raz pojechałem grać na wesele w Dydni i to ze samymi starymi muzykantami. Tylko jeden z nich był jeszcze dość młody. On grał na basach. Musieliśmy jechać na drugą stronę, przez San. Ten basista tak bał się jechać przez wodę, że aż zzieleniał ze strachu. A kiedy po odegraniu wesela wracaliśmy tą samą drogą, promem przez San, biedny basista tak się bał tej jazdy, że z przestrachu, kiedy przyjechaliśmy do domu, umarł. I to jest prawda.
Innym razem grałem na weselu w Borownicy, nie ze swoimi, ale z obcymi muzykantami. Był między nimi bębnista, grał z nami, a był bardzo wesoły. Prawie on sam bawił całe wesele. Nagle coś mu się stało i po północku o drugiej zmarł. Wtedy i weselnym, i nam, muzykantom, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie i smutno; że to się stało w naszej i ich obecności. Wesele zakończyliśmy przedwcześnie i smutno.
Starzy muzykanci opowiadali ludziom różne historie, ale im nie bardzo wierzono. Ja też powątpiewałem w to, co oni mówili. Ale później zmieniłem zdanie, sam czegoś podobnego doświadczywszy.

Już byłem dużym chłopcem i umiałem grać na skrzypkach. W piękny, słoneczny poranek paśliśmy z kolegą krowy w lesie. Ja grałem na skrzypkach, a on słuchał. Było około ósmej godziny. Krowy się dobrze pasły, a myśmy szli brzegiem. Brzeg wznosił się nad doliną, której dnem płynął strumyczek. W pewnej chwili, nie wiadomo skąd, usłyszeliśmy głos: — Pomalutku, paniczku, bo do dolinki wpadniecie! — Tak usłyszeliśmy trzykrotnie. Zaciekawieni, kto to powiedział, chodziliśmy naokoło i nie zobaczyliśmy nikogo. Wtedy ogarnął nas nieopisany lęk i prędko, razem z krowami, uciekliśmy do domów.
Stało się to już za moich kawalerskich czasów. Pewnego razu wracałem z wesela, a było to chyba przed północkiem. Szedłem tą drogą, którą zawsze wracałem. Naraz od rzeki wyszło małe światełko, a takiego jeszcze nigdy nie widziałem. Pomyślałem sobie, że to idzie ktoś z tego domu, który stał blisko rzeki, może wraca chłopak od swojej dziewczyny i świeci sobie bateryjką. Lecz to światło wyszło na gościniec i szło pod górę. Następnie skręciło na szkolną drogę. Wtedy sobie znowu pomyślałem, że to może nauczyciel, starszy już człowiek i dobrze mi znajomy.
W tym czasie byłem już blisko swojego domu. Światło to obeszło dookoła studni przy szkole, a w pewnym momencie główne swe promienie rzuciło w moim kierunku i zginęło. Wtedy ogarnął mnie taki strach, że dostałem gęsiej skórki na całym ciele. I już znalazłem się koło domu. Obejrzałem się wtedy po raz drugi. Światło było znowu koło rzeki. Wtedy silnie zapukałem w okno. A ojciec, zamiast mi otworzyć, zaczął się ze mną kłócić, gdzie ja się włóczę po nocach i nie śpię w domu o tej porze. Wtedy to światło znowu przyszło do samej rzeki. Zaraz posłyszałem wyraźny plusk wody, jakby coś wpadło w rzekę. Posłyszałem też trzykrotny płacz małego dziecka. Teraz już bez pamięci trzaskałem w okno z całej siły, przez co przerwałem kłótnię i zaraz wpuszczono mnie do domu. Tatuś popatrzył na mnie i zapytał, dlaczego ja tak

gwałtownie walę w okno. I opowiedziałem im całe zajście. Opowiadałem o tym wydarzeniu starszym i młodszym, ale nikt mi nie wierzył i śmiali się ze mnie.
Później chodziłem do swojej panny, która jest obecnie moją żoną. Jej także opowiadałem o tamtym światełku, ale też nie bardzo mi wierzyła. Jak się ożeniłem, często chodziliśmy z żoną do jej mamusi, a mojej teściowej, na niedzielne wieczorki. Pewnej niedzieli wracaliśmy z żoną około godziny 23. Patrzę, a to światło znowu sobie wychodzi. Zapytałem się żony, czy widzi to światło, o którym jej kiedyś opowiadałem. Żona rzeczywiście ujrzała je, przeraziła się i przyznała mi, że mówiłem prawdę. Ale że szliśmy we dwoje, tośmy się nie bali. W domu też powiedziała do moich rodziców, że to prawda o tym świetle, które kiedyś widziałem. Poszliśmy spać, a to światło zostało. Co się z nim stało, nie wiedzieliśmy. Później wiele osób widziało to samo światło. Wtedy została ujawniona moja prawda, ale ja się z nim więcej nie spotkałem. [...]
W roku 1928 zostałem przyjęty do sezonowej pracy w kopalnictwie naftowym w Grabownicy. W roku 1929 wstąpiłem do orkiestry dętej w Grabownicy, grając na pierwszym kornecie do roku 1956. Ożeniłem się w roku 1930. [...] Do chwili obecnej pracuję w kopalni w Grabownicy w tłoczni wodnej, jako motorowy. Mam sześcioro dzieci, z tego troje jest jeszcze w domu.
Moi synowie odziedziczyli po mnie muzykalność, bo wszyscy czterej grają na akordeonie. Najmłodsza córka też ma chęć grać na tym instrumencie."

*

Jana Dżonia spotkałem ponownie za kilka lat, a było to nasze ostatnie spotkanie, bo jak się potem dowiedziałem, zmarł on w 1972 roku.
Zobaczyłem go w roli jak najbardziej tradycyjnego muzykanta, grającego przy tym w oryginalnym stroju

ludowym z Grabownicy. Otóż staraniem miejscowych nauczycieli wystawiono „wesele grabownickie". Na szczęście, nie w formie scenicznej, co w wielu wypadkach przeradzało się w groteskę, ale w formie widowiska. Dzięki temu miało ono w dużej mierze charakter autentyku. Wesele odbywało się niejako w plenerze — widownią było obszerne podwórze szkolne, a widzowie siedzieli na trawie. Na scenie odtworzono fragment wiejskiej chałupy. Była więc izba, sień i komora. Aktorzy wydawali się być uczestnikami prawdziwego wesela. W pewnym momencie przed dom zajechały prawdziwe wozy, zaprzężone w konie, a na koniach siedzieli swaci. Widownia była jakby na autentycznym weselu. Doszedłem wówczas do przekonania, że wiejskie uroczystości i obrzędy powinny być podawane w formie widowisk, zbliżonych jak najbardziej do rzeczywistości, wtedy bowiem wywierają duże wrażenie na widzach.

Na weselu tym była autentyczna i oryginalna nie tyle kapela, ile muzyka. Grali sami starzy muzykanci — zespół składał się z sześciu czy siedmiu muzykantów — a przewodził im jako prymista Jan Dżoń.

Przecinając tereny województwa rzeszowskiego w poszukiwaniu sławnych muzykantów, którzy by zechcieli czy potrafili swoją sławę uzasadnić napisaniem pamiętnika, któregoś dnia 1964 roku znalazłem się w Cmolasie, w dawnym powiecie kolbuszowskim, tedy we wsi jak najbardziej lasowiackiej. Wieś ta jest bardzo stara, ciągnie się na przestrzeni ponad sześciu kilometrów, niemal na połowę przecina ją droga, kiedyś łącząca Węgry z północą Polski poprzez Sandomierz.
Urzędowa nazwa wsi brzmi Cmolas. Ale na co dzień, a więc w popularnym, ludowym języku nazywa się Ćmolas. Dawniej nazywała się podobno — jak mówią historycy — Ciemny Las. Niewątpliwie musiała powstać na polanie wyciętej w Puszczy Sandomierskiej. Teren wsi otaczają to piaszczyste wydmy, nie porosłe nawet skąpą trawą, to znowu podmokłe łąki i pastwiska, które kiedyś musiały być nieprzebranymi bagniskami. Mieszkańcy wsi Cmolas są przedsiębiorczy i ruchliwi, słyną też z twardości, uporu i zadzierżystości. Okolica nikomu nie radziła wdawać się z cmolasowiakami w kłótnię czy bitkę.
Uczynni ludzie skierowali mnie na zachodni koniuszek wsi. Znalazłem wydmy, pastwiska i biedne zagrody. Polecanego muzykanta odszukałem szybko. Na szczęście był w domu, robił coś koło wozu, stojącego na podwórzu. Muzykant był już starszym człowiekiem, drobnym i bardzo szczupłym. Kiedy po kilku nawiązujących do rozmowy zdaniach wspomniałem o jego muzykanckim żywocie, muzykant nagle nie tylko spoważniał, ale wręcz sposępniał. Zapadło milczenie, którego nie chciałem przerywać. Po chwili jakby się ocknął, wyprostował się, machnął ręką i bąknął:
— Panie! Ani skrzypiec już nie mam, ani nie gram... minęło, stary jestem, muzyka to nie dla takich jak ja, to

dla młodych. Tak, dawniej się dużo grywało... minęło, panie, minęło — zakończył tak jakoś żałośnie.
Czułem, że tutaj nie może być mowy o pamiętniku. Kiedy jednak zszedłem na muzykancką magię, starszy człowiek jakby się ożywił. Opowiedział mi z tej dziedziny to i owo, a na zakończenie rzekł:
— Musi pan pojechać do Zielińskiego, on młodszy ode mnie, jeszcze grywa. O, to muzykant! On panu dużo powie — zakończył.
Zieliński mieszkał akuratnie na drugim końcu wsi, od strony Mechowca. Odnalazłem dom Zielińskiego, stał na skraju ni to łąki, ni pastwiska, także na wydmiskach. Poszukiwany pilnował gęsi, żeby nie poszły na sąsiedzką łączkę. Kiedym uścisnął dłoń Zielińskiego i popatrzył na jego twarz, zorientowałem się, że mam przed sobą — jak to powiedzieć? — typowego, rasowego muzykanta. Na jego twarzy błąkał się półuśmiech mówiący, że jej właściciel jest frantem i wesołkiem, kutym na cztery nogi. Posiadał czarujący i lekki sposób rozmowy, stale wtrącał dowcipuszki. Można było poznać, że to człowiek, który jadał chleb z wielu pieców.
Zwracała uwagę uroda Zielińskiego, dziwnie orientalna. Cera bardzo ciemna, włosy czarne, tylko że lekko siwiejące, ciemne oczy, zęby jak perły. Przyszło mi na myśl: — Jaka krew płynie w tym człowieku? Może turecka? Może, jak wielu tamtejszych mieszkańców, jego przodkowie byli tureckimi jeńcami, przymusowymi osadnikami, jacy zamieszkali w Puszczy Sandomierskiej w XVI lub XVII wieku?
Porozumieliśmy się bardzo szybko; nie potrzeba było przełamywać nieufności. Po kilkudziesięciu minutach Zieliński zagrał do mikrofonu kilka melodii na swoim klarnecie, znakomicie wykonanych. Później wykorzystała je rzeszowska rozgłośnia radiowa. Kiedy wróciły do domu żona i córka Zielińskiego, rozegrała się ciekawie prowadzona rozmowa. Ze strony żony i córki Zielińskiego odbywało się

istne szczypanie: męża i ojca. Jaki z niego kobieciarz, jak lubi zabawy, jak sobie z niczego nic nie robi... „Winowajca", bez swojej woli posadzony na cenzurowanym, ani się nie bronił, ani nie zaprzeczał, słuchał tego jak mruczenia rozbawionych kotów, stale się uśmiechając. Ale ta obmowa „starego" nie była wcale serio, ot, dla zabawy. Trudno byłoby znaleźć rodzinę o większym poczuciu humoru. Wysłuchawszy rzekomych biadań i krytyki, zapytałem panią Zielińską:

— Ciekaw jestem, czyby też pani zmieniła sobie Józefa na innego?

— Pewnie nie! — odpowiedziała swobodnie. — Widzi pan, z muzykantem źle, bez muzykanta jeszcze gorzej. Wiem, że był szczodry, ale i dla mnie coś tam zostało. O, córka jest, synowie... Jak tam co utracił, to kołaczów przyniósł, dobrych placków, kiełbasy. A jak się gdzieś przypalił, to do swojej przyszedł na ochłodę. A, niech ta już będzie! — i figlarnie machnęła ręką.

— Tak pani ugryzała swojego ojca, że muzykant, że taki, że owaki... Ciekaw też jestem, za kogo się pani wydała? — zwróciłem się do córki, niańczącej dorodne niemowlę.

— Ani by pan zgadł! — wtrącił się nagle pan Józef. — Za muzykanta. I teraz razem gramy. Mówiłem jej: Słuchaj, narzekasz na niego, są teraz rozwody, wywal dziada i weź sobie innego. To ona wtedy do mnie z pazurami. Widzi pan, jakie są te kobiety? — dokończył z uśmiechem.

Kiedy już niejako wszedłem do rodziny, przystąpiłem do przedstawienia mojej prośby. Myślałem, że głos zabierze pan Józef i być może pocznie się tłumaczyć, że to, że owo. Tymczasem głos zabrała pani Józefowa i to decydujący:

— Napisze, napisze! Czasem to mu się i nudzi, łazi po ogródku, nie wie, co ze sobą zrobić. Już my go tu przypilnujemy — zadecydowała. A pan Józef ze stoickim spokojem dodał, kiedy się zwróciłem do niego po aprobatę:

— Ano, jak panu przyrzekły, to pewnie i napiszą. — Ale

po minie byłem pewny, że on sam napisze.
Przekonałem się, że moje wrażenie było trafne. Józef Zieliński należy do tego rodzaju ludzi, którzy zawsze mają czas, wierzą, że robota nie zając i nie ucieknie, wyznający zasadę, że co się odwlecze, to nie uciecze. Ostatecznie dopóty go nawiedzałem i popędzałem, że wreszcie „aby mnie się pozbyć" — tak nie było, bośmy spędzili razem wiele miłych chwil, jako że pan Józef był znakomitym gawędziarzem — któregoś dnia w czerwcu 1964 roku otrzymałem pakiecik, a w nim zeszyt. Niestety, tylko do połowy zapisany. O ile palce po rurze klarnetu chodziły muzykantowi jak sprężyny, to z piórem szło gorzej. Ale „ciężkość" w pisaniu takich pamiętnikarzy często wychodzi ich dziełom na dobre. Nie ma w nich gadulstwa, lecz sama esencja, a przy tym idealny wręcz realizm.
Zanim jednak przystąpię do przedstawienia pamiętnika pt. *Muzykanckie wspomnienia,* muszę dodać, że Józef Zieliński urodził się w Cmolasie — w jego biedniackiej części — w roku 1904. Tedy napisał swój pamiętnik mając 60 lat. Jego pamiętnik jest lapidarny, ale jakże wymowny i wiernie oddający muzykanckie dzieje. Ten rasowy muzykant-klarnecista, mimo znajomości nut, traktował je tylko jako pomoc techniczną, a pozostał wierny muzykanctwu ludowemu.

*

„Gdy byłem mały — pierwsze co zapamiętałem — najbardziej podobała mi się muzyka. Mój wujek, który wtedy był jeszcze kawalerem, grał bardzo pięknie na fujarce. Za to go bardzo lubiłem. Nigdy nie mogłem od niego odejść i stale go prosiłem, żeby mi zagrał. Gdym podrósł i miałem około pięć lat, pierwszy raz zobaczyłem i posłyszałem skrzypce. Tak mi się spodobały, że w nocy nie mogłem spać. Com usnął, to mi się śniło to granie. Próbowałem sam takie coś zrobić, żeby mi grało. Brałem kawałek deseczki, robiłem z włósi struny i smyk z kija

zgiętego na kabłąk. I to mi zaczęło grać. Tak żem się tym cieszył, że nie wiedziałem, gdzie to schować, żeby mi kto tego nie zepsuł. A struny zrobiłem z różnych sznurków. Ale na moje największe zmartwienie, nic mi to nie chciało grać.

Pewnego razu, w zimie, w czasie karnawału, wesele szło do ślubu. Marszałek, to jest starszy drużba, całą drogę, od domu aż do kościoła szedł tyłem, to znaczy twarzą do wesela. Całą drogę śpiewał i wywijał rózgą uwitą z kwiatów i jabłek. A muzyka grała to, co on zaśpiewał. Jak to zobaczyłem przez okno, wyleciałem boso na gościniec, ażeby to wszystko widzieć i słyszeć muzykę, jak tak pięknie grała. Pamiętam, marszałek zaśpiewał wtedy taką piosenkę:

U mojego szwagra kalenica spadła,
Krowa się mu ocieliła, suka cielę zjadła.

I tak długo stałem, aż wesele odeszło tak daleko, że już muzyki nie było słychać. W tym czasie postanowiłem, że ja muszę być muzykantem. Ale jak ja mogę nim zostać, nie mając żadnego instrumentu?

Idę ja po poradę do mojego kochanego wujka, co to grał na fujarce. A wujek poradził mi:

— Jak się nauczysz grać na takiej fujarce jak moja, to potem możesz grać na klarnecie.

A mnie właśnie najbardziej podobał się klarnet, bo pięknie grał i daleko go było słychać. A w tamtym czasie muzyka w pełnym składzie, co grywała na weselach, grywała w czterech. Prymista — pierwsze skrzypce, sekundzista — drugie skrzypce, klarnecista i basista. Basista grał na takich małych basach, co się nazywały «ćwierciówki».

Teraz ja, chcąc być muzykantem, musiałem mieć taką fujarkę jak wujek. To proś [!] ha swoją mamę, żeby mi taką fujarkę na jarmarku kupiła. Ja mamę proszę i błagam, a moja mama drwi sobie ze mnie i mówi:

— Tyś jeszcze taki malutki i nie umiesz grać, to co tobie po fujarce? Ja będę pieniądze wydawać? A ty popsujesz.

Jak urośniesz, to ci kupię. — I tak dalej. Ja nie ustępuję, tylko mamę proszę i proszę.
Pewnego wtorku, gdy mama z tatą wybierali się koniem na jarmark do Kolbuszki (do Kolbuszowej, popularnie mówi się na to miasto Kolbuszka), ja proś ich znowu obojga. No i stało się. Już robiło się ciemno, jak tatuś z mamusią przyjechali z tego jarmarku. Dla mnie wielka niespodzianka; jest fujarka. A jaka piękna!... rzeźbiona i malowana. Pierwsza wielka radość w moim życiu. Bo ja myślałem, że grać to to samo, co mieć instrument, że jak mi mama kupi fujarkę, to ja od razu będą grał tak jak wujek. A na wujkowej nigdy nie próbowałem, bo mi wujek nie dał. Mówił, że mu ośliną i osmarkam. Kiedy poszedłem do niego — było po sąsiedzku — a wujka w domu nie było, gdzieś poszedł, to kładł fujarkę za obrazem. Tam nie mogłem dostać, żeby spróbować se pograć. A teraz ja już panem, mam swoją fujarkę. Nie mogę się nacieszyć.
Ale niedługo było tej uciechy. Próbuję grać — fujarka nie gra, tylko piszczy. Przeplatam palcami po dziurkach, a tu nic nie wychodzi, tylko samo pitolenie. Z tego wszystkiego nie mogłem w nocy spać. Drugiego dnia zaraz raniutko lecę ja do wujka z tą fujarką. Niech wujek spróbuje, czy ona dobra i czy na niej można zagrać. Wujek fujarkę pooglądał, pochwalił, że nowa i ładna. Potem przyłożył do ust, dmuchnął, poprzebierał palcami i z mojej fujarki wyszła tak piękna melodia, że ażem się rozpłakał z radości i czego innego. Nagle wyrwałem fujarkę wujkowi schowałem ją w zanadrze i co tchu uciekłem do domu, żeby mi kto tej fujarki nie odebrał. Bo to był mój największy skarb. Ale z tym skarbem przyszło na mnie zmartwienie. Dlaczego wujkowi gra, a mnie nic a nic? I myślę sobie: wujek ma tyle samo palców co i ja, jemu gra, dlaczego mnie nie ma grać? Dmucham i przeplatam palcami, a tu nie wychodzi żadna melodia, tylko samo pitolenie.
Chciałem wciąż słuchać, jak moja fujarka gra. Często leciałem do wujka. Zrazu wujek mi przygrywał, ale jak

mu za często naprzykrzałem się, to mnie zaczął ochrzaniać i wołać: — A daj mi ty spokój, ja nie mam czasu — i mojej fujarki ani do ręki nie chciał wziąć. Jakżem go już bardzo prosił, to mi zagrał jakiś kawałek. Wtedy mi mało oczy nie wyskoczyły, jak on temi swojemi palcami przebiera; raz szybko, a raz pomału i taka piękna melodia wychodzi. A u mnie w domu nic. Tata i mama krzyczą mnie, że pitolę — byłem najstarszy — młodsi bracia i siostry płakali. To ja tyle tylko pitolił, co na polu. Czy było ciepło, czy zimno, ja na polu ze swoją kochaną fujareczką. A miałem wtedy około sześć lat. I wtedy moja fujarka zaczęła wreszcie wydawać jakieś melodie. Jak mi się one podobały! Sztajerki, oberki, poleczki..., lecz nie było ich dużo w głowie, bo nie miałem okazji nasłuchać się prawdziwej muzyki, żeby zapamiętać i później próbować to samo zagrać.

Nareszcie mama zapisała mnie do szkoły, do pierwszej klasy. Dopiero teraz miałem okazję. Chodziłem koło kościoła, gdzie wesela przychodziły do ślubu. A po ślubie to szły do karczmy, wszystkie wesela. Karczma była duża i tam wesela tańczyły do jakiejś drugiej godziny po południu. Było to zawsze we środę, bo tylko środa była dniem ślubów. To ja już w żadną środę nie byłem w szkole; polowałem. Zamiast do szkoły szedłem wprost do karczmy. Tam schowany w jakimś kąciku słuchałem muzyki i przypatrywałem się weselom.

Karczma była własnością Żyda Schlangera. Był to człowiek bardzo bogaty. A wzbogacił się na karczmie i na tych weselach. Kupował od hrabiów lasy, a od chłopów brał pola, które u niego przepijali. Ale kiedy w roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa, chodziłem do drugiej klasy. Skończyła się nauka w szkole i wesela w karczmie. Mnie też popsuła się fujarka i zapomniałem o muzyce. Ja i moi koledzy mieliśmy inną zabawę. Bawiliśmy się kulkami i strzelali z karabinów, które różne wojska pozostawiły po lasach. I tak mi zeszło do roku 1918. Skończyły się wojny

i skończyła się karczma, która podczas wojny została prawie całkowicie zniszczona. Żydy powróciły, ale biedne, a wesela już nie wstępowały do karczmy, nie było po co. Biedny Żyd nie miał już ani piwa, ani wódki. Wesela szły prosto do domów, a mnie znów do głowy wróciła muzyka. Chowam króliki i gołębie, mam pieniądze, własne. Kupiłem sobie klarnet. Gdy już miałem kupować, nie przyznałem się moim rodzicom, bo wiedziałem, że by mi nie pozwolili na kupno żadnego instrumentu. Bo mój tata i mama wierzyli święcie i z przekonaniem w to, że muzyka to nie jest z „dobrem" i że każdy muzykant gra za pomocą szatana. A chcieć grać dobrze, to trzeba oddać szatanowi swoją duszę i wszystko. Ale ja już klarnet kupiłem i przepadło. Ale nie przyznałem się, ile dałem, powiedziałem przez połowę, jak rzeczywiście kosztował. I tak zacząłem próbować, jak to będzie grało. Tata krzyczał i przeklinał na mnie:

— Odnieś to, skądżeś przyniósł, bo popsujesz i chłop nie odda ci pieniędzy. — Tak więc narobiłem sobie w domu nowego kłopotu. Wszyscy na mnie krzyczą, a tu klarnet nie chce grać. Co w niego dmuchnę, to mi wydaje takie jakieś dziwne kwiki i piski, że w ogóle nie podobne do pięknych klarnetowych tonów, jakie słyszy się, gdy grają muzykanci. I tu sęk: jak oni to robią, że z ich instrumentów wychodzą tak piękne głosy, a z mojego ani jeden do nich podobny. Przebieram po dziurkach, przyciskam klapki, a tu głosy coraz brzydsze.

W domu już na mnie nie krzyczą. Widzą, że ja i tak chodzę zmartwiony. Ale choć mi nie gra, to ja i tak mój instrument oglądam, czyszczę i chowam. A próbuję wtedy, jak nie ma rodziców w domu. Bo jak tylko zacznę pitolić, kiedy oni są, to się śmieją i mówią:

— Ty będziesz muzykantem! Tyś się udał do grania!... Żeby grać, to trzeba wiedzieć jak. — A ja skąd mogłem wiedzieć?

To wszystko nie dawało mi spać po nocach. Raz proszę

swojej mamy, żeby mi powiedziała, co to trzeba „wiedzieć" — co mi mówiła — żeby grać. Mama zgniewała się na mnie i mówi:
— Rzuć to! Jakiegoś grania ci się zachciewa, to nie jest z „dobrem", każdy skrzypek ma spółkę z diabłem. Ty myślisz, że to tak samo mu się gra? Tobie klarnet nie gra, jakiś skrzypek to by ci powiedział, ale nie waż mi się pytać żadnego skrzypka, żeby co doradzał, bo ja tu nie chcę mieć diabła w swoich ścianach. Ucz się roboty i nie myśl o graniu, bo to nie jest z „dobrem"!
I wtedy ja sobie pomyślał: — Jakiego by tu skrzypka o to zapytać, co by mi chciał powiedzieć? — Już ja bym poznał, czy to z dobrem, czy ze złem. Ja o coś takiego starego muzykanta pytać nie mogę. Wstyd mnie było przyznać się, że chcę być muzykantem. Bo w tamtych czasach, gdy jakiś młody chciał się uczyć grać, to ci starzy muzykanci wyśmiewali się z nich. A gdy chciałem popitolić coś na moim klarnecie, to jest w izbie, rodzice wyganiali mnie na pole z tym piszczeniem. Więc wychodziłem na pole, a przeważnie wieczór. Bo na dniu nie było na to czasu. To jakżem sobie pograł na polu, to drugiego dnia koledzy mówili:
— Ale Maciąg wyśmiewał się z ciebie! — A Maciąg był to stary muzykant i mówił: — Jutro będzie słota, bo Zielińskiego kogut pieje. Z niego będzie muzykant jak z raka ogier, a z diabła dzwonnik. — No i gdzie miałem się uczyć? Z domu mnie wyrzucali, na polu śmiali się. To ja sobie co innego umyślił. Zrobiłem sobie w stajni wyrko do spania, takie z desek, u powały. Tam żem spał i grałem, ilem chciał. Koń i krowy tak sobie spokojnie leżały jakby nic, więc nikomu nie przeszkadzałem. Wieczór szedłem spać do stajni — tam też miałem klarnet — tom tyle grał, ażem usnął. Tak prawie na siedząco, na tym wyrku. Ojciec przychodząc rano do stajni prawie zawsze znajdował mnie, jak spałem nie rozebrany i nie wyzuty z butów. Ojciec chciał mnie z tego spania do izby, ale ja ojca prosił, że tu

mi dobrze, tu mi ciepło. I zostało tu moje spanie.
Teraz w stajni zrobiłem sobie taką półkę z deski, postawiłem na niej kaganek na naftę, tom sobie świecił i grał. Było mi tu naprawdę dobrze. Nikt nie słyszał, nie wyśmiewał się ze mnie, a ja uczyłem się, ile miałem sił, żeby choć raz zagrać na jakim weselu. Ale szło mi bardzo trudno. Miałem klarnet Es, bardzo wysokiej tonacji i że do grania się nie nadaje, a mnie potrzeba klarnet C. Wypytywałem się wszędzie i dowiedziałem się, że jest w Jagodniku, w zupełnie dobrym stanie. Dałem tam swój i dopłaciłem. Teraz już mam dobry instrument, a wciąż nie umiem grać. A chciałem się nauczyć za wszelką cenę, czy z «dobrem», czy ze «złem».
Był w naszej wsi taki stary skrzypek, co grał bardzo kiepsko. Ale jak w zapusty brakowało muzykantów, to czasem i jego brali lub na jakieś biedniejsze wesele. To ja się weź [!] kręcić koło niego: może on mi coś doradzi. Pochlebiam staremu, noszę papierosy, daję mu palić, zostawiam mu po paczce, staram się go urobić, żeby mi się zwierzył i żeby mi wszystko opowiedział. Zawsze z nim rozmawiałem o graniu, jak to muzykanci uczą się grać. Ale on niechętnie rozmawiał ze mną o tym. Widziałem w myśli, że mi nie chce powiedzieć, tylko mi opowiadał, jak to skrzypek skrzypkowi może zrobić, że tamtego morduje, że mu wszystkie struny wypękają, jak to ten drugi musi wiedzieć, jak sobie poradzić, kiedy tamten mu uczyni. Mnie na tym wcale nie zależało, chociaż nigdy nie powiedział, jak się to robi. A ja chciał wiedzieć, jak się nauczyć grać. Wreszcie ośmieliłem się i zapytałem. I wtedy mi powiedział.
Był na Świerczowie jakiś skrzypek, co mu skrzypce same takie piosenki grały, o których on nigdy nie słyszał. Te skrzypce wisiały na ścianie i same grały. A ten skrzypek, jak mu się która z tych piosenek podobała, to brał te skrzypce i od razu grał tę piosenkę. I nigdy ich nie zapominał. Inni skrzypkowie, jak słyszeli te jego piosenki,

też je grali. Ale żadne skrzypce nie grały tak pięknie jak tamte. Ale nie było to z „dobrem". Mógł on zrobić innym muzykantom, co chciał, i bali się go jak ognia. Nie tylko muzykanci, ale i młodzież, aby kogo nie zauroczył. A jak puścił na kogo urok, to go męczyło do zachodu słońca. Jak oprzytomniał, nie wiedział, co się z nim działo. Tak ten stary muzykant przekonał mnie, że są ludzie, co mają jakieś porozumienie z diabłem. Tylko sztuka, jak się z nim spotkać i zmówić. Odtąd nie odstępowała mnie myśl, jak by dostać taki adres. Myślałem sobie: — Jużbym i przystał do niego, żeby mnie tylko dobrze nauczył grać. — Postanowiłem dopóty męczyć starego, aż mi coś doradzi. Pewnego razu, gdym zaszedł do niego, przyszedł skądś trochę podpity i był w dobrym humorze. To ja z nim zaczynam o graniu i o tym, co sobie tak poradził. Wtedy stary powiedział mi, że to jest ciężkim grzechem, on tego nie robił i nikomu tego nie radzi. Bo ten, co chce dobrze grać, musi podpisać szatanowi cyrograf. Bierze się kawałek czystego papieru, urywa się mały kawałek lewą ręką i też lewą ręką podpisuje się. Podpis musi być napisany piórem z koguta, wyrwanego z lewego skrzydła i krwią ze serdecznego palca lewej ręki. Kiedy mi to powiedział, dodał: — Nie radzę ci tego robić, bo kto podpisze, to oddaje swoją duszę szatanowi. Ale jak już to zrobi, samo się mu pięknie gra i nikt mu nic nie «poradzi». — I już na końcu powiedział mi, że taka karteczka podpisana własną krwią musi być wrażona w dębowy słup od wrót, popękany od słońca, w taką szparę. Jak się taką karteczkę włoży w szparę, trzeba odejść i nie oglądać się za siebie. O godzinie dwunastej, w południe czy w nocy, w północek, ta karteczka ma zniknąć. I muzykant zaraz ma grać.
To mi strasznie wlazło w głowę, żeby tego spróbować. Nie namyślałem się długo, bo za wszelką cenę chciałem grać. Zrobiłem jak ten stary muzykant mówił i kartkę włożyłem w szparę w słupie zaraz z rana. Zachodzę ja w południe do mojego słupa, patrzę — leży. — No nic, pomyślałem sobie

— może zginie o północku. — Tylko kartkę mocniej wbiłem w szparę, żeby jej wiatr nie porwał. I myślę sobie: — Zginie w tej sprawie czy nie? — Na drugi dzień zaraz raniutko lecę do tego słupa — kartka leży. Wziąłem ją i spaliłem. Doszedłem do przekonania, że to wszystko to tylko bujanie. Chcąc coś umieć, trzeba się uczyć.
I wziąłem się za naukę.
Teraz już mi jakoś lepiej szło, ale tylko na samych dziurkach. Na co są te klapy, nie miałem pojęcia. Co który przycisnę, to mi w słuchu do niczego nie pasuje; a jest ich szesnaście. Myślę sobie: — Pewnie i diabeł nie wiedział, co z nimi robić, kiedy nie wziął mojej kartki. — Byli u nas starzy klarneciści, co grali, ale tylko na samych dziurkach, jak na fujarce, i mówili, że te klapy to tylko na paradę. Ale ja w tę paradę nie wierzył, bo to klapy to nie kwiaty czy wzory na ozdobę. Powiedziałem sobie, że muszę się dowiedzieć.
Na moje wielkie szczęście przyszedł z wojska Andrzej Hałdaś z Trzęsówki. Służył w wojskowej orkiestrze w 17 pułku w Rzeszowie i za granie dostał sierżanta. Był właśnie klarnecistą. Przyszedł do cywila. Jak podejść do niego? Wszyscy tacy gorsi muzykanci to się go wstydzili, bo grał z papieru, na którym było coś pokreślone. On na to patrzał i grał. O czymś takim słyszałem pierwszy raz w życiu i uszom nie wierzyłem, że tak można grać. Hałdaś grał tylko na takich lepszych weselach i zabawach w „Sokole" w Kolbuszowej [4], w Głogowie, w Sokołowie, w Raniżowie. Pozbierał on różnych co lepszych muzykantów, trochę ich poduczył i zrobił taką swoją spółkę. Ci inni wstydziliby się przy nim zagrać. To ja proś tatusia, żeby pomówił z tym Hałdasiem, czyby on nie chciał mnie uczyć za zapłatą. Takżem taty prosił i nie dawałem im spokoju, tak się podchlebiałem, ażem ich uprosił, że poszli do Hałdasia. Zgodził się z nim, ale z tym, że będzie mnie uczył w poście, bo teraz ma granie; żebym przyszedł.

Teraz nowy kłopot. Matka z ojcem uradzili, że ten, co gra w poście, to jest głupi. Ten Hałdaś pewnie w Boga nie wierzy, kiedy chce w poście uczyć grać i żeby dziecko grało. Kto to słyszał, żeby dziecko tak grzeszyło. Męka Pańska, a jemu grania się zachciewa. Ja w płacz, a ojciec:
— Ja ci tu dam granie w poście! Jak cię nie chce uczyć kiedy indziej, to w poście tego klarnetu do pazurów nie weźmiesz, rozumiesz czy nie? Czy ty wiesz, co to jest wielki post, ty gówniarzu! Ja ci zagram, jak będziesz chciał! — zagroził.
— No, tom się już nauczył — pomyślałem. — Diabeł kartki nie wziął, tu znowu post przeszkodził. Zawsze mi coś naprzeciw wyskoczy. — Ale myślę: — Teraz jest karnawał, to do postu ja się dowiem, czy to grzech uczyć się w poście czy nie. — Pytałem się ludzi; jedni mówili, że grzech, inni, że nie. Tak proś ja mojej mamy, żeby zapytała księdza, czy to grzech taka nauka w poście. Mama zapytała się księdza. Ksiądz powiedział, że — dla mojej pociechy — jak nikt nie tańcuje, to muzyki można się uczyć i cały post prócz Wielkiego Tygodnia. Mama powiedziała to tatowi i mnie. Ja z radości ażem do góry podskoczył, że się wreszcie będę mógł uczyć.
Wreszcie nastąpił post i czas na naukę. Ale do mnie przystąpiła taka trema, że nie do przezwyciężenia. — Czy ten Hałdaś będzie chciał ze mną rozmawiać? Czy zechce mnie uczyć? — Nie mogłem w to uwierzyć. Ale kiedy umówił się z moim tatą i za wynagrodzenie, to trzeba pójść popróbować, jak mi ta nauka pójdzie.
Na trzeci dzień postu poszedłem z wielką tremą, miałem tylko dwa kilometry drogi. Na szczęście mój nauczyciel był w domu. Przyjął mnie bardzo serdecznie. Zaraz wziął się opytywać mnie, co słychać w Cmolasie, czy u mnie wszyscy zdrowi. Opowiadał mi też różne hece, to ja od razu ośmieliłem się do niego, że to dobry człowiek, taki przystępny. A ja sobie tak inaczej go przedstawiałem. Przedstawiałem go sobie jako coś nieludzkiego

(nadludzkiego) — te jego zdolności. A teraz wydał mi się zwykłym człowiekiem, jak każdy inny. Polubiłem go, bo był dla mnie grzeczny. Wziął ode mnie mój klarnet, przyszykował go trochę i pięknie na nim zagrał. Następnie kazał mi zagrać. Ja się wstydził, ale zagrałem, jakem umiał. To on mnie pochwalił i pogłaskał po głowie. Powiedział mi, że mam dobre zadęcie, a palce się nauczą i będą latać jak sprężyny. Mówił, że muzyka to nie taka trudna rzecz, nuty to tak się czyta jak gazetę czy książkę i samo się gra. I powiedział mi na końcu, że ze mnie będzie dobry muzykant.

Teraz odetchnąłem i pomyślałem sobie w duchu: — Teraz dochodzę prawdy o muzyce i nauce od człowieka, który przeszedł szkołę, a nie szukał nory, gdzie diabeł ma młode. On mi tu nie gada, że trza umieć poradzić i odradzić, co tyle razy słyszałem do starych grajków, nie wierzy w czary i w to, że zdolność człowieka to «dar szatana». [...]

Pewnego razu dał mi [Hałdaś] do nauczenia się w domu bardzo trudne kawałki: polkę i marsza. Mówi:

— Masz na to cały tydzień, jak się nauczysz, to przyjdź.

Ja, prawda z trudem, ale za dwa dni poszedłem (do nauczyciela) i zagrałem mu bez błędu. Pewnie wtedy zauważył moje zdolności i już mi nic więcej nie dał do nauki; widocznie z zazdrości. Takżem sobie narobił, żem się dobrze uczył. Powiedział mi:

— Dzisiej nie mam czasu, przyjdź kiedy indziej, to se odpiszesz.

Ja to «kiedy indziej» dość dobrze zrozumiałem, ale nie traciłem nadziei. Poszedłem za kilka dni — to samo. Usłyszałem, że nie ma w domu książki z nutami, gdzieś tam zostawił, jak grał. Ale ja już nie potrzebowałem łaski, mając opanowany instrument i znając nuty. Pomyślałem, że trzeba zacząć z innej beczki.

Byli w tym czasie muzykanci, co grali z nut, na Weryni. Był taki Durak i jego trzech synów. Mieli zespół na owe czasy na podziw, składający się z siedmiu ludzi: dwoje

skrzypiec, pierwsze i sekund, klarnet, kornet, flet, tenor i basy. Grali oni na różnych balach, we dworach czy miastach i na bogatych weselach. Wszyscy grali już z nut. Jak się dowiedziałem, Hałdaś od nich odpisywał nuty i mnie z tego czasem coś kapnął. Kiedy zorientował się, że ja za szybko się uczę — odmówił mi nauki. Teraz ja se myślę: — Jak by się zapoznać z tymi synami Duraka? — Byli to chłopcy z mojego rocznika i jak mogłem, takżem się z nimi zapoznał. Trochę przez gołębie, trochę z «kolegacji». Wreszcie poprosiłem ich, żeby mi pożyczyli nut. To oni, jak nie było ojca w domu, po kryjomu odpisali nuty i ja od nich odebrałem. Zaklinali mnie, żeby się o tym nikt nie dowiedział. Bo gdyby ojciec Durak dowiedział się, że oni wydają nuty, mieliby duży kłopot. Żebym się do nikogo nie przyznał, że oni dają mi nuty. To ja ani nie pisnął, nawet w domu, skąd mam nuty. Ćwiczyłem jak najstaranniej i po roku takiej nauki grałem mało gorzej od mojego nauczyciela.

Teraz już starzy muzykanci brali mnie na wesela, na różne «pograjki», dożynki itd. Wszyscy podziwiali moje granie, bo jak na owe czasy grałem wszystkie kawałki, ładne i trudne, bez błędów i z dobrą techniką. Dopiero teraz mogłem nasłuchać się od tych starych muzykantów opowiadań, jak to jeden muzykant może drugiemu «poradzić», że mu się będą struny rwały i nie po jednej, ale wszystkie na raz. I, jakby se nie umiał «odradzić», toby nie grał w ogóle. Bo co by założył nowe struny i chciał grać, to porwią się z powrotem. Ja się ich dopytywał, czy to «poradzić» to na zawsze, czy tylko na jakiś okres. To mi oni tłumaczyli, że jak «poradzi» za dnia, to trwa to do zachodu słońca. A jak w nocy, to do wschodu miało trwać takie «poradzenie». Ale ja w to już w ogóle nie wierzyłem. Co ja się ich naprosił, żeby któryś z nich, co ja z nimi grał, «poradził», jak przed kościołem stało i kilka wesel z muzykantami. Chciałem naocznie widzieć, jak się te struny będą rwały. Ale każdy tłumaczył mi, że

«poradzić» drugiemu to jest ciężki grzech, trza się z tego spowiadać. Tylko «odradzić» se to nie jest grzech. A owo odradzanie to się miało odbywać tak:
Jak się któremu rwały struny — pokazywali mi, napatrzyłem się — przekładał smyczek pod prawą nogę, od środka pod kolano, tak jak siedział. A skrzypce pod lewą nogę i przekręcał struny jakoś na opak. Potem te skrzypce kreślił jakąś kredą i to miało pomóc.
Każdy stary skrzypek, prawie każdy — ja grał z nimi za 18 lat, a oni byli starsi ode mnie po 20 i 30 lat, dawno już nie żyją, a ja mam obecnie (w r. 1964) 60 lat — miał przy sobie takie drewniane pudełeczko, jak pudełko papierosów Żaden nigdy nie poszedł grać bez niego, bo w tym pudełku miał różne święte rzeczy, do których szatan nie miał przystępu. Tym samym i do niego. Oni tak w to silnie wierzyli, że żaden nie chciał zdradzić, co tam ma w tym pudełeczku. Aż raz jeden, będąc pijany, przyznał mi się. Miał w pudełku piasek z jakiegoś świętego miejsca, kredę święconą w siedmiu kościołach, tak samo święconą kalafonię. Po tej kalafonii pociągał smyczkiem trzy razy, jak wychodził z domu na granie. W tym pudełku miał jeszcze wosk ze świecy, tej która stoi na ołtarzu w kościele na Zmartwychwstanie Pańskie we Wielką Niedzielę, z takimi pięciu ranami Pana Jezusa; z każdego takiego ramiączka trochę udrapanego wosku. A tym woskiem to już handlował kościelny. Jak skrzypek miał znajomość z kościelnym, a jeszcze mu zapłacił, jak wszyscy ludzie wyszli już z kościoła, to kościelny pozwolił mu udrapać troszkę tego wosku. Musiało to być zrobione przez skrzypka własnoręcznie, inaczej nie byłoby pomocne i nie miałoby «odczaru». Jak od prawie każdego skrzypka (prymisty) wychodziliśmy gdzie na granie, to on najpierw tą kredą z pudełeczka zrobił na skrzypcach trzy krzyżyki, a smyczek pociągnął trzy razy po kalafonii, też z pudełeczka. Wtedy powiedział:
— No, teraz ja się już niczego nie boję!

Wtedy ja mówię do niego: — A pały też się nie boicie?... jak by była bitka? — A o taką wtedy nie było trudno. Prawie żadne wesele nie obeszło się bez bitki. A to z tego powodu. W owych czasach, zaraz po pierwszej wojnie światowej, po wioskach potworzyły się takie bandy, po kilkunastu «baciarów», jak ich wtedy nazywano. Trudniły się te bandy kradzieżą, napadały na wesela, ażeby się najeść i napić. Gdy taka baciarka przyszła na wesele, to trzeba ich było zaprosić, dać im żreć i popić, pozwolić, żeby przetańcowali kilka kawałków. Wtedy poszli i było spokojnie. Gdy gospodarz wesela tego nie zrobił, a wesele mogło być biedne i nie było z czego, to taka baciarka stała na polu jakiś czas i czekała, czy ich nie zaproszą do środka. Jak ich nie zaprosili, to weszli sami i od razu rozpoczynali bitkę; winny, niewinny, bili, kto był. Rozbijali stoły, talerze, szkło, jakie było, powybijali okna. Następnie muzyka musiała grać, dokąd oni sami chcieli. Musieli grać, inaczej muzykancia pozbyliby się instrumentów. Toteż gdy takiego coś zachodziło, tośmy tak kombinowali, żeby się gdzieś skryć. Najlepiej było na strychu w tym domu lub u sąsiadów. Było nasze szczęście, jak nas nie znaleźli. Jak nas złapali, tośmy się nagrali za darmo i jeszcze pod strachem. Dlatego jak baciarzy robili taki napad, to wszyscy weselni uciekali z mieszkania którędy się dało: przez okna czy drzwiami. Baciarzy szukali nas, muzykantów, i po kilku domach od miejsca wesela, ale nigdy nas nikt nie zdradził. Kiedy uspokoiło się, to znaczy, że baciarka odeszła, bo nie miała już co robić, jak nie było muzyki, to my wychodzili z kryjówki i wesele szło dalej. Tańczyli tylko ci, którzy nie byli pobici. Tych ciężko pobitych czy rannych od noży lub bagnetów, nieraz nawet śmiertelnie, wieźli do lekarza lub jechali po niego końmi. Lekarz na miejscu robił opatrunki, nieraz musiał szyć rany. Takie to były czasy i taka moda. Każdy kawaler nie chodził inaczej jak z grubą lagą z okuciem na końcu, z bagnetem lub nożem zrobionym u kowala «na słowo» — jak wtedy

mówili. Wielu miało tak zwane «gumszlagi», a była to sprężyna obszyta skórą, a na końcu była zaopatrzona kawałem ołowiu. Jeśli czegoś podobnego nie miał, to nie był honorowy kawaler, nie był morowy. Chcąc pokazać się, że się jest morowym i honorowym, trzeba było niejednemu niewinnie rozbić lagą głowę, innemu wrazić nóż w plecy, komu innemu utrącić rękę. Taki to był ówczesny honor i morowy kawaler.

Zdarzały się jednak i takie wesela, że «żołądkowe» baciary — tak ich nazywano — po napadzie przegrywali. Było bowiem i tak, że goście weselni też się uzbroili w co mogli: w widły, siekiery, cepy; znalazły się i pistolety czy nawet takie krótkie karabiny z oberżniętymi lufami. Jak tacy nieproszeni goście natrafili na przygotowane do bitki wesele, byli nieraz biedni. Uzbrojeni weselnicy brali górę nad baciarami, a i kobiety stawały do bitki. Brały za widły, motyki i inne ostre narzędzia i biły bez litości. Sam widziałem, jak kobieta wbiła widły w plecy napastnikowi i mówiła ze śmiechem i dumą: — Wbiłam w niego widły jak we wściekłego psa. — Jak tacy baciarze zostali pobici i rozbrojeni z tych lagów, nożów, sprężyn, wtedy my, muzykanci, patrzyliśmy na to z zadowoleniem i radością, że dziś nasze wesele zostało górą. Na takim weselu chciało się grać i było wesoło".

Można powiedzieć — rówieśnik Józefa Zielińskiego.
W swoim pamiętniku, któremu dał tytuł *Mój muzykancki żywot* (spisanym w roku 1968), na początku pisze: „Urodziłem się 25 XI 1905 roku w Sarzynie koło Leżajska. Mój ojciec był tam podleśniczym w ciągu 22 lat, pochodził z Zalesia (pow. Łańcut). Matka pochodziła z Krzemienicy (pow. Łańcut). Ojciec dorobił się znacznego majątku. W roku 1910 wrócił na swoją gospodarkę, dokupił pola do 19 mórg, przyprowadził 12 sztuk bydła, cztery konie, także dwóch parobków. Chował po 12 sztuk świń. Miałem 7 lat, kiedy zacząłem chodzić w roku 1912 do szkoły ludowej". Bojda należał więc do ludzi zamożnych, jeśli nie bogatych, i te wszystkie perypetie, jakie były udziałem chłopców biednych, powinny być mu nieznane. Kiedy z bratem Józefem pasł krowy, jak pisze: „... tom ślicznie przygrywał na harmonijce ustnej i na fujarce, że ludzie z podziwem słuchali. Ażeby z fujarki wydobyć półtony, tom przytykał palcem pół dziurki. Od maleństwa strasznie lubiłem dźwięki muzyki".
W pamiętniku Bojdy brak przeżytych prawdziwych mąk innych uzdolnionych muzycznie, ale biednych chłopców, ich wysiłków, aby zdobyć nawet taki prosty instrument, jakim była drewniana fujarka. W stosunku do innych muzykantów był niejako arystokratą, jeśli chodzi o stronę materialną.
Znając dobrze Juliana Bojdę, aż korci mnie, aby go zestawić, porównać z galerią wiejskich muzykantów, z których każdego można jakoś scharakteryzować. Jeśli miałbym z kim „skolegować" czy „skompanić" Bojdę, to tylko z Zielińskim, prawie rówieśnikiem. Obaj rasowi weselni muzykanci, beztroscy, weseli, kawalarze i dowcipnisie. Obaj żyli tylko muzyką. Kompani

i gawędziarze typowo polscy, chłopscy.
Kiedy w roku 1967 odwiedziłem Bojdę w jego domu w Zalesiu — wieś jak w bajce, za lasami i za rzekami, prawie na końcu świata — wydało mi się, że znalazłem się w sklepie z instrumentami i przyborami muzycznymi. Gdzie nie spojrzeć, góry instrumentów i nut. Warto dowiedzieć się, jak do tego doszedł; bynajmniej nie po różach.

*

„W naszej rodzinie — niezależnie od rodziców — było nas dzieci czternaścioro; dziesięciu chłopców i cztery dziewczęta. Pięciu braci zmarło i dwie siostry zmarły w młodym wieku. Pozostało nas pięciu braci i dwie siostry" — opisuje. A następnie ciężkie lata pierwszej wojny światowej, realistycznie, barwnie: „Pamiętam, jak w wieczór wigilijny przyszedł ze wschodniego frontu list od starszego brata. Było u nas wiele sąsiadek, które też miały mężów na wojnie. W tym liście była ułożona przez żołnierzy kolęda, na melodię *Wśród nocnej ciszy*. Zaczynała się ona:

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi,
W polu żołnierze, z dala od rodzin.
Co za smutna Wigilija,
Każda matka i familia — ojca wspomina.

Ja ten list czytałem, a kobiety bardzo płakały" [5] Bojda pisze dalej:
„Jako uczeń III klasy za marne grosze kupiłem stare skrzypeczki i uznałem je za wielkie «micyje». Lecz po niedługim czasie przyszły siostry tego kolegi, od którego kupiłem skrzypce, odniosły pieniądze i zabrały z powrotem skrzypce, że im się przykrzy bez grania. Ja pieniędzy nie wziąłem. Tak straciłem i skrzypce, i pieniądze. Później nawinęły mi się znowu stare łupki. Właściciel powiedział, że je sprzeda, ale muszę mu dać dwa garnce prosa na

kaszę. Jakoś jeden garniec udało mi się porwać bez wiedzy matki, a drugi uprosiłem, że mi dała. I przyniosłem łupki do domu. Kiedy coś zarzępoliłem, matka powiedziała: — Ano, już ból zagojony. — Lecz po niedługim czasie przyszedł ten chłopiec po skrzypki, że go w domu swarzą, i zabrał. A prosa to nie zwróci — mówi — bo było zatęchnięte. I taki był mój los; garbaty. Z tą muzyką.
Aż w roku 1917 dowiedziałem się, że niejaki Walenty Piekło z Medyni ma do sprzedania nowe skrzypce. Był to członek zespołu pod kierownictwem Józefa Wilka (Kulawego). Od tego czasu nie dawałem matce spokoju, żeby mi kupiła te skrzypce. Kiedy nie mogła przesłuchać mego płaczu, dała mi wreszcie pieniądze na kupno. Kosztowały 70 ryńskich, czyli 140 koron. A że od małości, jak usłyszałem muzykę, to mi się zdawało, że za nią skoczyłbym w morze, zaraz zacząłem grać ze słuchu. Zaraz też znaleźli się koledzy. Jeden z małymi basami, takimi jak wiolonczela, później doszedł z drugimi skrzypcami i wreszcie sekund. Graliśmy na weselach, dożynkach itd. Ojciec wrócił z wojny w roku 1917, a brat w roku 1918. Ale ojciec zmarł już w roku 1919. Nastały dla nas czasy, że pożal się Boże. Ja dorastałem, a nie było mowy o ubraniu i obuwiu. Chodziłem w starym po bracie, a było już przetarte. Wtedy pociągnąłem braci do muzyki i graliśmy wszyscy. Najstarszy, który wrócił z wojny jako inwalida na nogę — chłop miał wagi 108 kilogramów — ten na kontrabasie. Po nim Andrzej na altówce, ja środkowy jako pierwsze skrzypce, po mnie brat Józef na trąbce, a najmłodszy Władek jako drugie skrzypce.
Raz grając na weselu w Krzemienicy u niejakiego Gwizdaka byli na tym weselu ze służby hrabiego Potockiego z Łańcuta. Wieczór przyszły bitniki z Czarnej. Przyszło do strzelanimy z rewolwerów, że od strzałów zgasły lampy, bo to były naftowe. Służba Potockiego strzelała zza okien z karabinów.
Drugi raz, na weselu w Medyni Łańcuckiej u niejakiego

Kuśnierza, to była straszna wojna. Przyszli na bitkę z Dąbrówki, aby pobić Pogwizdów. Pogwizdów nie chciał sobie na to pozwolić i przyszło do wojny. Piotrowi Malcowi z Pogwizdowa przestrzelili płuca i zaraz wołali, żeby powieźli go do szpitala do Rzeszowa. Potym ci z Dąbrówki zamknęli się w komorze, zaryglowali drzwi i z komory strzelali do pogwizdowianów. Starszy brat rannego powierzył go memu bratu, żeby mu dać na drogę jaki opatrunek. Więc my, muzykanci, bandażowali rannego na pastwisku. A ten starszy brat klęknął przed drzwiami komory, a miał dubeltówkę. Zeblekł się do koszuli i nie zważając na kule wylatujące z komory, wołał:
— Jeżeli nie pokonam tych bandytów z Dąbrówki, to niechaj zginę! — i z obydwu luf wywalił we drzwi. Dąbrówki bojąc się, nie wychodzili z komory. Ktoś pojechał po policję. Przyszedł jeden posterunkowy, wójt i podwójci. Wzywali Dąbrówki, żeby odemknęli komorę. Powiedzieli, że odemkną, jak ze sieni wyjdzie Malec. Malec, pomimo że posterunkowy nawoływał, żeby wyszedł, nie usłuchał wezwania. Powiedział:
— Panie posterunkowy, ja za mojego brata muszę ich trupem położyć! — i pokazał na drzwi, w których od jego dwóch pocisków była dziura, co by ręka weszła. Malec już nie miał strzelby, bo ją schował przed posterunkowym. Wtedy posterunkowy zawołał:
— W imię prawa Rzeczypospolitej proszę wyjść! — Malec dopiero teraz wyszedł, a komorę otworzono. Zaraz tam weszli posterunkowy, wójt i podwójci. Wynieśli stamtąd karabin, pałasz i dwa rewolwery".

*

Bojda jest fenomenalnym gawędziarzem; jak zresztą wielu muzykantów. Niesłychanie barwnie opisuje różne wydarzenia — chociażby epilog owej wojny na weselu — wydarzenia w szkole, ale przede wszystkim zwyczaje weselne, ubarwiając opowiadania licznymi piosenkami

i obrzędowymi pieśniami. Przedstawia anegdoty w różnych miejscach zasłyszane, a także opowiadania innych muzykantów. Z tych jedno jest wielce charakterystyczne, a słyszałem o tym kilkakrotnie. „W czasach przed pierwszą wojną światową gospodarz, który miał dużo żniwa, zakupił piwo, wódkę i zamówił muzykę. Powiadomił o tym chłopców i dziewczęta. Takie żniwa odbywały się w nocy. Muzyka grała, dziewczęta żęły sierpami, a chłopcy wiązali i składali w stogi. Potem robiły wieniec i była zabawa".
To zjawisko Bojda opisał niestety niezbyt ściśle. Do żniw rzeczywiście zapraszano muzykę, zwłaszcza do dworów, które musiały się ze żniwami spieszyć. Muzyka grała w czasie pracy i to jak najskoczniejsze melodie, aby w ten sposób pobudzić do szybkiej roboty.

*

„Powracam do przejść w mojej muzyce. Od roku 1919 do 1925 grałem tylko ze słuchu. Od roku 1925 zacząłem uczyć się nut, a było to tak:
Mieliśmy już taką sławę, że zapraszali nas na wesela aż na przedmieścia Łańcuta. Graliśmy po swojemu, po wiejsku. W czasie takiego grania w Dębach koło stacji w Łańcucie ludzie szemrali, że im się takie granie nie podoba. Wtedy powiedziałem do braci:
— Albo rzucę to granie, albo pójdę gdzieś uczyć się z nut.
— Ale w tamtych latach to nie było takie proste, nie było możności uczenia się nut. Grającą z nut orkiestrę miał swoją własną hrabia Potocki z Łańcuta, a w samym Łańcucie było dwóch Żydów o nazwisku Schtikel, też grali z nut. I w orkiestrze strażackiej kapelmistrz, niejaki Matus. Jeszcze w szkole w Łukawcu był nauczyciel Hałdys, też grał z nut na skrzypcach. Poprosiłem więc starszego brata, który wrócił z wojny, żeby poszedł ze mną do Łukawca, do nauczyciela, czyby on nie chciał mnie uczyć grać z nut. Nauczyciel zgodził się i chodziło nas do niego

czterech. [...] Haładys ze Lwowa sprowadził pięcioczęściową «szkołę» Hohmanna (popularny podręcznik do nauki gry na skrzypcach) i zaczęła się nauka. Najgorsze do wygrania były tak zwane synkopy.
Nareszcie, już po wielu lekcjach, nauczyciel porozstawiał nas w czterech kątach i próbowaliśmy grać ćwiczenia i lekkie piosenki na cztery głosy. Tak przerobiłem trzy części, od I do III. Wtedy nasza paczka rozsypała się. Jeden zrezygnował z dalszej nauki, a dwóch poszło do wojska. Na lekcje chodziłem już tylko sam. A zapłata za te lekcje nie była tania. Za jedną lekcję płaciłem 2 zł 50 groszy (wtedy koszula kosztowała 2.40 zł). Toteż częściowo płaciłem w naturze; drzewem opałowym, żywnością. Pomagali mi bracia. Nauczyciel, pamiętam, uczył nas solidnie, tłumaczył cierpliwie. Już nie żyje; jak się dowiedziałem, zmarł w Przemyślu. A ile ja razy poszedłem na lekcję głodny i o chłodzie, w dodatku 10 kilometrów drogi!
Kiedy już byłem w IV części szkoły, pewnego razu nauczyciel mówi mi:
— Te dalsze części to ja ci wytłumaczę, ale nie wygram, bo ja grałem to już dawno. — Rzeczywiście, ćwiczenia były trudne. Tedy znowu poszedłem z bratem do kapelmistrza straży Matusa, który wtedy miał jakieś 60 lat. Zgodził się mnie uczyć. A nie chciałem mu powiedzieć, że mnie już uczył nauczyciel z Łukawca, żeby go nie obrazić. Powiedziałem tylko, że nuty już coś znam, bo mi je pokazał i przysłał brat z Krakowa. Kiedy rozłożył przede mną swoją szkołę na skrzypce Hohmanna, przekładając kartki kazał mi grać. A ja otwarcie, com umiał, tom grał. Kiedy już przełożyłem całą część III i zagrałem ćwiczenia z wariacjami, kapelmistrz zwrócił się do mego brata, popatrzył na mnie i powiedział:
— Czy pan mnie przyszedł uczyć, czy ja pana? — Ale ja go przeprosił i powiedziałem, że zacznę u niego od części IV.
Był to dla mnie cudowny człowiek. Skończył szkołę

katedralną przy kapitule w Tarnowie. Grał cudownie skrzypce, trąbki, czyli wszystko. Po pewnym czasie już sam wygrywałem z nut różne utwory. Dużo się domyślałem, czego się nie uczyłem. I utwory wychodziły mi dobrze. W roku 1929 ożeniłem się we swojej wsi, w Zalesiu. Uczyłem się nie tylko sam; równocześnie uczyłem braci. Wkrótce miałem zespół grający z nut. Do braci dobrałem sobie Antka Barana na trąbkę, z orkiestry w Łańcucie, i Ludwika Sodo na klarnet. Moja muzyka była czysta i strojna. Uczyłem chór na 4 głosy do kościoła, dzieci w szkole na przedstawienia, kiedy dawały różne sztuczki. Wreszcie postanowiłem zdobyć zawód oparty na mojej muzyce. Tak w roku 1930 poszedłem uczyć się prywatnie do organisty do Sokołowa, niejakiego Juliana Zacha. Ten zaręczył mi, że przy moich zdolnościach będę gotowy z nauką za sześć miesięcy, jako że mam już opanowane skrzypce. W Sokołowie mieszkałem na stancji. Przychodził tam do mnie nauczyciel Goclon, żeby mu rozpisywać nuty na głosy dla dzieci na przedstawienie. Zawsze robiłem mu to czysto.

Lecz po kilku miesiącach moja nauka została nagle przerwana, bo zaszła kłótnia między mną a teściową. Teściowa miała mi dopomóc materialnie w nauce, a później się wycofała. Za to, co się uczyłem, sam sobie wypłaciłem 180 złotych, ale naukę przerwałem. Liczyłem, że teściowa się rozmyśli, ale się pomyliłem. Na naukę więcej nie poszedłem, chociaż pozostało nadpłaty 18 zł. Głupstwo zrobiłem, bo byłbym się wyrobił bez pomocy teściowej — jak się później obliczyłem. Szanując się byłbym potrzebne pieniądze zarobił na graniu. Grałem wciąż na weselach i zabawach z różnymi liczebnie zespołami, po sześć, siedem, a raz nawet w jedenaście ludzi. Ale to było u Potockiego, który urządzał 20-lecie założenia zamkowej orkiestry. Grałem jako zespół prywatny.

W roku 1933, 10 sierpnia zmarł nagle na atak serca mój najstarszy brat, ten otyły. Leczył się u księdza w Rudnej,

ale nie pomogło. 6 kwietnia w roku 1935 zmarł najmłodszy brat Władysław, mając zaledwie lat 22, na zapalenie płuc. Pozostało nas w zespole trzech braci. Ale Andrzej porzucił nas, czyli zakończył granie w roku 1936, drugi brat grał ze mną aż do roku 1952. Ale ja miałem dwóch synów, których muzyki uczyłem od małego, to jest na skrzypcach. Starszy był w szkole muzycznej w Jarosławiu tylko dziewięć miesięcy, a otrzymał świadectwo trzyletnie. Bo ja, ucząc go prywatnie, nie mogłem mu dać żadnego zaświadczenia. Chociaż jeszcze jako mały chłopiec, chodząc do szkoły — już znał nuty — uczył chór szkolny, a ja mu rozpisywałem nuty z utworów organowych na instrumenty dęte lub smyczkowe. Ale stamtąd, gdzie był na stancji, szły listy za listami od dziewczyny, która śpiewała altem w chórze. No i ożenił się, i przerwał muzykę. Starszy syn, grający na skrzypcach, saksofonie i akordeonie ożenił się dopiero mając lat 39, tj. w roku 1967. W tej chwili (1968 r.) mam już dziesięcioro wnuków i wnuczek".

A oto co pisze Bojda o swojej społecznej działalności, niezależnej od zarobkowania.

„W roku 1936 jako dyrygent prowadziłem orkiestrę fabryczną przy fabryce sukna w Rakszawie (wieś w dawnym powiecie łańcuckim), gdzie też pracowałem. Na tym zaszła mnie druga wojna światowa. Wówczas zdobyłem, czyli kupiłem dwa akordeony; jeden na 120, a drugi na 48 basów. Niestety, niedługo się nimi cieszyłem. W dniu 12 I 1942 roku zabrała mi je policja niemiecka z Żołyni (miasteczko w powiecie łańcuckim) i jeszcze inne rzeczy, które uważam za zupełnie stracone.

W roku 1952 założono kapelę ludową przy Spółdzielni Ceramicznej w Medyni Głogowskiej (pow. Łańcut) i miałem ją nauczyć grać. Było w tej kapeli 17 sztuk instrumentów: 3 trąbki, 2 klarnety, 2 flety, 3 skrzypiec, wiolonczela, kontrabas, bęben i 3 akordeony, jeden puzon. Kapela już poczęła grać lekkie utwory, lecz członkowie, tłumacząc się, że nie mają czasu chodzić na ćwiczenia, zarzucili granie.

Państwo zabrało instrumenty, ponieważ leżały bezczynnie. W roku 1962 zacząłem uczyć muzyki młodzież szkoły podstawowej w Medyni Głogowskiej. Państwo znowu dało: 1 akordeon, 2 gitary, 2 skrzypiec. Resztę instrumentów młodzież miała swoje. Byli to uczniowie IV i V klasy. Ale kiedy dzieci pokończyły VII klasę i poszły dalej się uczyć, kółeczko rozpadło się.

Własnych instrumentów mam cały zespół: 7 skrzypiec, 3 akordeonów guzikowych, chromatycznych, 1 akordeon klawiszowy, trąbkę dżezową, trąbkę altówkę, saksofon Es alt., kontrabas i starą fisharmonię. Jako kapela — ja i synowie — obsługujemy akademie, zwłaszcza na 1 Maja, 22 Lipca, Dnia Wyzwolenia Polski, Dzień Matki, Dzień Dziecka, Dzień Nauczyciela i inne uroczystości".

Julian Bojda z Zalesia nie byłby arcyrasowym muzykantem — muzykantem ludowym pozostał mimo opanowania nut — gdyby przestał jedynie na pamiętniku. Do zeszytu, zawierającego właściwy pamiętnik, dołożył jakby dodatek w postaci drugiego zeszytu. Dał mu tytuł: *Sękate pieśni.*

Zebrał w tym zeszycie pieśni i piosenki przede wszystkim frywolne — miał aż za dużo okazji do ich nauczenia się na weselach — a nawet pikantne. Tego rodzaju „kawałki" były ozdobą wesel, dawały bowiem radość i „smaczek". Te piosenki nazywano też „pierdziołkami" i jeszcze inaczej, zależnie od okolicy. Ileż w nich surowego humoru i realizmu! A co najważniejsze, do wszystkich tych „kawałków" napisał nuty, w jednym tylko głosie. Ale tacy fachowcy jak Bojda potrafią rozłożyć te melodie na głosy czy instrumenty. Wydaje mi się, że melodie zanotowane przez Bojdę są jak najbardziej autentyczne.

Z tego swoistego repertuaru przytoczę jedną pieśń, kto wie, czy nie autorstwa samego Bojdy.

Żeby mi to Pan Bóg dał!

Żeby mi to Pan Bóg dał, by mnie jaki grajek chciał.

Skrzypce za nim bym nosiła, chleba bym mu
uprosiła —
On by tylko, on by tylko, on by tylko grał.

Gdyby mi król mówił sam, królestwo ci swoje dam.
Ja bym z niego się wyśmiała, wszystkim świętym
dziękowała -
Że ja grajka, że ja grajka, że ja grajka mam!

Przez liczne i wciąż zmieniające się zespoły muzykanckie Bojdy przeszło wielu jego kolegów po fachu. Czasem coś o nich napomknie. Ale jednemu z nich poświęcił przeszło 11 stron swego pamiętnika — niewiele mniej aniżeli samemu sobie. Jest to faktycznie jeszcze jeden pamiętnik muzykancki, nie napisany bezpośrednio przez autora, ale przekazany za pośrednictwem „szefa", czyli Bojdy. Wydaje się, że Stanisław Sierżęga musiał opowiadać swoje przeżycia wiele razy, bo Bojda przekazuje jego wspomnienia niesłychanie szczegółowo.

*

A oto, co opisuje pamiętnikarz.
„Dobrze pamiętam opowieść muzykanta nazwiskiem Stanisław Sierżęga, pochodzącego z Łąki, a mieszkającego w Łukawcu, które to wsi należą do powiatu rzeszowskiego Już nie żyje, zmarł w roku 1954 mając lat 71. Opowiedział mi swoje przeżycia w roku 1925, które oto przekazuję: Mając lat 16, wyjechałem do Niemiec na roboty, gdyż w domu była bieda i nie było co jeść. Pracowałem u Niemca baora niedaleko portu, do którego przychodziły okręty z Ameryki po bydło. Miałem ze sobą skrzypce. Grałem ze słuchu. W wolnych od pracy chwilach chodziłem koło portu i przygrywałem sobie. Robotnicy pracujący na okręcie przywołali mnie bliżej i wypytywali, co robię i skąd jestem. Odpowiedziałem im, że jestem z Polski i przyjechałem do Niemiec na roboty, bo w domu nie ma

co jeść, że biedowałem. Majtkowie z okrętu przejęli się moim losem, dawali mi jeść, papierosy i kazali mi grać. To ja im grałem. I tak chodziłem do nich kilka dni, kiedy okręt stał w porcie. Pewnego razu zapytali mnie, czy nie chciałbym pojechać do Ameryki. Ja im odpowiedziałem, że bym chciał, ale pewnie mi się to nie uda, bo nie mam papierów, czyli dokumentów, ani pieniędzy na Schiffkartę. Kiedy oni mi powiedzieli, że mnie zabiorą, że mnie schowają w sianie, które mają na żywienie bydła i tak mogę dostać się do Ameryki. I powiedzieli mi, żebym przychodził do portu co dzień wieczorem i żebym był gotowy do drogi. To oni mi powiedzą, kiedy okręt z bydłem będzie odchodził. Ja im nie dowierzałem i bałem się, alem chodził koło portu i przygrywałem. Zawsze miałem z sobą kawałek chleba, bo więcej nic nie miałem. A na sobie miałem marne ubranie.

Aż pewnego wieczora już wszystko było przygotowane do odpłynięcia okrętu. Majtkowie zastawili mnie sobą i wprowadzili tam, gdzie było siano dla bydła. Ja się zakopał w siano i tak schowany w tym sianie podróżowałem kilka dni. W odpowiednich chwilach majtkowie wołali mnie, żebym się pożywił. A kapitan okrętu nic o tym nie wiedział. Aż pewnego dnia, kiedym siedział schowany w sianie, usłyszałem ostry głos:

— Wyłaź, zbiegu, ze siana! — Wysunąłem się z siana z wielkim starachem, patrzę... a tu stoi człowiek z medalami na piersi, a koło niego majtkowie. Ja ze strachu rozpłakałem się i nie mówiłem nic, tylko skrzypce trzymałem pod pachą. Był to kapitan okrętu. Zapytał mnie o Schiffkartę. Ja odpowiedziałem, że nie mam. To on powiedział, że mnie wrzucą do wody. Lecz gdy widział, że ja jestem bardzo zastrachany, zapytał mnie czy umiem grać. Ja odpowiedziałem, że trochę umiem.

— No, to zagraj! — rozkazał kapitan. Ja wprędce to uczyniłem, po czym mnie pogłaskał. Potem zwrócił się do majtków:

— To wyście są ludzie?... żeście uwięzili człowieka w sianie bez oddechu! — i jeszcze bardziej ich zwymyślał. Do mnie zaś powiedział:
— Nie bój się, chłopcze, już ty się do Ameryki dostaniesz. Ujechałeś już większą połowę drogi.
Zaraz zawołał mnie do kajuty i natychmiast kazał dać mi jeść. A potem kazał mi grać. Ja mu za to podziękowałem i już nie chowałem się w sianie. Znowu jechałem kilka dni. Już pomagałem majtkom żywić bydło, a w czasie obiadu przygrywałem.
Pewnego wieczora uderzyła mnie jasność tak wielka, że mnie to bardzo zadziwiło. Majtkowie wytłumaczyli mi, że to latarnia morska daleko od portu Newjorku [!] i jest umieszczona na wodzie. Była godzina pół do jedenastej wieczór. Gdy okręt dobił do portu, kapitan przyszedł do mnie i powiedział:
— Idź, chłopcze, szukaj sobie życia. Już jesteś w Ameryce. Newjork to wielkie miasto portowe, uważaj, abyś nie pobłądził. — Ja się zapłakałem, ująłem rękę kapitana, pocałowałem go i ślicznie podziękowałem.
Wyszedłem na ulicę, zadzieram głowę do góry, wszędzie straszne drapacze chmur. Poszedłem tą ulicą kilkadziesiąt kroków, stanąłem, przytuliłem się do muru i gorzko zapłakałem; nie mam tu nikogo krewnego ani nawet znajomego. Ocierałem łzy rękawem. Ludzie przechodzili koło mnie, ale mało kto zwrócił uwagę na mnie płaczącego. Aż wreszcie przeszła koło mnie para ludzi, taka w średnim wieku, prowadzili się pod pachę. Już przeszli, ale ta pani obejrzała się i coś mówiła do swojego męża. Potem zostawiła go opodal, a sama zbliżyła się do mnie i zapytała:
— Dlaczego ty, chłopcze, płaczesz? — Ja opowiedziałem, że przyjechałem z Polski, nie mam krewnego ani znajomego i nie wiem, gdzieć się udać. Wtedy ta pani zawołała opodal stojącego pana i coś mu mówiła w obcym języku. Wreszcie i pan zapytał mnie po polsku, czy umiem grać. Kiedy powiedziałem, że umiem, powiedział:

— No, to zagraj coś. — Ja na wpół ze łzami, stojąc zagrałem przed nimi. Po czym ta pani rzekła:
— Nie płacz, synku, pójdź z nami, nie bój się, nie damy ci zginąć. — Potem ujęła mnie za rękę i poszliśmy długimi ulicami.
Po niejakim czasie wprowadzono mnie do dużego gmachu, a potem szliśmy po schodach. Pan i pani rozebrali się z płaszczów i zadzwonili. Przyleciała pewnie służąca. Pani wskazała jej na mnie i coś powiedziała. Służąca zaprowadziła mnie, abym się wykąpał. Potem przyszedł fryzjer i przystrzygł mnie. Dalej zaprowadzono mnie do pokoju i dano mi jeść. Wreszcie dano mi nocne ubranie i pokazano mi miejsce do spania. Pani przed odejściem powiedziała mi:
— Śpij, synku, za parę godzin obudzimy cię i pójdziesz do pracy. — Położyłem się i zatonąłem w głębokim śnie.
Nie wiem, ile spałem. Gdy się przebudziłem, zobaczyłem stojącą nade mną panią, która wołała na mnie:
— Wstań, synku, już czas. — Gdy wstałem, służąca przyniosła mi ubranie, ale nie to moje stare; nowe. Kiedy się ubrałem, ta pani znów mówi do mnie:
— Weź sobie, synku, skrzypki i pójdź ze mną. — Była wtedy godzina druga w nocy. Pani wprowadziła mnie do wielkiego salonu, gdzie zobaczyłem dużo gości siedzących za stołem. Pan, mąż tej pani, siedział w środku.
Zobaczyłem, że sala była oświetlona pająkami. Wtedy pani, stojąc w progu przy drzwiach, wskazując na mnie, wyrzekła te słowa:
— A to jest nasz syn nowo narodzony i to ze skrzypcami, na których już umie grać. Więc na tę uroczystość zrobiliśmy tę ucztę i zaprosiliśmy was wszystkich. — A potem pani zwróciła się do mnie, mówiąc:
— No, zagraj, synku, co umiesz. — A ja, stojąc prawie ze wstydu w ogniu, wziąłem na odwagę i z wysiłkiem zagrałem. Po czym zaczęła się uczta. Wszyscy się gościli, śmiali, zapraszano i mnie. Pan dał mi dwa kieliszki wódki,

po których wypiciu powiedział do mnie:
— Dużo ci, synku, nie damy, gdyż jeszcze jesteś młody i masz delikatny organizm. Zresztą już rano pójdziesz ze mną do fabryki do pracy.
Jak się później okazało, ten pan to był «bas», czyli dyrektor fabryki. A pani to była jego żona i oni byli bezdzietni. Rano pan polecił służącej, aby mi dała robocze ubranie i zabrał mnie ze sobą do fabryki. Była to fabryka blachy cynkowej. Zaraz dyrektor polecił robotnikom, żeby mi wszystko pokazali, co mam robić, i zajęli się mną przy pracy. Od tego czasu miałem bardzo dobrze, bo dobrze zarabiałem.
Wnet znalazł mnie zespół orkiestry, 12 osób. Grywałem w kantynach, na wielkich balach i zabawach.
Po niedługim czasie postanowiłem sobie szukać jeszcze lepszej pracy, no i lepszego zarobku; i znalazłem. Jakoś nawinęła mi się dziewczyna i to z naszych stron: z Łukawca, niejaka Kaszubianka. A że miałem dobrze i już 18 lat, ożeniłem się w tak młodym wieku z tą czarnooką dziewczyną. Mieliśmy już trzech synów, kiedy żona stała się bardzo zazdrosna. Razu jednego miałem z nią taki wypadek. Grając na zabawie — a już miałem swój zespół — byliśmy na galerii. Sala tańczyła, goście bawili się. Wtedy żonie coś strzeliło do głowy i na galerię przyniosła wszystkich trzech synków. Położyła ich na podłodze, a sama zabrała się i poszła do domu. Znalazłem się w nie byle jakiej kropce i to przed gośćmi. Bo była też i druga kapela, która grała za naszymi plecami. Goście mieli nie lada zabawę i śmiali się ze mnie. Ale mnie przyszła do głowy dobra myśl. Poleciał ja do kantyny, która była obok sali, gdzie była zabawa, i kupiłem trzy papki, czyli smoczki. Z kolegów pozdejmowałem bluzki, podesłałem i położyłem synów rzędem na podłodze. A te papki powkładałem dzieciom do buzi, ponakrywałem, czym mogłem; ja sam wziąłem się za granie. Dzieci przy muzyce spały jak zabite.

Po skończonej zabawie ja wziąłem na ręce najmłodszego, dwóch kolegów po jednemu, inni zaś nasze instrumenty i przynieśliśmy chłopców do domu. Tak to żony potrafią wypłatać człowiekowi figla. A chłopcy zdrowo rośli.
Aż stało się nieszczęście albo szczęście urwało się. W domu, gdzie mieszkaliśmy i wiele innych ludzi, wybuchł pożar, i to na schodach. Uciekać się nie dało, bo schody były w ogniu. Widząc wielkie niebezpieczeństwo, wziąłem linę i przez okno spuszczałem jednego synka po drugim. A ludzie na dole odbierali. Na końcu spuściłem i żonę. Ale po tym wypadku żona rozchorowała się i umarła. Lekarze orzekli, że się oberwała w tym wypadku z ogniem, gdy ją spuszczałem po linie z okna.
Będą już wdowcem, postanowiłem w roku 1914 pojechać do kraju na wycieczkę, żeby synom pokazać Polskę. Będąc w kraju, wybuchła wojna i już nie mogłem wrócić do Ameryki. Ożeniłem się tedy po raz drugi i to w Łukawcu. Do 66 roku życia grałem i gospodarzyłem w Łukawcu Dolnym".
Po tym opowiadaniu Bojda dodał: „Opowiadanie to jest zgodne z prawdą. Sierżęga zmarł mając lat 71".

JANA PREJSNARA
z Kożuchowa powiat Strzyżów nad Wisłokiem
pierwsze muzykanckie kroki opisane w roku 1970

„Urodziłem się dnia 26 marca 1905 roku w Kożuchowie. Ojciec Jan był synem Wojciecha, a matka Cecylia z Włodyków. Pochodził rodem spod samego Zamku Odrzykońskiego w powiecie Krosno nad Wisłokiem. Był bardzo biednej rodziny. Było ich trzech braci i trzy siostry: najstarszy Józef, Franciszek i Wojciech, a siostry: Zofia, Aniela i Julia. Posiadali morgę pola obok zamku pod lasem. Cała rodzina trudniła się wyrobem płócien, czyli byli tkaczami. Gdy starsi bracia wyrośli, Józef i Franciszek wyjechali z domu w świat za chlebem, na Podole, tam karczowali lasy i zaczęli uprawiać ziemię. Tato opowiadali, że z domu posyłali im żyto i pszenicę na zaplenienie; i tam pozostali, tak że ich więcej nikt nie widział.
Wojciech, najmłodszy z synów, został w domu i pomagał ojcu, aby zarobić na życie reszty rodziny. Chodził z ojcem po wsiach, by nazbierać jak najwięcej przędzy, żeby było co wyrabiać na płótna. Siostry Julia, Aniela i Zosia też pomagały przy wyrobie; gdy wyrosły, to siadały za warsztat — umiały bardzo dobrze robić.
W domu ich stały trzy warsztaty tkackie. Jak było na tyle przędzy, to wszystkie były w ruchu; ojciec opowiadał, że tylko chałupa drgała, jak na wszystkich robili. Na ziemi, którą posiadali, niewiele co urosło, a z lasu podchodziły dzikie świnie i niszczyły czy zjadały plony.
Ojciec mój nie umiał czytać ani pisać. Jak służył w wojsku, nauczył się coś rachować i bardzo słabo czytać. Gdy przyszła jesień czy zapusty, to grał na basetli po weselach. Grali we trzech: I skrzypce, II skrzypce (sekond) i baski. Były małe i miały trzy strony. Strony do nich kręcił sam, z flaków barana; grały mu dobrze i dużo wytrzymały.
Potem ojciec pojechał do Ameryki. Za zarobione pieniądze zakupił gospodarstwo w Kożuchowie i tam się wszyscy

przenieśli. Tu też upłynęło mi całe życie. Tu chodziłem do szkoły i skończyłem wszystkie cztery klasy. Ale zanim tam poszedłem, bawiłem się jak inne dzieci.
Największą i najukochańszą moją zabawką były skrzypce. Były to dwa kije: jeden pod brodą, a drugim grałem po tamtym jak smykiem. Ojciec widząc mój wielki zapał do grania, wyrżnął z deski skrzypce i dorobił klucze do naciągania stron. Mama uprzędła mocne konopne nici i ukręciła z nich strony. Jedna była z drutu. Strony były naciągane tymi kluczami. Smyk zrobili z kija, na kabłąk naciągnęli włosień z końskiego ogona, a do smarowania służyła mi żywica.
Ten oto instrument był moim największym szczęściem, szedłem z nim spać, musiał być przy mnie i nigdziem nie poszedł, jeżelim nie miał ze sobą tych skrzypków pod pazuchą. Stale na nich rzępoliłem. Starsze siostry, Józia i Marysia, mi śpiewały:

Gdzieś był, Jasieńku,
Gdzieś był do rana?
U dziewczyny, u jedyny,
Hop, siup, tu dana!

To była pierwsza moja piosenka, którą na tej desce zagrałem. Jako dziecko zacząłem się tym popisywać. Zastanowiło to mojego sąsiada, Piotra Puca, który umiał trochę zagrać i miał skrzypce fabryczne. Mówi do ojca:
— Temu dziecku trzeba kupić takie skrzypce, bo to będzie kiedy muzykant.
Ten sąsiad Piotr bardzo mnie polubił i zaczął tak przygadywać, że poszedłem z nim. W domu u niego wisiały skrzypce na ścianie. Odtąd nie pociągała mnie żadna zabawa. Jak mnie w domu nie pilnowali, to zaraz uciekałem do sąsiada i tam cieszyłem się widokiem skrzypiec.
Pewnego razu mówi mi:
— Jasiu! Ja mam dla ciebie stare skrzypce, gdzieś w śpiżarni. — I rzeczywiście były w kącie, pod skrzynią,

skrzypce fabryczne bardzo zabrudzone, z urwaną szyjką.
— Ja to zładuję — powiedział — strony poszukam, to ci dam.
Pamiętam, jak nie mogłem się tego doczekać. Gdy wszystko uzupełnił, dał mi je, ja złapałem i leciałem z nimi przez ogrody, aby mi ktoś przez drogę nie wziął. Potem trzy dni spałem z nimi z tej uciechy, kazałem je powiesić nad łóżkiem, tam, gdzie spałem. A kiedy tylko była chwila czasu, to już je zdejmowałem i grałem. Miałem wolny kąt za piecem, to całe wieczory tam siedziałem i grałem, a gdy szedłem spać, to wieszałem je nad łóżkiem i tak długo na nie patrzyłem, aż usnąłem. Od tego czasu zacząłem na nich grać, ale mi to nie bardzo dobrze wychodziło, dopiero gdy przyszedł sąsiad Piotr i wystroił je, to mi się lepiej zagrywało. Po prawdzie, to jakoś lepiej mi szło granie na tej desce, która też wisiała nad łóżkiem.
Minęło sporo czasu, zanim poznałem strój skrzypiec, a więc kwintę. Było to jeszcze przed szkołą, nie miał mi kto pokazać, jak się zagrywa.
W tym czasie najbardziej sławna w okolicy była kapela grajków weselnych (słuchowych) nazwiskiem Harty. Mieszkali w sąsiedniej wiosce, Kalembinie, i było ich trzech braci: najstarszy Andrzej, dalej Stanisław i Tadeusz. Andrzej Hart był prymistą, Stanisław grał sekond (tylko lewą ręką), Tadeusz na basie. Później Tadeusz rzucił grę, a na jego miejsce przyszedł Franciszek Banaś. Był to naprawdę typowy basista, chłop bardzo gruby, mocny, z wąsem tak wielkim, że dostawał mu do uszów. Kolejno do Hartów dochodzili jeszcze inni muzykanci: z klarnetem Krochmal, a z trąbką Zimny. Byli to wszystko chłopcy rośli i muzykanci obdarzeni świetnym słuchem. Osobliwie wyglądał Andrzej: był wysoki, pochyły, włos miał duży, czarny, kręcony jak baran, nos również duży, orli, tak że przedstawiał typ wielkiego muzyka — i takim był. Palił fajkę na długim giętym cybuchu. Podczas gdy kawalerzy mu nakładali do niej tytoniu, on brał fajkę w zęby,

skrzypce pod brodę — i grał. Miał ogromne zacięcie; zanim zaczął grać, to się długo kiwał, aż wreszcie przyłożył smyk i jak pociągnął, to zawsze kilka włosieni ze smyka poleciało. Takie to było jego granie.

On pierwszy grał w składzie pięcioosobowym: I skrzypce, II skrzypce (wiola), bas, trąbka C i klarnet C. Byli to bardzo zdolni muzycy, tak zwani słuchowi, bo grali tylko ze słuchu, a nie z nut. Tych w ogóle nie znali.

Daleko przed pierwszą wojną światową przyszedł do szkoły w Dobrzechowie nauczyciel nazwiskiem Franciszek Świstak. Ten umiał grać z nut na skrzypcach. Prędko zabrał się do roboty i zaczął tworzyć większą orkiestrę smyczkową. Zabrał do nauki tych właśnie Hartów, jako najlepszy element muzyczny, ale powiększył skład; dołożył do tej piątki jeszcze flet, drugą trąbkę F, puzon i drugiego prymistę. Ponadto włączył bęben duży i mały oraz czynel. Mając taki zespół zaczął wtedy uczyć po swojemu. Świstak miał różne utwory w partyturze na poszczególne instrumenty, na przykład: *Rżnij, Walenty* (mazur), *Hej, z góry, z góry jadą Mazury*, sławną wtedy *Polkę rach, ciach, ciach*. Miał polki, mazurki, polonezy, np. Ogińskiego *Pożegnanie ojczyzny*. Uczył też marszy i różne pieśni kościelne. Szkolił swoją orkiestrę przy pomocy skrzypiec z tej partytury, a że byli to muzycy zdolni, z dobrym słuchem, więc każdy szybko zapamiętywał swoją partię. Gdy już każdego wyuczył jego głosu na instrumencie, łączył je razem i taka to właśnie muzyka z nut była w tym czasie. Wywołało to wśród uczestników zespołu wielkie zadowolenie. Wszystkich cieszyła nowość muzyczna. Toteż jak zagrali pierwszy raz na święta Wielkanocy, na rozpoczęcie się mszy świętej, intradę a potem inne kościelne, to zgromadzeni ludzie słuchali tego z wielkim zachwytem.

W tym samym czasie w Dobrzechowie, gdzie była parafia, i kilku okolicznych wsiach, działało kilka zespołów muzykanckich, wszystko słuchowych. Grywali na weselach,

ale najpierw odgrywali pod oknami. Latałem jak i moi koledzy za tymi muzykami. Najlepiej z tego zapamiętałem to, jak Andrzej Hart dyrygował swoimi muzykantami nieustannnym kiwaniem się.
Wreszcie zacząłem chodzić do szkoły. Miałem blisko, bo nasz dom był pierwszym jej sąsiadem. W domu było bardzo dużo roboty, jak zwykle na dorobku. Co mogłem, to pomagałem ojcu. Musiałem paść ze starszą siostrą Marysią krowy na pastwisku. Jak szedłem do pasienia, brałem skrzypki i zaraz brałem się do grania. Ale ani na chwilę nie zapomniałem, że pasę, bałem się, żeby mi krowy skrzypek nie rozbiły. Bowiem pasło się je na powrozach i te musiało się trzymać w rękach.
Miałem jeszcze drugi instrument — fujarkę, którą mi mamusia kupiła w kramie na odpuście; zabierałem ją z sobą do pasienia. U bluzy pod spodem przyszyli mi długą kieszeń na tę fujarkę. Bardzo ładnie na niej grałem, podobno i dziś jeszcze bym zagrał, bo jak to mówią: «Jak się Jasiu nauczy, to i Jan będzie umiał». Kiedyśmy pognali krowy dalej w pole, to ja grałem, a siostra Marysia śpiewała tak, że było słychać do sąsiedniej wioski.
Jak chodziłem do pierwszej klasy, a było to w roku 1911, odbywało się u nas wesele siostry Józi. W dzień wesela, jak zwyczajnie, poszedłem do szkoły. Ale nauczyciel mi mówi:
— Jasiu, jesteś dziś wolny od nauki, u was wesele, idź na wesele siostry. — Ja torbę z książkami na plecy i poleciałem do domu.
Z wielkim przejęciem i zaciekawieniem patrzyłem na muzykantów, a już oka nie spuszczałem ze skrzypka Harta. Wszedłem za basistę, do kąta, i stamtąd widziałem dobrze Hartowe skrzypce i jego granie.
Gdy się już wesele zakończyło i w domu wszystko uporządkowali, jak mnie nikt nie widział, stawałem w lustrze, które ojciec przywiózł z Ameryki, i patrząc w niego grałem na swoich skrzypcach, we wszystkim

naśladując prymistę Harta. Po weselu zostało mi w pamięci dużo piosenek i różnych kawałków do tańca, niektóre udało mi się nawet zagrać.
Ojciec widział mój zapał i zamiłowanie do skrzypiec. Pewnego razu był w Rzeszowie; w sklepie z używanymi rzeczami napotkał stare, ale jeszcze dobre skrzypce i kupił je. Gdy przyjechał do domu, mówi:
— Kupiłem ci, Jasiu, skrzypce, ale jeszcze ci ich nie dam, bo nie umiesz grać. — I zamknął skrzypce do kufra. Przynosił mi je tylko na święta Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc. A na co dzień dalej grałem na tych moich starych, od Piotra Puca.
Niedługo potem wybuchła wojna w 1914 roku. W nocy mobilizacja, ruch i krzyk ogromny, chłopi odjeżdżają na wojnę. W drugim dniu zabierają konie, wozy i starszych chłopów do tych koni. Od nas poszła jedna siwka i nowy wóz.
Jak się już trochę uspokoiło, ojciec wyjął skrzypce z kufra i dał mi je. Zawiesiłem w parze ze starymi nad łóżkiem, na ścianie. Ale przez kilka tygodni panowało milczenie: nie pozwolono mi przy pasieniu bydła zagrać ani na skrzypcach, ani na fujarce.
Wojna trwała, a ja już wtedy dosyć ładnie grałem na skrzypcach. Młodzież często prosiła mnie, abym im zagrał. W tym jakoś czasie było w naszej wiosce wesele. Tańczyli na boisku. Ja byłem zawsze tak chciwy grania, że wylazłem na piętro na boisku i jak zawsze z przejęciem patrzyłem z góry, jak grał stary już skrzypek Jan Skwirz. Gdy zrobił się wieczór, naszło się dużo młodzieży, tak że nie sposób było pomieścić się wszystkim na boisku. Tak mnie znaleźli i mówią, żebym zabrał moje skrzypki i poszedł z nimi do innego domu. Byli to chłopcy z Markuszowy. Poszliśmy. Jeden z tych chłopców siedział przy mnie z czapką w ręce i zbierał pieniądze. Do końca tańcówki uzbierało się aż 9 koron. Było za co grać. I był to mój pierwszy zarobek na graniu. Byłem ogromnie

zadowolony, ale kiedy przyszedłem do domu i chciałem się pochwalić, nie miałem komu, bo rodzice już spali po powrocie z wesela.

Pewnego razu ci markuszowiacy, którym grałem na weselu, zaprosili mnie do nich na granie. W Markuszowej był wielki dwór pana Wasilewskiego, dużo służby i młodzieży. Właśnie w pustych izbach tego dworu miały się odbyć tańce. We wsi w jednym domu było dwoje skrzypiec, ale nikt nie umiał na nich zagrać. Tylko jeden z synów potrafił wielo-mało sekondować; tę pomoc mi dali i drugie skrzypce dla mnie wypożyczyli. Poszukali jeszcze małe baski, które miały dwie strony z drutu z telefonu. Tak to przygotowali. Ja zachodzę, wystroiłem skrzypce i te baski i zaczynamy grać. Chłopaki dosyć mi tempo trzymali, tak że nasza muzyka nadawała się do tańca. Za małą chwilę zapełniła się cała wielka izba. Nas posadzili na piecu tej dworskiej izby i potańcówka szła w całej pełni. Po skończonej zabawie rozliczyłem zarobek: było nieźle, więc z wielkim zadowoleniem szedłem z kolegami do domu.

Zanim się wojna skończyła, powrócił do domu skrzypek Józef Tęczar, był nie bardzo przy dobrym zdrowiu. Na muzykantów było wielkie zapotrzebowanie, zaczął więc Tęczar łączyć jakiś komplet muzyczny. W sąsiedztwie był stary basista, który miał duże basy (fabryczne), nazwiskiem Mikołaj Puc. Jego syn, jeszcze młody, miał klarnet i umiał na nim trochę piszczeć. Tak ten prymista Tęczar przychodzi do ojca, ażeby mi zezwolił grać z nim sekond. Ojciec zezwolił z tym, ażeby się mną, jako młodym chłopcem, opiekował. Zrobiliśmy kilka prób tego słuchowego grania. Basista Mikołaj miał na gryfie u szyjki basów pozarzynane znaki do A-dur, B-dur i C-dur; reszta — puste strony.

Zanim zaczniemy grać, to mi mówi: — G-dur!, C-dur! itd.

— Ja z tego nic nie wiem, tylko szukam po stronach i dostrajam, ale tempo trzymam dobrze.

Po niedługim czasie — wojna była jeszcze — wypadło

wesele w Szufnarowej. Idziemy na nie grać, a była to od nas trzecia wioska. Miałem wtedy 11 lat. Z wielkim zapałem graliśmy na tym weselu, a basista Mikołaj powtarzał swoje: — D-dur!, G-dur! A-dur! — Wreszcie wesele się skończyło, a matka weselna — jak zwyczaj kazał — dała każdemu muzykantowi kołacz chleba.
W domu wielka uciecha, bo Jasiek grał na prawdziwym weselu i przyniósł kołacz, każdego częstują tym weselniakiem.
Za niedługo graliśmy na drugim weselu, w Dobrzechowie. Byłem przecież jeszcze bardzo młody i pamiętam, że mi się bardzo chciało spać.
Wreszcie wojna się skończyła. Nie wszyscy z niej powrócili, ale skrzypek Hart i cała jego spółka muzyczna wróciła. Zaczęło się inne życie, bardzo wesołe; młodzież dużo śpiewała, bo kawalerzy wrócili, a gdy przyszedł wieczór, to schodzili się razem i urządzali potańcówki. Zaczęły się wesela, bo dziewczęta podorastały i było ich do wyboru i do koloru.
Mój prymista Tęczar dobrał sobie innego klarnecistę, Andrzeja Wójtowicza z Markuszowy, który wrócił z wojny, a na trąbkę — Stanisława Ziębę z Kalembiny. Był to zespół muzyczny z młodych kawalerów, którzy powrócili z wojny. Odbijało nas dwóch: stary basista Mikołaj i ja, mający wtedy 13 lat. Wójtowicz (klarnecista) gdzieś na wojnie zdobył altówkę, czyli wiolę i przywiózł ją. Jak zaczęliśmy razem grać, to mi ją wypożyczał do sekondu, pokazywał mi chwyty akordu, które szybko pojąłem i dobrze, strojnie sekondowałem.
Skrzypiec dalej z ręki nie wypuszczałem, w domu to wszystkie piosenki i kawałki taneczne wygrywałem na nich. W tym to czasie, po wojnie, przychodził do nas skrzypek Stefan Krochmal. Miał w Kożuchowie stryjka. Był to stary kawaler, którego odesłali z Ameryki, bo nie miał dobrze w głowie. Ale umiał grać na skrzypcach bardzo pięknie, melodyjnie. Mnie takie granie odpowiadało, tak że niedługo

zarzuciłem ostre granie Harta, a przeszedłem na granie Stefka. Każdemu się to podobało. Robiłem tedy wielkie postępy, ale dalej było to tylko granie słuchowe.
Gram dalej z tym starym zespołem, na pożyczonej wioli. Czasami jak się grało, to ten i ów kawaler mówił:
— Ja zapłacę, ale żeby mi zagrał ten mały na skrzypcach.
— To mnie przesadzili do skrzypiec. Początkowo bałem się, ale kiedy wreszcie ośmieliłem się, grało mi się ładnie. To mnie jeszcze bardziej zachęciło do muzykowania.
Tak grając, po niedługim czasie zarobiłem tyle pieniędzy, że postanowiłem kupić tę wiolę, ażeby mieć swoją. Mówię Wójtowiczowi, ażeby mi ją sprzedał.
— Sprzedam — powiedział — tyle i tyle pieniędzy i te twoje stare skrzypce, bo ja sobie też lubię zagrać w domu.
— Zgoda, kupiłem wiolę i zawiesiłem razem ze skrzypcami na ścianie."

*

Pamiętnik Jana Prejsnara jest znacznie obszerniejszy. Prejsner był bardzo młodym muzykantem, kiedy i na wsi zapanowała nowa moda w graniu. Chłopiec był giętki, zrozumiał też, że bez znajomości nut, czyli nowej muzyki, dalej nie pojedzie. Nauczył się i nut, i grania według nowej mody. Stworzył też zespół, już nie „słuchowy", ale jak najbardziej „nutowy". Zdobył wielki rozgłos i jeszcze dziś lubi sobie pograć w domu, w rodzinie.

JAN KISAŁA

Jana Kisałę „odkryłem" w czasie badań terenowych w południowej części dawnego powiatu łańcuckiego w roku 1961, jako byłego muzykanta, a wówczas konserwatora różnych instrumentów muzycznych. Zastałem go właśnie na reperacji ogromnego akordeonu. Robotą — sądząc po górach „gruchotów" — był dosłownie zawalony. W czasie rozmowy z majstrem, którego czarne jak węgiel oczy świdrowały mnie na wylot nieznacznie rozglądałem się po „pracowni". Była ona podobna do gabinetu średniowiecznego czy renesansowego alchemika. Zabudowana była bardzo dziwacznymi sprzętami, z których niewątpliwie każdy miał swoje przeznaczenie. W jednej z szafek wdzięczyły się szeregi książek i czasopism, jedna ze ścian obwieszona była gablotkami z zasuszonymi motylami i innymi owadami, inna przedstawiała coś w rodzaju galerii obrazów, tylko że nie oryginałów, ale reprodukcji, związanych w jakiś sposób z życiem Kisały. W pracowni znajdowały się figurki, przedmioty plastyki ludowej, ale dominowały różne drobne maszyny i maszynki, potrzebne mistrzowi do jego pracy. Niemal wszystkie były dziełem Kisały. Do niektórych dodawał komentarz:

— Takie można kupić tylko za granicą i za dewizy, ale ja sam je sobie zrobiłem — dodawał skromnie. — A trzeba powiedzieć, że były naprawdę skomplikowane.

— To gra pan też na fisharmonii? — zapytałem, wskazując na stary instrument stojący w kącie pracowni.

— Owczem, gram — znowu skromna odpowiedź. — To pamiątka po ojcu, był organistą.

W czasie dłuższej rozmowy z mistrzem nabrałem głębokiego przekonania, że od tego inteligentnego człowieka można będzie wydobyć o wiele więcej aniżeli od przeciętnego muzykanta, który był najczęściej niewolnikiem samego

tylko muzykowania, nie miał głębszego spojrzenia na otoczenie, w którym spełniał określoną a doniosłą rolę, nie zdając sobie z tego sprawy.
Mojego rozmówcę zaatakowałem z miejsca i ostro. Stary muzykant nie uląkł się ataku, lecz spokojnie i z uśmiechem oświadczył, że pamiętnik napisze.
Jan Kisała tak zatytułował swój pamiętnik: *Fragmenty wspomnień muzykanta południowych powiatów Rzeszowskiego z lat 1949—1954.*

*

Rok 1949

Koledzy muzykanci z zespołu, którego członkiem był autor: Jan Kisała — autor wspomnień — urodzony w Kraczkowej w r. 1920, zamieszkały w Handzlówce pow. Łańcut, z zawodu (nawet z urodzenia) rolnik. Poza tym konstruktor akordeonów i harmonii (w tej dziedzinie samouk), wykształcenie — 6 klas szkoły podstawowej. W zespole pierwszy akordeonista.
Stanisław Mazur — drugi akordeonista, zamieszkały w Rzekach, gmina Manasterz pow. Przeworsk, rolnik, ale odznaczający się dużym talentem muzycznym, improwizator w piosenkarstwie i na akordeonie. Gra ze słuchu, ale bardzo dobrze, w środowisku wiejskim ma opinię ludowego artysty. Ukończył 5 klas szkoły podstawowej.
Jan Mazur — starszy brat Staszka, zamieszkały również w Rzekach, w przysiółku zwanym Kąty, rolnik. Gra na skrzypcach ze słuchu, jest kierownikiem zespołu. Ze względu na filozoficzny charakter — czyżby tzw. «chłopski filozof»? — jest doskonałym pośrednikiem we wszelkiego rodzaju sporach między gośćmi weselnymi a awanturnikami weselnymi, często zachodzącymi nawet w samym zespole.
Ignacy Kulas — gra na saksofonie lub klarnecie, zamieszkały w Mikulicach koło Kańczugi w powiecie

przeworskim. Stary wyga i obieżyświat, należy mu się szersze wspomnienie.
Pochodzi z Hadli Szklarskich, a był nieślubnym synem pracownicy folwarcznej. Wyjechał z Polski — a ściśle to z ówczesnej Galicji przed I wojną światową — jako 16-letni i biedny jak mysz kościelna chłopiec. Najpierw do Niemiec na polne roboty sezonowe. A że mu się to zajęcie nie podobało, kolejno był pikolakiem w hotelu, a następnie zaciągnął się na niemiecki statek handlowy jako chłopiec okrętowy. Przy tej okazji zwiedzał różne porty świata. W czasie I wojny jego okręt na Dalekim Wschodzie został storpedowany przez Japończyków. Rozbitków wyratował z wody okręt francuski i stąd Kulas znalazł się w Paryżu. Tam wnet znalazł kilka pokrewnych sobie dusz i „sposobem" zdobył klarnet. Grywali po knajpach i na podwórkach. To też mu się znudziło.
Jakoś dał się namówić do wstąpienia do Legii Cudzoziemskiej, a to przez agentów, którzy obiecywali świetne warunki i wysoki żołd. W Legii przetrwał cztery lata, w Maroku, i w diablo trudnych i ciężkich warunkach. Wrócił do kraju [...] i jął się muzykowania. Jest znany i szanowany w szerokiej okolicy, słynie z dowcipu, lubi towarzystwo, nie znosi chamstwa. Pomimo że jest rolnikiem, gospodarstwo pozostawił żonie, a sam uprawia cygańskie życie; chociaż liczy już sobie 58 lat.
Jan Szal — zamieszkały w Rzekach koło Manasterza, jest w zespole beniaminkiem, liczy sobie dopiero 18 lat. Jest w zasadzie rolnikiem, ukończył 7 klas szkoły podstawowej. Cichy, spokojny, niczym specjalnym nie wyróżna się. Jest perkusistą; śmiejemy się z niego, że gra na «rupieciach», czyli na różnych przyborach.
Roman Ferenc — młodzian 20-letni, zamieszkały również w Rzekach, kolega Staszka Mazura. Gra z nami w zastępstwie Jasia Szala. Jest nerwowy i skłonny do awantur, więc mało chodzi z nami na granie. Ale jeszcze

i z innego powodu.
Romek miał siostrę, ładną dziewczynę. Staszek Mazur chodził do tej dziewczyny, zwodził ją obietnicami ożenku; Romek i Staszek mówili sobie nawet przez «szwagier». Okazało się jednak, że Staszek dziewczynę tylko bałamucił, Dziewczyna przekonała się o swej naiwności. Stąd między rodzinami powstała złość, a między kolegami też.
I na tym kończę listę muzykantów, z którymi zżyłem się. Razem chodziliśmy grać na zabawy i wesela i byliśmy świadkami pijackich orgii i innych wydarzeń.
Nasz teren działania — wioski w różnych powiatach:
Powiat przeworski: Urzejowice, Żurawiczki, Antoniowa, Łopuszka, Rączyna, Manasterz, Zagórze, Rzeki, Tarnawka, Hadle Szklarskie, Hadle Kańczudzkie, Jawornik Polski, Hucisko Jawornickie, Widaczów.
Powiat łańcucki: Albigowa, Cierpisz, Handzlówka, Hussów, Wysoka.
Powiat rzeszowski: Hyżne, Wólka Hyżneńska, Borówki, Grzegorzówka, Zabratówka, Wola Rafałowska, Błędowa Tyczyńska.
Poza tym bywaliśmy na weselach nawet w okolicach Przemyśla i Jarosławia, ale były to jedynie wypady sporadyczne. O tych terenach nie mogłem sobie wyrobić pewnego zdania. W okolicach Przemyśla jest dużo osadników i nasiedlonych wiosek (po wyjeździe ludności do USSR) i kultura tego rodzaju wsi jest zależna od przewagi osadników z danej okolicy. Na przykład Dusowce koło Przemyśla mają przewagę osadników z Handzlówki i są jakby dalszym ciągiem Handzlówki.

Wesele w Rzekach

A teraz razem z kapelą udamy się na weselisko do Rzek. Okolica górzysta. Rzeki graniczą z Hussowem, Nieważką, Manasterzem i Handlami Kańczudzkimi. Od strony północnej jest las. Na pierwszy rzut oka wioska wygląda na

biedną, nie nadążającą za postępem czasu. Zabudowania drewniane, przeważnie pod strzechą. Gospodarstwa średnie, w większości karłowate. Ludzie, po prawdzie, wegetują. Nikomu w niczym się nie spieszy, a o pracę na miejscu — poza lasem — trudno. Dojeżdżać gdzieś dalej ciężko i na to decydują się jednostki z inicjatywą. Będąc z niektórymi rzeczanami na ty, nakłaniałem ich często do odwiedzenia mnie w Handzlówce (wieś wyjątkowa i wysoko uspółdzielczona), żeby zobaczyli, jak się zakłada sady, różne uprawy, jak się mieszka, jak się hoduje bydło, wyrabia cegłę systemem polowym, bo wyrobu cegły w Rzekach nie widziałem, a do budowy pieców przywozili ją aż z Albigowej, i to furmankami. Trzeba było tedy jechać po nią kawał drogi i fatalną drogą. Zauważyłem również lekceważący stosunek do robienia fundamentów pod budynki. Otóż najprzód stawiają ściany, czyli tak zwany zrąb na kamieniach, tylko pod węgłami. Na zrębie kładą dach, a dopiero potem, w wolnych chwilach podmurowują fundament kamieniami, łączonymi gliną. Również i podłogi są przeważnie z gliny. Jakżeśmy skocznie zagrali, to koło lampy naftowej tworzyła się «tęcza» rudego koloru. Zaś w porze deszczowej w izbie robiło się błoto i ślizgawica. W taki czas wyglądało bardzo malowniczo, gdy się jaki pijak puścił w taniec.

Przyszliśmy więc grać na wesele u Kądziołki pod lasem. Ja, bracia Mazury, Kulas i Ferenc. Po zebraniu drużek i swatów, do których trzeba było pójść zagrać pod oknem, zaszliśmy z panem młodym na czele «po ciało» (identycznie mówiono, idąc po zmarłego na pogrzeb). Od młodej, po błogosławieństwie rodziców, ciotek, pociotek, wujków i stryjków, po wzajemnym wycałowaniu wszystkich gości przez młodą, z graniem i śpiewaniem wyruszyliśmy do kościoła na ślub.

«Ciałem» panią młodą nazwali muzykanci. Zebranie drużyny weselnej jest sprawą dosyć męczącą, tak że przyjściem «po ciało» kończy się pierwszy etap wesela —

patrząc na nie ze strony muzykantów.
W drodze, podobnie jak w wielu wioskach, chłopcy i dzieci robią różne przeszkody (bramy), za co drużbowie mają obowiązek dać okup. Jeśli furmanom da się przeszkodę ominąć, to jadą dalej. Coś takiego jest jednak uważane przez ogół za nietakt, za łamanie obyczajów. Po drugie, gościom zależy na tym, aby do domu weselnego przywieźć tablicę z życzeniami, umieszczaną na «bramie», a które przeważnie brzmią: «Szczęść Boże młodej parze».
Dojeżdżamy z powrotem do domu. Drużki i swaci kołaczą do drzwi, przeplatając kołatanie śpiewem. Na to na pole z furią wypada baba z miotłą i odpędza ich. Tak się powtarza kilkakrotnie. Wreszcie drzwi otwierają się szeroko i wychodzą na próg rodzice młodej. Przyjmują młodą parę chlebem i solą, a gości razem z muzyką zapraszają na ucztę weselną. Ale muzykanci ustawiają się jak najbliżej drzwi, ażeby każdemu przychodzącemu na wesele zagrać marsza. Takie powitanie jest opłacane przez witanych. Gdy się przegapi taką okazję, to się w ogóle mało zarobi. My do tego nie byliśmy przyzwyczajeni, ale oni nam powiedzieli, że tutaj taki zwyczaj, a nie żebranina, jak my to nazwaliśmy. Nie było rady, musieliśmy się na to zgodzić.
W Rzekach był jeszcze inny zwyczaj, którego gdzie indziej już nie było. Tańczący, to znaczy zamawiający taniec, płacili «od kawałka». To nie dotyczy wyjątkowo swatów, którzy po powrocie z kościoła robią składkę na muzykantów i za to tańczą do północy. Po północy zamawiając taniec też płacą. Ale w ich czasie, to jest przed północą, jeśli ktoś ze starszych chce zatańczyć i opłaci muzykantów «od kawałka», to swaci godzą się bez szemrania. Tak tu jest od najdawniejszych czasów.
Zwyczaj z kołaczem, oczepiny i zbieranie na tzw. «biały wieniec» jest taki sam jak w większości wiosek w powiecie rzeszowskim i łańcuckim.
Wieczorem kapela każdemu z gości «odgrywa», a ten,

któremu odgrywają, ma prawo rozkazać kapeli zagrać coś, co mu się podoba. Przeważnie sam coś zaśpiewa, co mu najbardziej przylgnęło do duszy, a kapela musi to zagrać. A jak nie da rady, to gość nie musi płacić. Z kolei kapela uczy się słuchać, a nieraz improwizować, nie znając przedtem melodii.
Po odegraniu gościom siedzącym za stołem gospodarze podają obiad, połączony z libacją. Ta libacja trwa dość długo, bowiem musi się wychlać tyle wódy, ile przypada na głowę, a do tego wlać w siebie parę szklanek piwa. Dopiero teraz wszystko rusza do tańca i tańczą aż do końca wesela.
O zmroku zaczynają się schodzić tzw. «psiarze» lub «wieczorowi». Są to nieproszeni goście, przeważnie kawalerowie z dziewczynami i młodsi gospodarze ze swoimi żonami. Niektórzy przynoszą z sobą wódkę, aby było co «golnąć» w czasie przerwy w tańcu. Bliżej znajomych psiarzy częstuje pan młody, drużbowie lub też gospodarze; zależnie z czyjej znajomości przyszedł taki psiarz, aby się zabawić. Na ich życzenie czy prośbę drużba zarządza wolne miejsce do tańca, na godzinę lub dwie, czasem i dłużej, aby i psiarze się zabawili. Ale gdy zabawa psiarzy przeciąga się zbyt długo, dochodzi do kłótni, która często przeradza się w bitkę.
Były wioski, w których graliśmy, że finał z bitką był po prostu regułą. Jeśli bitki nie było, to jakby czegoś brakowało i wszyscy czuli się nieswojo. Jeśli chodzi o Rzeki, to bitki nie były objęte XI przykazaniem. Dochodziło tu do nich często; między strykami, szwagrami lub innymi, zwykle o dziewczynę. A także jeśli psiarze przychodzili z sąsiednich wiosek i za dużo sobie pozwalali. To znaczy, jak zaczynali za dużo «filozofować» lub pokpiwać z dziewcząt. Te zazwyczaj zachowywały się biernie, ale za nimi ujmowali się chłopcy i zaczepka była gotowa.
Co w Rzekach najwięcej tańczyli? Oberka, polkę — tę bardzo ładnie — poza tym walczyki, sztajery i nowoczesne

«wygibusy». Przy starych tańcach muzyka musiała trafiać do serca, bo w tym względzie tutaj mają dobry gust, nie skażony nowoczesnością. Dysonansów w muzyce nie lubią, gdyż mało kto ma radio i nie są obeznani z nowoczesną muzyką, a gdzie indziej nie mają okazji posłyszeć.
Gdy już wszyscy nabawią się i natańczą, chłopcy odprowadzają do domu te dziewczęta, z którymi chodzą. Również każdy swat ma obowiązek odprowadzić swoją drużkę, chociażby mu się to nie podobało. Żonaci mają oko na swoje żony, bo to nigdy nic pewnego nie wiadomo. Potem ni z tego, ni z owego powstają plotki. Z początku «taki» zawstydzi się, że jest safanduła, a potem bies go opęta i wyładuje na babie swoją złość, bez względu na to, zawiniła czy też nie. W każdym razie wesele jest na wsi wydarzeniem, a nawet atrakcją, ludzie długo przeżywają i pamiętają.
Opowiadał mi leciwy dziaduś z Rzek, 90-letni Lichtarski, że za czasów jego młodości na weselu sąsiada była taka bitka, że on trzy razy chodził do domu przebierać się w świeżą koszulę, gdyż trzy razy poprzednią podarli na nim i porżnęli — o skórze nie wspominał, w takich wydarzeniach ona jest nieważna. Podziwiałem ówczesną technikę «darcia»: przecież wówczas wszyscy nosili koszule lniane i konopne, niezbyt podatne do darcia.
Na zakończenie pierwszego dnia wesela i nam, muzykantom, wypadało podziękować za gościnę. Koniecznie musieliśmy się przespać chociaż kapkę, bowiem na drugi dzień czekały nas poprawiny. Zaś muzykanci muszą wypiłować swoją powinność do ostatka, nie upić się, nikogo nie obrazić.
Poprawiny mają przebieg o wiele spokojniejszy. Młodzi rano proszą najbliższą familię i sąsiadów, o ile nie zrobili tego przy pożegnaniu w dzień weselny. I kapela od nowa gra marsza każdemu gościowi, bez względu na wiek i płeć.
Po libacji znowu tańce, płacenie «od kawałka», tylko że panuje większa swoboda. Na poprawinach ludzie częściej

pokazują swoją prawdziwą twarz zwyczajnego, codziennego człowieka.
Wieczorowi goście, czyli psiarze też przychodzą, ale już w mniejszych gronach, jacyś znajomi, a także najgorsze fajtłapy.
Przy innych okazjach czy uroczystościach w Rzekach nie miałem sposobności grać ani nawet bywać. Wiem tylko, że na chrzcinach grać nie wolno, boby rodziły się same dziewczyny.
Ciekawy zwyczaj uprawiano w Rzekach w noc sylwestrową. Przebierańców, czyli «drabów» — poprzebieranych chłopców — w Rzekach nazywają «służaje». Ci służaje odwiedzają domy, w których mają swoje sympatie lub po prostu, aby zadośćuczynić tradycji. Zawsze biorą z sobą jakiegoś muzykanta: skrzypka, grającego na harmonijce, aby było przy czym zatańczyć. Gdy już wszyscy służaje w jakimś domu zostaną rozpoznani, zdejmują maski, a ojciec dziewczyny częstuje ich wódką. Następuje chwila iście szalonych tańców, po których, siląc się na różne żarty i dowcipy, służaje-chłopcy składają wszystkim w domu życzenia noworoczne i biegną do następnego domu. I tak aż do rana. Jeśli służaje nie przewidują gdzieś poczęstunku, wódkę biorą ze sobą. [...]
Stosunki rzeczanów z innymi wioskami są dosyć przyjazne. Jednak rzeczanie dbają o swój honor i nie pozwalają sobie zbyt wiele u siebie rozrabiać. Dają się lubić i słyną z gościnności, większej aniżeli gdzie indziej.
Ale że jesteśmy muzykantami, trzeba by opowiedzieć coś zabawniejszego. Pewnego wieczoru idziemy zawiadomić drużynę weselną, więc trzeba każdemu zagrać pod oknem i wychylić kielicha wódy. Idziemy od domu do domu, drużyna powiększa się. Do rana będą swaszczyny (zabawa u swaszki),[6] a od rana wesele. Zachodzimy do pana starosty weselnego, stajemy pod oknem, w domu ciemno, że aż czarno. W dodatku z góry opada na nas przenikliwa mżawka. Nasz skrzypek za węgłem pod okapem dostaje

skrzypce i klnie w żywy kamień. Któryś z kolegów krzyknął pod jego adresem: — Prędzej tam, Surdel! — To skrzypka wprost rozwścieczyło, bo nie znosił tego przezwiska, którym go od czasu do czasu częstowano. Bębnista w ciemności zawadził o coś ciężkiego. Przy świetle zapałki zobaczył ceber, wypełniony czymś czerwonym i mówi: — Pewnikiem starosta zawalił w czapę wieprza, dostaniemy dobrze zjeść — co udobruchało Surdela. Na te słowa Kulas uśmiechnął się błogo, bo okropnie lubił mięsiwo, mimo że na przodzie miał jedynie dwa zęby.

Cichutko podeszliśmy pod okno i od ucha urżnęliśmy krakowiaka. Drużki i swaci zaśpiewali. Po nich my znowu gramy. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi już powinien ktoś wyjść i powitać nas flachą wódki. Naturalnie samogoną, bo w te tereny nawet MO nie zapuszczała się, tak że niemal w każdej chałupie była gorzelnia.

Kiedy już poczęło nami trząść z oburzenia, wychodzi nagle nie starosta, ale staruszek, teść jego. Stojąc w progu, roztrzęsiony woła: — Olaboga! Chłopaki, nie grajcie, bo tu kobieta umiera, a zięć pojechał do dochtora, babka (akuszerka) całkiem już traci głowę. Co za nieszczęście!... a-ja-jaj!

Na taką wieść Romcio-bębnista skamieniał, Kulasowi warga zwisła, ale reszta przyjęła tę wieść z filozoficznym spokojem. Jednak Romcio aż do rana nie odzyskał humoru.

Nad ranem, jak zwykle, wybraliśmy się furmankami «po ciało». Znowu przygoda, tylko że teraz tragikomiczna. Jakeśmy zagrali pod oknem, kury w sieni narobiły takiego wrzasku, jakby się do nich lis zakradał. Równocześnie wszystkie kobiety — w domu było ich sporo — w płacz i lament. Wesele zaczęło się od złej wróżby. Bowiem jeżeli kury drą się przed weselem, na weselu może ktoś kogoś zabić, może dom się spalić albo coś złego stać się nowożeńcom. I rzeczywiście; omalże się nie stało. A było tak.

Wieczorem, podczas największego nasilenia libacji, nasz Kulas wyszedł sobie dyskretnie «z kropelką za węgieł», co znaczyło zrobić siusiu. Dobywa psiaka, wtem pies, zły jak sto diabłów wyskakuje i doskakuje do Kulasowego instrumentu. Łańcuch zatrzymał szatana jakieś 20 centymetrów od niego. Gdyby był nieco dłuższy, nieszczęście gotowe. Kulas — lekko podochocony, momentalnie wytrzeźwiał, jakby wódki wcale nie wąchał. Zdarzenie to zaobserwowały kobiety, które również robiły siusiu, tylko troszkę dalej. Gdy o tym opowiadały przy stole, powstał w całej izbie tak wesoły nastrój, że wszyscy zapomnieli o złej kurzej przepowiedni. Ale Kulas czuł się jak jeż w noc poślubną. [...]

Tarnawka

Wioska położona między lasami o nadzwyczaj zdrowym klimacie. [...]
Trafiło się nam wesele i w Tarnawce, o której poprzednio dużo słyszeliśmy, zwłaszcza w Rzekach. Po jednym głębszym samogonu wsiadamy na furmankę i ruszamy. Furman z miejsca palnął sobie z bata i niby zaśpiewał, ale faktycznie zawył z taką fantazją, że aż echo rozniosło się po lesie.

Jadę z Tarnawki bardzo wesoły,
Bom się w Tarnawce napił gorzoły.
Jak ja nie mam pić i wesołym być?...
Kiedy tam na mnie dziś ma kto robić.
Ojciec z toporem, a brat z siekierą,
A ja se za nimi trzaseczki zbieram.

Dotarliśmy wreszcie na miejsce. Na początku trzeba było przejść etapy podobnie jak w Rzekach, ale ani wyróżniających się obyczajów, ani folkloru nie ma. Śpiewają różne piosenki, ale nie swoje; poza tą, którą przytoczyłem. Są jeszcze dawne pozostałości, jak kołomyjki,

kozaki i rzeszowskie naleciałości, które tu dostały się różnymi drogami.
Na zabawy i wesela przychodzą tutaj z sąsiednich wiosek, jak z Hussowa, Rzek, Grzegorzówki. Od czasu do czasu walą się «po ryjach», ale bynajmniej nie o kobiety; tych w Tarnawce nadmiar. Ot, tak z «łaski na uciechę» i dla podtrzymania tradycji. [...]
Przed godziną wróciłem zmordowany jak nieboskie stworzenie z jakiegoś tam weseliska, ulokowałem się wygodnie w łóżku i już rozpocząłem rozkoszne zasypianie, kiedy posłyszałem, że ktoś z żoną targuje się zawzięcie na mój temat. Wreszcie zjawia się koło mojego łóżka chłop z ogromnymi jak wiechy wąsiskami, w wieku około 70 lat — poznałem go, był to Szymon Madera, skrzypek-samouk [...] i z miejsca zagaja gadkę; czy bym nie poszedł z nim zagrać na zabawie i to na budowę domu ludowego w Błędowej Tyczyńskiej. Chociaż mróz i zawieja, idę, wiedząc, że nie mają innych muzykantów; nie chcieli iść, przypuszczając, że nie zarobią na graniu.
Już przedtem wiedziałem, że błędowianie to ludzie z inicjatywą i mocni w swych postanowieniach. Ważne było, że chcieli coś zrobić i szli do tego wytrwale. Dom był już w stanie surowym i pod dachem. Gramy więc z wąsatym Szymonem i przygodnym bębnistą, a co drugi «kawałek» grzejemy ręce nad żelaznym piecykiem. Widzę, że błędowianie są nam wdzięczni.
W tym baraku, w którym graliśmy, poprzednio też była zabawa. I na nią zwaliła się gromada chuliganów z Chmielnika — sąsiedniej zaraz wsi, z którą Błędowa toczy potyczki od bardzo dawna, a której mieszkańców nie lubią za ich awanturnictwo i chamstwo (tradycja mówi, że chmielniczanie są potomkami Tatarów). Przyszli śmiało, jako że tutejsza młodzież jest spokojna. Ale pomylili się. Kiedy już znaleźli się w baraku — w tanecznej sali — ktoś od zewnątrz podstawił drzwi kawałem drewna, ktoś inny zgasił lampę i wtedy... łupu-cupu po chmielniczanach. Było

to w czasie mrozu, okna były zamarznięte na beton, wywiać się im nie dało, biedaczyska skakali po ścianach aż do powały. Na całe szczęście nie zakończyło się to niczyim kalectwem, a tylko porządnym wygarbowaniem skóry. Po odpłynięciu chuliganów zabawa potoczyła się dalej w dobrym nastroju. Innych sąsiadów błędowianie tolerują, ale chmielniczanów — jak się zdarzy — leją «przez» litości. Nie przeszkadza to jednak żenić im się między sobą. Ciekawe, ale nikt nie słyszał, żeby te mieszane małżeństwa biły się wzajemnie. Jeśli już dojdzie do czegoś, to najczęściej między szwagrami. Błędowianki mają opinię dobrych żon. Wąsaty skrzypek Szymon potwierdza to, a ożenił się trzeci raz z rzędu.

Później grałem na kilku weseliskach w Błędowej. Stare zwyczaje weselne już zanikają, coś podtrzymują je starzy, zaś młodzież bawi się, jak umie. Nie słyszałem też, aby było jakieś wybitnie błędowskie wesele. Przyśpiewki typowo rzeszowskie, powszechnie znane.

Zapraszany na wesela do Błędowej, zainteresowałem się tą wsią. Wiele razy podziwiałem wręcz zadziwiającą solidarność i postawę wsi, gdy chodziło o wspólne sprawy w ulepszaniu życia, pomimo że są biedni, bo teren górzysty i fatalne drogi. [...] Grając stwierdziłem jeszcze, że bawią się grzecznie i kulturalnie. Sami tworzą postęp. Grzegorzówka i Wólka Hyżneńska — są to małe i podobne do siebie wioski (w powiecie rzeszowskim). [...]

Jadąc do Grzegorzówki pierwszy raz, i to furmanką, w lesie tak nas zlał deszcz, że ochłodził w nas jakikolwiek wesoły nastrój. Obawialiśmy się poważnego przeziębienia. Gdyśmy jednak dojechali wreszcie do owej słynnej «Kanady» [satyryczna nazwa najbiedniejszej części wsi — F.K.] od razu zaopiekowały się nami kobiety. Każdego z nas ulokowały pod pierzynami, wysuszyły ubrania, a dziewczęta nawet wyprasowały nam spodnie. Byliśmy tym nie tylko zaskoczeni, ale i zażenowani. Wytłumaczyły nam, że wesele jest dopiero jutro, a my powinniśmy dobrze

wypocząć i dobrze wyglądać, jak przystało na artystów. Tak więc i na co dzień wykazywali nam swoją życzliwość bez żadnych sztuczności. Czy takich kobiet można nie kochać? Stąd nieraz byliśmy w nie lada kłopotliwym położeniu.

Handle Szklarskie i Kańczudzkie

Sąsiadują z sobą, z tym że Hadle Szklarskie leżą w Dolinie Mleczki — wpadającej do Sanu — a Hadle Kańczudzkie zajmują teren pagórkowaty i glebę mają nieco gorszą. W Hadlach Szklarskich gospodarze są dosyć zamożni, szczerzy i gościnni — choć są i wyjątki — szczególnie podobała nam się młodzież. Dziewczęta piękne i po kilka w każdej chałupie. Tylko że same chałupy są po większej części w starym stylu, jednoizbowe, z ogromnymi piecami. [...] Hadlanie są miłośnikami dobrych koni i rzeczywiście mają piękne okazy. Wywożą nimi drzewo do kolejki wąskotorowej. W stosunku do sąsiadów nie uważają się za lepszych, ale tych, którzy chcą rej wodzić, głównie z Huciska Jawornickiego lub Widaczowa, leją pałami. Weseliska sprawiają po starodawnemu; więc swaszczyny, wesele, poprawiny, przenosiny, co w sumie trwa 3—4 dni. Na to trzeba zamordować świniaka, krowę lub jałówkę, upiec pełną komorę pieczywa oraz kupić całe morze piwa i wódki. Dopiero w takim żywiole czują się dobrze i bawią się, dopokąd tego wszystkiego nie «zepsują». Przebieg wesela podobny jak w Rzekach i Manasterzu, różni się tylko tym, że orszak weselny do kościoła prowadzi drużba, niosąc w ręce laskę ubraną w kwiaty, tzw. «policke» (paliczkę — patyk). Jest ona oznaką jego godności i rangi na weselu. Po powrocie z kościoła rodzice przyjmują młodą parę chlebem i solą — ten zwyczaj jest powszechny — a następnie zapraszają gości do domu, do suto zastawionych stołów. Muzykanci długo jeszcze stoją przy wejściu do domu, ażeby każdemu gościowi zagrać marsza. Za to każdy

płaci — mężczyzna czy kobieta.
Handlanie lubią figle. Na jednym z wesel gości do domu wprowadzał syn gospodarzy, 12—15 lat, siedzący na tęgim byczku, ubranym we wstążki i różne ziele. Ogromną uciechę wywołało, kiedy bysio, stojący w izbie na czystej podłodze rozkraczył się, a następnie po prostu zlał i wyłajnił.
Rozbawione kobiety zauważyły wreszcie i nas, muzykantów. Naszemu Kulasowi, którego znały już dawno, z miejsca zaśpiewały — z jasną aluzją:

Oj, umarł Kulas, umarł, leżą pod dzwonnicą,
Oj, to to mu wylazło lewą nogawicą.

Oj, nie widziałam ja sama, widziała i Zośka,
Oj, to to mu wisiało jak cielęca nożka.

Kulas na to nie zareagował. Zresztą i tak nie dopuściłyby go do głosu. Po drugie — chociaż do kościoła mało chodził — (aluzja do przysłowia: «Jak chodzicie, kumie, do kościoła, powinniście śpasy znać»), Kulas znał się na żartach, przecież muzykant, zaraz im odśpiewał:

Oj, grają mi i grają, i basy boruczą,
Oj, hadelskie dziewczęta tańczyć mnie nauczą.

Zaś dziewczęta chyba zrozumiały, że pod słowem tańczyć Kulas rozumiał całkiem co innego.
Na tym samym weselu kobietom coś tam nie przypadł do gustu sam drużba. Poszeptały coś między sobą, a następnie poprosiły nas o przygrywkę. Otoczyły drużbę półkolem — żeby im nie uciekł — i zaśpiewały mu na melodię dziarskiego oberka:

Jechał drużba z Dubiecka, koło mu skrzypiało,
Chciał se koło podejszczać, torbę mu urwało — ucha!

Kolega skrzypek pokręcił na to głową i mruknął: — To ci poezja!
Aż do wieczora bawiono się tylko z małymi przerwami,

a to na wypicie czegoś i przekąskę. Tańczono — według życzenia — stare kawałki, jak polkę, oberka, walczyki. Od czasu do czasu młodzież kazała sobie grać przeboje, a te «wygibusy» tańczyła całkiem poprawnie; jak na lekcjach tańca.

Po obiedzie — sutym i mocno zakrapianym — muzykanci według miejscowego zwyczaju wchodzą do izby biesiadnej, przechodzą wzdłuż stołów, a każdy gość wstaje po kolei i rozkazuje sobie zagrać pewnie swoją ulubioną melodię. To samo musi się mu wygrać, za co płaci. Te datki dla muzykantów zbiera do kapelusza starszy swat. A muzykanci chwilowo nie potrafią tego zagrać, dopóty muszą próbować, aż zagrają. Nieraz są to melodie nie tyle nie znane muzykantom, co zniekształcone pod wpływem alkoholu. Ale zawsze sobie jakoś poradzą. Po obejściu wszystkich gości drużba wręcza kapelusz z pieniędzmi muzykantom, jako grosz uczciwie zapracowany.

Potem to już taniec aż do rana. Jeśli gospodarz weselny nie ma odpowiedniej izby, sąsiedzi użyczają na taniec swych domów. Bez bitki nie może się obejść, a powstają z byle powodu; o obrazę honoru, o dziewczynę lub po prostu «z łaski na uciechę», żeby wieś miała o czym plotkować. Zaś większe bitki przechodzą do historii wsi i tradycji, podobnie jak ilość gości, jadła i napitków, wozów w orszaku weselnym, wybitych okien, połamanych sprzętów i temu podobnych atrakcji.

W czasie tańców — po dobrym popiciu — tanecznicy przy zakładaniu do tańca śpiewają albo dawne, albo naprędce układane piosenki: pikantne, często zuchwałe lub sprośne, to znowu prowokujące. Dla przykładu przytaczam parę tych strof — wszystkiego nie sposób zapamiętać.

Zagrajże mi muzyka na całego smyka!
A ja ci zapłacę, jak sprzedam konika.

Zagrajże mi muzyka, nie żałuj pazurów!
Diabli cię nie wezmą, bo mają Mazurów.

Zagrajże mi muzyka, zagrajże mi ładnie!
A ja ci zapłacę, aż ci czapka spadnie.

*

Oj, daliście mi, mamo, takiego szturpoka,
Oj, poszła krowy doić, siadła pod bujoka.
Oj, pod bujoka siadła, wyrżnęła go stołkiem,
Oj, niech cię diabli wezmą z takim długim dojkiem.

*

Skąd idziesz? — Z łąk.
Co niesiesz? — Drąg.
A jaki? — Bukowy, na panny, na wdowy...
Jażem się zląkł.

(tempo wolnego oberka w tonacji durowej w rytmie $^3/_4$)

Jednego razu na weselu przypadkowo zjawił się kominiarz. A istnieje przesąd, że to wróży szczęście. Z radości drużki od razu mu wyśpiewały.

Panie kuminiarzu, ładnie uczesany,
U nas taki Żydek chodził za jajami.

Kuminiarzu, co mi dasz? Naraję ci żonkę.
Będzie masło robić, będziesz chłoł maślonke.

Już od powrotu od ślubu, w przerwach między tańcami swaci i drużki docinają sobie wzajemnie różnymi przyśpiewkami. Oto kilka z nich.

Drużki:

A nasi swatkowie to nic nie śpiewają,
Przynieście im słomy, to se polegają.

Swaci:
A nasze drużeczki najadły się sieczki,
Poszły moczyć brzuchy do najbliższej rzeczki.

Te nasze drużeczki najadły się zupy,
Poszły za stodołę lakierować słupy.

A te starszo drużke posadzić na gruszke,
Swata na jabłoni, niech się śmieje do nij.

A co to za dziewka chodzi koło chlewka?
Wianeczek ma zmięty, osrała se pięty.

Nie śpiewaj, nie śpiewaj, co ci się nie tyczy.
Bo pomyślą ludzie, że to krowa ryczy.

Drużki:

Nie śpiewaj, nie śpiewaj, kiedy nie masz nuty,
Przysiadł pies ogonem, nie chce ruszyć dupy.

Przeleciała wrona przez wysokie krzaki,
Wystawiła ogon na takie śpiewaki.

Czemu więcej nie śpiewacie?
Czy żelazne gęby macie?

Czy żelazne, czy drewniane,
Czy na kłódki zamykane?

W czasie wesela w śpiewaniu nikogo nie oszczędzano. Ani swaszki, ani drużby, nawet pana młodego. Pod jego adresem tak któryś ze swatów zaśpiewał:

Spodobały ci się Kasine cycusie,
Długoś Boga prosił, żebyś je miętosił.

W czasie tańców różne przyśpiewki pod różnymi adresami aż się pieniły.

Biją mnie pałami i rżną mnie nożami;
Nie wiem co to będzie; ratuje mnie ludzie!

Ucieszcie się ludzie w tej ..... budzie;
A jak się rozwali, to pójdziemy dalej.

*

Starościna na moście, obiecała staroście.

A starosta nie głupi — dawaj babo w chałupie!

A moja mamusia sprzedała tatusia;
Kupiła se krowe i chustkę na głowę.

Oj, dałabym ci, dała na talerzu mąki,
Oj, żebyś ty mi oganiał koło .... bąki.

Oj, dałabym ci, dała na talerzu maku,
Oj, żebyś mnie poruchał, a nie zrobił znaku.

Tańcowała Cencylijo z Wickiem,
Wybiła mu cztery zęby cyckiem.

Tańcowała, nie umiała,
Mamusia ją nauczała.
Włożyła jej w dupę piórko,
Tańcuj, tańcuj moja córko.

Pan Bóg pewnie przez pomyłkę,
Stworzył drużkę jak baryłkę.
Obciąć nogi, ręce, szyję —
Bądzie cebrzyk na pomyje.

Miała baba zięcia, a bez ogonięcia.
Urwała cielęciu — naści ogon, zięciu!

Siedzi diabeł na stodole,
A słomka go w dupe kole.
Przypatrzcie się, wszyscy święci,
Jak ten diaboł dupą kręci.

Matuś moja, śmierć mi grozi,
Oblękę się w kożuch kozi.
Wlazę na piec, będę dmuchał,
Aż się kożuch będzie ruchał.
Wlazę na piec, będę pierdzioł —
Jaż ten kożuch będzie śmierdzioł.

*

Matko Boska polska, ratuj nas Polaków!

Żebyśmy nie jedli jałowych ziemniaków!

(Ta ostatnia piosenka niewątpliwie powstała w czasach okupacji)

Przytoczyłem trochę przyśpiewek weselnych, które słyszałem w tych wioskach, gdzie grałem na weselach.[7] Pomimo że w Hadlach jest nam wesoło i przyjemnie, musimy, niestety, odjeżdżać na następne weselisko, do pobliskiej wsi

Widaczowa

położonego na dość górzystym terenie. Widaczowianie żyją w domach, domkach, chałupach i chałupkach pod strzechą; jak kto może, uprawiając swoją niewdzięczną ziemię. Słyną z hodowli prosiąt, które można spotkać na różnych jarmarkach. Sady mają bardzo liche, ale za to kochają się w ładnych koniach, którymi jeżdżą z nie byle jaką fantazją. Wozów używają tylko dynowskiej produkcji, jako że w tym miasteczku są najlepsi specjaliści od wozów. Powiadają, że dynowskim wozem można zjeżdżać z najgorszych wertepów, jakich w Widaczowie nie brak. Na dynowski wóz można ładować, dopokąd «nie wrzaśnie», czyli nie załamie się. Taki wóz jadąc tylko dzwoni, a kończy się, kiedy jego drzewo zbutwieje. Widaczowianie — jak już wspomniałem — jeżdżą z fantazją. Ta ich fantazja objawia się w gotowości do bitki, głównie o honor. Z Widaczowa udaliśmy się bezpośrednio do Jawornika Polskiego, skąd już pieszo mieliśmy się dostać na następne wesele, a to do

Huciska Jawornickiego

Jawornik znałem już wcześniej. Mieszkańcy nazywają go miasto, a dawniej rzeczywiście nim było. Miało się nawet nazywać Gródek, a tradycja mówi także o zamku

w Jaworniku. Miało kiedyś miejskie przywileje — pozostał przecież rynek, ulice, zabytkowy kościół — i ratusz, po którym nie pozostało śladu. Złośliwcy z sąsiednich wsi, znając słabą stronę jaworniczan, skomponowali gadkę, że ci swój ratusz na noc chowają w garażu, żeby go kto nie ukradł. Ta gadka doprowadza rodowitych jaworniczan do szewskiej pasji. Dziś Jawornik nie ma nawet prezydium gromadzkiej rady, a należy do odległej wsi, Hyżnego.

Nasz Surdel pyta pierwszej napotkanej babki, mającej chyba 80 lat, jak daleko do Huciska, gdzie ma być wesele.

— A to wiecie wesołuchy — tak tu nazywają muzykantów — będzie ze dwa kilometry, może z haczykiem... o, tam za tą górą po wschodniej stronie.

Idziemy pospiesznie, żeby się nie spóźnić, bo to byłoby wielką obrazą honoru. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie odgrywać po różnych dziurach i wypić odpowiednią ilość kielichów «hary», czyli samogonu. Patrzymy... ani chałupy, ani wesela. Wtem spotkaliśmy swatów, którzy wyszli naprzeciwko nas. Tedy od razu idziemy odgrywać, komu trzeba, ale po takich wertepach, że nogi nam odpadały. Wreszcie z kompletną już drużyną zachodzimy po ciało, które tutaj często nazywają skórą. Ale tylko dziewczęta, które przed ślubem nie szanowały swoich wianków. Gramy pod oknem młódki, a następnie wprowadzamy to wszystko i pana młodego na błogosławieństwo rodziców.

W tej samej chwili, jak na komendę rozlega się obrzędowy płacz, pociąganie i chmychanie nosami. I to naszego Surdela wyprowadziło z równowagi, więc począł mruczeć:

— Do jasnej Anielki, dziwka ma już 28 lat, dobrze przyschnięta, smarkać i płakać się jej zachciewa, zamiast po ścianach się drapać z radości, że się jej udało złapać chłopa. — No, ale już gramy *Serdeczna Matko*, a następnie z graniem i śpiewaniem, niczym huragan jedziemy do Jawornika do ślubu; inaczej nie można, żeby nawet konie miały paść.

Wszyscy wracają wielce zadowoleni. Nie ze ślubu, ale mając świadomość, że «tam» czeka dużo żarcia i napitku. Zajeżdżamy, my muzykanci lokujemy się przy wejściu, by odegrać ileś tam marszów. A potem za stół, gdzie nas raczą, «czym chata bogata». A była ta chata bogata przede wszystkim w samogon (wódki monopolowej nie było ani kropelki). Dla towarzystwa obok nas usiadła około 70-letnia babcia i klepiąc nas po plecach chwaliła: — No, wesołuchy! Fajnoście nam zagrali, to teraz proszę trochę «zaciucionić». Równocześnie wyjmuje z kieszeni spódnicy skórzany mieszek z tytoniem własnej uprawy — samowystarczalność — czarnym jak noc. Sama «upaliła» (urwała) kawał starej gazety, a skręciwszy papierosa niczym koci ogon, zapaliła go z wdziękiem; zachęcając i nas do tego samego. Nie sposób było babusi odmówić, gdyż była to szczera gościnność. I bądź co bądź, kobieta. Zapaliłem. Tytoń był tak diabelnie mocny, że poczułem go na dnie duszy. Oczy skręcały się od niego na świder, więc po chwili mówię do kolegi: — Słuchaj, Stachu, kopnij mnie w kostkę, uszczypnij albo ugryź, bo mam wrażenie, że mi się to śni. — Ale gdzie tam! Przetarłem oczy, patrzę, a tu nawet młode i niczego sobie kobietki palą to samo pierońst\wo, również zawijane w gazetę i jeszcze z większą gracją niż nasza babcia. Trudno; co kraj to obyczaj.
W czasie libacji pito mnóstwo toastów, każdy dobry żart należało zalać obficie samogonem. Wkrótce tak stare babki jak i młode kociątka — nie mówiąc o mężczyznach — wszystko było schlane i czuło się jak w raju. Dla nas, trzeźwych, był to obraz trochę niesamowity. Naturalnie, rozwiązały się języki i nie było żadnych hamulców. Posypały się różnego rodzaju piosenki, dużo odruchowej kompozycji. Zaraz też na początku dostało się naszym Mazurom, którym chór drużek wyśpiewał:

Mazur Mazurowi przygodę urządził,
Kapustę mu wyciął, dziewkę oporządził!

Naturalnie piosenkę potraktowano jako żart, a ze strony Mazurów powinien nastąpić rewanż. Należało przynajmniej odpalić jakimś żartem. Ale Mazury woleli nie zaczynać, znając ostre języki i niezbyt delikatny słownik hucianek. Ustąpili z placu.
Podczas tańców raz po razu wynikały sprzeczki i bicie «po wszorzach», czyli po łbach. Ale i to należało do obrzędów. [...]
Dziwnem się może wydawać, że specjalnie uczepiłem się najbiedniejszych, najbardziej zacofanych i chuligańskich wsi. Ale też właśnie w takich wsiach można znaleźć wiele przykładów przemian na lepsze oraz docenić zdolności i inicjatywę w dążeniu do lepszego jutra.
Jest rzeczą dowiedzioną, że jak jeden kamyk powoduje lawinę, tak i przemiany na wsi zależne są od działalności pojedynczych ludzi, którzy promieniują na tkwiących w letargu. Ale na to trzeba czasu. Trzeba poczekać, aż znajdą się na wsi jednostki nieugięte i z inicjatywą, które nie zboczą z raz obranego kursu, w dobrym kierunku.
Mieszkańcy tzw. lepszych czy bogatszych wsi nie zawsze zasługują na zainteresowanie. Albo drzemią w swoim domniemanym dobrobycie, dufni w swoją wyższość, szanują też swoje przywary, przez które stopniowo schodzą na psy. Bywa też, że najczęściej tracą wspólny język, co prowadzi do warcholstwa. Szkodzą też innym mieszkańcom, ośmieszając się właśnie przed tymi biedniejszymi wsiami i zupełnie «tracą twarz».
Mówiłem nieraz Surdelowi: — Nie trzeba nigdy lekceważyć podrostków (tu mamy do czynienia niewątpliwie z przenośnią — przyp. F.K.) — bo chociaż dziś szmyrgają się po kątach, niedługo zajmą nasze miejsca. Tak samo jest z biedą i zacofaniem po wsiach. Wierzę święcie, że się zmieni."

*

Cykl pamiętników zakończyłem wspomnieniami Jana Kisały, najmłodszego z nich i będącego jakby łącznikiem

między dawnymi a młodszymi laty. Pamiętnik jego zamieściłem we fragmentach z pewnymi skrótami, gdyż jest on bardzo obszerny. W całości ma on raczej, charakter reportażu z muzykanckich wędrówek po określonym terenie, a nie wspomnień muzykanta.

Przypisy

CZĘŚĆ PIERWSZA

[1] Litkup — zwyczaj bardzo dawny, oznaczał „oblanie", czyli „popicie" z okazji kupna czy sprzedaży.

[2] Na tradycyjnych wiejskich weselach tańczono różne tańce: wolne — walczyki tramelki; szybkie — polki — w lewo i prawo, sztajerki względnie oberki oraz bardzo szybką, iście wściekłą polkę bez nogę, inaczej zwaną razówką, w tempie na dwa. Ten ostatni taniec w wiejskiej izbie mogły tańczyć co najwyżej cztery pary, przy czym ktoś stale krzyczał: — puszczoj! — były to niemal taneczne wyścigi, pokaz siły i wytrzymałości.

[3] Talijański front — italski, włoski front; wyrażenie gwarowe, utworzone przez Polaków z Galicji, żołnierzy armii austriackiej, których rzucono do wojny przeciw Włochom w okresie I wojny światowej.

[4] Ksiądz Rumiński głosił swoje kazania w I połowie XIX wieku. Na podstawie słuchanych spowiedzi niewątpliwie dobrze wiedział, co działo się na weselach pod wpływem alkoholu, muzyki i tańca. Musiał być fanatycznym księdzem i rzeczywiście wierzyć w szatana i jego sztuczki.

[5] Nawet po wprowadzeniu nafty do oświetlenia mieszkań na wsi z różnych względów, niewątpliwie i z nawyku, długo używano jeszcze łuczywa, w Rzeszowskiem zwanego dartkami. Były to długie pasemka sosnowego drzewa, idealnie suchego i bez żywicy, darte z kloców o długości około 1 metra, uprzednio uschłych. Na czas wesel, aby światło było jednolite i stałe, wynajmowano specjalnych ludzi, zwykle żebraków, którzy siedząc na piecu zapalali coraz to nowe dartki, upalonym odrywając „nosy", czyli zwęglone końce. Była to funkcja bardzo mozolna i nudna.

[6] Na Podgórzu piece budowano w ten sposób, że płomień spod kuchni czy z nalepy przechodził przez niską przybudówkę do pieca, płaską na wierzchu, w kształcie prostokąta, ogrzewając ją. Była to suśnia, bowiem suszono na niej zboże na przemiał w żarnach. W zimie na suśniach siadywali staruszkowie, grzejąc w ten sposób „stare kości".

[7] W Galicji, podobnie jak w Austrii, policja zwała się żandarmerią. Gwarowo mówiono: ziandar.

[8] Reński, gwar. ryński — dawna austriacka jednostka monetarna; moneta zdawkowa.

[9] Siarki, siarniki — zapałki mające główki fosforowe. Zapalało się je przez potarcie o cokolwiek, nawet o szybę. Mężczyzni—palacze pocierali siarniki o prawą nogawkę spodni. Fosfor nie zapalał

drewienka bezpośrednio, ale najpierw warstwę siarki, w której roztworze maczano patyczki zapałek. Stąd właśnie nazwa siarniki lub siarki. Noszono je nie w pudełkach, ale luzem, w kieszeniach.

[10] Langwerski mantel — podniszczony płaszcz oficerów obrony krajowej sprzedawany „na tandetę", kupowany przez biedniejszych chłopów galicyjskich.

[11] Sól świętej Agaty — sól święcona w dniu świętej Agaty, tj. 5 lutego. Według powszechnego wierzenia była skutecznym środkiem przeciwko pożarom. Garść takiej soli wrzucona w ogień miała gasić pożar.

[12] Nowinki — wierszowane opowiadania o sensacyjnych wydarzeniach, pisane najczęściej przez dziadów odpustowych, drukowane w prowincjonalnych drukarenkach i rozprzedawane na jarmarkach i odpustach. Należą do literatury straganiarskiej i są dziś rzadkościami.

[13] W okresie feudalnym sądy wiejskie, czyli tzw. roki odbywały się niemal z zasady w karczmach. Austria wprowadziła w Galicji dla kontroli nad sądownictwem patrymonialnym instytucje justycjariuszy, czyli sędziów z ramienia rządu, opłacanych jednak przez właścicieli ziemskich. Domy justycjariuszy, w których odbywały się sądy, nadal nazywano karczmami.

[14] W czasie I wojny światowej na okres zim ustawały walki na frontach. Na ten czas budowano linie obronne z pni drzewnych oraz żelaza i betonu. Takie umocnienia żołnierze polscy z niemiecka nazywali dekunkami.

[15] Burnus — francuski płaszcz wojskowy z pelerynką, po „przechodzeniu" trafiał często za granicę, w tym i do Galicji. Tutaj był kupowany przez uboższych chłopów i z czasem traktowany jako część stroju ludowego. Noszono go zwłaszcza do jazdy na koniu, głównie na weselach.

[16] Wianki oktobowe — wianki z ziół święcone dla celów leczniczych i magicznych w ósmy dzień po święcie Bożego Ciała.

[17] Na Starym Rynku w Rzeszowie, w setną rocznicę wybuchu powstania Kościuszki, miasto wystawiło pomnik Naczelnikowi. Tak się złożyło, że „pod Kościuszką" zbierali się ludzie „do wynajęcia", do doraźnych zajęć: rżnięcia drzewa opałowego, wodziarze, kosiarze, wozacy itp. Z czasem zbierali się tu i muzykanci, chętni do grania na weselach.

CZĘŚĆ DRUGA

[1] Niewielu muzykantów utrzymywało się wyłącznie z grania. Muzykanctwo było najczęściej dodatkowym zajęciem — na wsi obok rolnictwa, na peryferiach miasta obok innego zawodu. I tak Wójciki z Rzeszowa byli dorożkarzami, zaś Rupy murarzami.

a Bojdy rolnikami ze wsi Zalesie położonej kilka kilometrów od Rzeszowa. Tego rodzaju zespołów było dużo.

[2] W tym czasie Polska budowała przemysł zbrojeniowy; rozpoczęto pospiesznie budowę tzw. COP-u (Centralnego Okręgu Przemysłowego), objemującego również Rzeszowskie. Przy budowie fabryk znalazło zatrudnienie wielu ludzi ze wsi, dzięki czemu sytuacja gospodarcza wówczas bardzo się poprawiła.

[3] Józef Ryś, *Wesele łąckie*. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Franciszek Kotula, Rzeszów 1972. Ryś nie doczekał swej pracy w druku.

[4] „Sokół" — Polskie Towarzystwo Gimnastyczne, na terenie Galicji założone w 1867 r.

[5] W rodzinnych stronach Bojdy w czasie badań nad folklorem znalazłem kolędę żołnierską, którą ogłosiłem w książce: *Folklor słowny osobliwy*, Lublin 1969, s. 176. Wówczas nikt nie umiał mi wytłumaczyć, skąd się ona wzięła na łańcuckiej wsi. Dopiero relacja Bojdy wyjaśniła tę zagadkę. Kolęda została ułożona przez Polaków—żołnierzy, może na froncie, i przysłana do rodzin w formie świątecznego pozdrowienia.

[6] Swaszka — osoba na weselu bardzo ważna; kierowała stroną obrzędową wesela. Była to funkcja tak bardzo zaszczytna, jak i kosztowna. Zapraszano do niej kobiety zamożne. Swaszka sprawiała u siebie specjalne przyjęcie, tzw. swaszczyny. Przywoziła też ze sobą na wesele trunki. Śpiewano o niej:

> Swaszka ja se, swaszka, pod zapaską flaszka.
> Swaszka mi mówicie, bo flaszkę widzicie.

[7] W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę na dość istotne zjawisko. Podobnie jak Jan Kisała, uczestniczyłem w dziesiątkach wesel, a także w licznych zabawach wiejskich. Miałem nieraz okazję słyszeć wiele piosenek śpiewanych zarówno pod adresem muzykantów, jak i piosenek muzykantów na „toneczników". Niektóre pamiętam jeszcze z czasów młodości, bowiem sam je śpiewałem, inne zbierałem później w czasie badań folklorystycznych. Zjawisko to, które tutaj zaledwie sygnalizuję, wymagałoby oddzielnego opracowania. Spośród ogromnego działu tych różnorodnych piosenek czy przyśpiewek — lirycznych, wesołych, satyrycznych, uszczypliwych — przytaczam tu przykładów kilka wybranych przeze mnie śpiewanek, które były charakterystyczne dla każdej niemal wsi.

Uszczypki dla muzykantów
(Przekazała Maria z Wiącków Kozłowa)

Nasze muzykanty usiadły se w rzędzie,

I tak wyglądają jak kury na grzędzie.

Klarnecista pieje jak kogut w północy,
Aż od tego grania wyłażą mu oczy.

Skrzypek śmiechto smyczkiem, coś mu nie wychodzi,
Bębnista co szturnie, to mu dech wyłazi.

Nasz bębnista bębni ino ledwie zipie.
Co walnie po bębnie, to przewala ślipie.

Bo on lubi pijać czystą okowitę,
Lepiej ją pokochał jak swoją kobitę.

Wszystkie muzykanty to straszne leniuchy,
Tylko grać potrafią i kochać dziewuchy.

A ten nasz muzykant to wielki osrołek,
Lata za stodołę, bo zjadł ulęgałek.

Nasze muzykanty dzisiaj zmyślnie grają,
Najadły się flaków i co trochę srają.

Najadły się flaków i jaglanej kaszy,
Nie grają skrzypeczki, ino same basy.

Skąd te muzykanty, co tak zmyślnie grają?
Po każdym kawałku napić coś wołają.

Dopiero zaczeni, jeszcze ludzie tańczą,
A te kuternogi swoją nutę kończą.

Grejcie muzykanty, niech się wam nie drzymie,
Gracie, jak te dziady na odpuście w Rzymie.

Oj, żeby muzykanty trochę lepiej grały,
Oj, dejcie im cebrzyki, żeby w nich siedziały!

*

Oj, te nasze skrzypiciele,
Mają diabła w ludzkim ciele.
Bo jak zaczną se rzępolić,
To nie możeszwa tańcu zdolić.

Bo każda dziewczyna, to jakby się wściekła,
Jak usłyszy granie, poszłaby do piekła.

Muzykanci łasi byli na kobiety
(Przekazała Maria z Wiącków Kozłowa)

Przypatrz się, Kasieńko, temu skrzypeczkowi,
Jak on się zaleca twemu wianeczkowi.

A niech się zaleca, to do jego woli,
Niech mi na skrzypeczkach wesoło rzępoli.

Z topoli do wody opadają liście,
A teraz śpiewajmy naszemu bębniście.

Nasz bębnista ładny, ale nie ma pola.
I przez to go nie chce wójtowa Karola.

Żeby te dziewczyny wiedziały, wiedziały,
To by ino z bębnem za męża go chciały.

*

Marzenie dziewcząt
(Przekazała Maria z Wiącków Kozłowa)

Żeby mój Jasieńko na skrzypeczkach grywał,
To by się tak pięknie — muzykant nazywał.

Jak bym kochaneczka muzykanta miała,
Nic bym nie robiła, ino bym słuchała.

Jaś by ruszał smyczkiem w tę i w tamtą stronę,
Cieszyłby się, cieszył, że ma taką ładną żonę.

*

Wesele giedlarowskie
U starosty
(Przekazała Agnieszka Bajowa)

Zagrajcie muzycy, pójdziemy tańcować!
Bo swaty pomarzły, będziemy próbować.

Zagrajcie muzycy na tej wielkiej basy!
Niech nasi swatkowie odbiją obcasy.

Niech nasz pan starosta tańcuje z drużbiną,
A drużby na zmianę z ładną starościną.

Mieleckie

Zagrajże mi, skrzypku,
Zagrajże mi ładnie!
Bo ja ci zaśpiewam,
Aż ci czapka spadnie.

Zagrajże mi, skrzypku,
Na cienkiej, na cienkiej!
Niech się wytańcują
Te nasze panienki.

Zagrajże mi, skrzypku,
Na grubej, na grubej!
Niech się wytańcują
Te nasze kadłuby.

*

Dziękuję muzyce,
Całemu domowi.
Kogutowi, kurze,
Na piecu kotowi.

Słowniczek wyrazów mniej znanych

badunia — przepaściste bagno
błąd — demon, który wodził ludzi po wertepach, po lesie
boruczeć — ryczeć (o krowie), płakać, krzyczeć
bórg, na bórg — na kredyt
bulnąć — wypłynąć gwałtownie, wybuchnąć
chmychanie — smarkanie
ciuknąć — przypomnieć komu coś niemiłego, wytknąć
cug — (z niemieckiego — der Zug) — tu: pluton piechoty lub kawalerii w wojsku austriackim
czartopłoch — niski krzew żółto kwitnący o ostrych listkach używany do magicznych okadzeń przy zamawianiu chorób
czynel — instrument perkusyjny w kształcie talerza do uderzania
despetnik — zuchwały, dokuczliwy chłopak
despetować — robić figle, dokuczać
diasi — diabli
doskwirać — dokuczać
doślipnąć — dojrzeć, zobaczyć, podejrzeć
dumitować — rozmyślać, wnioskować
duszaki — krtań
dycha, dychawica — astma, trudny oddech
dyrczki, dyrdać — biec szybko, z pośpiechem
dział — szczyt podłużnego wzgórza, dział wodny
dziwczyć — zachowywać się jak dziewczyna na wydaniu
fifak — spryciarz, wesołek, dowcipniś
filozof — wiejski mądrala, krytyk, rezoner
gady — humorystyczna nazwa dla zespołu drobnych przedmiotów i narzędzi (np. narzędzi ciesielskich, instrumentów muzycznych)
halba — szklanka piwa o pojemności pół litra
hołota — nieproszeni goście na weselu, gapie
huncwot — kawałek twardej skóry przybity gwoździami do napiętka butów z cholewami, pomocny przy ściąganiu butów z nóg
infanteria — dawniej piechota
kacała — przyrząd do bicia, kawał sznura lub rzemienia przymocowany do krótkiej rękojeści
kalenica — szczyt dachu pokrytego słomą i utwardzonego gliną, zabezpieczony przed wiatrami drewnianymi koźlinami
kaleta — torba, sakwa
kał — błoto, bagno
kamratować — kolegować, przyjaźnić się

kasarniak — kara w wojsku polegająca na zakazie opuszczania koszar w wolnych godzinach
kawęczeć — stać, siedzieć lub leżeć w pozycji bardzo niewygodnej, męczącej; przekawęczeć — znieść niewygody do końca, z męką
kędrate — kręcone (włosy)
kiczki — wiązki słomy do pokrywania dachu
kir, kirowa podszewka — podszewka z czerwonego sukna
koniaki — buty z miękkimi cholewami z końskiej skóry, zszywane nie z tyłu, ale po bokach, robocze, do podróży
korosanka, korasanka — część rzeszowskiego stroju ludowego, rodzaj marynarki
krężel — górna, ruchoma część maśniczki, przyrządu do robienia masła
krzyżowe drogi — miejsce skrzyżowania dróg
kuraźnie — żwawo, ochoczo
lanny — lniany
likorz, likorka — człowiek leczący ludzi i zwierzęta starymi sposobami, przeważnie ziołami
litry — długie i szerokie drabiny, z gęstymi szczeblami, nakładane na wóz w czasie przewożenia siana, zboża itp.
łaska — łasica
ług — staw, sadzawka
łupy — pogardliwa lub pieszczotliwa nazwa instrumentów muzycznych, szczególnie skrzypiec i basów, na których wyrób deseczki nie rżnęło się, ale łupało
marszałek — gospodarz wesela, starosta
maziarnia — miejsce lub urządzenie do wytopu mazi
micyje — coś bardzo dobrego, pięknego, wyjątkowego
międzuch — miedza
motyl — kartka papieru z urzędowym rozporządzeniem, zatknięta w rozszczepane drewienko, wędrująca z domu do domu
mraka — zasłona z mgły, dymu, ale także na skutek zmęczenia, strachu
na dobitek — w dodatku, coś niespodziewanego, na dodatek, ale w czasie jakiegoś nieszczęścia, przykrości, krzywdy
na przegiętkę — parokrotne złożenie po długości paska, sznura itp
nadolić — nadążyć, dorównać
oberkołt — płaszcz
oblamówki — naszywki na spodniach rzeszowskiego stroju ludowego z czerwonego i wyszywanego sukna; ozdoba noszona przede wszystkim przez kawalerów
obsada — ul wypełniony pszczołami
odczynić — zdjąć z kogoś czar

odmawiać — niszczyć, niwelować czary rzucone na człowieka lub zwierzę, przenoszące chorobę lub nieszczęście
ogroszka — gorączka, febra
palętać się — łazić, snuć sie
parciany — gruby, zgrzebny
paruch — kawał starej zniszczonej materii, koca lub płachty
paryja — dno wąwozu, przeważnie mokre, bagniste (głównie na Podgórzu)
paszk — smrodliwy kopeć z kaganków lub lamp naftowych
paść — wewnętrza część dłoni, dłoń
patryja — najwyższy szczyt w danej okolicy, skąd zazwyczaj wiadać bardzo szeroki widnokrąg; w przeszłości niewątpliwie miejsce obserwacyjne i sygnalizacyjne
pikol — mały flet
pitolić — kiepsko lub coś źle robić również nijako grać na skrzypcach
płacha — część kloca przełupanego podłużnie
płatek — nazwa psa, mającego sierść różnego koloru; może być i byczek
pochrobotać — potłuc, porozbijać
podać się — być podobnym; podany — podobny
podkulek — element wozu, podtrzymujący drabiny, „litry", drążek mający na dole okucie, którym jest przymocowany do osi; częsta i niebezpieczna broń w bójkach na wsi
podołek — zapaska kobieca
pofutrować, nafutrować — napaść, nakarmić konie, głównie w czasie podróży
pogródka — nasyp przeważnie z gliny w kształcie ławy dookoła mieszkalnej części chałupy, ulubione miejsce wieczornego odpoczynku
połcorz, pałcarz — przezwisko pomocników kupców nierogacizny, chodzących zawsze z pałami do popędzania świń; również przezwisko ludzi „bez czci i wiary", nie lubianych, nieuczciwych
pomiełło — miotła z gałązek choiny lub brzozy, zwłaszcza do wymiatania chlebnego pieca po wypale
potoki — topograficzna nazwa części wsi
pręgać — podpędzać, podniecać, nudzić
prymista — grający pierwsze skrzypce
przemawiać się — sprzeczać się
przepowiadka — przypowieść
przerabianie — palcowanie na basach
przerzekać — przepowiadać, wróżyć
przęślica — część przyrządu do przędzenia nici
przeziory — podglądanie
przyjaciel — krewny, powinowaty

rabszic — kłusownictwo
rabszicer — kłusownik
rajbować — szorować, ścierać czymś szorstkim lub trzeć na szorstkiej powierzchni
rajzować — wędrować, jeździć po świecie, szukać nie wiadomo czego
rosolka — słodka wódka
rozjurzony — podniecony, podochocony
rzoz, rzaz — ostrość, podniecające właściwości, jeśli chodzi o muzykę
rzysko — ostro, żwawo, w tempie
sarguty — sznury od dzwonów kościelnych w dzwonnicy
sekond, sekund — sekundzista grający drugie skrzypce
serni — coś z sera lub worek do odcedzania sera
sor — samiec sarny, rogacz
spiestrać — wytrzymać, przetrzymać z najwyższym wysiłkiem
stajanko — staje, dawna miara długości używana do pomiarów gruntu, różna w poszczególnych okolicach Polski
strężnik — sznurek wciągnięty w górny skraj „gaci", czyli bieliźnianych spodni do zawiązywania, zamiast paska
strycharz — majster przy wyrobie cegły
sukieniaki — spodnie z siwego sukna, część rzeszowskiego stroju ludowego
sumitować się — zaklinać się na „sumienie"
szczeńbina — szpara między belkami chałupy
szczerupy — kawałki po rozbiciu jakiejś całości
szpasy, śpasy — żarty, figle
szpik — mały, najczęściej zasmarkany chłopak
szturmak — chłopiec a zwłaszcza dziewczyna, nieruchoma, powolna, nieporadna
sztyk — długi, wąski bagnet
śmiechtać — pociągać smykiem jakby od niechcenia, z musu
świteziańka — drobna ważka błękitnego koloru żyjąca nad wodami
tareczki — pieszczotliwa nazwa czarnych, błyszczących oczu
targot — stukot, dudnienie
tłoka — pomoc sąsiedzka przy żniwach za urządzenie poczęstunku i zabawy tanecznej
uczynić — rzucić na kogoś czar, oczarować
uskwirknąć — umrzeć z zimna, z głodu
uświadczyć — zobaczyć, dostrzec
wątok — obniżenie terenowe, zapadlisko
wieńcowiny — dożynki
wiesło — okrągła, różnych rozmiarów łopata do wsadzania chleba do pieca
wydolić — podołać, dać radę, wystarczyć

wybydać, zdybać — znaleźć, wyszukać
wyhajdukować, hajdukować — wymyśleć, wykombinować, zrobić coś sprytnie
wyposka — pasienie koni w nocy na pastwiskach
wyrukować — termin wojskowy; pójść na manewry, na front, w dalszą drogę
zaczynać — rozpoczynać krajanie bochenka chleba
zakładać taniec — płacić muzykantom za zamówiony taniec
zamówienie — magiczna formuła przeciw czarom
ząziel — dawniej dręczący demon; człowiek natrętny, męczący, nieustępliwy
zdybać — znaleźć
ziorać — podglądać, chciwie patrzeć
zładować — zrobić, sporządzić
zwiedzieć się — dowiedzieć się, wyszpiegować, zasięgnąć języka
zwyżka — podwyższone miesce dla muzykantów
żarnówka — czapka z białej wełny, zdobiona kolorowymi nićmi, dobrze naciągająca się na uszy, chłopskie nakrycie głowy

Spis ilustracji

1. Józef Ryś, muzykant, malarz i pisarz ludowy.
2. Ludowy trąbista. Fot. Franciszek Kotula.
3. Muzykancka para małżeńska z Bieśnika. Fot. Franciszek Kotula.
4. Zdobiony instrument muzyczny z Ostrów Baranowskich. Fot. Franciszek Kotula.
5. Cymbalista z Haczowa. Fot. Aleksander Hadała.
6. Akordeon konstrukcji Jana Kisały. Ze zbiorów Franciszka Kotuli.
7. Diabły pomagające grać muzykantom. Rys. Władysława Chajca. Fot. J. Turaj.
8. Grajki weselne. Rzeźba ludowa. Fot. J. Świderski.
9. Dziady odpustowe. Rzeźba Władysława Chajca. Fot. Franciszek Kotula.
10. Muzyka w karczmie. Rys. H. Pilatti (1856 r.). Fot. Julian Turaj.
11. Grające i śpiewające dziady odpustowe. Rys. Władysława Chajca (1967 r.). Fot. Julian Turaj.
12. Muzykanty. Figurki terakotowe wykonane przez artystkę ludową Władysławę Prucnal. Fot. Jerzy Jawczak.
13. Kapela wiejska. Płaskorzeźba Franciszka Świdra z Rzeszowa. Fot. Franciszek Kotula.
14. Ludowe wesele w Grabownicy Starzeńskiej (1969 r.).
15. Muzykanty. Rzeźba Stefana Rogoza z Domaradza. Fot. Franciszek Kotula.
16. Figurki z szopki ludowej. Wykonała Julia Kalinowska. Fot. Franciszek Kotula.
17. Dziady odpustowe. Rzeźba Władysława Chajca. Fot. Franciszek Kotula.
18. Wesele ludowe. Rysunek Władysława Chajca. Fot. Julian Turaj.
19. Grajek odpustowy. Fot. Franciszek Kotula.
20. Autor z kolędnikami. Fot. A. Hadała.
21. Rzeszowiacki skrzypek. Fot. Franciszek Kotula.
22. Ze szkicownika Władysława Chajca, rzeźbiarza ludowego. Fot. Julian Turaj.

Posłowie

Muzykanty Franciszka Kotuli — to książka, która wprowadza w zadumę. W zadumę nad wiecznym przemijaniem czasu, wartości kulturowych, osobowości ludzkich. Utrudzeni napiętym tempem dzisiejszego życia, chętnie poddajemy się urokowi rozciągłych gawęd i prawionych przy kominku opowieści pamiętnikarskich o dawnych czasach, znajdując swoiste wytchnienie w barwnych obrazach niegdysiejszej wsi polskiej z kurnymi chatami, w odległym świecie człowieczych myśli, doznań, wyobrażeń i niepojętych dziwów sprawianych przez nadprzyrodzone siły i magiczne zabiegi.

Ten przebrzmiały świat, z tak czułą wrażliwością obrazowany przez autora, przywodzi nam na myśl postać prekursora polskiego i słowiańskiego ludoznawstwa — Zoriana Dołęgę Chodakowskiego, który z przysłowiowym kosturem wędrowczym w ręku wkroczył u progu XIX w. między „lud siermiężny", by — uczestnicząc w jego obrzędach żalnikowych, weselnych, w euforycznych zabawach ciżby wiejskiej pośród pieśni i pląsów — doszukiwać się w oparach ludzkich emocji i pamięci śladów ducha przedchrześcijańskiej wspólnoty kulturowej Słowian. Zafascynowany historyczną głębią kultury ludowej, Chodakowski notuje w 1816 roku: „Jest szczęście na ziemi — tułać się między ludem, żyć siłą życia poetycznego wieśniaków! Jakżem szczęśliwy w mojej siermiędze, z moją nędzną strawą, gdy mi wspomnienia swoje, życzenia swoje opowiadają! Między ludem cnota mieszka, między ludem poezja mieszka! Pokażcie mi choć jednego rolnika chłopa, co by z własnego popędu źle zrobił? Złe ma serce ten, kto ludu nie kocha całą braterską miłością." [1]

Wydaje się, jakoby na kartach *Muzykantów* błąkał się jeszcze zagubiony powiew owego preromantycznego

klimatu. Autor, urzeczony osobowością swoich bohaterów, utożsamia się niejako z nimi, wnika w świat ich wyobrażeń, pociągając za sobą czytelnika. W pamięci swoich rozmówców-przyjaciół szuka — jak to na innym miejscu określił — „ducha folkloru", „duszy ludowej kultury"[2], która o wiele trwalej pielęgnowana jest w pamięci i intymnych myślach ludzkich, aniżeli manifestowana w konkretnych działaniach. Czytając opowiadania Franciszka Kotuli, nie analizujemy tych określeń i nie domagamy się ich precyzowania. Przyjmujemy je jako wartość emocjonalną i pozostajemy — podobnie jak autor i jak sami muzykanci, snujący swoje gawędy — pod urokiem dawnych wspomnień, przeżyć i magicznych zachowań.

Fascynacja przedmiotem badań staje się niewątpliwie motorem poszukiwawczych i obserwacyjnych działań etnografa. Nie kontrolowana — prowadzi do przerysowań i wyolbrzymiania relacji. Franciszek Kotula, doświadczony poszukiwacz-terenowiec, wie o tym i lojalnie uprzedza czytelnika, że ani sam nie wyrzeka się narzutu własnej indywidualności jako odbiorca przekazów, ani nie tuszuje napięć i przerysowań nabrzmiewających w relacjach swoich informatorów. Pytanie, czy *Muzykantów* możemy traktować jako dokument folklorystyczny lub krytyczną bezprzedmiotowe. Jest to opowieść folklorystyczna, podobna pracę dokumentalną, staje się w tej sytuacji nieomal — jak mówi autor — do barwnie ułożonej mozaiki. Na jej błyskotliwą urodę składa się osobowość niezwykłych indywidualności odszukanych wśród muzyków ludowych, tych leciwych, którzy zrodzili się i ukształtowali w tradycjach żywotnych w XIX w., i tych młodszych, którzy stykali się lub aktualnie stykają z przekazem owych tradycji przez bezpośredni lub pośredni kontakt z jej odchodzącymi w przeszłość nosicielami. I jedni, i drudzy — to indywidualności, które okraszają szare szeregi rzeszowskich muzykantów, lecz nie stanowią ich członu

reprezentatywnego. Sam autor redakcyjną formą książki podkreśla jej opowieściowy charakter. Jakby na przekór warsztatowym nawykom etnografa nie wysuwa na czoło relacji metryk dokumentacyjnych, nie zabiega o ich pełność i jednolitą formę, dozwala, by zainteresowany w tej mierze czytelnik sam poszukiwał rozproszonych w bieżącym tekście wzmianek, wstrzymuje się od krytycznego komentowania informacji i rezygnuje z hierarchizowania zjawisk relacjonowanych przez rozmówców i pamiętnikarzy. Po prostu daje nam do ręki pamiętniki tak, jak zostały one napisane, i przedkłada wywiady, względnie fragmenty wywiadów tak, jak formowały się one w trakcie prowadzonych rozmów, bez względu na to, czy dotyczyły zjawisk podstawowych czy szczegółowych, czy stanowiły odpowiedź (lub brak odpowiedzi) na jednolity zestaw pytań stawianych każdemu informatorowi, czy może były odpowiedziami na pytania formowane dorywczo. Natomiast realistycznie, na oczach czytelnika odtwarza autor pełen uroków klimat swej poszukiwawczej pracy, zdradza tajniki nawiązywania kontaktów z muzykantami, przełamywania oporów, docierania do psychiki i drążenia ich pamięci. Każdy, kto ma za sobą lata dokumentacyjnej pracy folklorystycznej w terenie, po wielekroć doświadczał i przeżywał analogiczne sytuacje w kontakcie z instrumentalistami i śpiewaczkami ludowymi. Nikt jednak nie dzielił się tym z czytelnikiem w tej mierze i w tej formie, jak to uczynił autor *Muzykantów*.

W centrum szczególnej uwagi Franciszka Kotuli znajduje się muzykujący człowiek. I słusznie. Nie ma muzyki bez człowieka. Przy czym nie interesuje autora produkt muzyczny wiejskiego muzyka, lecz jego psychika, filozofia życia i wrażliwość artystyczna dyktująca potrzebę muzykowania, wreszcie funkcjonowanie muzykantów i odbiór ich muzyki w środowisku. Poprzez pryzmat tych wartości widzi autor dawną ludową kulturę muzyczną

i roztacza przed czytelnikiem jej obraz na wsiach Rzeszowszczyzny. Nie zapominajmy, że jest to obraz malowany specyficznymi barwami, wysnutymi z osobistych doznań i wynurzeń kilkunastu indywidualności muzykanckich, bohaterów opowieści, rozsianych w kilkunastu wsiach na obszarze byłej Puszczy Sandomierskiej i Rzeszowszczyzny.

Do biografii niejednej z tych osobliwych postaci możemy dopisać ciąg dalszy. I tak np. wspomniany fujarkarz Kalinka (s. 159—161). Autor rozstaje się z nim w momencie, gdy Kalinka z fujarką w cholewie wyrusza na pierwszą wojnę światową. Paweł Kalinka (urodzony w 1881 r.) z wojny powrócił szczęśliwie. Powiadał nam, że „wojnę wygrał na fujarce". Grał w swojej kompanii na zapleczu frontu, grywał też w kantynach oficerskich, ale nieustannie to grał w okopach, jako że nieprzyjacielskie fronty całymi miesiącami trwały niezmiennie na wytyczonych stanowiskach. Kalinkowe granie znalazło odzew w okopach przeciwnika, wszak do obu wrogich armii zostali wcieleni Polacy. Zaczęło się nawoływanie, zachęcanie do grania, a następnie wspólne muzykowanie „wrogów". Tu fujarka — tam śpiew. Dowództwo przymykało zrazu oko na te muzyczne kontakty, wreszcie zdenerwowało się i odkomenderowało Kalinkę na odległy o parę kilometrów odcinek frontowych okopów. Traf chciał, że w tym samym momencie analogiczną decyzję podjęło nieprzyjacielskie dowództwo w stosunku do swego zamiłowanego śpiewaka. I znów popłynęła nad przedpolem wspólna melodia... Szczęśliwie też przeżył Kalinka lata okupacji. W maju 1949 roku, na pierwszym w kraju, ogólnopolskim Festiwalu Muzyki Ludowej wkroczył Kalinka z fujarką w cholewie na scenę warszawskiej „Romy" [3]. Szeroko i rozłożyście pokłonił się w pas przed prezydencką lożą Bolesława Bieruta, wyjął zza cholewy fujarkę i zaczął grać. Nie stropił go blask reflektorów ni ogrom sceny, choć figurował na niej sam jeden, jak palec. Grał po

swojemu, jak przez całe życie, z zapamiętaniem. Nie baczył na czas przeznaczony mu na występ ani na nasze rozpaczliwe gesty wywołujące go za kulisy. Dobrze mu się grało. I przetrwało Kalinkowe granie, bowiem fujarkową melodią Kalinki rozpoczyna się *Mała Suita* Witolda Lutosławskiego, zasłuchanego, jak cała widownia „Romy", w prawdę Kalinkowego muzykowania [4].

Chociaż muzyka nie była celem obserwacji Franciszka Kotuli, niemniej w jego gawędach i w pamiętnikach muzykantów przewija się szereg cennych spostrzeżeń i informacji, dotyczących instrumentalnej praktyki muzycznej na Rzeszowszczyźnie i instrumentów. Jedne stanowią potwierdzenie pewnych generalnych prawidłowości, występujących w tym zakresie w skali krajowej, inne obrazują ich lokalną mutację, jeszcze inne odkrywają nieznane szczegóły, które dopełniają wiedzę o naszym folklorze muzycznym.

Zacznijmy od kwestii magii. Przypisywanie najznakomitszym instrumentalistom mocy nadprzyrodzonych, wyzwalanych magicznymi zabiegami, miało miejsce na terenie całego kraju. Ślady owych przekonań głęboko utkwiły w ludzkiej pamięci i do dziś błąkają się w ustnej tradycji najstarszych pokoleń. Nasycone tajemniczością i niedomówieniami, trudne są do wyłuskania z ust rozmówców. W 1934 r., podczas badań terenowych prowadzonych w Wielkopolsce, spotkałam się oko w oko z dudziarzem, o którym szeroko wieść niosła, że ma do czynienia z diabłem („z czornym"), że posiada przez to wielką moc. Jak rozkaże, to jego dudy, zawieszone na kołku, same się nadymają i grają. Innym dudziarzom może „tak zadać", że ustają w graniu, palce im posztywnieją i nic ugrać nie mogą. A jak spojrzy na obcego skrzypka — to mu zaraz struny popękają. Nie bez szczególnej więc emocji, jako początkująca studentka muzykologii Uniwersytetu Poznańskiego, wkraczałam w Jutrosinie pod Rawiczem (obecnie woj. leszczyńskie) do gospodarskiego

obejścia dudziarza-czarodzieja, Franciszka Błochowiaka. Pięćdziesięcioletni naówczas mężczyzna, krępy, czarnooki i czarnowłosy, wyraźnie odbiegał od antropologicznego typu Wielkopolanina. Bystry, zdecydowany i energiczny jawił się jako silna i sugestywna osobowość, zdolna do dominacji nad otoczeniem. Grał jak szatan, sprawnie, przekonywająco, spontanicznym muzykowaniem zniewalał słuchacza. Po prostu był to człowiek o nieprzeciętnej indywidualności i wielki muzyk. Zagadnięty na temat czarodziejskich działań, cofnął się i umilkł. Na koniec spojrzał ostro i surowym głosem odrzekł: „Jakby inni tak grali jako ja gram, to by też ludzie mówili, że diabła w sobie mają." [5] „To nie diabelskie skrzypce grały, ale muzykanckie dusze" — mówi dziś do Franciszka Kotuli jeden z rzeszowskich skrzypków-czarodziejów (s. 134), potwierdzając zdanie wielkopolskiego dudziarza, wypowiedziane przed czterdziestu pięciu bez mała laty. Legendy rzeczywiście urastają tylko wokół najwybitniejszych instrumentalistów. W świecie magii szuka się przyczyny ich nieprzeciętności, zdumiewającej sprawności technicznej i sugestywności muzykowania, wzbudzającej lęk. Ale dobry muzykant — to również dobry zarobek. Instrumentaliści odpadający w konkurencji mieli przeto powody, by rozdmuchiwać gadki o tych najlepszych, o ich tajemnych zabiegach magicznych pod krzyżem na rozstaju dróg, o wdrapywaniu się o północy na krzyż, ale tyłem, jako wyraz despektu nakazanego przez diabła itd. Wspominki o tych i innych cudownościach przetrwały tu i ówdzie. Jakże trudno je dziś wywołać z pamięci informatorów. Jedni się wzbraniają w poczuciu wstydu za wstecznictwo, drudzy — co nie jest bez znaczenia — realistycznie komentują zasłyszane dziwy, tłumacząc np. pękanie strun w skrzypcach i basach skrytym pociągnięciem po nich kwasem solnym, inni zgoła bagatelizują całą sprawę i ucinają rozmowę, najstarsi, nieliczni, wykazują cień lękliwej niechęci przed tego rodzaju zwierzeniami. Franciszek Kotula lekko dotarł do

rozmówców i gawędziarskim sposobem wprowadził czytelnika w najskrytsze przekazy wydobyte z pamięci swoich informatorów. Po raz pierwszy otrzymujemy w literaturze folklorystycznej tak bogate, w większości przypadków — odkrywcze wiadomości o magii w muzyce ludowej, uzyskane z jednego, określonego obszaru. Warto tu może wskazać na najgłębszą bodaj przyczynę niezwykłej pozycji, jaką najznakomitsi muzykanci cieszyli się w swoim środowisku, i legendarnej sławy, która ich otaczała za życia, a zwłaszcza po śmierci. Muzyk ludowy[6] muzykuje na innych zasadach niż te, które obowiązują w muzyce profesjonalnej. Nie zna pisma nutowego, nie opiera się na nim jako na środku przekazu. „Gra z głowy, a nie z nut" — jak sam to określa.[7] Jedyną drogą dziedziczenia i transmitowania muzycznej schedy pokoleń jest pamięć muzyczna i metoda naśladownictwa. W pamięci — a może lepiej rzec — w muzycznej świadomości muzyka ludowego zakodowane są pewne wzorce: wątki muzyczne i normy wykonawcze przyjęte w środowisku. Muzyk ludowy przyjmuje wobec tych wzorców postawę aktywną, twórczą. Wolny od obowiązującego w muzyce profesjonalnej rygoru wiernego odczytywania tekstu nutowego i realizowania go nuta w nutę, muzykuje spontanicznie, swobodnie obraca wątkiem melodycznym osiadłym w jego pamięci, odmienia go, modeluje i wzbogaca własną inwencją, wedle własnych możliwości muzycznych i technicznych. Tworzy więc nowe wersje, warianty podstawowego wątku melodycznego. Jeśli zyskają one aprobatę ogółu, to znaczy nie naruszają konwencji przyjętych w środowisku, wówczas wchodzą w obieg i wzbogacają funkcjonujący dorobek muzyczny środowiska. Na tym polega kreacyjna rola muzyków ludowych. Ich wersje i sposób wykonania, tzw. „kawałki", zapadają w pamięć użytkowników folkloru w skojarzeniu z imieniem, nazwiskiem lub przydomkiem współtwórców. Mówi się, że ten „kawołek" jest „marcinowy", tamten

„Tómka Wawrzynioka", ów „niebusiowy"[8]. Miana te trwają pokoleniami. Są wyrazem sławy wybitnych muzyków, którzy swą twórczą sztuką wykonawczą w ewidentny sposób dopełniają zasobów ludowej praktyki muzycznej.

Znakomita większość materiałów przedstawionych przez Franciszka Kotulę odnosi się do skrzypków. Jest to również potwierdzenie generalnej prawidłowości, znamionującej instrumentalny folklor muzyczny w Polsce. Skrzypce — to instrument, który w najbardziej idealny sposób przylega do muzycznego oblicza naszego folkloru. Pozwala bowiem na realizację i eksponowanie podstawowego czynnika, który w muzycznej strukturze naszego folkloru pełni rolę dominującą, mianowicie czynnika melodycznego. Od Tatr do Bałtyku, zarówno w muzyce zespołowej jak indywidualnej, skrzypce wiodą prym, i na skrzypku, nie bez przyczyny zwanym prymistą, spoczywa największa odpowiedzialność muzyczna. Jest to odpowiedzialność trudna, bo kontrolowana i oceniana doraźnie przez opinię społeczną, przez użytkowników muzyki. Skrzypek-prymista musi być czujny muzycznie, gotowy w każdej chwili do podchwycenia — „odegrania" — z nagła zaśpiewanej przed kapelą melodii, choćby mu była całkiem obca, „zadana" jako dyktat przez któregoś z taneczników z obcych stron, który znalazł się w ciżbie weselnej. Jeśli nie odegra, weselnik ma prawo nie zapłacić za zamówiony śpiewem kawałek. Prymista nie może dać się zaskoczyć, nie może próbować, przymierzać się do melodii, musi śpiewakowi odpowiedzieć natychmiast i ze swobodą rozprowadzić zadaną melodię. Od tego zależy ocena jego przydatności w środowisku, czyli dalszego na niego popytu:

> ᵘOj i co to za muzykant, ᵘale co nie umie wygrać?
> a dać mu skórke chleba, ᵘoj i do dómu wygnać![9]

Patrząc z tego punktu widzenia, z głębszym zrozumieniem możemy odczytywać na kartach *Muzykantów* relacje

o niektórych, z pozoru jedynie zabawnych wydarzeniach, jakie miały miejsce na weselach czy zabawach, np. o owej zażywnej kobiecie, co hulając na weselu, zaśpiewała przed kapelą na nutę, której nikt we wsi nie znał, a nie uzyskawszy odegrania, palnęła skrzypka Siłkę w twarz, za co Siłka, obdarzony tajemną mocą, dotkliwie ją pokarał (s. 126).

W czasach, o których opowiada książka Franciszka Kotuli, ogólny trend rozwojowy ludowej praktyki instrumentalnej nie zahaczał o skłonności muzyków do poznania pisma nutowego i rozszerzania repertuaru poprzez uczenie się z nut. Przedstawione przykłady tego rodzaju dążeń należy rozumieć jako sporadyczne, jeśli nie wyjątkowe. Występują one zazwyczaj wówczas, gdy muzykant ludowy, nie dość jeszcze okrzepły w rodzimym modelu muzykowania, znajdzie się w orbicie „muzyki nutowej", np. podczas służby wojskowej lub w kontakcie z muzyką miejską czy dworską. Pragnęłabym tutaj stonować nieco wrażenie, jakie czytelnik może odnieść z barwnego obrazowania dążeń muzykantów do zdobycia „nutowej wiedzy". Wyniki tych usiłowań rzadko kiedy okazywały się pozytywne. Przejście z jednej konwencji wykonawczej do drugiej, od spontanicznego muzykowania do gry zrygoryzowanej regułami profesjonalizmu, w ogromnej większości przypadków kończyło się zawieszeniem w próżni, pozbyciem się prawdy ludowego wykonawstwa i nie osiągnięciem właściwego poziomu w wykonawstwie zawodowym. Na tej drodze dochodziło do deformowania ludowej praktyki muzycznej. Zresztą autor, mimo emocjonalnego ulegania relacjom przedstawianym w tym zakresie przez rozmówców, sam dostrzega diametralną różnicę między tymi dwoma nurtami muzycznymi, pisząc (s. 50) o wiejskim skrzypku, który zasłyszaną melodię walca wiedeńskiego twórczo adaptuje: „... były to ludowe wariacje..."; „To było rzeczywiście g r a n i e" (podkreślenie moje — J.S.) i dalej: „Co znaczyły moje nuty wobec prawdziwego grania?"

Z ogromną wyrazistością przedstawia autor funkcjonowanie kapel w gromadnym życiu wsi i ogromny, dopingujący wpływ, jaki ostra, impulsywna muzyka zdolna była wywierać. Jest to bezpośrednie wprowadzenie czytelnika w weselny krąg taneczny, w bitki „hołoty", w atmosferę nabrzmiałą ludystycznymi, nieobyczajnymi elementami, wyzwalanymi przez muzyczną zaciekłość kapeli. Źródłem tych gorszących zachowań bogobojnych skądinąd weselników miało być — według słów rozmówcy — uleganie wierze w diabelskie moce, reprezentowane przez prymistę. Odwieczny problem dobra i zła znakomicie aktualizuje i rekapituluje, nie bez znaku zapytania, wypowiedź jednego z leciwych skrzypków (s. 82): „Młodzi już w diabły, co muzykantom pomagały, nie wierzą. Księża też nie pomstują na nich. A przecież i na dzisiejszych zabawach dużo ludzi się wścieka nie gorzej od dawnych. Czyja to robota?"

Na kartach *Muzykantów* odnajdujemy interesujące wiadomości o składzie kapel. Potwierdzają one podstawową prawidłowość, która w formowaniu składu kapel wiejskich działa u nas w zasięgu krajowym jako wyraz muzycznych potrzeb ludu, świadczących zarówno o jego postawie estetycznej, jak i o użytkowej funkcji zespołowej muzyki instrumentalnej. Kapela musi mianowicie spełniać dwa konieczne warunki: wydatnie realizować melodię, jako główny element muzyczny, oraz stworzyć dla niej podstawę basową. Powszechnie czynią to skrzypce i basy, lokalnie — skrzypce i bębenek [10]. Natomiast wypełnianie przestrzeni akustycznej między tymi dwoma odległymi głosami nie jest obwarowane tak ścisłymi kanonami. Najpowszechniej między skrzypkiem a basistą staje drugi skrzypek — sekundzista, którego zadanie polega w równej mierze na wypełnianiu przestrzeni akustycznej akompaniującymi współdźwiękami, jak i na wyrazistym podkreślaniu rytmicznej struktury utworu, usprawniającym taneczną funkcję kapeli. Dalsze etapy to: wzmacnianie prymatu

melodii w ogólnym brzmieniu zespołu przez włączanie instrumentów zdolnych do konkurowania z pierwszym skrzypkiem w „wyprowadzaniu melodii", przy czym każdy z tych instrumentów (klarnet, także trąbka, niegdyś flet) formuje i ozdabia melodię według własnych potrzeb i możliwości; zagęszczanie warstwy współbrzmieniowej przy dalszym utrzymywaniu prymatu melodii, co czyni harmonista, zwłaszcza w zespołach opartych na podstawowym składzie skrzypce-bębenek; wreszcie dublowanie obsady, pomnażające ilościowy skład kapeli. Na Rzeszowszczyźnie od schyłku XIX w. funkcjonowały kapele o składzie: skrzypce-basy; skrzypce-sekund-basy; skrzypce-klarnet-sekund-basy; skrzypce-klarnet-trąbka--sekund-basy. Na południowych obszarach ziemi rzeszowskiej (kierunek Krosno) zachowały się, jako enklawa, cymbały. Ustaliły one swoją pozycję w kapeli: skrzypce-sekund-cymbały-basy oraz skrzypce-klarnet--sekund-cymbały-basy, osnuwając zespołowe brzmienie kapeli mgiełką rozedrganych wybrzmień. Wśród bohaterów książki Franciszka Kotuli zabrakło cymbalistów. Piękna muzyka cymbalistów-seniorów, obumierająca już w okresie naszego pierwszego dziesięciolecia powojennego, z wolna zaczęła się w następnych dziesięcioleciach rozkrzewiać i dziś przeżywa na Rzeszowszczyźnie prawdziwy renesans, prezentowana przez starych mistrzów (o znakomitych sylwetkach muzycznych!) oraz przez ich młodszych sukcesorów. Powiększył się też terytorialny zasięg funkcjonowania cymbałów.

W formowaniu składu kapel ludowych bierze udział jeszcze jedna okoliczność, mianowicie przypadkowość. Trudno przyznawać jej miano reguły czy prawidłowości, choć wyniki jej permanentnego oddziaływania są widoczne. Można więc spotkać nietypowe dla regionu i nieraz zgoła nieuzasadnione muzycznie zestawy instrumentów, powstałe zrządzeniem przypadku lub w wyniku udziwnionych i doraźnych pomysłów indywidualnych. Zazwyczaj samo

muzykowanie takich zespołów odbiega od norm przylegających do folkloru wiejskiego. Tym się tłumaczą zestawy takie jak skrzypce-trąbka, lub trąbka-bęben, wymieniane przez Franciszka Kotulę i służące mu jako tło do opowieści o zagubionych losach ludzkich. Charakterystycznym przykładem przypadkowości jest zestaw skrzypce-sekund-trąbka-bęben, doraźnie powstały na weselu wskutek tego, że basista po większej wypitce rozbił basy.

Lektura *Muzykantów* przynosi też szereg drobnych z pozoru przyczynków, które w sumie obrazują niektóre ogólniejsze zjawiska z zakresu muzycznej sztuki wykonawczej, budowy instrumentów, niepisanego kodeksu obyczajowych praw przestrzeganych przez muzykantów i in. I tak na przykład skoro w opowiadaniu, rozprowadzającym magiczny wątek o porwaniu basisty przez diabła, pada wypowiedź: „Bez niego (basisty) muzyka do tańca na nic!" (s. 80), a w życiorysie muzykanckiej pary małżeńskiej zdanie: „Żeby była muzyka, musiały być basy" (s. 231) — odczytujemy w tym potwierdzenie opinii muzyków o znaczeniu podstawy basowej w zespołowej muzyce instrumentalnej, co przedstawialiśmy czytelnikowi wyżej (s. 386). Cenną wartość poznawczą zawiera opis techniki gry na basach (s. 88). Chodzi o tzw. granie „z pazura" — szarpanie strun palcem, zamiast pociągania ich smykiem, ludowy odpowiednik określony w muzyce profesjonalnej terminem *pizzicato*. Wbrew dotychczasowym mniemaniom okazuje się, że technika ta nie jest nabytkiem świeżej daty, że ma na Rzeszowszczyźnie głęboko zakorzenioną tradycję, popartą szczególnym uznaniem, jako najwyższej miary sztuka wykonawcza. W pamiętniku jednego z muzykantów czytamy plastyczne określenie, potwierdzające rytmiczną funkcję sekundzisty i basisty — „odbijanie": „Odbijało nas dwóch, stary basista Mikołaj i ja, mający wtedy 13 lat" (s. 338). Termin ten nadal jest w użyciu na Rzeszowszczyźnie. Tenże sam muzykant-skrzypek rozróżnia

granie „ostre" i „melodyjne". Wkracza tym w kategorię estetycznych ocen dźwięku i muzyki skrzypcowej, przy czym sam świadomie przestawia się z grania „ostrego" na „melodyjne" (s. 338—339). Warto dodać, że te dwie postawy estetycznego wartościowania znajdują odzwierciedlenie w ludowej muzyce skrzypcowej kraju. Występują nie tylko jako zjawisko indywidualne, lecz także regionalne. Np. na Kielecczyźnie skrzypkowie do dziś grają ostro, u nich mówi się „cięto", a skrzypkowie kujawscy „ciągną", tzn. preferują artykulację łagodną.

Nie brak też zobrazowań emocjonalnego zaangażowania muzyka w czasie gry. Jedni grają z przymrużonymi oczami, jak koguty, gdy pieją (s. 43), inni w czasie grania mruczą wywodzoną melodię (s. 89). Uzupełniając tę relację, dodam, że w skali krajowej odnosi się ona do najbardziej wytrawnych muzyków ludowych. Przymknięte oczy — to objaw wewnętrznego, twórczego skupienia przy spokojnej, opanowanej grze, mruczenie, a właściwie bezwiedne postękiwanie przy graniu obserwuje się, gdy „wyrabianie" melodii wymaga szczególnego wysiłku. Muzyk mobilizuje się, wzmożone napięcie wywołuje u niego bezwiedne współdziałanie organu głosowego w wydobyciu melodii z instrumentu. Ileż to razy owo nieopanowane postękiwanie, zarejestrowane na dokumentalnej taśmie magnetofonowej, odbierane jest przez osoby nieosłuchane z ludową praktyką muzyczną jako objaw negatywny, zamącający „czystość nagrania".

Zdobywanie wiadomości o konstrukcji i wyrobie instrumentów najwidoczniej nie leżało w zamierzeniach autora. W minimalnej mierze, nie wnoszącej głębszych rozpoznań, wspomina się o małych, trzystrunowych basach, o wyrabianiu do nich smyka z giętego kija i końskiego włosia smarowanego żywicą, o kręceniu strun z jelit baranich. Ciekawsza, bo rzadko dziś uzyskiwana wiadomość, dotyczy usprawniania małych, trzystrunowych basów, żeby ostrzej grały, przez zaopatrzenie ich w szklaną nakładkę.

Wiadomość ta, przekazana w sposób dość zawiły (s. 87), wymaga objaśnienia. Chodzi o wzmocnienie aktywności rezonansowej korpusu basów. W tym celu na dolnym skraju wierzchniej płyty basów umieszcza się prostokątną płytkę szklaną, wsuwając ją pod strunnik (odpowiednio wymodelowaną listwę drewnianą, która służy do dolnego zaczepu strun). Nacisk strunnika przytrzymuje płytkę w odpowiednim położeniu. Drgania szklanej płytki wzmacniają rezonans instrumentu. Trzeba też dodać, że małe basy wyrabiane były z jednego klocka drewna jako tzw. „dłubanki". Jedynie wierzchnią płytę wyrabiano z osobnego kawałka drewna i naklejano ją na wydłubany korpus. Bardzo intensywne zobrazowanie uzyskała w relacjach rozmówców i pamiętnikarzy obyczajowość muzykantów. Począwszy od targowiska instrumentów na Starym Rynku w Rzeszowie pod pomnikiem Kościuszki i procedury dokonywania zakupu, poprzez zamawianie usług kapeli (zaliczka dla prymisty „na struny") i ugody o płatność za granie na weselu („założenie do basów"), po tajemnicą okrywane rozliczanie zarobku kapeli („trzepanie basów") i sprytne oszustwa przypisywane w ostateczności czarom („inkluz"), wszystko to — gawędziarskim opowiedziane językiem — jawi się nam jak żywe i wprowadza w daleki, przebrzmiały świat muzycznego życia wsi. Niektóre z tych norm zwyczajowych przystosowane zostały do nowych warunków. W okresie międzywojennego kryzysu gospodarczego i dewaluacji pieniądza (starsi ludzie wsi określają to krótko — „jak były miliony") trzeba było wtłaczać do basów całe zwoje papierowych banknotów. Choć budowano już duże basy, nie dłubane, lecz klejone, o wysokich bokach, wciskanie do nich papierowych pieniędzy sprawiało duże trudności. Wycinano więc na plecach basów drzwiczki. Na wesele zamawiało się kapelę „z drzwiczkami" lub „bez drzwiczek". Bez drzwiczek — to znaczyło, że całą zapłatę bierze na siebie pan młody, jeśli z drzwiczkami — to pan młody opłacał granie tylko do

obiadu weselnego, a po obiedzie za granie do tańca płacili weselnicy, wkładając do basów banknoty przez drzwiczki. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że w Jaśle, tak dziś zmodernizowanym, współczesnym, nadal trwa tradycja targów na muzykantów. W określonym dniu tygodnia muzykanci-amatorzy schodzą się na Rynku jasielskim pod umówione drzewo i tam zainteresowani klienci zamawiają ich na zabawy, wesela i przyjęcia. Obok nielicznych muzykantów tradycyjnych, których nieraz prosto spod drzewa angażują do kapel kierownicy zespołów regionalnych przy zakładach pracy, zjednoczeniach przemysłowych czy Domach Kultury, gromadzą się instrumentaliści współcześni — perkusiści jazzowi, akordeoniści, saksofoniści, gitarzyści. Ci znajdują engagement zarówno na wsiach jak i w miastach. Tak oto tradycyjną formę obyczajową nowe przenikają nurty.

Najbardziej istotne wartości poznawcze wnosi książka Franciszka Kotuli w zakres ludowego słownictwa muzycznego, powszechnego i zawodowego. Któż dziś byłby w stanie wydobyć z żywej ludzkiej pamięci takie formy słownictwa jak *wesołuchy, muzykancia, muzyki* — w znaczeniu instrumentaliści albo *skrzypka* — kobieta grająca na skrzypcach czy *grajka* — w znaczeniu kapela, granie, względnie takie wyrażenie jak *ludzie szerokiego pola* — ludzie wędrujący, nie trzymający się własnego domu, co odnosi się również do muzykantów. Wyszły też na jaw zdrobniałe formy nazw instrumentów. Na małe basy mówi się *basięta, baski,* także *ćwierciówki,* na skrzypce — *skrzypczęta.* W zawodowym języku muzykantów rozszerza się nam zakres nazewnictwa strun. Poznajemy dawne nazwy strun w skrzypcach (od najniższej do najwyższej) — *szych, barania, rzymka, kwinta,* a w małych, trzystrunowych basach — *bąk, barania, jedwabna.* Wreszcie osobliwości żargonu muzykantów — *ciało, skóra,* to makabryczne miano nadane osobie panny młodej, którą muzykanci musieli prowadzić na obrzęd weselny, podobnie

jak prowadzi się ciało nieboszczyka na cmentarz. Książka *Muzykanty* powstała jako efekt ogromnej pasji, z jaką autor przez wiele lat tropił zamierające przejawy kultury ludowej na ziemi rzeszowskiej aż po skraj dawnej Puszczy Sandomierskiej, w bezpośrednim kontakcie z mieszkańcami wsi, zdając się na ich pamięć, ich opinie i umiejętności i wyszukując wśród nich postacie nieprzeciętne, o niezwykłej osobowości. Dlatego książka Franciszka Kotuli przynosi tak specyficzne materiały i wzbogaca nasze dotychczasowe rozeznania folkloru. Ale to jeszcze nie wszystko! Autor, miłujący dawną kulturę chłopską, swym gawędziarskim i wielce sugestywnym piórem jedna sobie czytelnika, zagarnia go ze sobą na wspólną wędrówkę i prowadząc nieprzetartymi ścieżkami po wsiach i opłotkach, przekazuje mu własną wiedzę i własne umiłowanie rodzimych tradycji. Cel *Muzykantów* zostaje osiągnięty.

Jadwiga Sobieska

Warszawa, w styczniu 1978 r.

Przypisy

[1] „Przegląd Naukowy" 1842, t. 3, nr 26. s. 1015—1023. Cytuję za: Julian Maślanka, *Zorian Dołęga Chodakowski, jego miejsce w kulturze polskiej i wpływ na polskie piśmiennictwo romantyczne.* „Prace Komisji Historyczno-Literackiej PAN" nr 13, s. 51. Wrocław—Warszawa—Kraków 1965.

[2] Zob. wstęp pióra Józefa Burszty.

[3] Pierwsza koncertowa i operowa scena odbudowana w zburzonej Warszawie.

[4] Dokumentacyjne nagranie Pawła Kalinki przeprowadziliśmy z Marianem Sobieskim w 1950 r. w Machowie (obecnie woj. tarnobrzeskie), gdy w ramach Akcji Zbierania Folkloru Muzycznego penetrowaliśmy woj. rzeszowskie z grupą studentów muzykologii Uniwersytetu Poznańskiego. Materiały znajdują się w Archiwum Folkloru Instytutu Sztuki PAN, sygn. P 285.

[5] Cytuję z pamięci, dokumentacja uległa wojennemu zniszczeniu. Sylwetkę F. Błochowiaka skreśliłam w: *Muzykanckie typy w ludzie*

wielkopolskim. „Kuryer Literacko-Naukowy (dodatek tygodniowy do „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" — Kraków) 31 XII 1934, 7 i 14 I 1935.

[6] Celowo używam tu formy „muzyk", a nie „muzykant", jako że gwarowa forma przybiera w języku literackim odcień pejoratywny.

[7] Inne, nie mniej powszechne określenia: „sam z siebie", „sam ze się".

[8] Przykłady z terenu Wielkopolski.

[9] Śpiewka z Łowickiego. Śpiewa Waleria Czubak, ur. 1919 r. Chąśno (obecnie woj. skierniewickie), zam. Błędów (obecnie woj. radomskie). Nagrano w 1973 r. Ze zbiorów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. Sygn. T. 12/24.

[10] Nie wprowadzam czytelnika w inne regionalne mutacje tej samej zasady.

Spis treści

Muzykanci w tradycyjnej społeczności wiejskiej — *Józef Burszta* 5

CZĘŚĆ PIERWSZA: GAWĘDY O MUZYKANTACH

Wstęp 31
Chłopięce i późniejsze wspomnienia 41
O tych, co z diabłem grali 61
Sławny prymista Wieńcuś z Powietny 83
Muzykanckie figle 105
Czarodziejski skrzypek 121
Jontek z Maziarni 135
Muzykanci „szerokiego pola" 152
O Kasprze z Jadachów 171
Klarnecista 183
Trąbista i bębnista 193
Jędrka Wąsatego do muzyki droga 212
O bieśnickim prymiście i jego basistce 225
W piekielnych czeluściach 237
Koncertmistrz na basetli 250

CZĘŚĆ DRUGA: PAMIĘTNIKI MUZYKANTÓW

Piotr Oleniacz 261
Wojciech Socha 269
Józef Ryś 273
Antoni Florek 285
Jan Dżoń 293
Józef Zieliński 298
Julian Bojda 316
Jan Prejsnar 331
Jan Kisała 340
Przypisy 364
Słowniczek wyrazów mniej znanych 370
Spis ilustracji 375
Posłowie — Jadwiga Sobieska 376

Redaktor
Jolanta Tutinas-Romanowska
Redaktor techniczny
Jerzy Jaworski
Korektor
Zofia Krasna

Trzy tysiące czterdziesta dziewiąta publikacja LSW

Wyd. I. Nakład 5000+305 egz.
Papier ilustr. kl. V 70 g B-1
Oddano do składania 21 IV 1978 r.
Podpisano do druku w marcu 1979 r.
Druk ukończono w kwietniu 1979 r.
Ark. wyd. 18; ark. druk. 24,75
Białostockie Zakłady Graficzne
Białystok, Al. 1000-lecia P.P. 2
Zam. nr 1036/78 S-96
Cena zł 67.—

